



MIASTO
GWIEZDNEGO
PYŁU

A decorative archway with a lantern hanging from its top. Behind the archway, there are silhouettes of buildings, including one with a dome. The archway is surrounded by intricate floral and leaf patterns.

Georgia
Summers

MIASTO
GWIEZDNEGO
PYŁU

przełożyła
EWA
BOBOCIŃSKA



Tytuł oryginału: *The City of Stardust*

Copyright © Georgia Summers 2024

Projekt okładki: Micaelo Alcaino

Adaptacja okładki i stron tytułowych: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright © for the translation by Ewa Bobocińska

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Renata Kuk, Magdalena Magiera

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2024 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-367-9

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2024

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

twitter.com/WydJaguar

Druk i oprawa: ABEDIK

Wydrukowano na papierze Creamy 70, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

Mojej mamie

Zrobiła krok naprzód, w zamyśleniu, nie zdradzając emocji. Uniosła stopę, wyżej, jeszcze wyżej – i nagle wzbiła się w górę, piękna, na jaskółczych skrzydłach, i to był najcudowniejszy widok w ten rozgwieżdżony wieczór. Bo cóż bardziej naturalnego niż lot dla tych istot obdarzonych szczególną fantazją? A my, zwyczajni śmiertelnicy, mogliśmy tylko żałować, że nie jesteśmy w stanie do niej dołączyć.

– Hyacinth Watson,
The Fairy Knight's Daughter & Other Stories

Non est ad astra mollis e terris via.

Nie ma łatwej drogi z ziemi do gwiazd.

– Seneka Młodszy, *Hercules Furens*

Prolog



Paryżu znika dziecko.

Niemowlę, żeby być precyzyjnym. W jednej chwili chłopczyk zaciska pulchne piąstki w wózeczku, który matka toczy po sklepie spożywczym. Tylko na moment – dosłownie na sekundę, jak potem zapewnia – odwraca wzrok, aby sprawdzić listę zakupów, bo wydaje jej się, że o czymś zapomniała, a nie może sobie przypomnieć o czym. A w następnej chwili dziecko znika, uniesione przez czyjś stanowcze, pewne dłonie. Kiedy matka ponownie zwraca spojrzenie na miękkie poślanie, na którym powinno leżeć niemowlę, po sprawcy nie ma już śladu. W ułamku sekundy, który dzieli moment odkrycia zniknięcia chłopczyka od krzyku wyrrywającego jej się z gardła, dociera do niej niezwykle zapach wanilii w powietrzu.

Dziewczynka z Wiednia ma dwa latka i po raz pierwszy w życiu odwiedza galerię obrazów. Uspokaja ją kołysanka, która brzmi jak wspomnienie z życia płodowego – jak piosenka, której nigdy nie słyszała, a jednak słuchała jej przez całe życie. Gdy rodzice zatrzymują się, żeby podziwiać jakiś obraz, dziewczynka przemyka wśród tłumu turystów, wpada w wyciągnięte ramiona i znika na zawsze. Są telefony na policję, potem zarzuty i proces sądowy. Detektywi pracowicie oglądają nagrania z kamer bezpieczeństwa, okazuje się jednak, że zapis został nieodwracalnie uszkodzony. Ktoś wspomina o kobiecie pachnącej wanilią, ale ten szczegół zostaje zignorowany i dziecko uznaje się za zaginione.

W Pradze jest chłopiec o oczach szarych jak morskie szkło. Mamroczę coś przez sen, jedno z wielu dzieci z sierocińca. Kobieta pachnąca

wanilią podchodzi do niego, ma wyrachowane spojrzenie i pewne ręce, nie odczuwa wyrzutów sumienia z powodu zbrodni, którą zaraz popełni. Potrafi przewidzieć, jak wyglądałoby życie tego dziecka bez jej interwencji: nieciekawe, pozbawione miłości, może nawet traumatyczne. Życie bez bohaterów, bez ratunku w ostatniej chwili. Bez bajkowych rodziców, którzy zabiorą go – swojego księcia, który został przez pomyłkę uznany za żebraka – z powrotem do domu. W Pradze ten chłopiec będzie żył nikim i umrze nikim.

Ale tam, dokąd pójdzie ona, chłopiec będzie kimś więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuścić.

Pochyla się nad jego łóżeczkiem i szepcze:

– Słyszę twój śpiew, mały marzycielu. I przychodzę na wezwanie.

* * *

Marianna Everly wychodzi podczas burzy z piorunami.

Ta noc zapowiada się katastrofalnie: ulewny deszcz, który siecze o szyby w oknach, jakby sam dom popełnił zbrodnię; sine chmury rozbłyskują białą furią; w złowieszczych kałużach kryją się zdradzieckie zagłębenia. Byłoby lepiej, myśli Marianna, gdyby zaczekała do rana, gdyby miała za sobą słońce i dobrą wolę. Ale nie może zignorować melodii bębniącej w jej kościach ani szeptu mówiącego, że już czas, by pożegnała swój rozpadający się dom i jego mieszkańców.

W drzwiach mającą sylwetki jej braci, trudno odczytać wyraz ich twarzy. Poczucie winy, żal, złość – pełen wachlarz tego typu uczuć mają za sobą, pozostała tylko niewzruszona pewność, że teraz już nie ma odwrotu.

Jeśli nie liczyć domu, to Marianna bardzo niewiele za sobą zostawia. Książeczkę z bajkami w jedwabnej okładce, z postrzępionymi brzegami kartek. Parę lśniących bransoletek o niespotykanym połysku. Stary i bezużyteczny miecz o stępionym ostrzu, przekazywany od wieków z jednego stęchłego przodka na drugiego.

Także na córkę, jeśli chodzi o ścisłość.

W pograżonym w mroku domu pali się tylko światło w oknie jej córki, choć mała szybko zasnęła, kiedy Marianna złożyła na jej czole pożegnalny pocałunek.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Marianna zatrzymuje się na moment. Rozświetlone okno przyciąga jej spojrzenie. Być może się waha, ponieważ pomimo wszystkiego, co doprowadziło do tej chwili, zew dziecka jest niemal silniejszy od jakiegokolwiek innego wezwania.

A może jednak nie? Może odrzuca brzemię macierzyństwa z ulgą, pozbywa się ciężaru, którego nie chciała na siebie wziąć?

Trudno powiedzieć, gdy tak stoi w deszczu.

Ciemność zamyka się wokół niej. Marianna Everly zdejmuje z szyi podniszczony klucz, przekręca go w powietrzu – i znika.

* * *

Klątwa może mieć rozmaite oblicza. Może być życzeniem pozostawionym na słońcu, by się zepsuło, by zgniło i sflaczało, obróciło się w zwapniałą żądzę i utlenioną zawiść. Albo zatrutym kielichem, błędem wytautowanym na całym drzewie genealogicznym rodziny, którego wszystkie kolejne pokolenia obiecywały, przysięgały nie wziąć ani jednego łyku, dopóki ktoś się nie złamał. Czasami są to zmowa i pech, spiskujące ze sobą jak starzy oszuści szukający łatwego zarobku.

U Everlych wszystko zaczyna się od gwieźdnego pyłu.

CZEŚĆ
PIERWSZA



Pierwszy



to jak po latach będzie pamiętał ten dzień Ambrose Everly. Nie zapamięta deszczu spływającego po szybach, wciskającego się w każdą szparę i wypełniającego domostwo Everlych łagodnym pluskiem wody, kapiącej do wszelkich przypominających miske przedmiotów. Nie zapamięta też białego światła błyskawicy, która doprowadziła do zwarcia i zmusiła go do grzebania w kredensie w poszukiwaniu świec i zapalek. Zapamięta trudny do zniesienia bezruch, jakby cały dom wstrzymał oddech w oczekiwaniu.

Dlatego Ambrose odczuwa niemal ulgę, gdy ktoś łomocze do drzwi, jakby uderzył piorun, choć trwa to bardzo krótko. To z pewnością nic innego jak zwykły zbieg okoliczności, ale i tak ze ściśniętym sercem przemierza długie, ciemne korytarze, mijając portrety przodków, które spoglądają na niego z posępną obojętnością. Bardzo niewiele osób wie, że ten dom w ogóle tutaj jest, a jeszcze mniej czuje się tu na tyle mile widzianym, aby zapukać do drzwi. Ambrose otwiera, niepewnie.

W pierwszej chwili widzi jedynie mrok i strugi deszczu lejącego się z dachu. Potem błyskawica rozświetla na moment świat. W progu stoi mężczyzna w skórzanej kurtce, kompletnie przemoczony. Okulary przeciwsłoneczne ukrywają jego spojrzenie, mimo że na dworze jest ciemno choć oko wykol. Za jego plecami, na podjeździe stoi jaskrawopomarańczowy sportowy samochód, smukły i drapieżny.

- Zmieniłeś zamki – stwierdza mężczyzna.
- Gabriel? – pyta Ambrose, a potem znowu, bo nie może uwierzyć, że stojący przed nim mężczyzna to nie zjawia.

– Musimy porozmawiać, braciszku – mówi Gabriel ponuro.

Ambrose ani drgnie. Bierze głęboki wdech i stara się zrozumieć to, co właśnie się dzieje. To powinno być niemożliwe. Czuje, że to niemożliwe. Ale jego starszy brat rzeczywiście stoi na podwórzu, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał, mimo że minęły już przeszło dwa lata. Tylko samochód jest inny, choć nosi wszelkie znamiona gustu brata: jest ostentacyjny, głośny i niewiarygodnie paskudny. Jak środkowy palec pokazany całemu światu.

– Co ty tutaj robisz? – pyta Ambrose.

Gabriel odsuwa włosy z czoła i zerka ponad nim w otwarte drzwi, jakby spodziewał się, że coś – albo ktoś – się tam pojawi.

– Powinniśmy rozmawiać w środku.

Ambrose’a ogarnia nagły niepokój.

– Myślisz, że ktoś za tobą jechał?

– Nie, byłem ostrożny. Ale jednak.

– A czy powinieneś w ogóle tutaj przyjeżdżać? – To w założeniu nie miało brzmieć oskarżycielsko, ale Ambrose krzywi się, słysząc w swoim głosie ostrą nutkę.

– To ważne – odpowiada Gabriel.

Niewiele powodów mogło go skłonić do podjęcia ryzyka przyjazdu do domu, a wszystkie były niepokojące. Wnętrznosci Ambrose’a znowu skrecają się ze zdenerwowania.

– Okej – ustępuje.

Gdy Gabriel przekracza próg, dom wydaje powitalne westchnienie – zbłąkany Everly w końcu powrócił. Ambrose prowadzi brata korytarzem, mijają rozliczne pęknięcia, wypłowiałe tapety i pokłady kurzu pokrywającego nieużywane meble. W opinii Ambrose’a dom wygląda dokładnie tak samo jak w ich dzieciństwie, no, może jest trochę bardziej zaniedbany, bardziej spragniony miłości. Ale teraz, gdy Gabriel przesuwając krytycznym spojrzeniem po pokojach, nagle robi mu się wstyd, że zawiódł jako pan domu i nie dokonał tych wszystkich napraw, na które nigdy nie wystarczało mu czasu. Potem ogarnia go irytacja; a kogo obchodzi, jak ten dom wygląda? Przecież brata nigdy tu nie ma, nigdy mu w niczym nie pomaga.

W ciemności Gabriel potyka się o coś i klunie. Ambrose podnosi z podłogi jedną z lalek siostrzenicy, wystrojoną w zbroję z folii aluminiowej, z mieczem z mieszadełką do koktajli. Uśmiecha się z czułością. Zabawki

są porozrzucane po całym domu i choć Violet twierdzi, że jest już za duża, żeby się nimi bawić, to on ciągle znajduje je w niespodziewanych konfiguracjach. Czarodziejki w zbrojach, rycerze z różami w rękach, księżniczki unoszące triumfalnie miecz.

– To należy do dziecka? – pyta Gabriel.

Ambrose wygładza zgniecioną zbroję.

– To należy do Violet, tak.

Gabriel obrzuca zabawkę przeciągłym, twardym spojrzeniem. Ale nic nie mówi.

Jedynym miejscem, w którym nadal działa oświetlenie, jest biblioteka, bo w kinkietach na ścianach są jeszcze zainstalowane oryginalne lampy naftowe. Ambrose zapala je wszystkie ostatnimi zapałkami, podczas gdy Gabriel bawi się leżącym na biurku notesem. Ciepłe światło rozjaśnia pokój, migocze w złożonych grzbietach książek.

Ambrose opiera się o starą szafę na samym końcu biblioteki i stara się powstrzymać pytania, które cisną mu się na usta. Nigdy nie byli szczególnie wylewni w okazywaniu sobie uczuć, więc trzyma się z dala od brata i chowa ręce do kieszeni. Minęły już dwa długie lata od dnia, w którym Gabriel opuścił dom, i choć zgodzili się, że tak będzie najlepiej – aczkolwiek nigdy właściwie nie było dyskusji o tym, który z braci ma odejść, a który pozostać – to Ambrose nie może powstrzymać ukłucia żalu. Ma za sobą dwa lata robienia zbroi z folii aluminiowej, ale również uczenia się bycia rodzicem w najgorszym możliwym momencie, dwa lata dzikich awantur o porę kładzenia się spać i jedzenia posiłków, dwa lata zmagania, by wbić siostrzenicy do głowy coś na kształt nauki, podczas gdy jego własne studia poszły w zapomnienie – a Gabriel nie musiał tego znosić. Ale Gabriel miał lukratywną pracę, dzięki której mógł utrzymać dom, a nie do połowy napisany doktorat i niejasne ambicje pracy naukowej. A tylko jeden z nich musiał zostać.

Gabriel pochwytuje jego spojrzenie.

– To dziecko... Violet. Gdzie ona jest?

– Śpi – odpowiada Ambrose, mimo że nie ma pojęcia, gdzie jest siostrzenica. Violet myśli pewnie, że wuj nie zauważył, jak wymyka się nocą z łóżka, choć dom wyśpiewuje wtedy całą symfonię trzasków.

– Czego chcesz, Gabrielu?

Cisza. Gabriel spogląda na ciemność za oknem i zaciąga zaśliny, zetały materiał strzępi się na brzegach. I znowu powraca poczucie, że coś strasznego czai się w pobliżu. Ambrose zaczyna chodzić po pokoju, próbując pozbyć się niepokoju.

– Słuchaj, robiłem wszystko, co w mojej mocy – mówi. – Ona jest szczęśliwa, jest najedzona, jest bezpieczna...

– I tu się mylisz, braciszku.

Ambrose zatrzymuje się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Violet nie jest już tajemnicą. Nie wiem, co Marianna zrobiła, z kim rozmawiała, ale nie zachowała ostrożności.

Imię siostry spada pomiędzy nich jak kamień. Ambrose czuje w uszach walenie pulsu. Strach ściska mu wnętrzności.

– Jesteś pewien? – szepcze, a Gabriel kiwa głową. – Cholera.

Cholera.

Co tu więcej można powiedzieć? Przez lata obawiał się najgorszego obrotu spraw i oto stało się. *Violet nie jest już tajemnicą*. Oczami duszy widzi, jak cień pada na jego żywiółową, małą siostrzenicę, i nagle robi mu się słabo z przerażenia.

– Jesteś pewien, że to nie twoja sprawka? – pyta podejrzliwie Ambrose. – Musiałeś coś chlapnąć podczas swoich podróży, wyprawiając Bóg wie co...

Gabriel przerywa młodszemu bratu.

– Jeśli sądzisz, że mógłbym choć przez moment zaryzykować bezpieczeństwo dzieciaka...

– Gdyby ci zależało, to już dawno położyłbyś kres tej farsie z uczonymi!

Z góry dobiega grzmot, a bracia nie przestają mierzyć się wzrokiem. Ambrose ze zdenerwowaniem przesuwając ręką po włosach, jego pierś unosi się ciężko pod wpływem wzbierającej złości. Próbuje wziąć kilka głębokich oddechów, ale czuje tylko panikę paralizującą jego myśli. Co, do licha, mają teraz zrobić?

– To jest również moja siostrzenica. Zależy mi – mówi twardo Gabriel. – Poza tym nie chodzi wyłącznie o pieniądze. Jak sądzisz, w jaki sposób dowiedziałem się o Mariannie? O Violet? – Unosi brew. – Ja nie jestem zbyt dumny, żeby robić to, co musi zostać zrobione. A ty?

Ambrose bierze kolejny głęboki wdech, tym razem idzie mu trochę łatwiej. Dla dobra Violet powinien wziąć się w garść. Powoli zaczyna rozważać rozmaite możliwości, metodycznie, z logiką, spychając panikę w najdalsze zakamarki mózgu.

– Moglibyśmy ją stąd odesłać – myśli głośno. – Żeby zniknęła z oczu. Ty masz kontakty, mógłbyś ją zabrać. – Choć nie chce nawet sobie tego wyobrazić.

– Na to już o wiele za późno – stwierdza Gabriel ponuro. – Powiedz mi, komu powierzyłyś Violet? Który z moich „kontaktów” zaryzykowałby dla nas swoje życie? – Unosi z drwiną brew. – Do licha, braciszku, czy zaufałyś mnie?

Ambrose milczy. Nie ma dobrej odpowiedzi na to pytanie.

– W najlepszym razie zyskalibyśmy kilka miesięcy, braciszku. A potrzebujemy znacznie więcej.

Znowu ten braciszek. Już od dłuższego czasu Ambrose nie czuje się tak młody i naiwny, żeby zgadzał się na traktowanie z góry.

– Violet zasługuje na przyzwoite życie – mówi. – Marianna chciałaby...

– Marianna stąd spieprzyła i zostawiła swoje dziecko – warczy Gabriel. – I naprawdę nie obchodzi mnie, czego by chciała.

– Nie miała wyboru. Odeszła właśnie dla Violet. Wiesz o tym.

– Wiem? – Gabriel patrzy spode łba na brata. – Kiedy ktoś wygląda tak, jakby uciekał, to znaczy, że ucieka. I zostawia nas, żebyśmy posprzątali cały ten cholerny bałagan. Jak zwykle.

Ambrose przetyka ciętą ripostę. Dla Gabriela Marianna to żywa rana, paląca bólem przy każdym dotknięciu.

– Więc to oznacza... – Nie może się zmusić do wymówienia jej imienia, jakby wypowiedzenie go na głos mogło sprowadzić moce, przed którymi tak długo chronił Violet. – Kiedy ona się tutaj zjawi?

Gabriel potrząsa głową, zaciska usta w wąską linię.

– Raczej wcześniej niż później, jak sądzę.

Ambrose gorączkowo analizuje sytuację. Musi istnieć jakieś rozwiązanie, którego on na razie nie dostrzega. Ale jego myśli, zazwyczaj tak doskonale zorganizowane, chodzące jak w zegarku, tym razem zawodzą. W głowie mu się kręci od rozważań o Violet, o długim, mrocznym cieniu

wiszącym nad rodem Everlych. Potrzebuje więcej czasu do zastanowienia. Potrzebuje po prostu czasu.

– Zaprośmy ją – odzywa się nagle. – Zawrzemy umowę. Powiedzialesz, że potrzebujemy więcej czasu. Więc... kupimy sobie czas. Na kolejne posunięcia, na jakiś plan. Na cokolwiek.

Dla Marianny, dodaje w myślach.

Czeka, by Gabriel storpedował jego pomysł. A tymczasem brat rozciera nadgarstek i powoli kiwa głową, rozważając jego propozycję.

– Ona zapyta o Mariannę – ostrzega.

– Wiem.

Gabriel poprawia skórzaną kurtkę, bawi się czymś w kieszeniach.

– Ja nie mogę zostać, już jestem spóźniony na spotkanie z Verne'ami. Będziesz musiał mówić za nas obu.

– To również wiem.

Po wyjściu Gabriela Ambrose przysiadła na biurku, przytłoczony nagle potwornością zadania, którego się podjął. Nie mówiąc już o tym, co, do licha, ma powiedzieć swojej dociekliwej siostrzenicy. Która nieustannie zadaje pytania, choć on już od dawna nie ma łatwych odpowiedzi.

Pozostaje na nogach do wczesnych godzin porannych, pisze listy, szoruje zakurzone blaty kuchenne, pierze prześcieradła, nagle znajduje czas na to wszystko – byle nie myśleć o tym, co teraz nastąpi.

Wewnątrz starej szafy na samym końcu biblioteki Violet Everly mocno przyciska do siebie książkę i zakrywa usta, żeby nie było słyhać jej przeżalonego oddechu.

Drugi



Violet Everly ma dwanaście lat i marzy o innych światach. To zazwyczaj oznacza włożenie do starej szafy na końcu biblioteki i zatrzaskiwanie drzwi w wirującym obłoku kurzu. Tam właśnie przesiaduje z cienką latarką w zębach i grubą książką rozłożoną na kolanach. Sztywne, pożółkłe stronice książki pokrywa ją staromodny druk i bogato ilustrowane zdania. A każde z nich szepcze o przygodzie.

Światy przesuwają się pod jej powiekami: miasta ze złotymi i srebrnymi filigranowymi budynkami; krzyżujące się szlaki wodne z kolorowymi łódkami, kołyszącymi się na falach; las czarownic o skórze w odcieniach od jasnego błękitu aż po najgłębszy zmierzch, na których ramionach migoczą konstelacje. A wszystko to syreni śpiew, z którego dziewczynka nie potrafi się całkiem otrząsnąć.

I właśnie z powodu pragnienia ucieczki w dobrą książkę Violet siedzi ukryta w szafie, podczas gdy Ambrose rozmawia z nieznajomym. A potem wuj mówi: „Czego chcesz, Gabrielu?”.

Gabriel! Jej drugi wuj pojawia się bardzo rzadko, ale w czasie jego odwiedzin pokoje wydają się jaśniejsze, cieplejsze, jakby cały dom radośnie witał powrót zaginionego mieszkańca. Gabriel nigdy nie przyjeżdża z pustymi rękami, przywozi prezenty, równie magiczne jak piękne. Mechaniczne statuetki książąt i rycerzy, czarodziejek i królewien, misternej roboty, rozkładające ażurowe skrzydła rozpięte na drucikach. Albo kiedyś, na jej szóste urodziny, przyniósł zestaw matryoszek, w których wnętrzu nigdy nie pojawiał się ten sam obiekt. Podczas ostatniej wizyty dał jej blade światelko do czytania, które nigdy się nie wyczerpywało, choć nie potrzebowało wymiany baterii.

Z podsłuchanych nocnych rozmów telefonicznych wywnioskowała, że Gabriel robił coś nielegalnego, ale Ambrose skąpił jej szczegółów. Ponad połowa książek podróżniczych z biblioteki należała do Gabriela. Musiał zjeździć cały świat.

Przygoda, myśli Violet i przesywa ją dreszcz.

Nagle wuj wspomina o jej matce i Violet o mało nie wypada z szafy. Marianna Everly.

Matka już dawno zniknęła z jej życia, rozpułyła się jak sól w morskiej wodzie. To znaczy nie można jej nigdzie znaleźć, a jednak jest wszędzie: zapach jej perfum unosi się z nadgryzionych przez mole płaszczy; na toalecie leży jej zapomniany wąski, złoty zegarek; i jej krzesło, którego nikt nie zajmuje. Przeważnie Violet wyobraża ją sobie w pustych miejscach pomiędzy akapitami albo w niewidzialnych wdechach przed zdaniem. Tymczasem ojciec jest całkowicie zaginioną księgą, taką, do której klucz posiada tylko jej matka, jeśli w ogóle posiada. Pozostaje rodzicokształtną pustką, którą Ambrose próbuje na swój sposób wypełnić.

Potem trudno jej już skoncentrować się na czymkolwiek. Poza tym większa część rozmowy nie dociera do jej uszu, a to jest niezwykle frustrujące. Co najmniej połowa słów jest tłumiona przez szafę, zagłuszana krokami Ambrose'a, chodzącego po skrzypiącej podłodze – i biciem jej własnego serca, łomoczącego gwałtownie w uszach Violet, która daremnie próbuje coś z tego zrozumieć.

W zaledwie trzy dni po tajemniczych odwiedzinach wuja przyjmuje kolejną wizytę. Ambrose, zamiast zwykłej bluzy i dżinsów, wkłada wyprasowaną koszulę i eleganckie spodnie, wita gości w butach wypolerowanych na wysoki połysk. Nerwowo zaciska ręce.

– Chodź, Violet – mówi. – Ktoś chce cię poznać.

Kobieta siedzi w bawialni. Przycupnęła elegancko na ulubionym fotelu Ambrose'a. Jej jasnozłote włosy są starannie przycięte w boba i wsunięte za uszy, a dłonie idealnie gładkie, wolne od jakichkolwiek pierścionków czy odcisków. Ma na sobie ubrania bez wyrazu, ale doskonale skrojone, z jedwabistego, kosztownego materiału. Kobieta uśmiecha się sympatycznie i wyciąga do niej rękę na powitanie. W powietrzu unosi się leciutki zapach wanilii.

Violet wzdryga się i odsuwa.

– Witaj, mała marzycielko – mówi kobieta głosem równie miękkim i bezpretensjonalnym jak jej wygląd. – Miło mi wreszcie cię poznać.

Znowu wyciąga do niej smukłą dłoń, ale Violet pozostaje na swoim miejscu. Ambrose, który stoi za nią, uspokajająco kładzie jej rękę na ramieniu.

– Jest trochę nieśmiała. Od dawna nie mieliśmy żadnych gości – wyjaśnia ze swym zwykłym powściągliwym ciepłem.

Popycha lekko Violet, która niechętnie przemierza bawialnię, żeby uściśnąć rękę kobiety. Ale ta, zamiast potrząsnąć ręką dziewczynki, obejmuje jej dłoń obiema rękami i wciska kciuki w jej wnętrze. Po chwili puszcza Violet i klaszcze z zachwytem.

– No, jesteś nieodrodną córką swojej matki – oznajmia, po czym zwraca się do Ambrose’a. – Wypisz wymaluj jak Marianna w jej wieku. I niewątpliwie równie utalentowana. Co za fortunne odkrycie. I pomyśleć, że tak długo ją przede mną ukrywałeś. Te wszystkie kartki urodzinowe, których nie dane mi było wysłać.

Ambrose marszczy czoło, ale zanim zdąży się odezwać, drobna postać przemyka obok niego i staje za kobietą. Chłopiec, nieco starszy od Violet, z ciemnymi, kręconymi, opadającymi na kark włosami. Ma szare oczy w kolorze morskiego szkła, prawie przezroczyste. Stoi sztywno wyprostowany, w staromodnych ciuchach: wełnianej, czerwonej kamizelce, wyblakłej i wystrzępionej na dole, narzuconej na koszulę z kołnierzykiem zmechaconym ze starości.

– A, mój asystent. – Kobieta wskazuje stojące za nią dziecko. – To jest Aleksander.

Chłopiec zerka podejrzliwie na Violet, jakby to ona stała w jego bawialni. Dziewczynka odpowiada mu takim samym spojrzeniem.

– Vi, może oprowadziłabyś Aleksandra po domu? – zwraca się do niej Ambrose. – Byłoby miło, prawda? Penelopa i ja mamy sporo do obgadania.

Kobieta uśmiecha się do niego, pokazując idealnie proste zęby.

– Zdecydowanie tak. Aleksandrze?

Aleksander, równie cichutko jak się pojawił, odsuwa się od Penelopy z ciężkim westchnieniem starszego dziecka zmuszonego do opieki nad młodszym. To absolutnie ostatnia rzecz, na jaką Violet miałyby ochotę, szczególnie że to ona ma być głównym tematem rozmowy. I że mogłaby

zakraść się na drugie piętro, usunąć dwie luźne deski podłogowe – te, na widok których Ambrose ciągle odgraża się, że je naprawi – i przyłożyć ucho do szczeliny nad sufitem bawialni, przez którą tocząca się tutaj rozmowa docierałaby do niej bez przeszkód.

Violet obrzuca Ambrose’a mrocznym spojrzeniem.

– Idź, Vi. Proszę.

Wygląda na to, że wyjaśnienia będą musiały zaczekać. Z przeciągłym, cierpiętniczym westchnieniem Violet wyprowadza chłopca z pokoju i zamyka za sobą drzwi.

* * *

Ambrose nie jest starym mężczyzną – daleko mu do starości. Właściwie nie widać po nim upływu lat, choć przekroczył już trzydzistkę i powoli zbliża się do czterdziestki. Ale tego dnia czuje się przytłoczony odpowiedzialnością podszytą straszliwą paniką spowodowaną trudną sytuacją, w jakiej się znalazł.

Cały misternie ułożony plan runął w jednej chwili.

– Minęło dużo czasu – odzywa się Penelopa, kiedy Ambrose siada naprzeciw niej w bawialni. – Zaczynałam już podejrzewać, że ukrywacie się przede mną.

– To jest siedziba rodu Everlych – stwierdza Ambrose ze wzruszeniem ramion, które sytuuje go na cienkiej granicy między brawurą a głupotą. – Gdzie indziej mielibyśmy być?

Nie uznał za stosowne informować jej o tym, że ten dom był od dwunastu lat opuszczoną ruderą na głębokiej angielskiej prowincji. I że nikt z nich nie miał ochoty zamieszkać w domu, w którym wyrosli, skoro w ich dzieciństwie było tyle goryczy. Ambrose, jako najmłodszy, wyjechał stąd ostatni i jako pierwszy poprzysiągł sobie nigdy tu nie wrócić – a oto jest tutaj. I tak. To jakaś straszliwa ironia, że wrócił, aby wychować Violet, wprzągł się ponownie w koło losu, z którego tak desperacko pragnął umknąć.

Dom, ze względu na nieobecność właścicieli i stan godny pożatowania, został właściwie wymazany z mapy. I usunięty z wszelkiej korespondencji, archiwów i tym podobnych, do których bracia Everly mieli dostęp. Dopóki Ambrose zachowywał milczenie, Gabriel prowadził interesy

gdzie indziej, a Violet nie opuszczała domu, kto miałby podejrzewać, że ukrywali tutaj dziecko? Penelopa nie mogła szukać tego, o istnieniu czego nie miała pojęcia.

Aż do teraz.

Gdyby naciskała, mógł twierdzić, że zależy mu na ciszy i spokoju – ale oboje wiedzą, że samotność może bardzo przypominać tajemniczość.

Penelopa bębni palcami o brzeg fotela.

– Jesteście mi coś winni, bądź łaskaw o tym pamiętać.

– Skoro tak twierdzisz – odpowiada Ambrose ostrożnie. – Ale nie przypominam sobie, żebym cię prosił o jakąś przystługę.

Ambrose stąpa po kruchym lodzie, mówiąc do niej w ten sposób, jednak nie jest w stanie poddać się bez walki. Być może dlatego, że po raz pierwszy obudził się w nim płomyček nadziei, będący słabiutką nagrodą za konieczność marnowania czasu w tym domu. A być może po prostu sądzi, że jego rodzina nie zasługuje na to, by podać ją potworowi na tacy.

– Ja nie negocjuję, Ambrose – oświadcza Penelopa z doprowadzającym go do furii spokojem.

– Ród Everlych ma wobec ciebie dług. Nie ja – odpowiada.

– A ty nie jesteś Everly? – pyta Penelopa.

– Nie udawaj, że to jest to samo...

– Ambrose.

Penelopa nie musi wymawiać jego nazwiska, żeby usłyszał echo słów, które biegły za nim przez całe życie. Uparty jak Everly, dzielny jak Everly, skazany na zgubę jak Everly. Ale zawsze Everly. Gdyby tylko mógł wyrwać z siebie tego Everly'ego, czułego, nieuchwytnego i marzycielskiego. Gdyby tylko mógł pozbyć się tej części samego siebie na dobre – co oznacza siebie całego.

Zrobiłby to bez wahania, jeśliby uznał, że to ich uratuje.

– No, dobrze – rzuca Ambrose. – Ale to nie oznacza...

– A więc jesteś moim dłużnikiem, podobnie jak twoja siostrzenica. Mogłabym po prostu zabrać dziewczynkę teraz, jeśli wolisz – kontynuuje Penelopa. – Violet jest równie dobra jak jej matka, zapewniam cię.

Serce mu się ściska na tę myśl.

– Możemy znaleźć Mariannę – mówi szybko. – Gabriel właśnie jej szuka, teraz, kiedy rozmawiamy.

Po prostu kupuję sobie czas, myśli Ambrose. Tyle, na ile mi wystarczy śmiałości. Jeśli narażam w ten sposób Mariannę, jeśli za kilka miesięcy znajdziemy się na rozdrożu i trzeba będzie położyć na szali matkę i córkę, i nie będzie innego wyjścia...

Ambrose nie ma natury hazardzisty, a jednak postawiłby ostatnią monetę na to, że siostra będzie sprytniejsza niż ich nieporadne machinacje. Wybacz mi, myśli desperacko.

– Masz do niego ogromne zaufanie. Jesteś pewien, że Gabriel jej nie ukrywa? – pyta cicho Penelopa.

– Tak – odpowiada Ambrose. Po czym dodaje: – My nie wiemy nawet, dlaczego Marianna odeszła.

Co, oczywiście, jest kłamstwem. Ale ćwiczył to przed lustrem, powtarzał te słowa tak długo, aż stały się pozbawionymi znaczenia sylabami. Aż zmieniły się w swego rodzaju prawdę.

– Violet to jeszcze dziecko – kontynuuje kłamstwa. – Nie ma dla ciebie żadnej wartości.

Penelopa uśmiecha się szerzej i Ambrose czuje, że ziemia usuwa mu się spod stóp, że jest o włos od katastrofy. Żadne z nich nie wypowiada tego słowa, ale wisi ono między nimi w powietrzu: Violet nie ma żadnej wartości – j e s z c z e .

Penelopa przeciąga pozory towarzyskiej wizyty, bierze łyk herbaty z filiżanki, a każda sekunda to udreka.

– Dobrze. Zawrę z tobą umowę, Ambrose Everly. Zostawię Violet w spokoju, jeżeli znajdziecie Mariannę. Ale nie będę czekała w nieskończoność. – Jej oczy się zwężają. – Dziesięć lat to wystarczająco długo, nie sądzisz?

– Dziesięć lat – powtarza Ambrose jak echo. – I w tym czasie nie skrzywdzisz Violet?

– Nie widzę żadnego powodu – odpowiada Penelopa.

– To... wspaniałomyślne z twojej strony.

Ambrose zauważa, jak zawsze zwraca uwagę na to, że czas nie ima się tej kobiety, Penelopa jest nienaturalnie piękna, jak róża zamrożona w pełnym rozkwicie. Jak szkło, zanim zostanie rozbite.

– Umowa stoi – zmusza się do wypowiedzenia tych słów.

Penelopa wyciąga rękę, którą on pospiesznie ujmuje. Zawarł już w życiu wiele diabelskich umów i nie zamierza wzdragać się przed kolejną.

Palce Penelopy zaciskają się wokół jego dłoni. Ból przesywa jego nadgarstek, biegnie w górę ramienia. Światła migoczą i gasną, cienie zbierają się u jego stóp.

Ambrose opada na jedno kolano, potem na drugie, traci oddech. Ale ręka Penelopy nadal zaciska się jak imadło. Ktoś – może on sam – dyszy: „Proszę”. W jego mózgu następuje krótkie spięcie, wszelkie myśli zmieniają się w czerwoną wirującą udrękę.

Penelopa puszcza jego dłoń, Ambrose pada na ziemię. Chłód drewnianej podłogi jest błogosławieństwem dla jego pulsującej bólem skóry. Wciąga do płuc powietrze, nic innego nie jest w stanie zrobić. Jego twarz jest mokra od łez. Kiedy odzyskuje wreszcie dość sił, żeby unieść głowę, Penelopa spogląda na niego zimno, już się nie uśmiecha.

– Powinieneś być powiedzieć mi o dziewczynce, Ambrose.

Ambrose podnosi się chwiejnie na nogi. Światła nadal się palą; na dworze trwa ten sam ponury, szary dzień. Ale cień palącego bólu dalej krąży w jego żyłach.

– Dziesięć lat – mówi Penelopa. – Wierzę, że nie zapomnisz.

Dziesięć lat na znalezienie Marianny Everly. To jakby cała wieczność, a jedna chwilka zarazem.

ROZDZIAŁ

Trzeci



Violet i Aleksander w przykrym milczeniu wędrują długim korytarzem, przechodzą przez wielki hol z rzeźbionym kominkiem i idą w stronę kuchni. Droga prowadzi wzdłuż ściany ze sztywnymi portretami i obtłuczonymi popiersiami przedstawiającymi pokolenia Everlych. Violet zauważa, że Aleksander patrzy na te szczególne dekoracje z lekką pogardą, ale stara się to zignorować. Kiedyś bawiła się w wyszukiwanie podobieństw rysów poszczególnych przodków do własnych: po jednym odziedziczyła wyzywająco wysunięty podbródek; orzechowe oczy po drugim; zadarty nos po wyjątkowo snobistycznym dziadku. No i jeszcze tę kłątwe, wpisaną w nią niewidzialnym permanentnym tuszem, jak we wszystkich Everlych przed nią.

Violet wierzy w kłątwy, tak jak wierzy w bajki. Bo kłątwa to swego rodzaju baśń, mroczna, okrutna i niebezpieczna. To niewypowiedziana opowieść przewijająca się niczym powracająca melodyjka przez historię jej rodziny: jeden Everly z każdego pokolenia odchodzi w mrok, wciągany przez cień.

Przodkowie spoglądają na Violet z ponurą dezaprobatą. Dziewczynka nie ma do nich pretensji. Gdyby była odważniejsza, silniejsza, to już dawno zostawiłaby Aleksandra, żeby podsłuchać rozmowę Ambrose'a z tamtą blondynką. A tymczasem ona prowadzi go do kuchni, gdzie naburmuszony chłopiec siada na wolnym krześle.

– Ee, mam nadzieję, że miałeś przyjemną podróż. Dzisiaj, ee, pada deszcz – sili się, żeby nawiązać konwersację.

Odpowiada jej kamienne milczenie, więc próbuje z innej strony.

– Czy to twoja matka? Ta Penelopa?

Chłopiec prychnął, jakby zadała mu wyjątkowo głupie pytanie.

– Nie.

– To gdzie są twoi rodzice?

– Nie mam rodziców – odpowiada sztywno.

– Nie bądź śmieszny. Wszyscy mają rodziców.

– Dobrze – odpala chłopiec. – To gdzie są twoi?

– Moja mama ruszyła na poszukiwanie przygód – wyjaśnia Violet z dumą. – Pewnego dnia do niej dołączę.

Wyruszy na tętniące życiem morza pod palącym słońcem. W głębokie lasy, gdzie żyją wiedźmy północy. Na samą myśl o tym Violet czuje mrowienie skóry.

Aleksander patrzy z powątpiewaniem.

– Przygody są w bajeczkach dla dzieci.

– Cóż, moja mama ruszyła po przygodę. Kiedy miałam dziesięć lat. Ale wróci.

Violet jest tego pewna. Czasami jej wiara jest tak mocna, że aż dziwi, iż jej siła nie sprowadza matki z powrotem na próg domu. Ta myśl sprawia, że Violet robi przerwę i nasłuchuje szczęku zamka, głosu matki rozlegającego się znowu w domu. Sama mówi, że jest już za duża na bajki, ale jeśli będzie wierzyła wystarczająco mocno, wystarczająco mocno pragnęła...

Aleksander parska śmiechem.

– Tak, jasne.

Violet wraca do rzeczywistości.

– Ja nie kłamię!

Mierzą się wzrokiem, wzbiera w niej złość. Zresztą, co on może wiedzieć? Gdyby nie zachowywała się jak dama, rozstrzygnęliby spór jak w jej ulubionej powieści: w walce wręcz. Bez sentymentów – nic, tylko twarda ręka sprawiedliwości. Ale w tej sytuacji Violet po prostu ignoruje chłopaka, nalewa sobie herbatę do filiżanki i trzaska drzwiczkami kredensu tak mocno, jak tylko się da.

– Jak na kogoś tak małego, robisz dużo hałasu – zauważa chłodno chłopiec.

– A ty jesteś tak niegrzeczny, jak można się spodziewać po kimś, kto nie ma rodziców – rzuca Violet.

I natychmiast czuje, że posunęła się za daleko. Spodziewa się, że chłopiec odpowie czymś równie okrutnym, ale on milczy. Violet podnosi wzrok znad herbaty i widzi, że chłopiec patrzy na ścianę z mocno zaciśniętymi zębami, a w jego oczach łśni wymowny, wilgotny błysk.

Więc bardzo niechętnie pyta go, czy on również ma ochotę na filiżankę herbaty. Chłopiec kiwa głową.

Siadają po przeciwnych stronach stołu i patrzą na siebie znad krawędzi swoich kubków. Deszcz bębni w świetlik nad ich głowami. Violet szarpie się drewnianego stołu, ma poczucie winy, więc unika jego spojrzenia.

– Chcesz zobaczyć sztuczkę? – pyta nagle chłopak.

Violet podnosi wzrok. Aleksander bawi się małym, opalizującym kawałkiem czarnego marmuru, przetacza go między kciukiem a palcem wskazującym. Kładzie go na stole i popycha w jej stronę, kamyk zaczyna wirować. Violet bierze go do ręki – jest dziwnie ciepły i nieprawdopodobnie piękny, składa się z wielu warstw połyskliwego pyłu.

– Twardy, prawda?

Violet turla go z powrotem do Aleksandra.

– Tak.

Chłopak rzuca jej szybki, nieśmiały uśmiech.

– No to patrz.

Przenosi skoncentrowaną uwagę z Violet na marmur i nagle w powietrzu rozlega się trzask. Chłopak podnosi kamień i kładzie go płasko na dłoni, a potem zgniata. Ścisną go i rozciąga.

Marmur rozszerza się w jego rękach do rozmiaru pięści, zmienia się w kulisty obiekt, przezroczysty jak bańka mydlana. Na jego powierzchni obraca się cały układ słoneczny. Czerní przechodzi w głęboki fioleć, z którego promieniuje na zewnątrz błyszczące światło i wyświećla na ścianie konstelacje gwiazd. Violet potrafi je wszystkie wyliczyć: Pas Oriona, Wielka Niedźwiedzica, Kasjopeja, Gwiazda Polarna.

To absolutnie niemożliwe.

To magia.

Mars na czole chłopca pogłębia się, gdy kula rozszerza się jeszcze bardziej i rozjaśnia mroczne pomieszczenie. Violet głośno wciąga powietrze, gdy dostrzega, że kula nie spoczywa już w rękach Aleksandra, tylko unosi się nad nimi. Jedno trzepnięcie jego nadgarstkiem i konstelacje nagle

się zmieniają, pojawiają się nieznane gwiazdy i księżycy krążące leniwie wokół nich. Violet wyciąga rękę, żeby lekko dotknąć cieniutkiej błonki.

– Aleksander.

Kula rozpada się w pył, błyszczący na stole.

Chłopak wzdryga się z poczuciem winy. Jego dłonie pokrywa czarny żwirek, drobny jak piasek.

Penelopa stoi w drzwiach, przez moment wygląda na rozwścieczoną, chmurną jak burza z piorunami. Ale w ciągu sekundy wraca dawna spokojna, beznamiętna kobieta z bawialni. Za nią do kuchni wchodzi Ambrose i zatrzymuje się na widok nieporządku.

– Co...

– Ja i Aleksander musimy już iść – oznajmia Penelopa i w jej głosie brzmi szczerzy żal, lecz Violet wie, że to nieprawda. – Miło było was odwiedzić, choć... zabawiliśmy już zbyt długo. Będziemy musieli odwiedzić was ponownie.

Uśmiecha się, nie rozchylając warg. Aleksander wstaje, zaciska ręce tak mocno, aż mu bieleją kostki.

– Pożegnaj się z Violet – mówi Penelopa. – Jestem pewna, że znowu się spotkamy.

Aleksander podnosi wzrok na dziewczynkę, na jego twarz powraca szorstki brak zainteresowania.

– Do widzenia, Violet.

– Dziękuję za odwiedziny – odpowiada Violet. A kiedy Penelopa odwraca się do wyjścia, dziewczynka udaje, że trzyma w rękach kulę, a potem podnosi kciuki.

Aleksander uśmiecha się do niej słabo, zanim zostaje wypchnięty za drzwi.

Tego wieczoru Violet nie idzie do biblioteki. Przytula się do Ambrose'a w jednej z najmniejszych bawialni o niskim suficie, dzięki któremu pokój wydaje się kojący i przytulny. Nie może przestać myśleć o rozpryskującym się marmurze i o chłopcu, nagle tak przerażonym.

– Zupełnie jakby nosiła maskę – mówi Violet. – Jakby osoba, którą my widzimy, to nie była ona. Kim ona jest?

Ambrose wpatruje się w ogień, w jednej ręce ściska szklaneczkę whisky. Marszczy czoło, jakby o czymś zapomniał.

GEORGIA SUMMERS

– Penelopa... zna naszą rodzinę od bardzo dawna. – Ostro spogląda na dziewczynkę z góry. – Co jej asystent ci pokazał?

Violet wydyma wargi.

– Nic.

Ambrose śmieje się cicho.

– Ja również pamiętam, kiedy to było niczym. – Jego ręce drżą, kiedy odstawia szklaneczkę. – Vi, to, co widziałaś w kuchni, musi pozostać między tobą i tym chłopcem, rozumiesz? Przede wszystkim on nie powinien być ci tego pokazywać, ale teraz już za późno.

– Przysięgam, że nikomu nie powiem – zapewnia Violet, w jej szeroko otwartych oczach maluje się powaga.

Ambrose wzdycha.

– Och, Vi, gdyby to było takie proste.

* * *

Jest środek nocy, ale Violet nie śpi. Noc obejmuje ją obłokiem oczekiwania – to pora czarownic, olśniewająca możliwościami. Violet siedzi po turecku na łóżku i układa ręce w takiej samej pozycji, w jakiej trzymał je Aleksander. W jej dłoni spoczywa marmur wydobyty z szuflady pełnej zakurzonych gier. Marszczy czoło, próbując się skoncentrować. Naśladuje jego ruchy: precyzję, z jaką uniósł kulkę opuszkami palców, z jaką złapał ją i rozciągnął. Wstrzymuje oddech, tak mocno tego pragnie.

I przez sekundę wydaje jej się, że wyczuwa w powietrzu takie same wyładowania.

Przez sekundę szepcze w myślach: magia.

Ale marmur uparcie pozostaje marmurem. Żadnych galaktyk, żadnych gwiazd nie z tego świata. Tylko ona i cienie w jej pokoju, coraz głębsze.

ROZDZIAŁ

Czwarty



Szepty rozchodzą się po całym świecie.

Słyszysz ją kobieta we Włoszech i tej nocy zamyka swój dom na cztery spusty. Wsadza dzieci do samochodu razem ze wszystkimi rzeczami, jakie może zapakować. Kiedy ją pytają, dokąd jadą, ona tylko przyspiesza i pędzi krętymi wiejskimi drogami z ponurą determinacją, którą przerażone dzieci widzą we wstecznym lusterku.

Szepty docierają do jubilera w Seattle, który mdleje natychmiast po przejrzeniu listu. Nadal prowadzi swój handel – co innego mógłby zrobić? – ale kupuje broń i układa ją starannie pod ladą z kasą. Sześć miesięcy później zostaje znaleziony martwy w biurze na zapleczu, osunął się na blat biurka; broń wciąż trzyma w ręce. Policja uznaje to za samobójstwo i zamyka sprawę, choć jego żona twierdzi z uporem, że byli śledzeni przez kobietę, która potrafiła rozplýwać się w powietrzu.

Gabriel Everly słyszy szepty w Osace, gdy siedzi samotnie w kawiarni, a na horyzoncie zapada zmrok. Zamyka oczy, wsłuchuje się w szepty przez dłuższą, bolesną chwilę, a potem wypuszcza je z powrotem w świat. Następnego wieczoru jest już w innym mieście, w innym kraju i dopiero wtedy znika ciężar przygniatający jego ramiona.

Szepty zbierają się i potężnicją jak głąz toczący się w dół wzgórze. Docierają przez telefony i skrzętnie ukrywane listy, palone natychmiast po przeczytaniu, przez szyfrowane maile i sekretne spotkania przy świecach. W pewnym momencie przedostają się do innego świata, niesione wiatrem do miasta śniegu i światła gwiazd, gdzie krążyły już od pewnego czasu.

Gdzie jest Marianna Everly?

ROZDZIAŁ

Piąty

**R**

aczej wbrew własnej woli Violet dorasta, wystrzeliwuje z małego, półdzikiego dziecka w wyższą, półdziką nastolatkę. Czyta każdą książkę z biblioteki po dwa razy. Eksploruje przestronne poddasza, trawersuje wąskie belki z przesadną pewnością siebie, przez co pewnego dnia przebija stopą sufit. Zapuszcza się do zarośniętego ogrodu, w którym buduje – a potem rozwala – skomplikowany fort z postrzępionej wstążki i gałązek. Ale nigdy nie opuszcza granic posiadłości Everlych. Ani żeby pójść do szkoły – „Po co, bracie, skoro ja jestem takim dobrym nauczycielem?”, mawia Ambrose z niezbyt przekonującym uśmiechem – ani żeby spotkać się z przyjaciółmi czy rodziną lub ze światem, który wydaje się stale napierać na mur ich ogrodu.

Tylko co roku, najpierw z wściekłą nadzieją, a potem już tylko z wściekłością, Violet czeka, aż matka przekroczy próg domu. Czeką na list, na telefon, na chorągiewki sygnalizacyjne na dachu – na jakikolwiek znak świadczący o tym, że nie została pozostawiona tu, by powoli pokrywać się kurzem jak cała reszta domu.

W piętnaste urodziny Violet Ambrose zastaje siostrzenicę na dworze. Dziewczyna szarpie na strzępy liście ogromnego krzewu dzikiej mięty, z mocno zaciśniętymi zębami i twarzą zaczerwienioną z wysiłku włożonego w powstrzymanie łez. Na rękach ma zielone plamy, a w oczach niewylane łzy.

– Robię herbatę – mówi z uporem, choć napar z takiej ilości liści pili-by tygodniami.

Ambrose łagodnie odciąga ją od krzewu.

– Violet...

– Ona nie wróci, prawda? – Zrywa kolejną garść liści. – A ty nie powiesz mi, gdzie ona jest ani dlaczego odeszła. To jest kłątwa, prawda?

Violet nie jest już małym dzieckiem, które bez zastrzeżeń wierzy w kłatwy, jak dawniej. Kiedyś myślała o nich jak o czymś namacalnym, czekała, aż jej własny cień wstanie i zażąda miejsca obok niej. Teraz wie, czym jest naprawdę mara: to śmierć. Na portretach dotknięci kławą Everly są zawsze młodzi. Ale niezależnie od tego, czym naprawdę jest ta kłątwa, zabiera zawsze jednego Everly'ego z danego pokolenia. A jej wujowie nadal tu są; tylko Marianny Everly nie ma.

Zaskoczony Ambrose mruga oczami.

– Co ty mówisz, Violet?

– Prawda? – pyta z naciskiem.

Ambrose wzdycha i pociera czoło, Violet zna to westchnienie – oznacza ono, że wuj wymyśla kłamstwo.

– Ja nie wiem, gdzie ona jest. Naprawdę. Ani dlaczego odeszła... – i tutaj skłamał, właśnie tutaj – ...ale ona wróci, obiecuję.

Z jakiegoś powodu to zapewnienie jest gorsze od kłamstwa. I Violet zwraca uwagę na to, że wuj nie zaprzeczył istnieniu kławy.

Gabriel wpada do domu od czasu do czasu i chociaż nigdy nie pozostaje zbyt długo, to jego wizyty są zawsze pamiętne. On uczy Violet, jak się bić – „Kciuki na zewnątrz pięści, mała!” – uczy poruszać się jak cień i grać w rzutki jak profesjonalista. W któreś urodziny Violet, pomimo protestów Ambrose'a, lekcjom towarzyszy zestaw wytrychów.

Violet nie ma pewności, na ile wartościowe są takie prezenty, lecz czuje dreszczyk emocji, kiedy otwiera po raz pierwszy zamek albo przechodzi bezgłośnie po skrzypiącej desce. Ale są również takie chwile, gdy jej wujowie zamykają się w bibliotece, zostawiając Violet samą sobie. Dnie, kiedy z całą pewnością słyszy stłumione, bo dobiegające zza zamkniętych drzwi, własne imię – albo imię swojej matki. Podejrzewa, że Ambrose obawia się, że jeśli odpowie na jej pytania, to Violet zniknie jak Marianna – wyjdzie w czarną, bezgwiezdną noc, kiedy deszcz siecze o szyby i już nigdy nie wróci.

Czasami Violet myśli, że wuj słusznie się martwi. Ponieważ przygoda, jak się okazuje, to bardzo podniecające słowo. Wkrada się w głąb kłatki

piersiowej i ciągnie, jak kosmiczna struna przymocowana do kompasu, nie wiadomo dokąd. Całe godziny spędza zamknięta w bibliotece, pochylona nad mapą we wspianiałym, imponującej wielkości atlasie, dopóki jej wzrok nie zmęczy się śledzeniem bladoniebieskich równoleżników i południków. Zbiera nazwy miast, jak inni zbierają drobniaki, z nieznaną dotychczas satysfakcją pozwala, by te słowa utrzymywały się w niej, zwlekały z odejściem.

Wyobraża sobie również, jak by się czuła w roli osoby z torbą przerzuconą przez ramię i dziennikiem pełnym opowieści o cudach i niebezpieczeństwach podróży. Te opowieści zabrałaby z powrotem, zachwyt uwięziony w odłącznych gryzmołach. Tuzin języków na jej ustach, sto opowieści w opuszkach jej palców, każdy widok niezapomniany. Widzicie? Pokusa.

Ambrose twierdzi, że to straci blask, kiedy Violet dorośnie. Ale ten szczególny czas, gdy magia zblednie, zastąpiona cynizmem, nigdy nie nastąpi i zawsze coś w niej będzie czekało – na coś.

Dwa tygodnie po swych siedemnastych urodzinach, kiedy Violet siedzi skulona na wytartym fotelu w bibliotece i w roztargnieniu bawi się bransoletkami, słyszy dudniące kroki na korytarzu. Widok Gabriela, szybkim krokiem mijającego drzwi, stanowi prawdziwy szok – ponieważ to niemożliwe, bo o ile jej wiadomo, wuj miał być w jakimś dalekim kraju, który dzielą oceany od domu Everlych. Nie widziała go niemal od roku, w dodatku ostatnim razem zaledwie przez jedno popołudnie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Gabriel mógłby wpaść do domu, żeby spotkać się tylko z Ambrose'em, unikając jej całkowicie.

Cichutko wstaje z fotela i skrada się za nim.

Dwukrotnie o mało nie traci go z oczu w labiryncie korytarzy. Wuj ma na sobie trzyczęściowy garnitur, marynarkę przewiesił przez ramię. Gdy Gabriel zatrzymuje się nagle, Violet musi zakryć ręką usta, żeby stłumić gwałtowne wciągnięcie powietrza. Wuj wyglądałby jak ktoś wybierający się na przyjęcie, gdyby nie podbite oko i rozcięta warga. Krew plami jego sztywny, biały kołnierzyk kroplami żywej czerwieni.

Violet wie, że nie miała tego zobaczyć.

Przyspiesza kroku. Gabriel mógłby jej powiedzieć, dokąd idzie, jeśli tylko zdoła go złapać w drodze. Mógłby jej powiedzieć, dlaczego jest zachlapany krwią albo dlaczego w ogóle się tu zjawiał.

Jej kroki na deskach podłogi są prawie bezszelestne. Ale tylko prawie, wydają jednak pewien dźwięk, a to właśnie Gabriel nauczył ją tej sztuczki. Więc kiedy wuj znika między jednym pokojem a drugim, Violet jest rozczarowana, ale nie zdziwiona, że zdołał wyprowadzić ją w pole.

Już ma zawrócić, kiedy jej uwagę przyciąga promień światła. Drzwi na końcu długiego, ciemnego korytarza są lekko uchylone. Pada z nich chłodny, błękitny blask, rzucając cienie na deski podłogi. Te drzwi powinny prowadzić do nieużywanego pokoju gościnnego i każdego innego dnia tak jest.

Ale nie tego wieczoru.

W szczelinie pomiędzy drzwiami a framugą widoczne jest miasto, w dół, jakby Violet stała na skraju wysokiego klifu. Pada śnieg, gęste, grube płatki gromadzą się przy krawędzi drzwi. Dachy domów pokrywa olśniewająca biel podświetlona miodowym światłem lamp. Gwiazdy, liczniejsze i jaśniejsze niż te, które Violet dotychczas widziała, tworzą konstelacje o nieznanym jej nazwach. A donośna pieśń górskich stoków przetacza się po szczycie klifów, szum, któremu towarzyszą trzaski i łomoty przesuwającego się lodu.

To nie może być rzeczywiste. A jednak lód oszronił deski podłogi, wkradła się do domu. Wiatr niesie w jej stronę płatki śniegu wraz z chłodem, który kradnie jej powietrze z płuc.

Violet, niesie jej imię wiatr.

Violet robi krok, potem drugi...

Drzwi zatrząskują się, jakby ktoś szarpnął je z drugiej strony.

Violet zamiera, mijają cenne sekundy. Potem łapie za klamkę i otwiera drzwi. Ciemny, pokryty kurzem pokój gościnny gapi się na nią. Wychodzi, śnieg już stopniał, wsiąka w podłogę.

Violet myśli o chłopcu i jego marmurze, o wędrujących galaktykach tańczących w powietrzu, o kobiecie noszącej uśmiech jak broń. O matce i tajemnicy spowijającej każdą sylabę jej imienia.

Jakiś głos szepcze: *Przygoda.*

* * *

Aleksander również otrzymuje prezenty na urodziny.

Na trzynaste urodziny prezentem jest kara za to, że pokazał tej dziewczynce Everlych sztuczkę z kulką z reweritu. Dwadzieścia razy różgą.

Rewerit to metal bogów, mówi miękko Penelopa, prowadząc chłopca do zimnego, ciemnego pokoju. Nie wolno się nim bawić i nigdy, przenigdy nie wolno manipulować nim przy ignorantach. Doprawdy, kara powinna być surowsza. Jednak Aleksander nie jest asystentem byle kogo, a Penelopa jest litościwa. Tak właśnie mówi i on jej wierzy – nawet kiedy pada pierwszy cios i musi mocno przygryźć wargę, żeby nie krzyknąć.

Na piętnaste urodziny Penelopa zabiera go do Paryża. I zostawia w obcym mieście, bez grosza przy duszy, bez możliwości skontaktowania się z nią i bez mapy – tylko z nazwą kawiarni. Aleksander dociera tam po siedmiu godzinach, wykończony, głodny i przemoczony, bo ciągle siąpi deszcz. Penelopa zerka na zegarek.

– Musisz bardziej się starać, Aleksandrze – mówi.

W następnych dniach są nowe miasta i nowe cele, dopóki chłopiec nie czuje się w miejskich pejzażach tak komfortowo, jak w drugiej skórze. Zapamiętuje mapy ulic, śledzi fale przechodniów zmierzających do centrów miast, uczy się kraść telefony i pytać o drogę w kilkunastu językach. Przy dwudziestym porzuceniu w obcym mieście odnajduje Penelopę po godzinie, a ona uśmiecha się z aprobatą, co samo w sobie stanowi nagrodę.

Ma prawie siedemnaście lat, kiedy wdaje się w gorący romanś z innym chłopcem. Początkowo są niezręczne podchody, potem pospieszne zbieranie się w głębi archiwum, kiedy powinni studiować. Przez miesiąc Aleksander jest rozkojarzony, zafascynowany kształtem ust chłopca, dotykiem cudzych rąk na swoim ciele.

Podczas jednej z sekretnych schadzki nakrywa ich Penelopa – przychodzi osobiście po Aleksandra, ponieważ spóźnił się pięć minut na umówione spotkanie, o którym zapomniał. Aleksander ponosi, oczywiście, karę za to, że zaniedbał służbę. Ale uświadomił sobie, że czegoś to go jednak nauczyło, dostał nową lekcję: wstydu.

W dwa tygodnie później chłopiec został przyłapany na kradzieży jednemu z uczonych klucza do g d z i e i n d z i e j. To zbrodnia nad zbrodniami, świętokradztwo, zdrada. Klucze to jedyna możliwość wyjścia na zewnątrz, tylko w ten sposób Fidelis jest w stanie sprowadzić zasoby o żywotnym znaczeniu, których po prostu nie można wytworzyć w mieście. Aleksander słucha, przejęty śmiertelną grozą, wyobrażając sobie – podobnie jak robią

to z pewnością inni uczeni – Fidelis pozbawione tego cennego połączenia o krytycznym znaczeniu.

Miasto w ruinie oznacza zwyczajnie brak miasta.

Chłopiec zapewnia o swej niewinności, ale zarzuty są oczywiste. Aleksander w milczeniu pochyla głowę, kiedy chłopiec opuszcza pod eskortą wieżę uczonych, wygnany na zawsze. Gdy następnym razem mijają się na ulicy – Aleksander w szacie uczonego, a chłopiec w farmerkach rolnika – przechodzą obok siebie bez przywitania, jakby się nie znali, ale starannie unikają patrzenia sobie w oczy.

Aleksander pograża się bez reszty w nauce. Już nic go nie rozprasza. I dobrze, mówi sobie, bo wiedzy do opanowania jest tak wiele.

Studiuje historię Fidelis i w końcu jest w stanie recytować ją z pamięci. Wkuwa martwe od dawna języki, odtwarzając je z fragmentów kruchych manuskryptów. W mrocznych salach lekcyjnych, wraz z tuzinem innych asystentów, gołymi rękami formuje z reweritu samonapędzające się koła zębate i bloczki dla inżynierów albo delikatne nitki do spleatania lin o nadnaturalnej sile do statków powietrznych. Poza tym jest jeszcze matematyka, chemia, astronomia. A na własną rękę, mając Penelopę za bezkompromisową tutorkę, uczy się języków i kultury g d z i e i n d z i e j, opierając się na fundamencie ich wspólnych wypraw. Niekiedy spędza z nią długie godziny na wykrywaniu innych marzycieli na mokrych ulicach g d z i e i n d z i e j, próbując dostrzec charakterystyczny złocisty blask talentu, opromieniający każdego uczonego Fidelis.

Na trzy dni przed dziewiętnastymi urodzinami Aleksander budzi się w swoim wąskim, przypominającym komórkę pokoju, jednym z wielu na środkowym poziomie wieży uczonych. Otacza go uspokajające echo domowych odgłosów: bulgotanie rur z gorącą wodą; donośne chrapanie nowicjusza z sąsiedniego pokoju; słodkie głosy górskich ptaków nawołujących się w porannej mgłę. Melodia, której słuchał przez całe życie, ale której nigdy nie ma dość.

Aleksander zawsze budzi się o świcie i czeka na notatkę wsuwaną pod drzwi. Tym razem, wypisana eleganckim pismem Penelopy, informuje: „Pakuj swoje rzeczy. Ruszamy za godzinę”.

Aleksander pospiesznie wkłada czystą koszulę i połatane na kolana spodnie. Mankiety spodni były odpuszczane już dwa razy, ale i tak

odstaniają kostki nóg, nadając Aleksandrowi szczególny, ale jakże adekwatny wygląd kogoś, kto wystrzelił w górę bardzo szybko i może wyrósnąć jeszcze bardziej. W odróżnieniu od pozostałych uczonych zapuścił włosy do ramion i związuje je z tyłu nicią introligatorską.

Przemierza oświetlone świecami korytarze, po czym wchodzi na górę imponującą klatką schodową, która zdaje się ciągnąć w nieskończoność w obu kierunkach. Wieża uczonych istniała zawsze, nawet w czasach sięgających poza ogromną pamięć archiwów, i rzucała długi cień na pozostałą część miasta. Ta wieża to filar wiedzy dla osób obdarzonych kombinacją mądrości, talentu oraz wytrwałości w nauce, bo tylko tacy mogą studiować w tych salach. Dla Aleksandra – szczególnie o tej złotej godzinie – już samo stanie tutaj to akt najwyższego szacunku.

Jego stopy wpasowują się bez trudu we wgłębienia w wydeptanych schodach, którymi stapały przed nim tysiące uczonych i wyszlifowały je tak, że są gładkie jak szkło. Pokoje Penelopy znajdują się na najwyższym poziomie w skrzydle mistrzowskim, to przywilej świadczący o jej pozycji. Chociaż powietrze jest chłodne, Aleksander dociera do jej gabinetu spocony.

Penelopa czeka na niego wewnątrz.

– Spodziewałam się ciebie prędzej.

Chłopak słyszy ostrą nutkę rozczarowania w jej głosie.

– Przepraszam, Moja Mistrzyni.

Przemyka mu przez myśl, żeby zapytać ją, dokąd się wybierają, ale natychmiast rezygnuje. Podąża za nią na drugi koniec gabinetu, do drzwi znajdujących się na samym końcu. Za nimi mógłby być pokój, ale Aleksander staje w otwartej arkadzie, w dole rozciąga się Fidelis. Nie po raz pierwszy dostąpił zaszczytu podziwiania tego widoku, ale i tak za każdym razem zapiera mu dech w piersiach. Świt muska stoki gór, rzuca złocistoróżową poświatę na ośnieżone dachy, niebezpieczne schody i mosty kołyszące się na wietrze. Z tego miejsca widać kuźnie, płonące jak gwiazdy na zachodzie, w których robotnicy obrabiają rewerit na swoich kowadłach. A na wschodzie, na szczytach gór, wyszczerbione ruiny, szczyzące ostre kły.

Fidelis: dom uczonych; mitów i cudów; wszystkiego, co Aleksander kocha. Kolebka dla innych światów. Większą część życia spędził tutaj i nigdy nie zrozumie, jak można choćby próbować porównywać to z cymkolwiek innym.

Penelopa wyciąga do niego rękę.

– Możemy?

Aleksander ujmuje ją, dokładając wszelkich starań, by patrzeć prosto przed siebie i za żadne skarby świata nie kierować spojrzenia w dół. Sta- ją na krawędzi arkady, palce stóp podkurczają za krawędź. Wiatr szarpie ubraniem Aleksandra, o mało nie pozbawia go równowagi. Ale Penelopa wygląda na spokojną, jak zawsze. Jej klucz został już wyciągnięty, po- wietrze migocze niezemskim światłem.

Odwagi, nakazuje sobie Aleksander.

Wychodzą w otwarte niebo.

* * *

W bibliotece znajduje się zamknięta szuflada, której Violet jeszcze nie odkryła. Późno w nocy, upewniwszy się, że siostrzenica przebywa gdzie indziej, Ambrose otwiera ją i wyjmuje podniszczony notatnik z zamasy- stym, pełnym zawijasów napisem na pierwszej stronie: „Marianna Ever- ly”. Wewnątrz ciągną się rzędy imion, w większości nagryzmołone przez Mariannę, jedynie kilka przez niego. Niektóre z nich są podkreślone lub opatrzone znakiem zapytania, ale znacznie więcej – aż nazbyt wiele – zostało skreślonych, nieodwołalnie. Wiele lat zabrało mu złamanie szyfru Marianny, a jeszcze dłużej rozpracowanie imion na jej liście. To praw- da, Ambrose nie może gonić za Marianną aż na krańce ziemi, nie może opuścić tego domu – jest przecież odpowiedzialny za Violet. Ale jeśli Ga- briel jest strzałą, to Ambrose stanowi cięciwę, kumulującą energię i ukie- runkującą wysiłki starszego brata.

– Ona nadal tam jest – poinformował go cicho Gabriel podczas ostat- nich odwiedzin.

Ambrose latami próbował wysłać do Marianny rozliczne wiadomości, w nadziei że do niej dotrą. Trzy lata temu jedna z nich rzeczywiście do- tarła. Odpowiedzią był list bez adresu nadawcy, nawet bez podpisu. Tyl- ko dwa słowa napisane charakterem pisma, które Ambrose rozpoznałby wszędzie: „Jestem blisko”.

Jeśli ktoś może złamać klątwę, to tylko ona.

Jeśli ktoś może unikać swego losu, szepcze zdradziecki głos, to ona.

GEORGIA SUMMERS

Ambrose przesuwa ręką po włosach. W jego piaskowej czuprynie przedwcześnie pojawiły się pasma siwizny. Kiedy spogląda w lustro, w pierwszej chwili widzi twarz ojca, dopiero potem uświadamia sobie, że to jego własne odbicie. Nie tylko w nim jednym zaszła zmiana. Violet również dorasta, lata szybko mijają, jak chwila. W każde urodziny siostrzenicy ożywa w nim strach o nią, a przed jego oczami pojawia się twarz Penelopy.

Dziesięć lat na odnalezienie Marianny Everly, potem pięć, potem dwa. Siostra pozostawia po całym świecie ulotne ślady swej obecności, ale ciągle nie chce się ujawnić.

A czas mija.

* * *

Raz w roku Penelopa schodzi do zaświatów, aby odwiedzić potwora.

Bez asystenta, którego musiałaby pilnować, tylko z odrobiną światła, żeby cokolwiek widzieć. Zaświaty pachną nienawiścią i udręką, jak cierpienie rozciągnięte na całe wieki.

Przez moment ona i potwór wpatrują się w półmroku w swoje twarze.
Oczekujemy na twoje pytanie, gwiazdna córko.

– Powiedz mi – odzywa się cicho Penelopa. – Co wiesz o kłótwach?

ROZDZIAŁ

Szósty



Violet Everly ma dwadzieścia jeden lat i marzy o innych światach. Głównie marzy o świecie, w którym zamawia się proste kawy – czarną, białą, latte, cappuccino – a nie „dwa strzały, wstrzymać dopływ wody, potem soja, ale tylko określony rodzaj soi, mała, ale w dużej filizance”, kiedy kolejka sięga już za drzwi. O świecie bez klientów narzekających, że panini jest za drogie albo że ciasteczka różane smakują raczej jak lawendowe, względnie, że cukier jest za słodki. O świecie, w którym – gdyby śmiała o tym marzyć – nie będzie musiała pracować w tej zapomnianej przez Boga kawiarni.

Matt, współpracownik Violet, przeciska się obok niej z dwiema kawami i chwiejącym się talerzem.

– Więcej życia, Biskopciku!

Tylko on jeden był ogromnie rozbawiony faktem, że jej imię odpowiada jednemu z popisowych kwiatowych biskopcików serwowanych w tej kawiarni. Wkrótce cały personel i nawet część stałych bywalców zaczęła ją nazywać Biskopcikiem, a Violet była zbyt zmęczona, by protestować.

– Bo jesteś taka słodziutka – wyjaśniał Matt. – Wolałabyś być nazywana Palonymi Ziarnami Kawy?

Możliwe! – mogła odpowiedzieć i szkoda, że tego nie zrobiła. Palone Ziarna Kawy sugerowałyby przynajmniej, że widziała w życiu coś więcej, nie tylko wewnątrz tej kawiarni.

Jako nastolatka chciała zostać historyczką, widziała się w jakiejś wielkiej bibliotece, wśród gór książek zapisanych ledwie czytelnym charakterem pisma. Potem, kiedy biblioteka przestała dorastać do jej ambicji, bawiła

się myślą o archeologii. Antropologia, literatura podróżnicza, dziennikarstwo, dyplomacja, tłumaczenia – nieważne, że nie dokonała jeszcze wyboru. Przez jedną szaloną, przejmującą chwilę wydawało się jej, że przyszłość należy do niej i wszystko jest możliwe.

Jak łatwo zostało to jej odebrane!

Byłoby inaczej, gdyby wiedziała, że coś jeszcze czeka ją w życiu. Że może pójść dalej i zostać kimś z tej listy. Ale wszystkie nadzieje runęły, gdy miała siedemnaście lat, w kilka miesięcy po tym, gdy widziała Gabriela w zakrwawionym garniturze. Wtedy dowiedziała się, jak ogromną krzywdę wyrządził jej Ambrose, kiedy postanowił zatrzymać ją w domu. To prawda, otrzymała wykształcenie. Ale bez uprawnień. Bez wyników egzaminów. Bez cienia szansy na stopień naukowy.

– Dlaczego? – błagała wuja o wyjaśnienia.

I Ambrose udzielił jej wyjaśnień – długich, wymijających i kompletnie nieprzekonujących. Ale gdyby nawet przyjęła jego słowa za dobrą monetę, to zło już się stało. Więc próbowała dać sobie spokój z marzeniami. I dała.

Ale nigdy nie zapomniała przejścia prowadzącego do miasta ani śniegu, ani pieśni górskich zboczy. Zachowała to jednak w tajemnicy nawet przed wujami, obawiając się rozwiązania zagadki. I łapie się na tym, że snuje się po tym ciemnym korytarzu z nieprzyjemnym poczuciem, że coś niezmiernie ważnego wymyka jej się z rąk.

Matt pstryka palcami tuż przy jej uchu, Violet podskakuje i wylewa sobie mleko na ręce.

– Jezu Chryste – syczy Violet.

– Już mi mówiono, że jesteście do siebie podobni. – Matt wskazuje głową jeden ze stolików. – Uważaj, Biskopciku. Twoja kolej.

Violet łapie menu i jest już w połowie drogi przez linoleum, gdy dostrzega mężczyznę zajmującego miejsce przy jej stoliku. Gość siedzi z pochyloną głową, skoncentrowany na własnych zaciśniętych rękach. Żłote popołudniowe słońce zdaje się całować jego skórę, oświetlając linię tatuażu ledwo widocznego nad obojczykami. Jego profil składa się z samych prostych linii, poczynając od grzbietu nosa aż po szczękę – ma strukturę kostną greckiego posągu. Ciemne, kręcone włosy mężczyzny są związane na karku. Po co facetowi taka uroda, to niesprawiedliwe, myśli Violet.

I nagle uświadamia sobie, że po całym dniu pracy ma przepoconą koszulę, śmierdzi stęchłą kawą i ma niezidentyfikowaną plamę – prawdopodobnie z dżemu – przy kołnierzyku.

Świat bywa czasami wyjątkowo okrutny.

Violet podchodzi niechętnie do stolika, modląc się o niewidzialność – i przynajmniej w tym jednym bogowie wyświadczają jej przysługę. Mężczyzna nie podnosi nawet wzroku, kiedy Violet kładzie przed nim menu i odwraca się, żeby odejść. Ale wbrew sobie zerka mu przez ramię, żeby zobaczyć, co tak przyciąga jego uwagę. Z zaskoczeniem stwierdza, że jego ręce nie są splecione ze sobą, ale trzymają jakiś metalowy przedmiot. A potem klient robi coś, co Violet zapamiętała tak dobrze, że ten obraz przelatuje jej przez głowę jak błyskawica.

Ścisła przedmiot i rozciąga.

Galaktyka nad jej kuchennym stołem. Chłopak z ciemnymi, kręconymi włosami, w wystrzępionym kołnierzyku.

Violet głośno wciąga powietrze – i w tym momencie napotyka zaciekawione spojrzenie jego oczu.

Szarych jak morskie szkło.

– To ty – mówi Violet.

Robi krok do tyłu i wpada na współpracownicę niosącą stertę talerzy. Kiedy wstaje z podłogi, mężczyzna jest już w połowie drogi do wyjścia. Rzuca się za nim, nie bacząc na pozostałych, gapiących się na nią klientów.

Tyle już było tych „o mały włos” i „prawie”. Nie dopuści, by kolejna sposobność wymknęła jej się z rąk. To był on. To był na pewno on.

– Biskopcziku! – woła za nią Matt.

– Wracam za chwilę! – krzyczy w odpowiedzi.

Violet spogląda w obie strony ulicy i dostrzega cień postaci znikającej w zaułku przy kawiarence. Podąża za nim z mocno bijącym sercem, wiatr szarpie jej fartuszek.

Zaułek jest pusty. Mężczyzna zniknął.

Serce jej się ścisza, gdy uświadamia sobie, że kolejny raz wymknęło jej się coś niezwykłego. Była tak blisko i znowu nic.

Jej ręce bezradnie miętoszą fartuszek. Zawsze już tak będzie. Kawiarnia, klienci, pusty dom Everlych i te przelotne migawki z życia, jakie mogłyby mieć. Ale nic więcej. I zawsze pozostanie ten niedosyt.

Nagle kątem oka dostrzega jakiś ruch – i to, co w pierwszej chwili wzięła za cień, nabiera kształtu mężczyzny siedzącego na niskim murku. Jej serce znowu zaczyna bić, a w żyłach zaczyna krążyć radość.

Zbliża się do niego, oczekując, że mężczyzna zerwie się i ucieknie. Ale on nie umyka i tym razem spogląda na nią z nieskrywaną ciekawością, która sprawia, że jej kark zdaje się płonać.

– Mogę? – pyta Violet, na co on skłania głową.

Przysiada obok niego na murku, częściowo, żeby lepiej widzieć obiekt, który on trzyma w rękach, a częściowo w nadziei, że jego ciało osłoni ją od brutalnie zimnego wiatru. Pomiedzy palcami mężczyzny błyska coś srebrnego.

– To ty, prawda? Jesteś Aleksander? – Mężczyzna wzdyga się na dźwięk swojego imienia, a ona podejmuje: – Spotkalimy się już kiedyś, dawno temu. Pewnie tego nie pamiętasz.

Dlaczego miałby pamiętać? Musiał w życiu widzieć tysiące bardziej interesujących rzeczy niż rozżłoszczona dwunastolatka i jej wuj. Podmuchi przenikliwie zimnego wiatru sprawia, że Violet obejmuje się ramionami.

– Ty drżysz – mówi mężczyzna.

I rycersko proponuje jej swoją kurtkę, którą ona przyjmuje. Kurtka mocno pachnie mydłem, ale niespodziewanie Violet wyczuwa również słaby, słodkawy zapach węgla drzewnego.

– Pamiętam cię, Violet Everly. – Uśmiech unosi kąciki jego ust. – Jak mógłbym zapomnieć? I proszę. Oto jesteś, akurat ze wszystkich kawiarenek na świecie w tej właśnie.

Jakby sam los wyciągał do niej rękę. A tak mało brakowało, by jej nie złapała. Przejmuje ją dreszcz.

– Nie zamierzałem się tak ulotnić – dodaje Aleksander. – Po prostu mnie zaskoczyłaś, to wszystko. Niełatwo byłoby wyjaśnić tego ptaka.

Violet przekrzywia głowę na bok, a wtedy on ostrożnie rozchyła złożone ręce. Na jego dłoni spoczywa stylizowany ptak z na wpół rozłożonymi skrzydłami, jakby starał się uciec ze swej metalowej formy. Aleksander podaje jej ptaka, a ona unosi go do światła. Piórka ptaka lśnią matowo, jakby były ukształtowane przez światło księżyca, a nie przez smukłe palce Aleksandra.

– Jaki piękny – mówi Violet. – Ty go zrobisz? Dzięki magii?

Aleksander zaczyna kaszleć. Żeby zamaskować śmiech, jak podejrzewa Violet.

– To rewerit. Gwiazdny metal. Albo boski metal, jeśli wolisz podejście teologiczne. Nie magia.

– Wygląda jak żywy – stwierdza Violet, oddając mu ptaka.

Ale Aleksander potrząsa głową.

– Zatrzymaj go. To nic takiego – mruczy, choć jest wyraźnie zadowolony. – Powinnaś zobaczyć dzieła mistrzów kowalstwa z Fidelis.

– Fidelis?

Violet jest przekonana, że już kiedyś słyszała tę nazwę. Pobrzmiewa ona w jej najdalszych wspomnieniach, ale nie potrafi ich umiejscowić. Już otwiera usta, żeby zadać pytanie, ale uderza w nich kolejny poryw wiatru i Aleksander zaciera ręce. Możliwie, że już zaczyna żałować swojego rycerskiego gestu, myśli Violet.

– Biskopcziku! – woła ktoś i Violet się wzdyga.

Aleksander unosi brwi.

– Biskopcziku?

– Moi, hm, współpracownicy, mają taki... no, właściwie to nie jest żart, tylko... – Violet stara wziąć się w garść. – Chcesz wrócić do środka?

Aleksander rozpromienia się, a jej robi się ciepło na sercu.

– Prowadź.

Gdy Violet wraca do kawiarni, a Aleksander wchodzi tuż za nią, Matt rzuca jej wymowne, zaintrygowane spojrzenie, które ona ignoruje. Sadza Aleksandra przy swoim ulubionym stoliku pod oknem i niechętnie oddaje mu jego kurtkę.

– Kończę za pół godziny – wyjaśnia. – Możesz zaczekać?

– Mogę zaczekać – odpowiada on z uśmiechem.

Następne trzydzieści minut wlecze się w żółtym tempie, w każdej z tych minut Violet jest rozdarta między pragnieniem sprawdzenia, czy Aleksander nadal jest na swoim miejscu, i obawą, że jeśli popatrzy w tamtą stronę, to on będzie się na nią gapił. Stara się znaleźć sobie jakieś zajęcie, wyciera ładę i wylewa fusy z kawy. Jak tylko Matt przekręca tabliczkę w drzwiach na „Zamknięte” i zamyka lokal na klucz, Violet stawia na stoliku Aleksandra dwie kawy i dwa kawałki ciasta, po czym przysuwa krzesło do niego.

– Powiedz mi – odzywa się w desperackim pragnieniu, by go zatrzymać, przeciągać tę chwilę tak długo, jak to tylko możliwe. – Co porabiasz, kiedy nie przesiadujesz w kawiarenkach?

Aleksander opowiada jej o swoich podróżach. Wymienia nazwy miast i państw, jakby bez najmniejszego trudu przenosił się z jednego do drugiego, a każda historia jest pełna cudów, o których ona dotychczas tylko czytała. Ale jeśli czuje ukłucie zazdrości, to tylko z powodu tego, ile on już w życiu zobaczył i jak mało ona może mu zaoferować w zamian.

– No i... trenuje, by zostać uczonym – wyznaje Aleksander, jakby to był sekret, którego nie powinien jej zdradzać.

Violet już ma na ustach pytanie, co to oznacza, ale on pośpiesznie zadaje swoje, które dociera do jej podświadomości. Na jego nalegania opowiada mu o sobie, o ekscentrycznych i niekiedy irytujących klientach kawiarni. Mówi mu nawet o kłątwie Everlych, bo chciałaby zrewanżować mu się czymś równie fantastycznym jak jego historie – choć oboje mają na twarzy kpiące uśmiešky przy co bardziej bajkowych szczegółach. Oboje starannie wystrzegają się ponownego użycia słowa „magia”, przestrzega Violet, choć nie sposób nie zauważyć, że wisi ono w powietrzu przy każdym zadawanym przez nią pytaniu. I przy wszystkich, których nie zadała.

– A twoja matka? – pyta Aleksander. – Ciągłe szuka przygód?

Powietrze ucieka jej z płuc.

– To skomplikowane.

– Jak skomplikowane?

Ręka Violet odruchowo dotyka bransoletek – to jedne z niewielu należących do Marianny przedmiotów, które wzięła sobie po jej odejściu. Od czego miałyby zacząć wyjaśnienia? Odnosiła wrażenie, że Mariana stanowiła główny temat ściszonych rozmów wujów, ale ona nadal nie miała pojęcia, dokąd jej matka się udała ani dlaczego, a nawet – czy jeszcze żyje...

– Po prostu... skomplikowane – odpowiada z wymuszonym uśmiechem.

Po raz pierwszy dostrzega w twarzy Aleksandra coś jakby niepewność. Ale znika ona w ciągu sekundy i Violet nie ma nawet pewności, czy nie była to tylko gra świateł.

Aleksander dopija kawę i odstawia pustą filiżankę.

– Pójdę już. Fajnie było spotkać się z tobą jak należy, Violet Everly.

A ją ogarnia nagle panika, że jeśli pomacha mu ręką na pożegnanie, to już nigdy więcej go nie zobaczy. I pięknie bańka mydlana, a ona zostanie z pustymi rękami, jedynie z dręczącym echem dzisiejszej rozmowy. Ma świadomość, że o wiele więcej – o wiele, wiele więcej – mogłaby go jeszcze zapytać.

– Musisz przyjść tutaj znowu – rzuca. – Do kawiarni.

Boże broń, żeby Aleksander pojawił się w domu Everlych. Skoro Ambrose i Gabriel mają prawo do własnych tajemnic, to ona zasłużyła przynajmniej na tę jedną.

Aleksander uśmiecha się do niej, w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki.

– Chętnie.

– Proszę. – Violet podaje mu małą karteczkę z ilustracją dziesięciu filiżanek kawy, na dwóch pierwszych są już stemple zrobione niebieskim atramentem. – Jeśli będziesz przychodził, dostaniesz kawę za darmo.

Aleksander patrzy na ilustrację z uśmiechem.

– W takim razie muszę tu wrócić, Violet.

* * *

Tego wieczoru Violet zmusza swój zardzewiały rower do jazdy po znajomych wiejskich alejkach, którymi zmierza do domu. Skręca na podjazd i, jak zawsze, serce jej się ściska na widok domu z jego gotyckimi wieżyczkami i wybujałymi krzakami róż oplatających bramę. Nie po raz pierwszy pożałowała, że to jej nie wystarcza.

Ambrose jest, jak zwykle, przy kuchennym stole, stara się odcyfrować plik odręcznie pisanych dokumentów i równocześnie załatać swój stary dres.

Kiedy wchodzi Violet, wuj próbuje schować papiery pod dresem, usuwając je sprzed jej oczu. Violet czuje ukłucie irytacji.

– Miałaś dobry dzień? – pyta Ambrose. – Zdarzyło się coś ekscytującego?

Violet wzrusza ramionami, z lekkim poczuciem winy z powodu kłamstwa.

– Nieszczerólnie.

Zostawia wuja w kuchni i idzie do biblioteki. To nadal jej ulubione miejsce w domu, bezcenna skarbnica książek i ciekawostek zbieranych przez pokolenia Everlych. Na jednej ze ścian wisi złowieszczy, zardzewiały miecz, otoczony tuzinem rodzinnych fotografii i niewiele warty mi dziełami jakiegoś zapomnianego, wiktoriańskiego artysty. Kiedyś wyobrażała sobie godzinami rycerza, który nosił ten miecz, i miejsca, które musiał widzieć.

Teraz Violet wyciąga jeden atlas po drugim i przerzuca stronicę, nad którymi ślęczała w dzieciństwie. Coś, co powiedział Aleksander, ciągle kołocze w zakamarkach jej pamięci, przykryte kurzem, szeleszczące starym papierem. Nic jej się nie nasuwa – a jednak wie z całą pewnością, że już tę nazwę słyszała. Fidelis. Kiedy szepcze to słowo, czuje w ustach smak waty cukrowej, roztapiającego się śniegu i światła gwiazd.

W końcu podchodzi do swej ulubionej książki z bajkami, oprawnej w zielony jedwab, z wyfłaczanymi zdobieniami w kolorze starego złota. To był ostatni prezent, jaki dostała od matki, najcenniejszy, bo z dedykacją napisaną jej ręką.

„Dla Violet – może pewnego dnia rozśpiewają się dla ciebie gwiazdy”.

Połowa złoceń już się starła, a brzegi kartek zmiękły ze starości, ale Violet kocha tę książkę jeszcze bardziej za jej zniszczoną urodę. Każda opowieść toczy się w innym wymyślanym mieście, do każdej są dołączone ręcznie malowane mapy i cudowne, precyzyjne detale. Podejrzanie precyzyjne, dochodzi do wniosku Violet, przeglądając je teraz ponownie.

Przerzuca wszystkie, dopóki nie natrafia na tę, której szukała. To bardziej ilustracja niż mapa, pokazująca miasto, które przycupnęło wysoko na zboczu góry. Violet zawsze kochała ten obrazek z powodu ulic, które zdawały się skręcać wokół siebie i nosiły cudaczne nazwy w rodzaju *Brama – Łuk Tullis* albo *Podniebna Droga Etallantii*. Przesuwa dłonią po górnej części stronicy, gdzie nazwa miasta została wypisana odręcznie delikatną szeryfką.

Fidelis.

ROZDZIAŁ

Siódmy



W zaułku obok kawiarni Aleksander sprawdza, czy nikt go nie obserwuje, a potem wyciąga spod koszuli klucz z reweritu. Wysuwając go przed siebie i wyczuwa w powietrzu lekki opór, znakomujący barierę pomiędzy dwoma światami. Łatwiej idzie otwieranie drzwi z dziurką od klucza, ale Aleksander jest już dobrze wyszkolony i cienka membrana rozsuwa się przed nim z łatwością. Błysk niebieskiego światła, wir metalicznego dźwięku i chłopak już stoi w apartamencie Penelopy, pół kroku od otwartej arkady i pejzażu Fidelis. Na zewnątrz padają duże, ciężkie płatki śniegu, wyraźnie widoczne na tle miodowych światel rozciągającego się w dole miasta.

Z haczyka w pobliżu arkady Aleksander zdejmuje swoją szatę asystenta i narzuca ją na ubranie z *gdzie indziej*. Wolałby kompletny strój uczonego – gęsty srebrny haft na granatowym jedwabiu, obramowanym grubym futrem wybranym przez niego, narzucony na szatę, jaką tylko zechce – ale tylko dzięki swojej pozycji nie jest zmuszony do noszenia prostszego stroju nowicjusza, na który zresztą już i tak jest prawie za stary.

Gdy dociera do drzwi, słyszy jedno ze zgromadzeń Penelopy w pełnym rozkwicie. Serce mu się ściska; miał nadzieję zastać Penelopę samą. Ogarnia go lęk, ale otwiera drzwi. Rozmowy cichną, kiedy wchodzi do środka, pięcioro uczonych odwraca się i spogląda na niego w oskarżycielskim milczeniu.

– Aleksandrze – mówi pogodnie Penelopa. – Rozmawiamy właśnie o zaopatrzeniu na zimę. Dołącz do nas, proszę.

Kolejnym zadaniem pozostającym w gestii uczonych jest dostarczenie odpowiednich surowców oraz znalezienie połączeń handlowych pomiędzy oboma światami, aby uzupełnić ograniczenia tego konkretnego.

Aleksander nerwowo przełyka ślinę i zajmuje wolne miejsce pod oknem, by obserwować grupę, która zaszczyciła gabinet Penelopy tego wieczora. Obecna jest Adelia, surowa głowa rodu Verne; Katherine Hadley i jej wielki jak szafa ochroniarz Magnus; są bliźnięta Matsuda w identycznych kwiatowych strojach. Jest tu nawet Roy Quintrell, zabawny w swojej dziwacznej aksamitnej marynarce, która wedle wszelkich zasad powinna już dawno zostać przerobiona na mniej agresywną powłóczkę na poduszkę. Aleksander czuje na sobie spojrzenia obecnych, przygląda potargane włosy i kuli się ze skrępowania. Na twarzach gości pojawia się wyraz potępienia, choć żadne z nich nie ma dość autorytetu, by otwarcie skrytykować zaproszenie Penelopy.

Ale dość głupoty – zdecydowanie.

– Ale to jest raczej istotne – mówi Roy, poirytowany. – Z pewnością twój asystent mógłby być bardziej użyteczny? Gdybym ja miał asystenta...

Penelopa nie przestaje się uśmiechać, lecz w jej oczach pojawia się niebezpieczny błysk.

– A co miałabym, twoim zdaniem, z nim zrobić?

Przez twarz Roya przebiega wyraz paniki, zaczyna się wycofywać.

– Nie śmiałybym przypuszczać... nie, oczywiście, że nie...

– To siedź cicho i rób notatki – rzuca Adelia.

Rozmowa schodzi na niskie plony – nieco gorsze niż przed rokiem, pomimo innowacji wdrożonych przez pracowników szklarni – i rodzaje żywności, które trzeba będzie sprowadzić w środku zimy z g d z i e i n d z i e j przez linie zaopatrzenia. Podobnie rzecz się ma z wiekowymi rurami do wody, które jeszcze w tym roku muszą zostać wymienione, oraz odpowiedniej jakości miedzią. Następnie omawiane są przyjęcia nowych uczniów; kto z nowej generacji rodzin wydaje się najlepszym adeptem. No i pogłoski o uczonych, którzy sprzedają kradzione artefakty g d z i e i n d z i e j temu, kto da więcej.

Penelopa uważnie wysłuchuje ich wszystkich, zanim wyda rozkazy. Ale Aleksander mimowolnie odnotowuje pełne dezaprobaty spojrzenia

uczonych rzucając od czasu do czasu na niego. Jakby nie można było mieć do niego zaufania w kwestii szczegółów zaopatrzenia Fidelis. Choć ci uczeni nie mieszkają już w Fidelis i rzadko wracają tutaj ze swego komfortowego życia gdzie indziej.

A Penelopa powinna stać po ich stronie. Powinna wybrać dziedzica jednej z rodzin – w tym wypadku nieznośnego wnuka Adelii, Caspiana – któremu powierzy chwałę, bogactwo i, co najważniejsze, tajemnicę długowieczności, błogosławieństwo, którym są obdarzone pewne linie uczonych. Niewątpliwie wszyscy obecni wyobrażają sobie siebie na miejscu Penelopy – gdyby coś takiego w ogóle było możliwe.

Każdy inny mógłby zostać przyjęty przez to grono z otwartymi ramionami, tylko nie Aleksander. Pozostali asystenci nie zostali osobiście wybrani przez Penelopę. „Pozostali asystenci nie są ludźmi z zewnątrz, wybranymi przez jedną z najpotężniejszych osób obu światów. Pozostali asystenci nie spieszyli planów Adelii Verne.”

Już dobrze po zachodzie słońca uczeni żegnają się z Penelopą i wychodzą przez arkadę. Aleksander pozwala sobie na uniesienie z satysfakcją brwi w stronę Roya, który rzuca mu na odchodnym mroczne spojrzenie.

Potem zostaje już tylko Aleksander. Nie zamarudził dłużej, żeby niepewnie prosić Penelopę o jakąś łaskę albo błagać o radę czy też po prostu pławić się jeszcze przez chwilę w jej chwale. Zostaje, ponieważ tu jest jego miejsce. Czego żaden z poprzednich gości nie mógłby o sobie powiedzieć, niezależnie od tego, jak bardzo pozostali uczeni go nie lubili.

Penelopa wskazuje ręką kredens i Aleksander pospiesznie wyjmuje butelkę wina i dwa kieliszki. Najpierw napełnia kieliszek dla niej i stawia go obok niej na stole. Czeką, aż Penelopa weźmie pierwszy łyk, i dopiero wtedy nalewa wina sobie.

Penelopa odchyła się na krześle.

– Co u niej, Aleksandrze?

Nie musiała wypowiedzieć imienia, żeby wiedział, o kogo pyta: o Violet Everly. Ze wszystkimi szczegółami relacjonuje Penelopie spotkanie. Mówi, jak specjalnie wszedł do kawiarni, udając, że trafił tam przez czysty przypadek.

– Wydaje się... całkiem normalna – konkluduje Aleksander.

Użycie reweritu w miejscu publicznym, w obecności tyłu obserwatorów, było dość ryzykowne. Ale musiał się postarać, żeby Violet go rozpoznała. Choć – prawdę mówiąc – nie był przygotowany na jej reakcję ani na to, w jaki sposób wymówiła jego imię. Jakby czekała tu na jego przyjście.

To ty, powiedziała.

Sądził, że znajomość z dziewczyną w domu Everlych będzie działała na jego korzyść. Ale zanim jeszcze poczuł na sobie jej wzrok, zanim nawet podała mu menu, wiedział, że to ona. Ta sama płomienna ciekawość, ten sam podziw, kiedy pokazał jej ptaka z reweritu.

– Nie jestem pewien, czy ona cokolwiek wie o uczonych, czy nawet o Fidelis – kontynuuje Aleksander ostrożnie. – Nie powiedziała mi nic o Mariannie.

– Cóż, można się było tego spodziewać. To dopiero twój pierwszy raz. Będzie jeszcze mnóstwo sposobności, by zbudować zaufanie.

– A Fidelis?

Penelopa wzrusza ramionami.

– Mów jej, co zechcesz. Powiedziałaś, że podobała jej się idea magii? Wykorzystaj to. Zrób wszystko, żeby nakłonić ją do mówienia o Mariannie.

Aleksander, z duszą na ramieniu, odstawia kieliszek na stół.

– Moja Mistrzyni, zrobiłem wszystko, o co prosiłaś. Nie jestem... jestem bardzo wdzięczny, zawsze, ale... – Kładzie rękę na ramieniu, w miejscu, na którym powinien znajdować się tatuaż uczonego.

I będzie tam, któregoś dnia. Niezależnie od tego, co mogą sobie myśleć inni uczeni.

– Chcesz wiedzieć, jaki jest cel tego wszystkiego. – Penelopa postukuje w podłokietnik fotela. – Aleksandrze, oni może i są najlepszymi uczonymi w swoich rodzinach, ale są również ludźmi. Obawiają się tego, czego boimy się my wszyscy; zmian, starości, utraty znaczenia. Tego, że ich nazwisko, nazwisko ich rodu pójdzie w zapomnienie, a ich bogactwo i talent wyparują. Ty przypominasz im, że choćby najbardziej tego nie chcieli, świat idzie naprzód, a oni mogą zostać w tyle.

Aleksander jest przekonany, że żadna z tych obaw nie jest równie dotkliwa jak perspektywa niezdobycia tatuażu uczonego, ale nie odzywa się.

– Twojej wartości nie znają. Nie pochodzisz ze znanej rodziny, z żadnej rodziny, jeśli chodzi o ścisłość. Kolejne porzucone dziecko, skazane

na żalosną egzystencję. Nic nie wskazuje na to, że mógłbyś okazać się kimś wielkim, z wyjątkiem talentu. Dlatego wybrałam ciebie, choć mogłam mieć tylu asystentów, ilu tylko chciałam, przeciętnych, lecz do przyjęcia – kontynuuje Penelopa, a Aleksander odczuwa lekką satysfakcję, że Caspian został określony jako przeciętny. – Przekonają się do ciebie, potrzebują tylko czasu. Potrzebują tylko lekkiej perswazji.

– Perswazji – powtarza Aleksander jak echo.

Perswazja oznacza rzucane jakby od niechcenia pogrożki. Albo ofertę czegoś niezmiernie wartościowego, co można kupić za pieniądze. Ale Aleksander nie stanowi zagrożenia dla żadnego z nich, nie ma również nic wartościowego do zaoferowania, bo gdyby miał, to nie znajdowałby się w obecnej sytuacji.

– Nie myśl o tym na razie. Czy Violet wspominała o czymś jeszcze? – dopytuje Penelopa.

– Rozmawialiśmy, zadawałem tyle pytań, ile tylko mogłem. Ale... – Aleksander marszczy czoło. – Nie rozumiem, Moja Mistrzyni. Jeśli Everly to rodzina uczonych...

Penelopa wpada mu w słowo.

– Everly nie są uczonymi i nigdy nimi nie będą. Zaprzyjajnij się z Violet Everly za wszelką cenę i dowiedz się, ile tylko zdołasz, ale pamiętaj, że nie ma dla niej miejsca w naszym świecie. Czy wyraziłam się jasno, Aleksandrze?

– Tak, Moja Mistrzyni – zapewnia chłopak.

Późnym wieczorem, leżąc już na swoim niewygodnym materacu, wraca pamięcią do Violet Everly. Ciągle ma w uszach dźwięk swojego imienia w jej ustach. Aleksander. Jasne i swobodne, jak czyste, wiosenne niebo, bez żadnych odniesień do tego, kim mógł być: asystentem, którego nikt nie chce, stanowiącym zagrożenie i rozczarowanie jednocześnie.

W innym życiu mogliby zostać przyjaciółmi. W tym Violet Everly stanowi jedynie środek prowadzący do celu. Nic więcej.

Aleksander obiecuje sobie, że będzie o tym pamiętać, kiedy spotkają się ponownie.

ROZDZIAŁ

Ósmy



W ten zimny, posepny dzień Penelopa wychodzi z bramy kompleksu ponurych apartamentowców w Moskwie. Zręcznie unika wdepnięcia w lodowatą breję zebraną w rynsztoku i w śmieci szleszczące na ulicy jak liście. Pomimo temperatury bliskiej zera i przejmującego wiatru Penelopa ma na sobie tylko rozpięty pod szyją, lekki płaszcz w kolorze gołębiej szarości. Samochody przemykające obok niej zamazują się w jeden nieprzerwany ciąg, a przechodnie spieszenie idą we wszystkich kierunkach; w taką pogodę nikt nie ma ochoty podziwiać widoków.

Zima kładzie swoje lodowate palce na wszystkim: na niebie, budynkach, ludziach. Niszczące fasady i wypłowiałe pastelowe budynki przywołują ducha dawno minionej świetności, epoki płaszczy obramowanych futrem i konnych powozów zdobionych klejnotami tak bogato, że przypominają gigantyczne jajka Fabergé. Tę wizję rozwiewa nagle samochód, który przelatuje obok Penelopy jak burza.

Zrujnowany budynek, który kobieta ma przed sobą, stanowi aż nadto wymowny obraz tego, jak mógł niegdyś wyglądać. Spękane gipsowe kwiaty i misternie kuta żelazna brama sugerują, że dom mógł wcześniej należeć do bogatego kupca albo jakiegoś drobniejszego arystokraty, stanowiąc miejską siedzibę, dodatek do rozległej daczy na prowincji. Teraz oryginalna przestrzeń została podzielona na szereg mieszkań.

Penelopa nie zadaje sobie trudu naciśnięcia dzwonka, po prostu wchodzi do budynku i ciasną klatką schodową wspina się na najwyższe piętro, a potem wąskim korytarzem zmierza do ostatniego mieszkania.

Dwukrotnie puka do drzwi. Po wewnętrznej stronie okna w korytarzu widać obwódkę mrozu, oddech Penelopy unosi się w powietrzu jak obłok.

Po chwili drzwi się otwierają i staje w nich mężczyzna, wynędzniały i zmordowany. Na widok Penelopy wyraz jego twarzy się zmienia. Odmalowuje się na niej panika.

– Penelopa? Ja...

– Zdrawstwuj, Jurij – mówi ona płynnie po rosyjsku. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Nie spodziewałem się... – Mężczyzna bierze się w garść. – Wejdz, proszę.

Całe mieszkanie – zaledwie jeden pokój – zmieściłoby się we frontowym holu siedziby Everlych. Przenośne grzejniki są nastawione na cały regulator, kropelki wilgoci spływają po szybach okiennych. Każdy cal pomieszczenia zajmują klucze: wiszą na ścianach, grubą warstwą pokrywają podłogę, wysypują się z ogromnych pudeł ustawionych jedno na drugim. Znajdują się tam również schematy i ilustracje zwinięte w rulony i oparte o ścianę w rogu albo rozłożone na meblach. Pomimo gorąca Jurij ma na sobie kilka ciepłych dresów i grube palto. Jego wargi są spierzchnięte i sine, choć stara się trzymać jak najbliżej grzejników. Kiedy zajmuje się czajnikiem, widać, jak trzęsą mu się ręce. Penelopa odnotowuje z zaciekawieniem, że jego skóra, wystająca z rękawiczek bez palców, jest czarna i pomarszczona.

– Gdzie twój wierny asystent? – pyta Jurij.

– Aleksander? Przydzieliłam mu inne zadanie – odpowiada Penelopa. – Ale przesyła wyrazy uszanowania.

Podczas ostatniego spotkania Aleksander pobladł na widok stanu mieszkania i kondycji samego Jurija, przy czym jedno i drugie pogorszyło się od czasu ich poprzedniej wizyty. Penelopa zapytała go o wrażenia, ciekawa jego reakcji, ale Aleksander powiedział tylko: „Wygląda na to, że to musi boleć”. Penelopa zdołała wytresować go na kompetentnego asystenta, ale ciągle jeszcze bardzo przejmował się bólem innych. Powinna wypełnić z niego tę słabość.

– Zrobiłem, co powiedziałaś – mówi Jurij, nalewając gorącą herbatę do wyszczerbionych kubków. – Wydałem każdego rubla, jakiego tylko miałem, na te przeklęte klucze. A potem jeszcze trochę.

Czeka na odpowiedź, ale Penelopa się z nią nie kwapi. Jurij chrząka i podaje jej kubek. Pijąc, przygląda mu się uważnie. Jurij nie skończył jeszcze trzydziestu lat, ale już ma przedwcześnie pomarszczoną twarz i artretyzm. Oraz nienaturalnie wyblakłe oczy, przypominające wypolerowany onyks i zmieniające kolor w zależności od światła.

– Nie spodziewałem się, że będziesz tak wcześnie – mówi Jurij.

– Ani ja – odpowiada Penelopa zgodnie z prawdą. – Ale musiałam przyspieszyć plany.

Przygląda się kluczom, biorąc do ręki jeden po drugim. Większość z nich to antyki: czysta miedź, stal, fałszywe stopy pełne zanieczyszczeń. Ale są również klucze inkrustowane złotem i drogimi kamieniami, rzeźbione w masywnym mahoniu albo z dmuchanego szkła, przez które prześwieca światło. Żaden z nich nie jest jednak wykonany z reweritu, a co za tym idzie – wszystkie są bezużyteczne.

Jurij z niepokojem obserwuje przeglądającą klucze Penelopę. W rozrządzeniu przyciska dłoń do rozpalonego czajnika i w zagraconym mieszkaniu roznosi się swąd palonego ciała.

– Zostało jeszcze tyle do zrobienia... nie przejrzałem nawet wszystkiego... i czy przyniosłaś... – Przypadkowo trąca swój kubek, który spada na ziemię, wylewając herbatę na dywan. – O cholera. Cholera.

Penelopa ignoruje go. Jej poszukiwania stają się coraz bardziej gorączkowe, mniej metodyczne, potem przenosi uwagę na ilustracje. Papier się rozrywa, a atrament rozmazuje pod dotykiem jej ciepłych palców. Penelopa rzuca wszystkie niepotrzebne rysunki na podłogę, gdzie szybko nasiąkają wodą i stają się nieczytelne.

W końcu podnosi wzrok.

– Gdzie efekty pozostałych poszukiwań, o które prosiłam?

– Przepadły. Następnego dnia wybuchł pożar. Cały magazyn spłonął. Podobno żar był taki... – Jurij oblizuje wargi, jego wzrok staje się daleki – ...że stopił się ołowiany dach.

Wrzuci człowieka w ogień, to przez resztę życia będzie mu ciepło. Ale Penelopa wie, że Jurijowi od trzech lat nie było ciepło. Na jego poparzonych rękach jest mnóstwo pęcherzy, ramiona są pokryte bliznami; a on i tak trzęsie się z zimna w przegrzanym pokoju. Z zegarka, luźno okalającego jego nadgarstek, dobiega cyfrowy alarm, który Jurij szybko wyłącza.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Trzęsącą się ręką wyjmuje z kieszeni nieprzezroczysty pakiecik i z odgłosem przypominającym kruszoną skałę wysypuje jego zawartość do ust.

Nie na takie efekty liczyła Penelopa, kiedy rozpoczynali ten szczególny eksperyment, ale Jurij poradził sobie jak dotąd lepiej niż inni uczeni. Po pierwsze, pozostał przy życiu.

– A więc Marianna Everly znowu mnie pokonała – mruczy Penelopa. Jurij zerka na nią desperacko.

– Przyniostaś to? Proszę, powiedz, że to przyniostaś.

– Nie mogę przynieść czegoś, czego jeszcze nie mam – odpowiada Penelopa.

– Obiecałaś. Powiedziałaś, że masz lekarstwo, powiedziałaś, że jeśli je wypiję, jeśli eksperyment się powiedzie...

– Czy ja kiedykolwiek nie dotrzymałam słowa? – rzuca ostro Penelopa. I dodaje, nie doczekawszy się odpowiedzi: – Dopilnuję, żebyś dostał lekarstwo na... skutki uboczne. Ale nie dopełniłeś jeszcze swoich warunków umowy. Nie obchodzi mnie, jak się z tym uporasz. Jeśli będziesz musiał wyrwać ten klucz z zimnych, martwych rąk tej Everly, niech i tak będzie.

Jurij macha do niej swoimi odmrożonymi dłońmi na znak zgody.

– Dobrze, dobrze. Ale na litość boską, przynieś lekarstwo, zanim mi chuj odpadnie. Straciłem już trzy palce u nogi, a moje ręce... – Przełyka ślinę. – Nie mogę tak żyć, Penelopo. Nikt nie mógłby tak żyć.

– Więc znajdź mi ten klucz – odpowiada ona. – To pożyjesz trochę dłużej.

ROZDZIAŁ

Dziewiąty



Violet nie wierzy własnym oczom, kiedy Aleksander pojawia się w następnym tygodniu na pół godziny przed zamknięciem kawiarni. I w tydzień później. Czwartego tygodnia Matt trąca ją łokciem w zębra, kiedy Aleksander znowu wchodzi do kawiarni z książką pod pachą.

Tyle tygodni zajęło jej sformułowanie pytania, które desperacko pragnęła zadać. Nie z obawy, że zostanie wyśmiana czy zbyta, ale ze względu na ostateczność samego pytania. Magia metalu – działanie reweritu, musiała sobie przypomnieć właściwe sformułowanie – jest niezaprzeczalnie prawdziwa. Ale Violet podejrzewała, że kryje się za tym inna, większa prawda. Może zawsze o tym wiedziała, a teraz już nic nie stało na przeszkodzie, by zyskała pewność. Poza tym jednym pytaniem.

Tego popołudnia Violet czeka, chodząc w jedną i drugą stronę za ladą, z niepokojem obracając wokół nadgarstka bransoletki swojej matki. Aleksander pojawia się później niż zwykle, a kiedy wreszcie przychodzi, Violet z największym wysiłkiem powstrzymuje westchnienie ulgi. Tym razem Aleksander ma rozpuszczone włosy, wiją się na jego ramionach, łagodząc ostre rysy jego twarzy.

Violet patrzy pytająco na świeżą opaleniznę na jego policzkach, a ten uśmiecha się przepraszająco.

– Wybacz, że przyszedłem później. Wybrałem się dziś rano w pewnych sprawach do Bogoty.

Mówi to tak od niechcenia. Jakby wszyscy odbywali podróże na drugi koniec świata „w pewnych sprawach”.

– Jak zdołałeś tak szybko wrócić? – pyta Violet.

Aleksander poklepuje się po piersi, w pierwszej chwili Violet wydaje się, że to oznacza tajemnicę, ale on wyjmuje spod koszuli długi srebrny łańcuszek. Na jego końcu wisi klucz z tego samego błyszczącego metalu co ptak. Z reweritu.

– To jest droga do domu – mówi Aleksander cicho, nie spuszczając oka z Matta zajętego czymś przy kasie. – Kiedy się jest uczniem, dostaje się własny klucz i można podróżować do woli. – Wsuwa go z powrotem pod koszulę. – Mój jest pożyczony.

– Klucz do dowolnego miejsca na świecie? – W taką magię Violet jest w stanie uwierzyć.

Aleksander poprawia ją łagodnie:

– Klucz do dowolnego miejsca, w którym już się było. Jeśli jest sporządzony z reweritu, niczego więcej nie trzeba.

Wspomnienie wypływa z najgłębszych zakątków jej świadomości. Matka siedzi przy biurku w bibliotece którejś późnej nocy, światło lampy oświetlenia jej sylwetkę jak aureola. Marianna Everly obraca w rękach klucz, jej czoło przecina zmarszczka...

Violet bierze głęboki wdech.

– Nie chodzi wyłącznie o nasz świat, prawda? Bo istnieje również twój świat. Fidelis.

Stara się powiedzieć to od niechcienia, ale serce mocno bije w jej piersi.

Aleksander pochyła się ku niej, przytrzymuje jej wzrok, jest tak blisko, że widać nagły błysk w jego przepięknych szarych oczach ukrytych za ciemnymi okularami. Jego palce muskają jej kłykcie i Violet uświadamia sobie, że jej ręce są zaciśnięte w pięści i mocno naciskają na blat stołu.

– Tak – mówi Aleksander.

Do tej pory zastanawiała się nad tym, teraz już wie.

Wie, jaką drogą Gabriel mógł zjawić się w całkiem suchym ubraniu, choć na dworze lał deszcz, albo w zaśnieżonych butach, choć na dworze panowała cudowna letnia pogoda. Teraz rozumie ciągły szept w swojej głowie, że w domu Everlych dzieje się coś wyjątkowego i gdyby tylko zdołała przeniknąć zawieszoną przez wujów zasłonę tajemnicy... Tę tęsknotę za przygodą tkwiącą w jej gardle niczym rozwidlona kość kurczaka.

– Wyjaśnij mi to – szepcze. – Proszę.

Aleksander przyciąga do siebie serwetkę i ją unosi.

– Pomyśl o tym w ten sposób. Widzisz tę stronę? To jest tutaj. A po drugiej stronie – mówi, odwracając serwetkę – jest Fidelis.

Znowu to słowo. Przeszywa ją dreszcz.

Aleksander bierze nóż do masła i dziurawi nim serwetkę.

– A to uczeni. Ale nie każdy może być nożem. Nie każdy może przekroczyć granicę.

Wieczorem Violet przygotowuje obiad wraz z Ambrose'em, w domu panuje jak zwykle przyjazne milczenie.

– Ambrose – odzywa się Violet.

– Mmm? – Wuj nie podnosi wzroku, zajęty siekaniem jarzyn.

– Czy słyszałeś o miejscu zwanym Fidelis?

Nóż nieruchomieje. Ambrose patrzy na nią przenikliwie, cały jego dobry humor przepadł.

– Gdzie usłyszałaś to słowo?

Violet wzrusza ramionami, nie odrywa oczu od stojących przed nią mydlin.

– Nie pamiętam. Może od Gabriela.

Gabriel nie pojawił się w domu niemal od roku i nie ma go tutaj teraz, nie może zarzucić jej kłamstwa.

– Wiesz, gdzie to jest? – pyta. – Myślałam, że mógłbyś...

Ambrose przerywa jej z wymuszonym uśmiechem.

– Nie, ja nigdy o tym nie słyszałem.

Violet myśli o tylnej ścianie szafy, wyobraża sobie, że za nią jest skrzydło schodów prowadzących do drzwi otwierających się na drogę, o której śniła jako dziecko. Fragment zaśnieżonego miasta w głębi długiego, ciemnego korytarza.

Marianna Everly znikająca w burzy.

* * *

Od tej pory co tydzień zadaje Aleksandrowi pytanie o Fidelis.

Jaka jest najpiękniejsza droga w mieście?

Czego uczą się uczeni?

Jak wygląda tamtejszy dzień?

Aleksander odpowiada najlepiej, jak potrafi. Opowiada jej, jak oprawić książkę, jak obserwować nocne niebo, jak rozemnić się w obcym języku. Zupełnie jakby ktoś wyjął cegielkę z tamy jej ciekawości, która teraz zaczyna przeciekać, i nie daje się już tego zatrzymać.

Pewnego dnia przynosi ze sobą kulkę reweritu i ukradkiem tworzy z niej na jej oczach drugiego, mniejszego ptaszka, podobnego do tego, którego postawiła na parapiecie swojego okna – kształtuje z metalu skrzydełka, dziobek, wścibskie oczka. Podaje go Violet, a ona podziwia złociste iskierki połyskujące na skraju jej pola widzenia.

– Czy ja mogłabym to zrobić? – pyta.

Ku jej zaskoczeniu Aleksander odwraca wzrok.

– No... to mało prawdopodobne. Z wielu powodów. Szczerze mówiąc, nie powinienem ci tego pokazywać. – Delikatnie obejmuje jej nadgarstek i obraca go do światła. – Ale popatrz, twoje bransoletki są wykonane z reweritu.

Bransoletki Marianny. Violet spogląda na nie i jej zachwyt znika w jednej chwili. Nie powinna być zaskoczona skalą sekretów swoich wujów, już nie; a jednak za każdym razem, kiedy zaczyna zbliżać się do rezygnacji, jeśli nie akceptacji...

– Matka z pewnością ci o tym powiedziała? – rzuca pytająco Aleksander i pochmurnieje. – Dokąd, mówiłaś, ona znowu poszła?

– Ja... nie wiedziałam – mruczy Violet, nie odrywając oczu od bransoletek.

Aleksander wpatruje się w nią intensywnie.

– Nie wiedziałaś, dokąd poszła, to chciałaś powiedzieć?

– Ja nie... – Mózg Violet rejestruje dalszą część rozmowy. – Nie. Nie powiedziała. Przynajmniej mnie.

Nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego właściwie tak starannie unika rozmowy o Mariannie z Aleksandrem. Dlaczego stara się trzymać go z dala od swojego domu, wujów i wszelkich wzmianek o matce, choć z każdą odpowiedzią, jaką otrzymywała na swoje pytanie, stawało się bardziej oczywiste, że istnieje powiązanie między Marianną a uczonymi. I po raz pierwszy zaczyna podejrzewać, skąd Aleksander wziął się przed laty w siedzibie Everlych. Ale matka to dla niej ciągle granica, której nie chce przekroczyć.

– Czy to właśnie robią całymi dniami uczeni? – pyta zamiast tego z kpiną. – Przekraczają granicę światów, żeby napić się kawy?

Aleksander uśmiecha się i macha serwetką w jej stronę.

– Szukamy talentów, Violet Everly. – I dodaje, widząc jej minę: – Ludzi, którzy potrafią posługiwać się reweritem. Ta kawa to tylko nagroda.

– Po co? Dlaczego... – Violet urywa i odwraca się, żeby ukryć rumieniec. Czuje, że zadaje za dużo pytań.

Kiedy odważa się zerknąć na niego ponownie, jego uśmiech łagodnieje.

– Talentem, i reweritem, żyje Fidelis. Poza tym mamy też inne role. Są historycy, kronikarze, alchemicy, archeolodzy, odkrywcy, oni wszyscy zaliczają się do uczonych. To ogromna odpowiedzialność, ale też największy przywilej, jaki znam.

– A którym ty będziesz? – pyta Violet, już bez śladu kpiny.

Ku jej zaskoczeniu Aleksander z obojętnością wzrusza ramionami.

– Pójdę tam, dokąd pošle mnie Penelopa. Taka jest rola asystenta.

– A kim chciałbyś być? – Violet nie odpuszcza.

Aleksander milczy przez chwilę, lecz ona czeka cierpliwie, obserwując emocje przesuwane się po jego twarzy jak chmury po niebie.

– Chyba lubię historię – mówi wreszcie Aleksander, w zamyśleniu. – I archiwa. Więc mógłbym być historykiem, nie, raczej kimś w rodzaju archeologa, jak ty byś to nazwała. Z drugiej strony, tęskniłbym jednak za podróżami, więc może... – urywa. – Ale to nieważne.

Opuszcza wzrok na swoje ręce, Violet podąża za jego spojrzeniem. Na serdecznym palcu jego lewej dłoni jest wytatuowany sierp księżycy.

– Zawdzięczam Penelopie życie – mówi spokojnie. – Wszystko zawdzięczam uczonym.

Violet nie odpowiada, przypomina sobie blondynkę stojącą w progu kuchni i to, jak jej palce zaciskały się na ramieniu Aleksandra, gdy wprowadzała go z domu Everlych.

Po pracy wędrują wzdłuż rzeki, ostatnie promienie zachodzącego słońca obejmują ich ramiona. Choć temperatura w ostatnich dniach obniżyła się znacznie, to mając Aleksandra u boku, czuje ciepło.

– Dlaczego Penelopa nazwała mnie marzycielką? – pyta, zastanawiając się ciągle nad dawną wizytą.

Aleksander podnosi twarz do nieba.

– Twierdzi, że byliśmy niegdyś jedynie marzeniami gwiazd. Potem gwiazdy ulepiły nas z gliny i oddały nam cząstkę siebie, żebyśmy mogli tworzyć na ich chwałę. I byliśmy szczęśliwi przez pewien czas. Ale choć nasze stopy dotykają ziemi, to ilekroć zamykamy oczy, marzymy o tym, żeby być znowu gwiazdami.

Nocą Violet dotyka bransoletek na swoim nadgarstku i podziwia złote isierki lśniące na metalu niczym oleista patyna. Zamyka oczy i wyobraża sobie siebie jako gwiazdny pyłek, szybujący po nocnym niebie.

* * *

Zimą w Fidelis cechują serie burz śnieżnych z piorunami bijącymi w zbocza gór. Aleksander znajduje po przebudzeniu warstewkę lodu na wewnętrznej stronie szyby. Dygocząc z zimna, łapie ręcznik i schodzi do gorących źródeł. W komunalnych kąpieliskach nigdy nie ma ciszy i ten poranek nie stanowi wyjątku. Głośne piski małych dzieci wskakujących do lodowatych basenów odbijają się echem w rozległej podziemnej sali, podczas gdy dorośli rozmawiają, szorując się pod parującą mgiełką. Wyblakłe mozaiki przedstawiają starożytne bitwy i zapomniane mity, a rury z hałasem pompują wodę na górę, do apartamentów mistrzów.

Potem, już ubrany, wyżyma wodę z mokrych włosów i długą krętą klatką schodową uczonych wędruje z dolnych piętrowości do wyjścia.

Idąc z wieży uczonych brukowanymi ulicami, mijając podniebne porty i statki powietrzne załadowane różnymi dobrami, musi podziwiać, jak zawsze, jak zasobny jest jego świat w porównaniu z *g d z i e i n d z i e j* Violet. Fidelis przycupnął wysoko na pierścieniu gór otaczających dolinę usianą rozległymi obszarami rolnymi. Ale góry, które bronią miasta, izolują je zarazem – żaden statek powietrzny nie może przelecieć ponad szczytami; żaden tunel nie zdoła przebić się przez litą skałę. Czasami, w bezsenne noce, kiedy gwiazdy płoną na niebie, Aleksander zastanawia się, jak może wyglądać świat po drugiej stronie gór.

Ale przeważnie myśli o tym, jak zachwycałaby się Violet, gdyby mogła to wszystko zobaczyć. W uszach dźwięczą mu ostrzeżenia Penelopy, by nie angażował się zanadto, by zaprzyjaźnił się z nią, lecz jej nie ufał. Może ją kusić Fidelis, ale to wszystko.

– Naszym priorytetem jest znalezienie Marianny Everly – powiedziała Penelopa. – To jest nasz cel.

Ile to już razy Aleksander otwierał usta, żeby zapytać dlaczego, ale znowu je zamykał? Kiedy był bardzo młody i nie potrafił się powstrzymać, Penelopa opowiedziała mu historię o ostrzu z reweritu wyśpiewującym swemu właścicielowi pytania w powtarzającej się bez końca melodii. Opowieść kończyła się tym, że właściciel roztrzaskał ostrze o skałę, doprowadzony do szaleństwa tym niekończącym się śpiewem.

– Ty jesteś moim ostrzem wiedzy, mały marzycielu – powiedziała Penelopa, burząc jego włosy. – Ale żeby stać się ostrzem, musisz być pod kontrolą, nie łamać się, nie zadawać pytań. Bo inaczej mogą zostać zmuszona do zrzucenia z klifu również ciebie.

Powiedziała to ze śmiechem, ale Aleksander i tak nigdy nie był pewien, czy ten klif to tylko metafora. Dlatego tak bardzo się stara być jej ostrzem, dlatego przetyka pytania, które w innych okolicznościach na pewno by zadał.

Tym przyjemniej mu odpowiadać na pytania Violet, pomimo nieustannej obawy, by nie zdradzić jej zbyt wiele. Poprzedniego dnia zapytała go, co robią uczeni, tak konkretnie, i Aleksander musiał ugryźć się w język, bo już otworzył usta, żeby wypaplać jej wszystkie znane sobie tajemnice.

W ciągu ostatnich miesięcy zdążył przywyknąć do pewnej rutyny, więc zaskoczyło go wezwanie do Penelopy poza ich regularnymi spotkaniami. Ale choć był w trakcie wymagającej szczególnej delikatności naprawy kruchych dokumentów z archiwum, rzucił wszystko i zaczął się wspinać schodami uczonych do jej kwatery.

Gdy czekał pod drzwiami, odepchnęli go trzej mistrzowie rolnictwa, których włosy były jeszcze sztywne od topniejących sopli lodu. Aleksander obserwował, jak schodzili po schodach w grubych zimowych ubraniach, widział ich twarze wysmagane wiatrem, przedwcześnie postarzałe i w jego brzuchu zacisnął się supeł. Wiedział już, że choć starali się dostarczyć w tym roku spodziewane plony, to chodziły słuchy, że nie zdołali spełnić oczekiwań. Z każdym rokiem zimy ścisnące miasto stawały się coraz ostrzejsze, potęgując tym samym nacisk wywierany na uczonych, próbujących rozwiązać ten problem albo przynajmniej spowolnić go do czasu znalezienia rozwiązania.

Aleksander puka do drzwi apartamentu Penelopy i wchodzi.

– O, jest mój asystent – mówi Penelopa.

Aleksander zamiera w progu, jego puls przyspiesza. Penelopa stoi odwrócona do niego plecami, ale ton jej głosu jest jedwabisty. Groźny. Chłopak gorączkowo przebiega w myślach wszystkie sprawy, które mógł w ostatnim tygodniu zawalić. W głowie ma przerażającą pustkę.

– Moja Mistrzynie? – jąka nerwowo.

– Ile to już tygodni, Aleksandrze? Osiem, dziewięć?

– Od... – Odrobinę za późno dociera do niego, o co jej chodzi.

– Odkąd wysłałam cię, żebyś zdobył informację o miejscu pobytu Marianny Everly od jej córki. – Penelopa odwraca się, zagniewana, z mocno zacisniętymi ustami. – Byłam cierpliwa, prawda? Wysłuchiwałam twoich beużytecznych ciekawostek o jej kolegach z kawiarni, o tym, co lubi, a czego nie lubi. A wiesz, czego jeszcze nie usłyszałam?

Aleksander spuszcza głowę, przytłoczony poczuciem wstydu.

– Potrzebuję jeszcze tylko paru tygodni, przysięgam. Pracowałam nad tym, ale ona bardzo niechętnie mówi o Mariannie...

Uderzenie nie jest niespodziewane, lecz trafia w szczękę Aleksandra z szokującym okrucieństwem. Twarz go pali, ból usuwa mu z głowy wszelkie myśli. Podnosi pełne łez oczy na pozbawione wyrazu oblicze Penelopy, której ręka ciągle jeszcze wisi w powietrzu.

– Wyciągnęłam cię z rynsztoka, żeby dać ci szansę na przyzwoite życie. Na wykorzystanie potencjału, który miałeś, jak mi się wydawało.

Aleksandrowi ciągle jeszcze kręci się w głowie, ale próbuje wziąć się w garść. Opiera się pokusie dotknięcia twarzy i zbadania uszkodzeń. Powinien coś powiedzieć, żeby naprawić sytuację. A tymczasem może myśleć jedynie o eksplozji bólu i metalicznym smaku krwi w ustach.

– Nie należysz do Verne'ów, Hadleyów, Persaudów czy którejkolwiek z pozostałych liczących się rodzin. Ich porażki mogą być tolerowane, a nawet odpuszczane, ale ich pozycja jest bezpieczna. – Ton Penelopy wreszcie łagodnieje. – Ale ja nie mogę być twoim adwokatem, jeśli ty sam nie będziesz własnym adwokatem.

– Tak, Moja Mistrzynie – szepcze Aleksander.

– Zaczynam tracić cierpliwość, Aleksandrze – mówi Penelopa. – Dam ci jeszcze kilka tygodni, ale to wszystko.

Aleksander wychodzi, starając się ignorować pulsujący ból szczęki. Kiedy zerka na odbicie w oknie, dostrzega czerwony zarys dłoni odbity na swej twarzy. Już zaczyna formować się siniak.

Stara się być jak najlepszy dla Penelopy, chce być jej ostrzem. Ale nawala. Jak zawsze.

* * *

Podczas następnego wypadu do kawiarni długo stoi na zewnątrz, wydaje się, że przez całą wieczność, pomimo mroźnej pogody. Przez zaporowane okno przygląda się Violet, poruszającej się między stolikami precyzyjnie jak baletnica. W kawiarni jest tego dnia zastój, więc dziewczyna wraca za kontuar, przy którym dwójka jej kolegów najwyraźniej o coś się sprzeczają. Przez okno Aleksander widzi doskonale miejsce za kasą – i książkę, którą Violet sprytnie tam schowała. Dziewczyna wsuwa pukiel kręconych włosów za ucho, ten gest sprawia, że Aleksander odrywa wzrok od delikatnego wygięcia jej szyi i koncentruje spojrzenie na tym, w jaki sposób Violet przygryza wargę, wyraźnie pochłonięta swoją kontrabandą. W tym momencie Aleksander dostrzega własne odbicie w oknie i stwierdza, że uśmiecha się jak idiota. Uśmiecha się do niej.

Zastanawia się przez chwilę, ale nikt go nie obserwuje. Pozwala, by jego oczy odzyskały ostrość widzenia, omiata wzrokiem poszarzałe otoczenie. Jego umysł nieruchomieje, poszukuje innego marzyciela.

Tylko utalentowani mogą posługiwać się kluczami. Tylko utalentowani mogą zostać uczonymi. A członkowie rodziny Everly nie są uczonymi, chociaż wiele wskazuje na to, że powinni nimi być. Aleksander nie przestaje się zastanawiać, co takiego zrobili, że zostali wyrzutkami.

Nawet gdyby Violet jakimś cudem miała talent, byłby to zaledwie niły cień złota, nie pozwoliłby jej zostać przyjętą w poczet uczonych ani zaspokoić jakichkolwiek innych potrzeb Fidelis. Więc ona nigdy nie pozna pieśni górskich zboczy, którą Aleksander tak kocha, nigdy nie zobaczy pierwszego śniegu w roku, nigdy nie stanie z nim na skraju miasta, w świecie, o którego dzieleniu z nią zaczął właśnie marzyć.

Już zbyt długo pozwalał sobie na głupie mrzonki o wymyślonej przyjaźni; tego już zdecydowanie za wiele. Ale on musi wiedzieć.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Jego oddech zwalnia, ustaje...

Świat eksploduje, tryska złoty blask. W epicentrum jest Violet. Ona nie jest po prostu jedną więcej marzycielką, nie jest kolejnym kimkolwiek.

To niemożliwe, myśli Aleksander. A jednak.

ROZDZIAŁ

Dziesiąty



Przełom roku; należy się wizyta.

Północ wybucha nad wioską położoną w głębi francuskich gór. Gwiazdy zbierają się na nocnym niebie, olśniewająco jasne, ale na drogach panuje cisza. Nagle ciemność rozdziera błysk błękitnego światła i Penelopa wyskakuje z drzwi w zaułek. Niesie niewielką paczuszkę, która podskakuje od czasu do czasu w jej rękach.

Mężczyzna o zapadniętych policzkach, z udręczonym wyrazem twarzy, wychodzi z mroku. Penelopa składa paczkę w jego wyciągnięte ramiona.

– Już zaczynałem podejrzewać, że dzisiaj nie przyjdiesz – mówi nerwowo mężczyzna.

Penelopa przygląda mu się beznamiętnie.

– Ja zawsze dotrzymuję słowa, François.

Penelopa prowadzi go główną ulicą wioski i dalej, w dzikie tereny za wsią. Droga pod ich stopami zmienia się w bity trakt, drzewa są coraz wyższe, a północ coraz ciemniejsza. Wzrok François spoczywa na tobołku w jego ramionach, ale mężczyzna nic nie mówi.

W końcu ścieżka ukryta wśród rozrośniętych krzaków doprowadza ich do walącego się domu z chwastami wyrastającymi spomiędzy żwiru na podjeździe. Penelopa ostrożnie przekracza próg. Prowadzi François do kuchni i odsłania klapę ukrytą pod pomarszczonym dywanem. W dole coś się miota, aż brzęczą szklane naczynia w kredensie.

François unosi klapę, waha się.

– Powiedziałaabym, że on nie gryzie, ale... – Penelopa uśmiecha się szerzej, gdy François się wzdraga.

Kobieta jedną ręką przytrzymuje suknię, zdejmuje buty i na bosaka schodzi po drabinie. Z otworu unosi się słaby zapach zgnilizny i czegoś słodszeo, zapach staje się coraz silniejszy, w miarę jak schodzi niżej. Na dole panuje niemal całkowita ciemność, widać jedynie słaby zarys postaci skulonej pod najdalszą ścianą.

– Tamriel.

Stwór wydaje cichy pomruk. Ale ten dźwięk odbija się w jej głowie głośnym echem, brzmi jak wycie wiatru.

Wróciłaś do nas, gwiazdna córko.

– Raz w roku, jak zawsze. Nie zapomniałam warunków naszego kontraktu.

Paktu z innej epoki, z innego świata. Penelopa i Tamriel przypatrują się sobie w ciemności, oceniają zmiany, jakich dokonał w nich miniony rok. Czas nie był dla Penelopy łaskawy pod wieloma względami, ale dla stwora, którego miała przed sobą, okazał się wyjątkowo okrutny.

I słusznie.

Penelopa dwukrotnie uderza w drabinę, dźwięk niesie się aż na górę. Po chwili schodzi François, trzymając jej paczuszkę. Trzęsie się tak bardzo, że o mało nie upuszcza jej, czekając, by podać ją Penelopie.

– Twoja ofiara – mówi Penelopa. – Zgodnie z obietnicą.

Stwór unosi głowę, węszy.

Czujemy krew, najśodszy smak życia. Musimy jeść. O, MUSIMY JEŚĆ.

– Więc ucztuj – zachęca Penelopa.

Gwałtownie wypycha François naprzód, w stronę stwora. Następuje ruch, szybki jak brzytwa. Ostry dźwięk rozdzierania. Krzyki.

W pomieszczeniu rozchodzi się miedziany odór krwi. Przez chwilę jedynymi dźwiękami są chrupanie kości i chłęptanie, rozszarpywanie i połykanie. Penelopa opiera się o ścianę, czeka.

Stwór wdycha zapach krwi i śmierci. Odór zgnilizny jest obezwładniająco.

Smakowały jasnym słońcem i serdecznym życiem, niebem i poranną rosą, i strachem, o tak. Nadal mamy wilczy apetyt, ale nasz głód nie jest już tak przenikliwy. Przyjmij naszą wdzięczność.

– Nie przyszłam tutaj po wdzięczność – odzywa się Penelopa.

W pomruku stwora brzmi rozczarowanie, nawet nadąsanie.

No, dobrze. Czekamy na twoje pytanie, gwiazdna córko.

– Powiedz mi, czego szuka Marianna Everly. Powiedz, gdzie ona jest. Dudniący śmiech.

Kobieta przeklęta przez gwiazdy jest trapiąca problemem śmiertelniczek. O, jak historia się powtarza.

– Nie prowokuj mnie, Tamrielu.

To prawda. Ona szuka miasta gwiazdnego pyłu. Początku końca.

– Elandriela – szepcze Penelopa ledwie dosłyszalnie. – Nadal?

To imię jest starsze od ziemi pod ich stopami, jak urywek melodii, której brakuje tekstu. Wiele czasu minęło, odkąd to imię padło z jej ust, ale Penelopa rozkoszuje się jego smakiem.

Jesteśmy zmęczeni tą zabawą, gwiazdna córko. Gwiazdy nie zmieniają zdania, niezależnie od tego, ile razy wstawiamy się za tobą. Jeśli odpowiedź nie podobata ci się wtedy, nie będzie cię satysfakcjonowała i teraz.

Penelopa unosi brew.

– Czy gwiazdy nie zmieniły zdania, kiedy cię wyгнаły? Ciebie, którego klejnot miał wisieć wiecznie na nocnym niebie? Który przysięgałeś nigdy nie skalać chwały, którą zostałeś napelniony? – Penelopa uśmiecha się cierpko. – Gwiazdy potrafią również być kapryśne.

I zostaniemy tutaj, dopóki czas nie zacznie biec wstecz, dopóki nie zapomnimy o naszych braciach, o naszej zbrodni, o naszej własnej osobowości. Jesteśmy bytem astralnym i nasze losy nie są tak zmienne jak losy ludzi, z którymi ty igrasz.

Penelopa robi krok naprzód.

– A więc Marianna jest blisko.

Jest tak blisko, jak blisko ziemi są gwiazdy, jak blisko morskich głębin jest wiatr. Jest bliżej niż ty, o, gwiazdna córko. Tamriel się śmieje, ten dudniący dźwięk zgrzyta o ściany pomieszczenia.

Penelopa zaciska pięści i robi kolejny krok naprzód.

– Nie baw się ze mną w zagadki. Poznam miejsce pobytu Marianny, w taki czy inny sposób.

Pozwalasz sobie wobec nas na zbyt wiele, o, gwiazdna córko.

Stwór błyskawicznie przyskakuje do kostek jej nóg. Ale Penelopa jest już pod przeciwległą ścianą, z jedną ręką na drabinie.

Zapłatać już za prawdę i więcej ci się od nas nie należy, mówi stwór z rozba- wieniem. Wydaje ci się, że nie widzimy cię taką, jaka jesteś, Astriado, córko Nemetora?

Możemy przywdziać inną skórę, ale, o, pozostajemy tacy sami. Mamy w sobie ten sam głód, to samo złoto w sercach. Ignorowanie tego wezwania to ignorowanie prawdziwych siebie.

– Więc nie potrafisz odpowiedzieć na moje pytanie. Co za rozczarowanie.

Penelopa zaczyna wchodzić po drabinie. Kiedy jest w połowie drogi na górę, Tamriel wybuchu ochryplym, zgrzytliwym śmiechem.

Będą inni, którzy przyjdą tą ciemną drogą, żeby nas odwiedzić, żeby zaspokoić nasz głód i ofiarować cię. I będą pytali o ciebie, a my odpowiemy.

Penelopa zamiera na drabinie.

– Córka?

Już ci kiedyś powiedzieliśmy, że ona nie może szukać czegoś, o czym nie wie.

Penelopa kiwa głową. Potem się uśmiecha.

– Czasami to doprawdy niesmaczne, gdy przypomina się nam, że jesteśmy spokrewnieni, ale masz rację, najdroższy kuzynie. Więc kiedy upadłeś, otworzyłam ci ramiona: zaferowałam ci opiekę do końca życia w zamian za te pytania. Czy nie przyniosłam ci mięsa, podejmując ogromne ryzyko? Czy nie znalazłam ci kryjówki? – Wskazuje szerokim gestem wilgotną piwnicę. – Nie próbuj mi wmówić, że wolałbyś alternatywę, kuzynie. Wiem równie dobrze jak ty, dokąd prowadzi droga.

Tamriel z sykiem wciąga powietrze przez zęby i w tym odgłosie jest cień mężczyzny, którego Penelopa mogłaby rozpoznać, gdyby chciało się jej sięgnąć w głąb pamięci. Zadzwoił lekko łańcuchem, to najsilniejszy akt buntu, na jaki był w stanie się zdobyć, pomimo całej swej drapieżnej szybkości. Stałby się silniejszy, gdyby dostawał więcej mięsa, i był taki czas, kiedy Penelopa zważyła, ile trzeba, aby przywrócić mu dawną moc, kiedy jeszcze taka ewentualność była możliwa. Może astral okazałby się mniej opornym sojusznikiem.

Może potwór wyrósłby ze swoich łańcuchów.

Gwiezdna córko, my... nie możemy zaprzeczyć, że jesteś wspaniałomyślna. Jesteśmy wdzięczni, kuzynko, naszej rodzinie, że pamiętasz o nas i uznajesz nasze pokrewieństwo.

– Ale jeśli wyroki niebios są tak niezmiennie, jak twierdzisz, to twoje odpowiedzi są dla mnie bezużyteczne. Może już czas, by nasze drogi się rozeszły, Tamrielu. – Wzrusza ramionami i gdyby nie podły błysk w oczach, można by uznać jej uśmiech za autentycznie przeprasający.

GEORGIA SUMMERS

Nie osmieliłabyś się.

– Zabiłeś swojego strażnika – odpowiada Penelopa – i nikt nie może zająć jego miejsca. Nie będzie już więcej karmienia, nie będzie więcej wizyt. Możesz dzwonić swoim łańcuchem, dopóki gwiazdy nie poumierają, albo po prostu ulec swojemu głodowi. Ale zapewniam cię, że nie będziesz miał okazji, by szepnąć o mnie słówko komuś innemu. – Wydyma wargi, rozkoszując się tą chwilą. – Żegnaj, Tamrielu.

Po tych słowach Penelopa wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą kłapę.

Jedenasty



o zmianie, która ciągnęła się w nieskończoność – dwie grupy wrzeszczących niemowląt na zaimprovizowanej imprezie urodzinowej z wymyślnymi figurkami cukrowymi, które zdecydowanie przestały przypominać wyroby artystyczne, kiedy Violet je sprzątała, bo Matta nie było w pracy z powodu jakiegoś paskudnego przeziębienia – Violet wjeżdża na rowerze na podjazd rodzinnego domu Everlych i widzi w ciemności wszystkie okna swego domu rozjarzone światłem. Co może oznaczać tylko jedno.

Ale zanim uda się na poszukiwanie Gabriela, Ambrose ze zmęczonym uśmiechem wita ją przy drzwiach, unikając patrzenia jej w oczy. Spogląda w głąb korytarza.

– Gabe jest w domu – mówi.

– Widzę.

– Nie zostanie zbyt długo... – oczywiście, myśli Violet – ...ale zostaliśmy zaproszeni na swego rodzaju przyjęcie. Dzisiaj wieczorem. – Pauza. – My wszyscy.

Kilka sekund zajęło Violet zrozumienie słów wuja.

– Chcesz, żebym poszła na przyjęcie.

Ambrose, który nie pozwolił jej chodzić do szkoły i z trudem tolerował jej pracę w kawiarni, chce, żeby poszła na przyjęcie! Mogła uwierzyć w inne światy i magiczne klucze, a nawet w cotygodniowe cudowne pojawienia się Aleksandra, ale to posuwa się już za daleko.

– Do Gabriela... jak by to powiedzieć? Kolegów.

– Masz na myśli jego kryminalne przedsięwzięcie – precyzuje Violet.

To ich stary żart, który ostatnio zaczął już męczyć Violet. Kiedy była dzieckiem, tylko w ten sposób mogła sobie wytłumaczyć przedłużające się podróże Gabriela, ponieważ wujowie jakoś nie kwapili się, żeby powiedzieć jej prawdę. Ambrose uważał prawdopodobnie, że lepiej, aby Violet myślała, że jej wuj to jakiś kiepski naśladowca mafiosa. Że długie nieobecności Gabriela mają coś wspólnego z handlem narkotykami albo przemysłem, z fałszywymi dokumentami i szufladami pełnymi skradzionych pieniędzy. Że to działalność nielegalna, ale całkowicie prozaiczna.

Lepiej, żeby wierzyła w to niż w nadzwyczajną prawdę.

– Gabe powie ci więcej, ale zanim cię złapie, chciałbym z tobą porozmawiać. – Ambrose zniża głos. – Ci dzisiejsi goście... To dziwna zbieralina. Bądź ostrożna, dobrze?

Violet przechyla głowę na bok, bardzo zaskoczona. To mogła być zwykła nadopiekuńczość Ambrose'a, ale rzadko zdarzało jej się słyszeć w jego głosie takie zdenerwowanie, taką powagę.

– Dlaczego? Chcesz zażądać za mnie okupu? – mówi lekko. – Powiedz im, że nie schodzę poniżej dwóch milionów. Jestem tyle warta, co najmniej.

Ku jej uldze Ambrose tylko wzdycha i przewraca oczami, zaczyna zachowywać się normalnie.

– Gabriel jest w kuchni.

No, jasne. Violet znajduje go przy kuchennym stole, w trzyczęściowym garniturze wuj wygląda jak stuprocentowy gangster. W okularach przeciwsłonecznych na nosie wertuje jakiś pokaźny folder. Na widok Violet energicznie go zamyka.

– Ambrose mówi, że zamierzacie oddać mnie dla okupu twoim przyjaciółom kryminalistom – odzywa się Violet tonem pasującym do towarzyskiej rozmowy, nastawiając czajnik.

Gabriel spogląda na nią znad okularów przeciwsłonecznych.

– Nie ma mowy, mała. Nie mógłbym cię oddać, nawet gdybym chciał.

– Co za ulga – odpowiada Violet.

– Ale on ma rację – kontynuuje Gabriel. – Ci ludzie nie są tacy jak ty czy ja. No – reflektuje się – może odrobinę jak ja. Ale to wilki. I gdybym dał im palec, to zjedliby mnie żywcem, a ciebie zabrali.

– To dlaczego mnie w ogóle zapraszasz? – pyta Violet, marszcząc czoło.

– Jedna z moich zaprzyjaźnionych kryminalistek chce cię poznać. A Adelia Verne nie przyjmuje odmowy. – Wzrusza ramionami. – Czasami, kiedy wilki podchodzą pod drzwi, lepiej zaprosić je na kanapki.

Violet próbuje wyobrazić sobie „wilki”, które Gabriel jest gotów przyjmując, ale ma w głowie pustkę. Jeśli Ambrose ma rację, to całe morze gangsterów ze złotymi zębami i futerałami na skrzypce, palących się do targów o tę zakazaną kontrabandę, którą Gabriel przemycił do domu. Roi sobie nawet chwilami, że ci goście to prawdziwe wilki, chodzące wbrew naturze na dwóch łapach i zlizujące krew ze swoich gęstych futer. „O, jakie masz duże zęby.”

Violet przygląda się garniturowi wuja.

– Jak eleganckie będzie to przyjęcie?

– Sprawdź swoją szafę – radzi Gabriel.

Po opuszczeniu kuchni Violet stoi jeszcze na korytarzu, czekając, aż minie poczucie niepewności. Nie zapomniała tamtego wieczoru sprzed lat, gdy Gabriel przyszedł tutaj, w tym samym garniturze i koszuli zaplamionej krwią. Przez całe jej życie wujowie zachowywali się tak, jakby trzeba ją było ukrywać przed światem. Dlaczego teraz zabierają ją na przyjęcie?

Na górze, w jej pokoju czeka sukienka z aksamitu w kolorze ciemnego burgunda, ze złotymi klamerkami na ramionach i cienką, satynową szarfą w talii. Jest piękna i królewska, jak z bajki. Violet przygląda się jej z niepokojem. Czy tego chcą jej wujowie – wystroić ją jak lalkę i kazać jej paradować przed gromadą obcych ludzi?

Mało brakowało, a nie włożyłaby tej sukienki. Ale potem przesunęła rękami po miękkim materiale, podziwiając piękny krój i połyskujące w świetle cieniutkie złote niteczki. Przygryzła wargę i się zawahała. Nigdy nie miała okazji włożyć czegoś równie luksusowego i pewnie już nigdy nie będzie miała takiej okazji. Będzie na zawsze przykuta do tego domu, pomimo pragnienia poznania świata. Na zawsze przykuta z powodu promyczka nadziei, że matka przejdzie jednak pewnego dnia przez te drzwi – i strachu, że to jej umknie.

Może ten jeden jedyny raz weźmie udział w bajce.

Przymierza suknię, rozpuszcza włosy, które opadają na ramiona w miękkich, brązowych lokach, a kiedy spogląda w lustro, z odbicia patrzy na nią matka. Niektóre rysy Violet są zdecydowanie nie jak u Everlych – doteczki

w policzkach, słabe piegi na bladej skórze, złoty połysk we włosach – ale w przeważającej większości jest nieodrodną córką Everlych. My, Everly, musimy trzymać się razem, powtarza zawsze Ambrose. Ale – jak się okazuje – nie musimy mówić sobie prawdy.

Czy wujowie sobie tego życzą, czy nie, być może i ona otrzyma tego wieczoru kilka odpowiedzi.

* * *

Ambrose i Gabriel kłóćą się przez całą drogę do pretensjonalnej rezydencji, a kiedy tam docierają, okazuje się, że wyprzedzili ich tytułowi oni, bo wzdłuż całego podjazdu parkują błyszczące samochody. Wchodzą goście spowici w kosztowne materiały: jedwabne, białe koszule, luksusowe, pokryte cekinami żakiety, zwiewne suknie w kolorze morskiej piany. Już przekraczając próg, Violet czuje ukłucie niepokoju, odnosi wrażenie, że wiele mil dzieli ją od tych eleganckich istot z innego świata. Wszyscy uśmiechają się do siebie, odstawiając olśniewające, błyszczące zęby.

Wilki.

Po wejściu do domu, w obłoki perfum i wód kolońskich, nie wie, na co najpierw skierować wzrok. Parter wypełnia cicha muzyka, grana na ogromnym fortepianie przez skromnego mężczyznę w smokingu. Nie-samowicie sprawny personel nalewa drinki do kryształowych kieliszków i roznosi je pośród gości na srebrnych tacach. Ludzie tłumnie wypełniają parter, damskie szpilki i męskie lakierki postukują w marmurową posadzkę. Wszyscy zdają się znać siebie nawzajem, krążą po sali z uśmiechami i trącają się łokciami jak piękne rekiny. Ale Gabriel i Ambrose otaczają Violet z obu stron niczym ochroniarze, więc nikt nie próbuje nawet jej się przedstawić.

Docierają do niej strzępy niezrozumiałych rozmów:

- ...spodziewam się zobaczyć lada dzień nowego adepta uczonych...
- ...i powiedziałem Adeli, że nikt tak po prostu nie znika z klasztoru w Moskwie, żeby w dwa dni później pojawić się w Seulu...
- ...podobno ma dzisiaj przyjść z tym swoim asystentem, ale nie czekam na to z zapartym tchem...
- ...cieplej o tej porze roku, jak miło...

Uczestników przyjęcia łączy dziwne podobieństwo, ale dociera to do niej dopiero po chwili, przesłonięte tymi wszystkimi jedwabiami i cekinami. Violet łapie ukradkiem kanapkę z krewetką i w tym momencie dostrzega lekko przymarszczony wzór na nieskazitelnej koszuli jednego z gości i nagle wszystko staje się jasne. Klucze: znaczące mankiety srebrną nitką albo wiszące na złotych łańcuszkach i spoczywające w zagłębieniu szyi – i wytatuowane na przedramionach czarnym tuszem, zdającym się iskrzyć w świetle. Klucze takie jak ten, który pokazał jej Aleksander.

Błyskawicznie wraca pamięcią do strzępów rozmów zasłyszanych przed chwilą. To nie jest jakieś zwyczajne przyjęcie – to przyjęcie uczonych.

Odwraca się do Ambrose'a zaszokowana, czego nie potrafi ukryć.

– Powiedziałaś mi, że nigdy nie słyszałaś o Fidelis.

Gabriel spogląda na nią.

– Jak, do licha, się o nim dowiedziałaś?

– Najwyraźniej ty jej o tym powiedziałaś, Gabe... – mamrocze Ambrose.

– Z całą pewnością nie usłyszała tego ode mnie – wpada mu w słowo Gabriel.

– Więc kto...

– Bracia Everly kłócą się na moim przyjęciu? To niemożliwe.

Podchodzi do nich starsza kobieta w długiej do ziemi sukni koloru burzowych chmur. Brylanty wielkości kropli deszczu spływają z łańcuszka okalającego jej szyję. Violet zauważa pod przezroczystym rękawem ciemny klucz wytatuowany na jej przedramieniu. Kolejna uczona, domyśla się.

– Adelio, to jest Violet – mówi niecierpliwie Gabriel. – Tak jak prosiłaś. A w zamian?

Adelia odprawia go machnięciem ręki.

– Och, tak, jest gdzieś tutaj, z tym swoim asystentem bez wątpienia. – Odwraca się do Violet. – Niech ci się przyjrzą.

Violet odnosi niejasne wrażenie, że powinna się czuć urażona rozmawianiem o niej jak o rzeczy, ale nagle cała uwaga Adellii koncentruje się na niej i wszelkie myśli ulatują jej z głowy. Wzrok Adellii przesuwa się po niej z klinicznym wręcz zainteresowaniem.

– Bardzo utalentowana – stwierdza z widoczną satysfakcją. – Nie spodziewałabym się czegoś innego po Everlych. Może przejdziemy się razem, tylko my dwie?

– Nie sędę, żeby to był dobry pomysł – zaczyna Ambrose.

– Daj spokój – mówi Adelia. – Z pewnością możesz ją na chwilę zwolnić. Poza tym...

Tę interesującą rozmowę przerywa pojawienie się w pokoju wysokiej, bladej kobiety. Jej jasnoblond włosy są po mistrzowsku u fryzowane w kok upięty złotą spinką wysadzaną szmaragdami, a szyfonową suknię w kolorze słonecznych promieni zdobią grona drobnych peretek. Kobieta, zamiast sięgnąć po kieliszek szampana albo przywitać się z gośćmi, uśmiecha się do Violet. Pozostali goście rozstępują się, robiąc jej szerokie przejście.

Kobieta wygląda niepokojąco znajomo, ale Violet nie umie określić, skąd ją zna. Jest jak zjawisko ze snu, zbyt doskonałe, by mogło być prawdziwe.

– To trwało zbyt długo, mała marzycielko – mówi z błogim uśmiechem.

Szok rozpoznania trafia Violet jak cios w splot słoneczny. Penelopa. A za nią, wyraźnie zaskoczony tym, że spotyka Violet tutaj, akurat tutaj, stoi Aleksander. Dziewczyna dostrzega jego powitalne machnięcie dłonią, zanim jej pole widzenia przestania całkowicie Penelopa.

– Te oczy Everlych, takie same jak twojej matki. – Penelopa przechyla głowę na bok. – Oj, nie jesteś do niej podobna.

– Ależ jest – mówi Gabriel z czymś więcej niż tylko nutką groźby w głosie.

– Gabrieliu, Ambrose, nie spodziewałam się was tu dzisiaj spotkać. – Jej spojrzenie przenosi się z braci na Violet i Adelię. – Mam nadzieję, że niczego wam nie przerwałam.

Ambrose nie odwzajemnia jej uśmiechu.

– Musimy porozmawiać. Na osobności.

– O, to ekscytujące – mówi Penelopa z rozbawieniem. – Cokolwiek to jest, z pewnością bardzo chętnie o tym porozmawiam.

– Doskonale. – Adelia bierze Violet za rękę. – W takim razie zostawimy was samych.

Ambrose wygląda tak, jakby chciał oponować, ale Adelia już wyprowadza Violet z jasno oświetlonego pokoju. Dziewczyna napotyka na moment spojrzenie Aleksandra. Potem skręcają za narożnik i przyjęcie znika jej z pola widzenia.

Dwunasty



Adelia prowadzi Violet przez szereg długich korytarzy, coraz dalej od przyjęcia. Violet czuje, że powinna zacząć konwersację, spróbować wypełnić ciszę. Ale ciągle jeszcze kręci jej się w głowie po rozmowie z Gabrielem i Ambrose'em. Powinna być przejęta bytnością tutaj: szansą dowiedzenia się czegoś więcej o uczonych i świecie, który wujowie tak desperacko starali się przed nią ukryć. Ale nie tak, nie kiedy w jej serce wkrada się podejrzenie, że oni dosłownie ją przehandlowali.

Adelia musi wyczuwać jej niepokój, bo poklepuje ją po ramieniu.

– Nie zamierzam cię nigdzie uprowadzić. Przede wszystkim jestem za stara, żeby walczyć z twoimi wujami.

Violet uśmiecha się, pomimo wszystko. Wyobrażenie wujów stojących w szranki z małą, wiekową Adelią jest absurdalne. Ale pomimo rozbawienia tą wizją, jej niepokój powraca, gdy spogląda na Adelię, która trzyma jej rękę w stalowym uścisku, a w jej oczach błyszczy żywa inteligencja.

– Wiesz, to oni prosili o zaproszenie. To znaczy, dla siebie – informuje Adelia tonem towarzyskiej rozmowy. – A ja pomyślałam: nie będzie lepszej szansy na poznanie ciebie. W końcu tyle o tobie słyszałam.

Violet marszczy czoło.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Marianna to moja najbliższa przyjaciółka.

Marianna. Violet krzywi twarz w uśmiechu, żeby powstrzymać reakcję na imię matki. Adelia wymawia je z czystym zachwytem, jakby mówiła o dawno zaginionym klejnocie rodzinnym. Violet nie przypomina

sobie, by Ambrose i Gabriel kiedykolwiek wypowiadali się w taki sposób o jej matce.

– Ja... nie wiedziałam – jąka.

– Nie, nie podejrzewałam cię o to. Twoi wujowie bardzo jasno dali do zrozumienia, że nie chcą, żeby cię w to mieszać. Ale musisz wybaczyć starej kobiecie ciekawość.

Skręcają do niewielkiej czytelnicy, światło księżycy pada przez wysokie okno na stojący pod nim fotel. W innej sytuacji Violet doceniłaby otoczenie – idealną kryjówkę dla miłośniczki książek – ale nie może przestać odtwarzać w pamięci przebiegu rozmowy. Wujowie nie chcą, żeby się w coś mieszała? W co?

– Skąd pani zna moją matkę? – pyta Violet ostrożnie.

Adelia poklepuje tatuaż na swoim przedramieniu i się uśmiecha.

– Byłam jedną z jej nauczycielek w Fidelis. A kiedy zdała egzaminy, razem zostałyśmy uczonymi.

Violet nie ma pewności, czy dobrze usłyszała.

– Uczonymi?

Dzięki bransoletkom i wszystkiemu, czego była świadkiem w domu Everlych, domyśliła się, że jej matka mogła stanowić część tamtego świata. Ale uczona jak Aleksander...

– Właśnie tak – potwierdza Adelia.

Rosnąca fala podejrzliwości zalewa Violet.

– Widziała ją pani ostatnio?

Spojrzenie Adelii staje się ostre.

– Nie mnie o tym mówić. – Potem rozpromienia się. – Ale dość już o tym. Chciałam cię też przedstawić mojemu wnukowi, Caspianowi.

Wysoki mężczyzna wstaje z fotela.

– Caspian Verne. – Wyciąga do niej dłoń. – Miło mi cię poznać, Violet.

Violet podaje mu rękę, zaskoczona.

– Wiesz, jak mam na imię?

Przez jego twarz przemyka wyraz zmieszania.

– Jesteś córką Marianny Everly. Wszyscy wiedzą, kim jesteś.

Chociaż Violet nie zna nikogo – choć jest nikim. I... myślała, że to samo dotyczy Marianny. Rozpaczliwie zerka na Adelię; ma tyle pytań do zadania, a tymczasem rozmowa wymyka jej się z rąk.

Adelia przesuwając po nich wzrokiem i kiwając głową.

– Wybaczcie, ale zostawię was samych. Dzisiaj tak trudno młodym się zaprzyjaźnić.

– Proszę zaczekać, ja... – zaczyna Violet.

Ale Adelia tylko przysuwa się, żeby ją uściskać. I odejmując Violet, szepcze:

– Może już czas, żebyś zapytała wujów. Zanim będzie za późno na jakiegokolwiek pytania.

Po czym klepie dziewczynę po ręce i wychodzi.

Cisza po jej odejściu aż huczy. Violet rozpaczliwie chciałaby pójść w jej ślady, ale Caspian uśmiecha się z oczekiwaniem, ona zaś nie wie, jak uwolnić się od jego towarzystwa. Zaczyna układać twarz w kawiarnianą minę – czarującą broń przeciwko najtrudniejszym klientom – ale ta maska zsuwa się, ilekroć Violet wraca do słów Adelii.

Ich implikacje wiszą groźnie nad jej głową. Czyżby Marianna była przez cały czas gdzieś w pobliżu i po prostu nie chciała wrócić do domu? Nie, to nie może być prawda. Wujowie latami unikali jej pytań, ale nie kłamałoby w tak istotnej kwestii.

Nie zrobiliby tego.

Już ma przeprosić i poszukać wujów, kiedy tłum ludzi wpada do czytelnicy. Zatrzymują się na moment, żeby objąć Caspiana, po czym ich spojrzenia padają na Violet. Dziewczyna próbuje nie wzdygnąć się, kiedy kobieta w ciemnoniebieskiej sukni bez pleców rusza w jej stronę.

– Marianna? To niemożliwe... – Kobieta udaje opóźnioną reakcję, po czym przytomnieje. – Ależ oczywiście. Musisz być córką, Violet.

Mężczyzna w bogatym aksamitnym żakiecie odsuwa Caspiana na bok, by do nich dołączyć. Kładzie ciężką rękę na ramieniu Violet, którą ona daremnie usiłuje strącić.

– Szkoda, że nie widziałem jej w akcji. – Co prawda trzyma rękę na ramieniu Violet, ale cała jego uwaga jest skoncentrowana na kobiecie. – Słyszałem, że miała przewagę nad wszystkimi innymi uczonymi.

Inny mężczyzna w pelerynie zbliża się do nich ukradkiem.

– Nikt nie miał takiego kunsztu jak ona. Pamiętacie te wyjątkowe czasomierze, które robiła dla inżynierów? A wykonywała je bez trudu, jakby od niechcenia.

– Byłam taka zazdrosna – mówi kobieta. – Wszyscy ją kochali.

– Co za marnotrawstwo. Odrzucić to wszystko.

Pan Aksamitny Żakiet patrzy na Violet z góry, jakby dopiero teraz ją zauważył.

– Ale w twojej przyszłości dostrzegam też wielkie talenty. I z pewnością ich nie zmarnujemy, hm?

Serce Violet tłucze się w piersi jak przerażony królik. Goście osaczyli ją w rogu pokoju, a ręka mężczyzny nadal ciężko spoczywa na jej ramieniu.

Nagle ciężar ustępuje, a ręka Pana Aksamitnego Żakietu wylatuje w powietrze w żelaznym uchwycie Caspiana.

– Roy – mówi Caspian z miłym uśmiechem – wiesz, jak babcia nienawidzi, kiedy naprzykrzasz się gościom.

Pan Aksamitny Żakiet rzuca mu zabójcze spojrzenie.

– Gdybym potrzebował twojej zgody...

– Babcia oczekuje cię na górze. – Uśmiech Caspiana staje się twardy jak stal. – A może mam ją zawiadomić, że jesteś bardzo zajęty?

Pan Aksamitny Żakiet – Roy – wygląda, jakby miał ochotę nadal się kłócić, ale ze słyszalnym sapnięciem wypada z pokoju i zmierza w stronę schodów. Caspian patrzy wymownie na pozostałych gości; jeden po drugim bąkają przeprosiny i wychodzą.

– Bardzo przepraszam za mojego kuzyna – odzywa się Caspian. – Powiedzmy, że nie jest szczególnie obyty. – Spogląda na Violet. – Wszystko w porządku?

Violet próbuje wziąć głęboki wdech, ale czuje się tak, jakby wokół niej brakowało tlenu. Musi usiąść. Musi stąd wyjść.

– Szklankę wody – mówi. – Proszę.

Uśmiech wraca na twarz Caspiana.

– Oczywiście, wracam za moment. I nie martw się o pozostałych. – Zniża głos do szeptu. – Myślę, że ona ich odstraszy.

Wychodząc, wskazuje blondynkę stojącą przy drzwiach i podziwiająca półkę z książkami. Violet poznaje Penelopę. Jej suknia iskrzy się w ciepłym blasku lamp czytelnicy.

Violet czeka kilka minut – dość długo, by kroki Caspiana ucichły w głębi korytarza – po czym podchodzi do drzwi. Nie zamierza czekać na powrót

mężczyzny i pozwolić, by znowu przypomniano jej raz za razem, jak ma-
ło wie.

Ale Penelopa stoi na środku i blokuje jej drogę.

– Wiesz, ty naprawdę jesteś podobna do matki.

Normalnie Violet lubi takie porównania, ale tego wieczoru słyszała je już zbyt często i przestały jej pochlebiać. Czeka, by kobieta przesunęła się i zesłała jej z drogi, lecz Penelopa przechyliła głowę na bok z miną wyrażającą niekoniecznie ciekawość. Choć pokój jeszcze przed chwilą był jasno oświetlony, teraz pociemniał, cienie rozpościerają na podłodze pajęczą sieć.

– Przypuszczam, że po tylu latach nie wiesz, dokąd udała się Marianna.

Violet ma dość oleju w głowie, aby nie powiedzieć, że matka szuka przygód. Ale w spojrzeniu Penelopy jest coś takiego, że waha się powiedzieć cokolwiek.

– Nawet się nie domyślasz. Ciekawe.

– W cokolwiek wmieszała pani moich wujów, to sprawa między panią a nimi – mówi Violet.

Nie da tej kobiecie – tej nieznajomej – satysfakcji, że dotknęła boleśnego miejsca. Ale biegnie myślą do tamtego burzowego wieczora, gdy w ciepłej, pachnącej cedrem szafie usłyszała słowa Gabriela: Violet już nie jest tajemnicą.

Penelopa uśmiecha się, jakby wiedziała, o czym dziewczyna myśli.

– Zastanawiam się, czy o tym właśnie myślała Marianna. Powinnaś zapytać wujów, Violet Everly.

Po raz drugi słyszy to tego wieczoru. Jednak Penelopa wypowiada to z jakimś pełnym oczekiwania pragnieniem. W jej oczach pojawia się zimny błysk i przez moment cienie na podłodze gęstnieją, otaczają jej stopy niczym skrzydła.

Violet wzdryga się, wbrew sobie.

– O Mariannę?

Penelopa uśmiecha się szerzej; błyskają zęby.

– O wszystko.

Trzynasty



Violet idzie korytarzem domu, którego nie zna, otoczona ludźmi, których nie rozpoznaje, ze świata, który ledwie rozumie. Przed chwilą była przygnębiona, kiedy uczeni mówili o jej matce w sposób świadczący o dobrej znajomości z nią, o czym ona tylko czasami marzyła. Ale teraz z każdym krokiem czuje, jak w jej sercu rośnie twardy, zaciekły gniew, spychający na bok wszelkie inne uczucia.

Zapytaj swoich wujów. Jakby nie pytała ich latami. O wszystkie tajemnice, które tak desperacko przed nią ukrywali.

Violet znajduje ich, pogrążonych w cichej sprzeczce w ciemnym korytarzu, daleko od hucznej zabawy w głównej części domu. Gabriel ma chmurną minę, ale to wyraz twarzy Ambrose'a – taki mroczny – wyprowadza ją z równowagi. Po chwili uświadamia sobie, co maluje się na twarzy wuja: strach.

– A więc to jest to – mówi Gabriel.

– Mówiłem ci, że to zły pomysł – odpowiada Ambrose. – Ona ani przez moment nie zamierzała dać nam więcej czasu, Gabe. Mieliliśmy szczęście, że dostaliśmy tyle, ile dostaliśmy.

– Musieliśmy przynajmniej spróbować, a może masz lepszy pomysł, braciszku?

– Musi być coś jeszcze, co moglibyśmy jej zaoferować. Jeśli dasz mi minutkę do zastanowienia...

– Miałeś więcej niż tę cholerną minutkę. Miałeś dziewięć lat. I co, do licha, musimy dać jej w zamian? – Wyraz twarzy Gabriela staje się jeszcze bardziej ponury. – Gdybyśmy wcześniej porozmawiali z Violet...

– Ale nie porozmawialiście ze mną.

Violet wysuwa się naprzód, nie jest w stanie się dłużej powstrzymać. Furia, narastająca w niej przez cały wieczór, krąży teraz w jej żyłach. Okłamywali ją na każdym kroku. A ona nie miała pojęcia, jak daleko to zaszło.

Czy gdyby nie spotkała Aleksandra, gdyby nie dowiedziała się o uczonych, to pozostałaby w nieświadomości na wieczność?

– Kazaliście mi tu przyjść, wiedząc, że oni będą mówili o Mariannie. Ja byłam przynęta, a wy nie wyjaśniliście mi nawet dlaczego. – Głos się jej załamuje, co jeszcze potęguje jej wściekłość. – Marianna знаła tych uczonych. Czyli udała się do Fidelis? O to chodzi? Czy okłamywaliście mnie dlatego, że waszym zdaniem nie zniósłabym prawdy?

Ambrose zerka niepewnie w głąb korytarza.

– Może porozmawialibyśmy o tym w domu. Możemy...

Violet przerywa wujom.

– Teraz. Albo znajdę tu kogoś innego, kogo mogłabym zapytać.

Ambrose znowu wymienia rozpaczliwe spojrzenie z Gabrielem.

– I tak musielibyśmy jej w końcu powiedzieć, braciszku – stwierdza Gabriel.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – pyta cicho Ambrose.

– Chcę – odpowiada Violet.

Odwracając się do niej, tak znajomi, że bez trudu rozpoznała ich sylwetki w ciemnym korytarzu. Ale tego wieczoru wydają się jej obcy.

– Co to ma wspólnego z Penelopą? – pyta, trochę bardziej nerwowo, niż zamierzała.

Ambrose wzdycha i przesuwa rękami po włosach.

– Odkąd istnieje ród Everlych, istnieje też Penelopa – zaczyna powoli. – Ale to trochę bardziej skomplikowane. Nasza rodzina jest z nią związana. Zaciągnęliśmy u niej dług.

– Naszą krew – uzupełnia Gabriel, wyciągając rękę, jakby oferował coś na tacy.

Violet doznaje przelotnego, oszałamiającego wrażenia, że zapada w sen. Że szczybie się, ale nie doznaje bólu, ponieważ we śnie go nie ma. Pamięta jednak, w jaki sposób patrzyła na nią Penelopa, jak uśmiechała się z takim straszliwym głodem.

– Zabiera jednego z nas z każdego pokolenia, najbardziej utalentowanego. Takiego, który potrafi manipulować gwiazdnym metalem – dodaje Ambrose, widząc jej niepewność. – To nie dotyczy nas wszystkich. Ja nie posiadam tej zdolności za grosz, nie byłbym w stanie przechodzić pomiędzy światami.

– Ja mogę – odzywa się niespodziewanie Gabriel. – Ale Marianna była najbardziej utalentowana spośród nas, zbyt utalentowana, by uczeni mogli to zignorować. Szczególnie w sytuacji, gdy los ich miasta jest tak bardzo uzależniony od ich cholernego talentu. – Wzrusza ramionami. – Więc Penelopa ją trenowała. I to ona miała być następną z nas.

– Penelopa jest starsza i bardziej niebezpieczna, niż można sobie wyobrazić. Wielu rzeczy nie wiemy – wyznaje Ambrose. – Ale zawarliśmy pakt. Obiecaliśmy sobie, ja, Gabriel i twoja matka, że ród Everlych zakończy się na nas. Że skończy się to cierpienie. Że powstrzymamy Penelopę.

– Potem Marianna poznała twojego ojca, kimkolwiek on był, do diabła. Nie odzywała się do nas przez dwa lata, aż do dnia, gdy stanęła na naszym progu z tobą – prycha Gabriel. – Zawsze była egoistką, już jako dziecko. Brała wszystko, co chciała. I...

– Wszyscy robimy rzeczy, z których nie jesteśmy dumni, Gabe – odzywa się Ambrose ostrzegawczym tonem. – Nikt z nas nie ma czystych rąk. Gabriel milknie.

Ambrose chrząka.

– Tak czy owak, Marianna szukała w sekrecie sposobu odczynienia klątwy. Szperała w najgłębszych archiwach uczonych i znalazła... coś. Zaszifrowane pismo, może dlatego zostało przeoczone. Ale kiedy ty przyszedłeś na świat, musiała uciekać z Fidelis, zabierając ze sobą wyniki swoich badań. Widzisz, Penelopa nie miała pojęcia o twoim istnieniu. To dawało szansę zapewnienia ci bezpieczeństwa.

Violet próbuje sobie wyobrazić matkę, prześlizgującą się pomiędzy światami z dzieckiem w ramionach. Z niejakim szokiem uświadamia sobie implikację słów wuja. Urodziła się w Fidelis. W innym mieście – w innym świecie.

– Zrozumienie dokumentów, które ze sobą zabrała, zajęło jej lata, ale w końcu zdołała złamać szyfr. To była duża rzecz, Vi. Zmieniająca zasady gry. Klucz do... innego świata. Nie tego naszego i nie Fidelis, ale

jeszcze innego. Do miejsca, które może nam pomóc pozbyć się klątwy. Nic więcej nam nie powiedziała – oświadcza.

– Jakby nie mogła zaufać własnym braciom – odzywa się Gabriel pogardliwie.

Violet stoi w milczeniu, próbuje przetrwać wszystko, czego się dowiedziała. To brzmi jak zmyślane historie, a jednak zbyt wiele rozmów staje się wreszcie zrozumiałych. Jaka ja byłam głupia, myśli.

– Dziewięć lat – mówi z niedowierzaniem, przywołując uprzedni wybuch Gabriela. – Czekaliście aż dziewięć lat, żeby mi o tym powiedzieć.

Odwraca się, aby odejść, ale Ambrose robi to samo.

– Byłaś dzieckiem, kiedy ona odeszła, Violet. Co innego mogłem zrobić? To była dla ciebie tylko kolejna opowiastka. Gdybyś miała jakiegokolwiek pojęcie... nie, to byłoby zbyt okrutne. No i – dodaje z pewną niechęcią – myśleliśmy, że Marianna wróci do tej pory.

Zapada między nimi upiorna cisza.

– Więc gdzie ona jest? – pyta w końcu Violet. – W Fidelis?

Ambrose i Gabriel patrzą na siebie.

– My naprawdę nie wiemy. Taka jest prawda – odpowiada Ambrose. – Od lat nie mamy od niej bezpośredniej wiadomości.

– Penelopa ciągle jej szuka – dodaje Gabriel. – Co oznacza, że ona również nie wie, gdzie się podziewa Marianna.

– Więc gdziekolwiek teraz jest, jest bezpieczna przed Penelopą – kwituje Ambrose.

Violet czuje nagle w sercu dziwną lodowatą pustkę.

– Jeśli ona przepadła, to dlaczego wy ciągle chodzicie na paluszkach wokół tej... tej Penelopy? Co miały oznaczać te słowa: więcej czasu? Jeżeli Marianna nie wraca, to nie rozumiem dlaczego...

– Ona nadal potrzebuje kogoś z rodziny Everlych – odzywa się Gabriel tak łagodnym tonem, że na ramionach Violet pojawia się gęsia skórka. – Zostało jeszcze trochę czasu, ale już niewiele. Dlatego musimy znaleźć Mariannę. Żeby złamać władzę Penelopy nad nami.

Te portrety Everlych na ścianach. Młodzi mężczyźni i kobiety, na wieczność.

– Nie. – Violet zaczynają trząść się ręce. – To nieprawda. To nie może być prawda.

Myśli o tym, jak Aleksander wziął serwetkę między obie dłonie, pokazując jej drogę do Fidelis. Dwie strony. Magiczna i prozaiczna. Światło i cień.

Bajki... i klątwy idące za nimi.

– Posłuchaj mnie, Vi – odzywa się Ambrose z naciskiem. – Uczeni są niebezpieczni. Jak sądzisz, dlaczego tak długo trzymaliśmy cię w domu? Nie przyprowadzilibyśmy cię tutaj, gdybyśmy mieli inne wyjście. Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, rozumiesz? Gdybyś to zrobiła...

– Nie jestem wam nic winna! – Przesuwa spojrzeniem po obu wujach, z niesmakiem. – Okłamywaliście mnie. We wszystkim.

Przez połowę wieczoru starała się wrócić do wujów, a teraz wydaje jej się, że nie wytrzyma z nimi już ani sekundy. Przepycha się między nimi i wraca na przyjęcie. Niech dalej się kłóć o to, jak najlepiej utrzymywać ją w nieświadomości. Pieprzyć ich obu!

– Violet! – woła Ambrose.

Gabriel potrząsa głową.

– Zostaw ją w spokoju.

Kłątwa to zwyczajna historyjka, bajka, którą straszy się dzieci, żeby były grzeczne, myśląca zbieg okoliczności ze związkim przyczynowo-skutkowym, aby wytłumaczyć, dlaczego matka zostawia dziecko i odchodzi, nie oglądając się nawet za siebie.

Tyłu rzeczy jeszcze nie wie i może nigdy nie zrozumie. Skrytka w jej głowie, do której nawet nie zagląda, bo trudno jej to znieść – ta, w której są oczy matki i jej ciepły śmiech – otwiera się raptownie i wytryskuje z niej ból jak krew.

Violet wraca na przyjęcie, w tłum nieznanomych ludzi. Ale po mrocznych korytarzach pokój wydaje jej się zbyt jasny, a śmiech gości ostry i piskliwy. Gapią się na nią z otwartym pragnieniem, zewsząd słyszy imię padające z ich ust. Marianna. Marianna Everly. Jej córka.

Gdziekolwiek spojrzy, wszędzie są ludzie, których nie zna. Ale oni wszyscy znają jej imię. Płynny gniew zalewa jej wewnętrzną, skóra wydaje jej się za ciasna, a palce przeszywają szpilki i igły. Caspian Verne zmierza w jej stronę ze szklanką wody, którą jej obiecał, ale Violet nie jest w stanie ścierpieć myśli o kolejnej „konwersacji”.

Wypatrzyła lukę w tłumie gości, wpada w nią jak strzała i przez szerokie tylne drzwi wychodzi na zewnątrz. Latarenki oświetlają patio, rzucając

miodowy blask na płyty chodnikowe, ale resztę ogrodu spowija aksamitna ciemność, przestłonięty chmurami księżyc ma miękkie, niewyraźne kontury. Z tego miejsca przyjęcie, widziane przez ogromne, łukowate okna, wygląda jak malowidło, które ożyło. Suknie z obniżoną talią i leciutkie, tiulowe spódnice – wilki obdarzone ewidentnie kosztownym gustem.

Wilki, które znają Mariannę Everly.

Ręce Violet zaciskają się z całej siły na aksamitnej sukience, gniotą materiał.

Jakaś postać wymyka się przez tylne drzwi, żeby do niej dołączyć, i Violet sztywnieje w pierwszej chwili, zanim uświadomi sobie, kto to jest. To chyba niemożliwe, by Aleksander egzystował również poza ich cotygodniowymi spotkaniami w kawiarni – że mogliby spotykać się tak jak teraz. W przeciwieństwie do wszystkich innych tego wieczoru, z jej wujami włącznie, on jeden wydaje się taki sam jak zawsze, chociaż swój zwykły swobodny strój zamienił na odrobinę niedopasowany garnitur i eleganckie buty.

– Już myślałem, że nigdy cię nie znajdę – mówi z uśmiechem, który znika natychmiast, gdy spogląda jej w twarz. – Co się stało?

Violet już otwiera usta, żeby mu o wszystkim opowiedzieć – i zamyka je. On jest asystentem Penelopy. Więc choć nadal jest wściekła na wujów, w jej głowie odzywa się słaby dzwonek alarmowy.

– Wiedziałeś? – pyta go.

Aleksander spogląda na nią.

– O czym?

– O Penelopie, o moich wujach... o tym wszystkim. Wiedziałeś?

Ale chłopak patrzy na nią obojętnie.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi, Violet. Co się stało?

Ramiona dziewczyny opadają. Oczywiście, że on nie wie. Tylko czy to dla niej ulga, czy rozczarowanie?

– Zabierz mnie do Fidelis – mówi nagle, chwytając go za rękę.

– Co? – Aleksander mruga.

– Nie mów, że nigdy o tym nie myślałeś. Bo ja tak, każdego jednego dnia, odkąd przyszedłeś do kawiarni.

– Ja... nie mogę. – Delikatnie uwalnia dłoń z jej uścisku. – Bardzo bym chciał, ale...

– To po co to wszystko?

Aleksander znowu mruga.

– Co masz na myśli?

– Dlaczego odwiedzasz kawiarnię? Dlaczego opowiadasz mi, jak wygląda Fidelis, jak działają klucze?

Dlaczego mówi jej to wszystko, a potem zamyka jej drzwi przed nosem?

Ambrose, Gabriel, a teraz Aleksander. Do kogokolwiek się zwróci, nikt nie udziela jej odpowiedzi.

Jakiś wyraz przemyka przez twarz Aleksandra, ale znika zbyt szybko, by mogła go zidentyfikować. Potem chłopak rozkłada ręce. Violet zauważa kilka niewielkich blizn na jego kłykciach, kilka srebrzystych ranek wyglądających jak konstelacje.

– Pytałaś – odpowiada po prostu. – Pytałaś mnie, Violet, to odpowiadałem. Gdybym mógł cię oprowadzić, zrobiłbym to. – Parska śmiechem pozbawionym wesołości. – Ale tylko uczeni mogą wprowadzać odwiedzających.

– A ty nie jesteś uczonym? – dopytuje się Violet. – Czym ty się różnisz od innych osób obecnych na tym przyjęciu?

Violet zdaje sobie sprawę z tego, że go naciska. Zawsze słyszała, jak z wielkim szacunkiem mówił o pragnieniu zostania uczonym. A teraz patrzy na nią tak, jakby powoli dłubała nożem w otwartej ranie. Ale nic jej to nie obchodzi. Nie ma już kogo pytać.

Łzy dławią ją w gardle.

– Marianna przepadła. Czy gdyby to Penelopa zniknęła, gdybyś stracił swój cały świat, to nie zrobiłbyś wszystkiego, aby ją odzyskać?

Aleksander przez chwilę milczy i Violet zaczyna się obawiać, że posuwała się za daleko.

– Co to znaczy, że Marianna przepadła? – pyta cicho Aleksander.

Violet załczośnie wzrusza ramionami.

– Dokładnie to. Nikt mi tego nie powie, ale... myślę, że ona jest w Fidelis. Więc i ja powinnam się tam udać.

Ambrose i Gabriel szukali jej prawie przez dziesięć lat. Violet myśli o wszystkich wskazówkach, które pozostawiła Marianna: o książce z bajkami i bransoletkach z reweritu. Gdzie indziej mogłaby być?

Aleksander dotyka boku jej twarzy z ciepłem zaskakującym tej chłodnej nocy. Violet sięga po jego drugą dłoń i splata ich palce.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

- A ty zrobiłabyś wszystko, żeby ją odnaleźć? – pyta.
- Wszystko – szepcze Violet.
- Okej – mówi on.
- Violet podnosi na niego oczy, zaskoczona.
- Okej?
- Nie dzisiaj – mówi Aleksander, oglądając się na jasno oświetlone okna.
- Ale tak, zrobię to. Zabiorę cię do Fidelis.

ROZDZIAŁ

Czternasty



est taki jeden tydzień w roku, kiedy Fidelis odrzuca chłód i staje się odwieczne, śmiałe. Zagadkowym uśmiechem miasta. Ludzie przywdziewają gwiazdziste korony i papierowe skrzydła, szarpiają struny instrumentów, kradną pocałunki swym ukochanym i proszą o dodatkowy łut szczęścia w nadchodzącym roku.

O Błogosławieństwo Illiosa. W tym tygodniu nowicjusze są awansowani na uczonych.

Zazwyczaj Aleksander obawia się tego tygodnia. Z trudem znosi widok kolejnej gromady uczonych obnoszących się ze swymi świeżymi tatuażami i wymieniających tajemnicze uśmieszki. Nienawidzi tego, jak ich twarze zmieniają się na jego widok, bo przecież wiedzą o jego kompletnej porażce. Ale tego wieczoru jest inaczej.

Tego wieczora Aleksander zamierza ukraść klucz Penelopy.

Nigdy nie ośmieliliby się prosić Penelopy o klucz poza zatwierdzonymi przez nią wyjściami – i nie mógłby, szczególnie że tak niewzruszenie starała się odseparować rodzinę Everlych od Fidelis. „Możesz ją kusić Fidelis, ale to wszystko”, powiedziała kiedyś. Ale po miesiącach wizyt w kawiarni Aleksander znalazł wreszcie nic prowadzącą do Marianny Everly. Jeżeli zdoła zdobyć zaufanie Violet, jeśli odpowiednio to rozegra, to spełni prośbę Penelopy. Mistrzynie przekona się, że Aleksander nie przestał być użyteczny.

A jeśli doskwiera mu lekkie poczucie winy, że wykorzystuje w taki sposób zaufanie Violet – trudno, będzie mógł z tym żyć, jeżeli dzięki temu zostanie uczniem. Z pewnością nic w tym złego, jeśli oboje dostaną to, czego pragną?

Tego wieczoru pieśń gór zagłuszają przygotowania do Błogosławieństwa Illiosa. Nowicjusze i asystenci uczonych zamiast swych zwykłych zajęć odśnieżają plac, żeby płyty mozaiki lśniły. Właściciele kuźni zawieszają paciorki z reweritu, które błyszczą jak gwiazdy, podczas gdy mistrzowie budują w centrum ogromną postać skrzydlatej istoty, mamrocząc przy tym pod nosem o ukrytych w niej fajerwerkach. Kawiarnie otwierają się późno, wznoszone są stragany, wróżbici rozkładają karty, na których połyskuje jeszcze pył reweritowy z poprzedniego roku.

Zgodnie z niepisaną umową Aleksander ma tydzień wolnego, pod warunkiem że nie zadaje pytań. Penelopa nigdy, odkąd chłopak ją zna, nie uczestniczy w tym święcie, choć to taki ważny rytuał. Po prostu znika gdzieś w mieście. Aleksander nie wie, gdzie jego mistrzyni się podziewa, na pewno nie przebywa w swoim apartamencie ani w archiwum, ani w żadnym z miejsc, w których ukradkiem jej szukał. Ale pozostaje na terenie Fidelis; dwukrotnie musiał zabrać coś z jej pokoju – zapomniany notatnik, zawieruszony szalik – i widział jej klucz wiszący na haczyku.

Kiedy miał jedenaście lat i dopiero od dwóch miesięcy pełnił swą nową, bardzo wymagającą funkcję, zapytał ją, dokąd poszła. I poczuł piekący ból na policzku, zanim dostrzegł jej rękę uniesioną do drugiego uderzenia. A gdy podniósł wzrok, zobaczył gniew bogini, czystą furię. Oczy Penelopy były bładniebieskie jak lodowiec.

– Nie każ mi żałować, że cię wzięłam – powiedziała.

A więc żadnych pytań. Ale ten wieczór stwarza mu idealną okazję do kradzieży jej klucza: mnóstwo rzeczy rozprasza uwagę i dostarcza zajęcia pozostałym uczonym; Penelopa już wybrała się tam, dokąd zawsze chodzi; i – co w tym wszystkim najlepsze – to taki wieczór, którym Violet będzie zachwycona. Pomimo że sprowadzi ją tutaj w misji, a nie dla rozrywki. Normalnie denerwowałby się, że zostanie odkryty.

Ale to bez znaczenia, myśli, starając się odgonić troski. Ponieważ nikt go nie przyłapie.

Przez większą część dnia Aleksander odśnieża ulice, plecy już go bolą z wysiłku. Potem, kiedy popołudnie zbliża się ku końcowi, dołącza do pozostałych imprezowiczów, aby popracować przy ich kostiumach. Są to cieniutkie miedziane druciki zwinięte w pętle, żeby utworzyć skrzydła, do których zręcznie mocuje się pióra ze strzępów papieru, jedwabiu

i płótna. Wystarczy parę sprytnych sztuczek, by osiągnąć zadziwiająco przekonujący efekt, kreacje trzepoczą na wietrze jak prawdziwe skrzydła.

Nowicjusze zbijają się w grupę, poprawiają sobie druciane korony i wyciągają luźne nitki ze sztucznych piór z materiału. Korony są zawsze bardzo pracochłonne: złote opaski otoczone maleńkimi gwiazdkami, diademy z liści zanurzonych w srebrze, przepaski na głowę z wymalowanymi konstelacjami. Aleksander kilkoma pospieszonymi ruchami robi przepaskę dla siebie. Nikt nie podchodzi, żeby poprawić jego skrzydła albo zrobić uwagę na temat jego rękodzieła, ale jest do tego przyzwyczajony, a tego wieczoru właśnie na to liczy.

Każdego innego roku bardziej by się postarał; rzadko się zdarza, żeby Penelopa pozwoliła mu spędzić wieczór z dala od siebie, a jeszcze rzadziej, żeby nie przydzieliła mu jakichś zadań. Ale Aleksander ciągle wraca myślami do najwyższych pięter wieży uczonych i odnogi korytarzu prowadzącej do apartamentu Penelopy.

Wieczorem wymyka się z tłumu i idzie w przeciwną stronę niż ludzie zmierzający do niższych rejonów miasta, położonych za szklarniami i portami statków powietrznych. Kolejna grupa gości z farm w dolinie wysiada z wind powietrznych, połowa z nich narzeka na zimno.

Schody uczonych zazwyczaj są puste, ale tego wieczoru kręcą się jeszcze po nich uczeni, kończą pracę albo schodzą się na festiwal, już lekko podpici. Ręce Aleksandra pocą się ze zdenerwowania, więc pospiesznie wyciera je o płaszcz. Nie ma powodu przejmować się ich rzucanymi z ukosa spojrzeniami; właściwie miałby powody do niepokoju, gdyby któryś z nich uśmiechnął się do niego. A jednak czuje się tak, jakby każdy mógł przeniknąć jego myśli, gdy skręca w najwyższy korytarz prowadzący do jednego tylko apartamentu.

Pokoje Penelopy wydają się puste, kiedy jej w nich nie ma, jakby wychodząc, zabierała ze sobą meble. Bez niej to tylko szereg pomieszczeń, surowych w swej zwyczajności. Choć musiała podróżować do niezliczonych miast, nie ma tu żadnych pamiątek, bibelotów ani map. O to również ją zapytał, kiedy był młodszy, tuż przed tym, jak Penelopa opowiedziała mu historię o śpiewającym ostrzu.

– Tamten świat jest pełen pięknych przedmiotów – przyznała. – Ale to jest nieczyste, zatrute piękno. Bo oni zapomnieli o gwiazdach na niebie,

o bogach. – Potargała mu włosy z niespotykaną u niej serdecznością. – Lepiej, żebyśmy pamiętali, kim jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce. Tamten świat nie jest dla nas, mały marzycielu.

Jeżeli tamten świat nie jest dla Aleksandra, to dlaczego tak długo jest zmuszony udowodniać, że należy do tego?

Nie może spędzić reszty życia w cieniu tego wszystkiego, czym nie jest, wszelkich niedostatków, które wytykają mu uczeni. Nie pochodzi z odpowiedniej rodziny – właściwie z żadnej rodziny, jeśli to ma jakiegokolwiek znaczenie – jest nie dość wdzięczny, nie dość gotów zadowalać innych, za to aż nazbyt szybki w zadawaniu niewłaściwych pytań.

Ten przekłety głos w jego głowie powtarza: *I mają rację.*

To zmieni wszystko. Musi zmienić.

Klucz Penelopy wisi w przedpokoju przy pokoju podróжным, w kredensie. Aleksander znowu wyciera ręce o płaszcz, a potem otwiera kredens. Każdy klucz jest unikatowy, ręcznie wykuty z reweritu przez mistrza kowalstwa, obdarzonego największym talentem i umiejętnościami. Większość kluczy jest ozdobiona wymyślnymi zawijasami i żłobieniami, żyłkowana złotem i srebrem, zawieszona na naszyjnikach z bezcennymi gemmami. Na niektórych są nawet cytaty z dawno zmarłych poetów albo imiona gwiazd, które chodziły niegdyś podobno wśród śmiertelników. Ale klucz Penelopy jest prosty i zwyczajny, bez żadnych ozdób, połyskujący w świetle jak onyks.

Z sercem podchodzącym do gardła Aleksander sięga po klucz.

* * *

Na obrzeżu pierścienia gór otaczających Fidelis, których zarysu nie łągodzi nawet śnieg, znajduje się poszarpana lodowa szczelina. Przychodzenie tutaj jest surowo uzbrojone; ruiny są niebezpieczne i niejedno życie zgaśło już w lodowej otchłani, gdy runęła ukruszona ścieżka. To, co z niej pozostało, czepia się stromych zboczy klifu nad przepaścią pogrążoną we mgle. Dość często budynek wpada w szczelinę, ulegając w końcu czasowi. A dalej – już nic, tylko horyzont. Zupełnie jakby pozostałości starożytnego miasta zostały rozszczerzone na dwoje, pozostawiając pustkę w miejscu, w którym powinna być ziemia.

Penelopa stoi na resztkach mostu, wpatrując się w miejsce, w którym runął w niebyt. Kamień pod jej stopami jest wypolerowany przez czas. Wiatr wyje wokół niej, iskrzy się w nieszczelnych oparach pomiędzy jednym a drugim światem.

Miasto stoi na skraju zmian. Penelopa wyczuwa to jak ciśnienie atmosferyczne, wciskające ich w dół. Mieszkańcy Fidelis popadli w samozadowolenie w swoim małym azylu, zastąpili historię legendą, a legendę bajką. Już nic nie przypomina im, kim są naprawdę: podróżnikami, wojownikami, czcicielami bogów, którzy chodzili niegdyś pomiędzy nimi. Nic nie przypomina im o ich prawdziwym domu, tak bliskim, a zarazem tak odległym od tej słabej imitacji. Jeśli Penelopa zamknie oczy i wyciągnie przed siebie dłoń, może niemal zobaczyć nie tę połówkę, a całość: miasto, jakie powinno być, a nie tylko fragment, który jest.

No i pozostaje Marianna Everly.

Marianna, która skradła skarb wart dziesięcioleci poszukiwań i zniknęła nocą niczym złodziej, zabierając ze sobą ostatnie możliwe rozwiązanie wielowiekowego problemu.

Klucz. Taki niewielki przedmiot, a jak skomplikowało się przez to życie Penelopy.

Jednak Penelopa obserwowała wszystkie pokolenia Everlych, którzy walczyli i umierali, jeden po drugim. Wie, co mogło sprawić, by matka porzuciła dziecko i co mogło sprowadzić ją do domu. Jeżeli bracia Everly pozostaną w nieświadomości, nie poznają jej najgłębszych sekretów – cóż, nic w tym strasznego.

Niech Violet będzie przynętą, która wywabi matkę z kryjówki wraz z efektem jej poszukiwań. Niech Penelopa pochłonie je obie.

Marianna Everly mogła odwrócić się plecami do Fidelis i obietnic, jakie złożyła.

Ale nie mogła na zawsze wziąć góry nad boginią.

* * *

Violet czeka na Aleksandra w zaułku za kawiarnią. Powinien już tutaj być. Może przybiegnie trochę spóźniony. Nerwowo przesuwając rękami po ceglany murze, myśląc o swojej książeczce z bajkami i o nazwach ulic,

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

które z takim trudem wbijała sobie do głowy. Ilekroć zamyka oczy, jej mózg przywołuje obraz miasta, opierając się na informacjach zdobytych podczas rozmów z Aleksandrem.

Celowo stara się nie myśleć o Ambrosie i Gabrieli. Zignorowała nie do końca szczere przeprosiny Ambrose'a, bo oboje wiedzą doskonale, że wcale nie jest mu przykro z powodu tego, co zrobił. Gabriel już wyjechał, tchórzliwie unikając spotkania z nią, ale też zbyt obojętny, aby pozostać.

Kolor nieba zmienia się z cudownego zimowego błękitu w pastelowy oranż i róż ostatnich chwil światła dziennego. Powoli wschodzi księżyc, surowy na tle ciemności. Violet spaceruje w jedną i drugą stronę, żeby odpędzić chłód.

Róż przechodzi w fiolet, potem w indygo. Violet zaczyna drżeć, ale nadal czeka. Aż do północy, kiedy wreszcie niechętnie wyprowadza rower z zaułka, rozglądając się jeszcze za wysoką sylwetką Aleksandra, który może wyskoczyć skądkolwiek, odrywając się od tego, co go tak długo zatrzymało.

Ale on nie przybywa.

ROZDZIAŁ

Piętnasty



Następnego dnia Violet czeka na Aleksandra w kawiarni, ale chłopak się nie pojawia. Ani kolejnego dnia. Violet zaczyna się martwić, że może powiedziała coś złego – albo że w jakiś sposób zniszczyła ich przyjaźń. W końcu on nie ma wobec niej żadnych zobowiązań. Mógł znowu zmienić zdanie.

Tak mało wie o Aleksandrze, tak naprawdę wie.

W czasie przerwy na lunch Violet siedzi przy stoliku, który zaczęła uważać za ich stolik – ze wspaniałym widokiem na rzekę – i w ponurym nastroju sypie cukier do kawy. Na dworze pada deszcz, szyby w oknach zaparowały.

Na jej stolik pada cień, wysoka, szczupła kobieta siada naprzeciw niej.

– Witaj, mała marzycielko – mówi Penelopa. – Oj, nie byłaś zbyt zajęta.

Penelopa nie ma na sobie szyfonowej sukni skrzęcej się drogimi kamieniami, ale Violet rozpoznaje ją natychmiast. Rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Ale kawiarnia tętni życiem, jak zwykle, i nikomu nie przychodzi nawet do głowy, żeby spojrzeć w ich stronę. Jej mięśnie skręcają się z napięcia.

– Gdzie jest Aleksander? – pyta od razu.

Penelopa nie odpowiada. Rozgląda się, bawiąc się mieszadłem do mleka. Nie po raz pierwszy Violet uświadamia sobie, że Penelopa wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, kiedy weszła do domu Everlych. Nie zmieniła się.

– Rozumiem, dlaczego lubił tu przychodzić – odzywa się Penelopa. – To miejsce ma pewien urok, jak sądzę, pomimo swej pospolitości. Tutaj

z pewnością łatwo się rozmawia na rozmaite tematy. W końcu co znaczy jedna mała tajemnica wśród tylu plotek?

Serce Violet ściska się z niepokojem.

– Gdzie on jest?

– Obawiam się, że już tu nie wróci.

– Więc dlaczego...

– Dlaczego ja tu jestem? – Penelopa kieruje spojrzenie wprost na nią i Violet odnosi nagle wrażenie, że patrzy w przepaść. I kręci jej się w głowie. – Powiedział mi o wszystkim.

Ogarnia ją przerażenie.

– Nie. On... nie zrobiłby tego.

– Ależ zrobił.

Przez kilka ostatnich miesięcy Violet zastanawiała się, dlaczego Aleksander odwiedza jej kawiarnię, dlaczego tak chętnie obdarza ją swym swobodnym, szczerym uśmiechem i dzieli się z nią magią Fidelis. Myślała, że to przyjaźń.

Powinna być mądrzejsza.

Penelopa mruży oczy.

– Zadam to pytanie tylko raz. Gdzie jest twoja matka?

Violet czuje się tak, jakby strumień lodowatej wody spływał jej po plecach.

– Nie wiem – odpowiada.

– Dziwne, prawda? Ty nie wiesz, gdzie ona jest. Twój wujowie nie wiedzą, gdzie ona jest. Wy, ród Everlych, jesteście jak pszczoły, zawsze pracujecie razem we wspólnym celu. Zawsze staracie się ująć sprawiedliwości.

Violet wpada w panikę, stara się ściągnąć wzrokiem Matta, ale kiedy na niego spogląda, cofa się, zaszokowana. Cała kawiarnia zatrzymała się w ruchu: Matt, niosący tacę do stolika; kierownik z szeroko otwartymi ustami, rugający kogoś przez telefon; kobieta z dwójką malców, którzy zamarli z szeroko rozłożonymi ramionami. Cień Penelopy wydłuża się, krwawi na linoleum. Skóra spanikowanej Violet napina się i świerzbi.

– Twoja rodzina jest przeklęta, Violet Everly. – Penelopa wydyma wargi. – Klątwa skazuje ją na odchodzenie w ciemność, z diabłem u boku. A przynajmniej taką historię usłyszałaś od wujów, jak sądzę. Ale realnie rzecz biorąc, klątwa to właściwa kara za straszliwą zbrodnię, prawda?

Violet musi się stąd wydostać, odsuwa do tyłu krzesło – albo próbuje to zrobić. Penelopa łapie ją za ręce i przygważdża je do stolika.

– Nie ma żadnej klątwy – mówi Violet. – Jest pani szalona, jeśli pani w nią wierzy.

Przez twarz Penelopy przemyka wyraz oburzenia. Ale zaraz zastępuje go lekki uśmiech.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że klątwa nie jest prawdziwa? Że przepowiednia nigdy cię nie dosięgnie? Że krążący kosmos to tylko chemiczny abstrakt? Czy nie słyszysz śpiewu gwiazd, mała marzycielko?

Violet stara się odsunąć, jednak Penelopa trzyma ją mocno. W ustach zasycha jej ze strachu. Jej kości trzeszczą miażdżone ciężarem rąk Penelopy.

– Twoja rodzina jest mi coś winna. Krew. Powinna to być Marianna, oczywiście, ale teraz... jesteś ty. – Uśmiecha się, odsłaniając zęby jak kły. – Chciałabyś wiedzieć, co się stanie?

Penelopa mocniej naciska, przez kłykcie Violet przebiega piekący ból. Coś pęka, z jej ust mimowolnie wyrывa się krzyk.

– Zostaniesz zabrana do Fidelis, czego tak rozpaczliwie pragnęłaś. Zostaniesz doprowadzona pod eskortą do wieży, gdzie nikt nie usłyszy twojego krzyku, płaczu czy błagania o litość, co robiło wielu twoich żalonych krewniaków. I będzie wysączana z ciebie krew, tydzień po tygodniu, aż w końcu zostanie tylko trup.

– Nie – szepcze Violet.

Ale w głębi duszy zawsze o tym wiedziała. Zanim jeszcze wujowie powiedzieli jej prawdę, zanim zorientowała się, że obok jej własnego świata istnieje inny, wyjątkowy. Członkowie rodu Everlych odchodzą w ciemność ze śmiercią u boku – i nigdy nie wracają.

I ona nie wróci.

– Nie? – mruczy cicho Penelopa.

Nagle puszcza ręce Violet, zostawiając na nich długie, czerwone odciski swoich palców. Wstaje i przechodzi wśród znieruchomiałych klientów. Przez moment Violet ma nadzieję, że Penelopa zmierza do wyjścia. Ale ona zatrzymuje się przed Mattem, który patrzy przed siebie niewidzącymi oczami.

– On ma na imię Matt, prawda? – Penelopa dotyka boku jego twarzy, odgarnia jasne włosy z jego oczu. – To twój najbliższy przyjaciel tutaj. Może twój jedyny przyjaciel. Aleksander wszystko mi o nim powiedział.

Oddech więźnie w gardle Violet.

– On nie ma z tym nic wspólnego.

– Och, wiem – zapewnia Penelopa. – Ale, jak to się mówi, zobaczyć znaczy uwierzyć. Więc patrz.

Przesuwa ręką po gardle Matta. Rozlega się okropny, wilgotny, mięsisty dźwięk, po czym Penelopa cofa się, jej ręka jest śliska i czerwona. Krew tryska potężnym łukiem na podłogę. Violet próbuje krzyknąć, ale nie ma dość powietrza w płucach.

– Wujowie mogą cię chować przed światem w tym waszym domostwie – mówi Penelopa. – Mogą cię stroić i paradować z tobą jak gdyby nigdy nic. Możesz nawet do końca życia udawać jedną z nich. Ale nie zdołasz ignorować wezwania gwiazd. A kiedy słyszysz ich pieśń, musisz na nią odpowiedzieć.

Pstryka palcami i znieruchomiła kawiarnia ożywa. Przez ułamek sekundy wszystko wydaje się normalne – przez tę sekundę Violet myśli, że szkody zostaną cofnięte, że świat będzie funkcjonował, jakby nie było przerwy – a potem Matt pada na podłogę, filiżanki z kawą rozbijają się wokół niego. Wybuch chaos: ktoś wzywa pogotowie; ktoś inny mdleje; jeden z klientów głośno wymiotuje, inny zrywa się z krzesła, żeby mu pomóc. Ale Violet nie słyszy prawie nic, wszystko zagłusza jej własny puls, dudniący w uszach ze zgrozy.

Penelopa obserwuje tę scenę od progu, z całkowitym spokojem, jej ręka jest pokryta krwistą czerwienią. Nikt na nią nie patrzy.

– Wedle kontraktu masz jeszcze rok, Violet Everly. Jeśli Marianna nie zostanie odnaleziona, to ty będziesz wędrowała ze mną przez ciemność.

Szesnasty



Tego wieczoru przygniatający cień Penelopy unosi się nad domem Everlych, członkowie rodziny zbierają się w rozpaczliwej próbie nakreślenia jakiegoś planu. Z początku są rozmowy, potem, kiedy te nic nie dają, kłótnie, wreszcie zapada cisza, każdy z Everlych rozważa, jak przekonać pozostałych do swojego planu.

Potem Everly, jeden po drugim, wychodzą.

Gabriel Everly jako pierwszy. Parkuje swój paskudny drogi samochód w garażu i zdejmuje klucz z łańcuszka schowanego pod koszulą. Ten klucz, podobnie jak większość jego wartościowych przedmiotów, należał dawniej do kogoś innego, ale jego poprzedni właściciel już od dłuższego czasu nie dba o to, gdzie on się podziewa. Gabriel ogląda się za siebie, widzi w oknie sylwetki brata i siostrzenicy, po czym przekręca klucz w zamku bocznych drzwi garażu. Zamek, zepsuty od lat, nie powinien wydawać żadnego dźwięku – a jednak rozlega się kliknięcie. Niebieskie światło wypływa z obrzeży drzwi, a ze szpary pod nimi wieje przejmujący, zimowy wiatr, który okręca się wokół jego nóg.

Gabriel rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie na dom. A potem otwiera drzwi i znika.

Ambrose Everly pakuje dwie torby, które ma zanieść do bagażnika mniej efektownego – i w rzeczywistości mniej paskudnego – samochodu. Jedną torbę dla siebie, drugą dla Violet. Cel ich podróży nie istnieje na żadnej znanej mu mapie, na ostatnim odcinku będą musieli zostawić samochód i resztę drogi odbyć pieszo, ale to bezpieczne miejsce, a teraz tylko to się liczy. Przynajmniej do czasu.

Kiedy Ambrose pakuje rzeczy na górze, Violet Everly zakrada się do biblioteki. Ostrożnie, jak nauczył ją Gabriel, otwiera wytrychem zamek szuflady biurka Ambrose'a i kradnie notes. Wuj myśli, że nie zauważyła, jak zamykał się tutaj na długie godziny ani jak starannie chronił tę właśnie szufladę.

Światło księżycy lśni w szybie okiennej, kiedy Violet przegląda notes. Imiona, miejsca, numery kontaktowe. Połowa z nich przekreślona zdecydowanie czerwonym długopisem, ale kilka z obiecującymi znakami zapytania i odręcznymi notatkami Ambrose'a.

Widziałem M ostatni raz.

Kupić od niego mapę? G mówi ukrąść - niepewność.

Nie odbiera telefonu. Nowa linia? Przerazenie?

Gdzie ona jest???

Po powrocie do swojej sypialni Violet otwiera okno i wychodzi przez nie na deszcz. Nie robiła tego, odkąd była nastolatką – nie musiała – ale coś jej mówi, że wujowie nie pozwolą jej tak po prostu wyjść z domu frontowymi drzwiami. I nie może im darować tego, że zataili przed nią prawdę. Może gdyby jej powiedzieli, Matt jeszcze by żył. Może byłaby w stanie zrobić coś, poza siedzeniem w domu, bezużyteczna i przerażona.

Poprawia na ramionach ciężki plecak, wyładowany wszystkim, co tylko mogła unieść. Wytrychami, ubraniami, skradzionym notesem – i oprawioną w zielony jedwab książką z bajkami, żeby dodać sobie odwagi. Zsuwa się po rynnie, trzymając się jej kurczowo, dopóki jej stopy nie wylądują na grządce kwiatów. Deszcz pada grubymi kroplami i mokre włosy szybko oblepiają jej kark.

Nikt nie staje do walki tak jak Everly. A skoro ma przed sobą tylko rok, to musi, do licha ciężkiego, coś z nim zrobić. Koniec z czekaniem w tym pustym, szarym domu, z podsłuchiowaniem wujów i nadzieją na cud, który nie nastąpi. Koniec z wysiadywaniem.

Marianna jest gdzieś tam. A kiedy Violet ją znajdzie, zatriumfują. To nieuniknione.

W końcu kłątwy są po to, żeby je łamać.

* * *

Głęboko w trzewiach wieży uczonych znajduje się miejsce, które do uczonych nie należy. Było uszpione od wieków, nie przejmując się położonymi nad nim kamiennymi lochami, systemem kanalizacyjnym, kuchniami i łażniami, dormitoriami nowicjuszy i kwaterami asystentów – to ukryty fundament wielowarstwowego organizmu. Możliwe, że pojawiło się niegdyś na planach architektonicznych albo w najstarszych zapiskach przechowywanych w archiwach. Ale te materiały były, jeden po drugim, odnotowywane jako zaginione, mieszczące się w niewiadomym miejscu lub zniszczone, więc właściwie nie pozostały żadne ślady. Nawet stróże nocni w służbie wieży uczonych, którzy zaszywają sobie usta, a ich skórę pokrywają tatuaże z wiernopoddańczymi napisami, nie wiedzą o tym pomieszczeniu.

Światło tu nie dociera. W powietrzu unosi się zapach stęchlizny z nutką rozkładu. Grunt to górski kamień, śliski i żyłkowany szarozielonymi lizajami. Ściany sugerują jednak, że to pomieszczenie było kiedyś znane. Wzdłuż ścian tańczą namalowane czerwoną farbą albo krwią figuarki, kołyszące się w misie, być może w słońcu, bo wystrzeliwują z niej na wszystkie strony wrzeczona.

W najciemniejszej części tego już i tak mrocznego pomieszczenia znajdują się drzwi, a raczej to, co z nich pozostało. Wykute z reweritu, w niektórych częściach grube jak skała, w innych cieniutkie jak papier. Nad drzwiami biegnie inskrypcja, niewiele różniąca się od delikatnych prążków i prawie nieczytelna nawet dla tych, którzy znają język martwy od stuleci. O dziwo, choć są to ewidentnie drzwi, to nie ma w nich dziurki od klucza – tylko dwie żelazne, rozpostarte dłonie, jak gdyby czekające na ofiarę.

Przez dłuższy czas Penelopa siedzi na kamiennej podłodze z czołem opartym o chłodny metal drzwi. Przesuwa rękami po inskrypcji, którą jej palce dawno zapamiętały, choć zapisana jest w języku, którym Penelopa nie mówi już na głos. Ten język, podobnie jak świat, do którego należy, kryje się za tymi drzwiami. Nie ma innej drogi do domu; jeśli istnieje bardziej okrutna kara, to Penelopa nie potrafi jej wymyślić.

Początkowo wierzyła, że za nimi będzie mogła usłyszeć śpiew, znajome nucenie swego rodzeństwa, które sprawiało, że płakała z pragnienia. Potem ono ścisnęło, ograniczyło się do brzdąkania w jej kościach. Teraz nie słyszy już nic.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Ale pamięta ten dźwięk tak dobrze, jakby słyszała go przed pięcioma minutami, jakby nadal dobiegał spod drzwi.

Dużo pamięta z tamtych dni.

Pewnego dnia te drzwi staną otworem. I ona pierwsza przestąpi ich próg.

A nie Marianna Everly.

CZEŚĆ
DRUGA



Stara historia



Jeśli istnieje bogini, którą czcili, to właśnie ona.

Mówiono, że zrodziły ją gwiazdy. Że była tak piękna, iż samo patrzenie na nią sprawiało ból, a jeśli trwało zbyt długo, można było oślepnąć. Że była potężna i prawdziwa, że dzierżyła karę i łaskę jak dwa miecze boskiej sprawiedliwości.

Z gwiazd przyniosła rewerit, pierwiastek bogów. Nauczyła nielicznych utalentowanych posługiwania się nim, obrabiania go na kowadłach z paladaju i kobaltu. Wokół kuźni wyrosło miasto. Wyrzeźbiono wrota z reweritu pomiędzy światami i zapraszano obcych obdarzonych talentem posługiwania się boskim metalem, by do nich dołączyli. A gdzie wędrowcy postawili swoje bagaże, aby zamieszkać tu na stałe, w ciągu jednej nocy wyrastały pobielone budynki, wzniesione na starożytnych fundamentach tak, że z daleka miasto wyglądało jak wielowarstwowy tort weselny. Kuźnie kwitły i nocą ich paleniska świeciły niczym gwiazdy.

Łapaczka snów spoglądała na to z satysfakcją, jej plan działał, jak sobie wymarzyła: powstało miasto marzycieli – przycinane i pielęgnowane jak ogród, od czasu do czasu plewione z zagrożeń, rozkwitające pod jej troskliwym dotykiem.

Ale potem wydarzyło się coś, czego nie miała w planach.

Zakochała się.

On nie ma imienia ani twarzy – olśniewającej czy wręcz przeciwnie. Niektórzy twierdzą, że był śmiertelnikiem; inni obstają przy tym, że on również był spokrewniony z gwiazdami. Większość zgadza się co do jednego: że miał w rękach fach, i ta biegłość w rzemiośle ją w nim pociągała.

I choć on o tym nie wiedział, to trzymał jej serce na łańcuchu, a ona uświadomiła sobie, że jest wyczulona na każde szarpnięcie, które go od niej oddala, na każde poluzowanie, oznaczające, że jest blisko.

W końcu złożyła wizytę w jego kuźni. Przez pewien czas obserwowała go tylko przy pracy, przyglądała mu się biernie. Ale z czasem zaczęła wprowadzać go w najgłębsze tajniki obróbki reweritu, dotychczas pozostające jedynie w posiadaniu istot takich jak ona. Uczyła go, jak tworzyć galaktyki w szklanych butelkach albo drogocenne pozytywki grające syrenią muzykę gwiazd. Jak wykuwać ostrza z reweritu, które nigdy nie tępieją i nie łamią się przy żadnym nacisku. Jak otwierać przejścia do innych światów kunsztownymi kluczami lśniącymi na łańcuszkach. I przez cały ten czas jego serce czuło natarczywe wezwania jej serca.

Powiada się, że jego ręce były nadal pokryte reweritem, gdy nie mogąc już dłużej się opierać, objął jej talię i uda tak, że jego palce pozostawiły ślady na zawsze wytatuowane na jej skórze. Powiada się, że wciągnął ją do paleniska i kochali się wśród płomieni jak eteryczne istoty z pradawnych czasów. Albo – w wersji twierdzącej, że był śmiertelnikiem – że zaprowadził ją do swego łóża zaścielonego ręcznie szytymi prześcieradłami i miękkimi poduszkami i sprawił, że poczuła się człowiekiem, jak nigdy przedtem i nigdy potem. A potem uśmiechnął się do niej tak, że w kąciakach jego oczu pojawiły się zmarszczki – takiego uśmiechu nie widziała przez całe życie.

W kuźni, na jego łóżku, wyszeptano:

– To pozostanie wyłącznie naszą tajemnicą.

Minął jakiś czas, pobrali się w sekrecie, zanurzając ręce w reweritowym pyłe, aby w miękkim zagięciu ich ramion pojawiły się delikatne tatuaże: znak wierności i miłości. I żyli tak przez rok i jeden dzień. Przy księżycu rozpaleni i półprzytomni z namiętności, za dnia byli wypaleni i przydymieni. Ich małżeństwo zaowocowało dzieckiem o zręcznych rączkach i ciekawskich oczkach, w którego serduszku rozbrzmiewała muzyka gwiazd.

Ale nic nie trwa wiecznie.

Nadszedł dzień kłótni i rozliczeń. Może on się zestarzał i zobaczył, że ona się nie starzeje. A może łapaczka snów z fatalną dalekowzrocznością dostrzegła kres tego wszystkiego i zapragnęła zachować go takiego, jaki

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

był. Może on zapragnął dziecka, które nie miałyby boskiego dziedzictwa. Może doszło do niewierności z jej strony – albo jego. A może była to klątwa samych gwiazd.

Istnieje wiele możliwości.

Ale w rok i jeden dzień po ich sekretnym małżeństwie w łapaczce snów narosła furia, której nie była w stanie dłużej powstrzymać. I rozszarpała ich świat. Powygiętała ulice, zburzyła domy. W jednej chwili zniszczyła życie, rozdarła miasto na dwoje.

Ci, którzy mogli uciec przez przejścia, zrobili to, a ich dary rozsypały się jak popiół po tysiącach światów. I zapomnieli swych umiejętności albo nie udało im się ich przekazać, w jednej chwili zaginęła historia wielu pokoleń.

Łapaczka snów. Połykaczka gwiazd. Niszczycielka miasta.

Niektórzy mówią, że postradała rozum i w końcu, w rozpacz, wróciła do gwiazd, a jej łzy zamieniły się w konstelacje. Inni powiadają, że nadal pozostaje uwięziona w mieście i utraciła głos po tysiącletnich krzyku. Większość jednak wierzy, że błąka się po niezliczonych światach, nieśmiertelna i niewzruszona, mając w sercu tylko wściekłość i zemstę.

Inna wersja tej historii sugeruje, że mężczyzna również wędruje po świecie, jej furia uczyniła go nieśmiertelnym, jeśli w ogóle był przedtem śmiertelnikiem. I to jego poszukuje łapaczka snów, bo jej serce ciągle należy do niego. Nikt nie wie, czy robi to, żeby zelżało napięcie łańcucha, czy żeby całkiem go zerwać.

Siedemnasty



Violet Everly, uzbrojona w skradziony notes i upartą nadzieję, rusza na łowy.

Takie myślenie pomaga. W końcu polowanie to rodzaj przygody, prawda? I zawsze kończy się odnalezieniem: świętego Graala, miecza, klucza. Kobiety, która rozwiła się w powietrzu dziesięć lat temu, wystawiając córkę za cel.

To właśnie powtarza sobie Violet na obskurnych stacjach kolejowych, na ciemnych ulicach, pod daszkami przystanków autobusowych, ociekającymi deszczem. Mając sfatygowany notes za przewodnika, przemieszcza się pomiędzy rozlicznymi krajami, jakby paszport wypalał dziury w jej kieszeniach, i wydaje majątek Everlych na bilety. W Rzymie dowiaduje się, że jej matka była skryta i zmęczona podróżą. W Akrze jej kontakt okazuje się starym przyjacielem Gabriela i rozpoznaje jej bransoletki. W Bombaju nastolatek wykrada się z domu w środku nocy, żeby wręczyć jej nową listę nazwisk i adresów do sprawdzenia. „Wyglądasz tak samo jak ona”, powtarza raz za razem. Ale zdarza się i tak, że Violet przybywa do pustych domów, do mieszkań z zamkniętymi okiennicami, do ludzi, którzy nie chcą jej wpuścić.

– Żadnych cholernych Everlych, dzięki! – wrzeszczy mężczyzna w Melbourne przez otwór w drzwiach na pocztę. – Powiedz Mariannie, że może się pieprzyć.

Czasami Violet zatrzymuje się nagle na prostej drodze, wśród tłumu przechodniów, uderzona jakimś drobnym szczegółem. Znajomym śmiechem. Ciemnowłosym mężczyzną w oknie wystawowym, którego odbicie

jest zniekształcone przez szkło. Odgłosem przekręcanego w drzwiach klucza albo osobą znikającą w tłumie.

Za każdym razem powtarza sobie, że nie warto się za nim rozglądać, że to on opuścił ją, na polecenie potwora. Bywają dni, kiedy Violet opiera się pokusie i potem godzinami zastanawia się, czy nie powinna ulec; a są takie, kiedy ulega i się rozgląda, a potem, gdy spogląda w oczy nieznanego, jest jej głupio. Czuje jednak mrowienie między obojczykami, słyszy kroki towarzyszące jej krokom. I ciągle ma niepokojące wrażenie, że jest obserwowana.

Rok szybko mija. Pozostaje sześć miesięcy, potem trzy.

Ambrose zostawia jej długie, pełne paniki wiadomości głosowe, błaga, żeby wróciła i zgodnie z jego planem ukryła się w bezpiecznym domu. Violet ignoruje je, podobnie jak lakoniczne esemesy Gabriela, mówiące, że jest skończoną idiotką. Jeśli nachodzi ją pokusa, by odpowiedzieć, wystarczy, że przypomni sobie, jak na nią popatrzyli, gdy zapytała o Fidelis. I ich kolejne kłamstwa, dopóki istniała szansa, że w któreś z nich uwierzy.

A ona w te kłamstwa wierzyła, bez zastrzeżeń, całkowicie. I tego im nigdy nie wybaczy.

Potem nieuchronnie pojawiają się uczeni. Violet poznaje ich nazwiska, ich niekończące się swary i zmieniające się sojusze. Że mówienie o Matsudach przy Perdaudach to prowokowanie bitki na pięści, że Hadleyowie nie bez powodu zatrudniają ochroniarzy, podczas gdy Quintrellowie są pogardzani przez niemal wszystkich, łącznie z własną, szeroko rozgałęzioną rodziną. Że Marianna poruszała się między rodzinami jak wytrawny polityk i wyczuwała zdradę jak zawodowy szpieg.

Nikt nie wie, czy jej matka znalazła to, czego szukała, ani dokąd potem się udała. Zupełnie jakby Marianna Everly przekroczyła barierę pomiędzy światami i zniknęła, zabierając ze sobą wszelkie ślady swej podróży.

A Violet czuje się tak, jakby czas dyszał jej nad uchem, przykładając nóż do gardła. Zostało już tylko sześć tygodni, może na palcach odliczać czas, który może roztrwonić albo wykorzystać mądrze, jak ciężko zdobyte oszczędności, które wydaje, ponieważ nie ma innego wyjścia. Cichutki głosik podpowiada, że teraz, skoro jest tak mała szansa, że Violet zdoła przeżyć, powinna zrezygnować z poszukiwania Marianny i zaufać, że matka znajdzie rozwiązanie.

GEORGIA SUMMERS

Albo... że tylko to jej zostało. I nawet jeżeli nie będzie mogła usłyszeć melodii gór Fidelis, to powinna przynajmniej zobaczyć cokolwiek, zanim nadejdzie ostateczny termin i pochłonie ją cała.

Czas, jak Violet się przekonała, ma uśmiech Penelopy.

Osiemnasty



Pod nocnym niebem Nowego Jorku Violet wybiera się nieproszo-
na na przyjęcie. Ściślej mówiąc, wykorzystuje skradzione zapro-
szenie i idzie w pożyczonej sukience uszytej niezaprzeczalnie na
kobietę wyższą, o większym biuście. Od czasu do czasu ogląda się za sie-
bie, zerka na jasno oświetloną ulicę, żeby się upewnić, że nikt jej nie ob-
serwuje, i poprawia okropnie drapiącą, czarną perukę, pod którą ukrywa
swoją prawdziwy kolor włosów. Ale na tym właśnie polega piękno Nowego
Jorku: anonimowość jest tutaj prawem człowieka.

Kocha w tym mieście również inne rzeczy: wspaniałe teatry, liczne re-
stauracje i miejsca z jedzeniem na wynos, a nawet to, że drapacze chmur
zdają się podtrzymywać niebo jak architektoniczni Atlasi. Podziwia brud
pod paznokciami i to, że ludzie przesuwają po niej wzrokiem jak po ko-
lejnej osobie bez twarzy. Gdyby spędziła tu kilka miesięcy, mogłaby każ-
dego dnia robić co innego i nigdy się nie nudzić. Muzea! Galerie! Nie-
kończące się spaceru po Central Parku.

Gdyby tylko miała do dyspozycji kilka miesięcy.

W bardziej przyzwoitych godzinach ten budynek to doskonale prosperu-
jąca księgarnia, tłumnie odwiedzana przez turystów, którzy pozują na tle
krzykliwych pamiątek, oraz pary, wypisujące wyznania miłosne na tablicy
zawieszanej na ścianie. Fotki online są pełne komentarzy na temat eklek-
tycznego, ale doskonałego ustawienia książek, przepysznej gorącej czekolady
serwowanej w przyległej kawiarence, ręcznie malowanych gwiazd na suficie
układających się w konstelacje. Prawdziwa atrakcja dla miłośników książek,
przeczytała Violet na rozmaitych blogach podróżników. Obowiązkowo!

Odwiedziła ten budynek już poprzedniego dnia, starając się nie rzucić zbyttnio w oczy na tle innych przeglądających książki ludzi. Księgarnia całkowicie zasługiwała na superlatywy w internecie i w innych okolicznościach Violet spędziłaby tu wiele godzin. Wydawała się tak cudownie zwyczajna, jeśli pod tym słowem rozumie się: skierowana do turystów z kamerami w rękach. To rzeczywiście urocza księgarnia.

Tego wieczoru księgarnia jest jednak zamknięta, odbywa się w niej prywatna impreza. Brakuje wyjaśnienia, jakiego rodzaju, ale Violet dowiedziała się z dobrego źródła, że to kolejne wieczorne spotkanie uczonych, podobne do tego, jakie wydała Adelia Verne. Tylko tym razem gospodynią jest Yulan Liu, która sama właściwie nie jest uczoną, tylko jedną z wielu osób obracających się w ich orbicie. Yulan Liu sprzedaje książki antykwaryczne, a ma oko do okazów rzadkich i zdobywanych nielegalnie. I jeśli Violet dobrze dodała dwa do dwóch, to w jej posiadaniu znajduje się pewna szczególna mapa – mapa wskazująca drogę do obiektu stanowiącego odpowiedź na jej pytania. Przypuszczalnie.

Kobieta z Akry – ta, która rozpoznała bransoletki Violet – powiedziała, że właśnie tej mapy szukała Marianna, kiedy widziała się z nią ostatnio, zaledwie kilka miesięcy temu. Violet najpierw długo łajała się w duchu, że nie przyjechała tutaj wcześniej i rozminęła się z Marianną niemal o włos, a potem skoncentrowała uwagę na mapie. To może się wydawać myśleniem życzeniowym, ale Violet zdążyła się już zorientować, że jeśli chodzi o uczonych, to bardzo niewiele jest życzeniowości.

Więc prostuje się, wygładza trzymane w ręku zaproszenie i przywołuje na twarz wyraz, mówiący: moje miejsce jest na tym przyjęciu. Ochroniarz przy drzwiach sprawdza wchodzących gości.

– Juliet Green? – pyta, spoglądając na zaproszenie.

Violet rzuca mu najbardziej ujmujący uśmiech i modli się, by peruka okazała się wystarczającym przebraniem.

– We własnej osobie.

Jedną z wielu lekcji, jakie odebrała w ostatnim roku, jest to, że Marianna narobiła sobie wielu wrogów wśród uczonych. Kilku z nich na pewno tu dzisiaj będzie – dlatego właśnie przebrała się za Juliet Green, pewną podrzędną uczoną o umiarkowanym talencie i bez koneksji rodzinnych, więc nikt nie powinien zwrócić na nią uwagi.

Ochroniarz ją przepuszcza. Światła są przyćmione, fioletowe wstęgi rozpostarte między stołami pełnymi książek prowadzą na tyły księgarni. Ludzie już zbierają się w grupki, rozmawiają ze sobą, wytatuowani goście ze spinkami do mankietów i kolczykami w formie klucza mieszają się z pozbawionymi takich ozdób, którzy wyraźnie czują się nieco mniej komfortowo. Violet przychodzi na myśl oklepana metafora o wilkach i owcach. Zastanawia się, do której grupy należy ona sama – po roku, który ma za sobą.

Violet podążyła po wijących się jak węże dywanach, mija kilka nieczynnych punktów kasowych i wchodzi na górę po dwóch skrzydłach schodów z rozwieszonymi na ścianach zdjęciami sławnych, nieżyjących już pisarzy. Podwójnych przeszklonych drzwi na podeście trzeciego piętra pilnuje dwóch zdecydowanie bardziej onieśmiałających ochroniarzy. Grube, ciemnoczerwone kotary zasłaniają pokój przed wścibskimi spojrzeniami. Nie ma się czego obawiać, a jednak ręce Violet są mokre od potu.

Podaje swoje zaproszenie i tym razem ochroniarze przyglądają mu się uważniej. Ręce Violet są coraz bardziej spocone.

– Juliet Green – oznajmia, jakby wystarczyło głośno wypowiedzieć to nazwisko, podając je za własne, żeby zasypać przepaść pomiędzy kłamstwem a prawdą.

Po kolejnej dręczącej sekundzie ochroniarze wpuszczają ją do środka, rozsuwając aksamitną kotarę.

– Miłego wieczoru – mówi za nią wyższy ze strażników.

Pokojowi, który Violet ma przed sobą, daleko do sklepu na dole, pełnego bibelotów dla turystów, bestsellerów w błyszczących, twardych okładkach i tanich broszurek z drugiej ręki z podniszczonymi grzbietami. Ta sala bardziej przypomina bibliotekę w domu Everlych, tylko jest dwa, trzy razy większa i ma wysoko zawieszony sufit. Rzadkie egzemplarze książek, pamflety i zwoje są wyeksponowane w gablotach i podświetlone reflektorami, żeby goście mogli je podziwiać. Ten, kto dekorował tę salę, musiał mieć krwiożercze upodobania, ponieważ wszystkie wolne od półek z książkami ściany są przyozdobione złowieszczo wyglądającą, ostrą bronią oraz portretami mężczyzn stanowiących zagrożenie dla nieszczęsnych zwierząt. Kwartet smyczkowy wygrywa gościom serenady spod posągu skąpo ubranego mężczyzny z martwym kozłem przeruconym przez ramię.

Violet stoi na obrzeżu z drinkiem w ręku i przygląda się gościom. Mężczyźni i kobiety, przeważnie starsi od niej, rozmawiają w niewielkich grupkach. Najwyraźniej wszyscy się znają. Zauważa dwie osoby, które widziała już na poprzednich przyjęciach – to uczona i jej zwalasty jak dom ochroniarz; Violet na próżno wysila mózg, żeby przypomnieć sobie ich nazwiska, i notuje w pamięci, żeby ich unikać. Nagle w tłumie migają jej blond włosy i serce Violet przestaje na kilka sekund bić – ale kiedy kobieta się odwraca, ma dłuższy nos i wypłowiałe, zielone oczy.

To nie Penelopa. Nie żeby Violet spodziewała się jej obecności.

Ale mimowolnie wypatruje w tłumie innej znajomej twarzy. O ostrej linii szczęki i ciemnych lokach opadających na nieprzeniknione oczy. Z całą pewnością nie powinna tej osoby szukać, a szybki przegląd obecnych w sali upewnia ją, że Aleksandra tu nie ma. I choć nie powinna czuć z tego powodu rozczarowania, to coś ją dławi głęboko w gardle.

Nie przyszłaś tu po to, żeby o nim myśleć, napomina się Violet surowo. Oglądała zdjęcia Yulan w internecie, więc wie, że nie ma tutaj nikogo, kto by ją przypominał. Nie pozostaje zatem nic innego, jak szukać jej dalej.

Przechodząc przez pokój, słyszy odgłosy prowadzonej aukcji, licytator wywołuje tak absurdalnie wysoką sumę, że Violet odruchowo podwaja stawkę. Książeczka w jego rękach to cienka, podniszczona broszurka w prostej okładce rozerwanej na grzbiecie, ale intensywna cisza panująca w pokoju wskazuje, że to pozycja nie tyle cenna, ile bezcenna. I wszyscy, którzy próbują ją nabyć, o tym wiedzą.

Violet zebrała już do tej pory dość informacji o uczonych, żeby rozumieć, iż ich środowiskiem naturalnym są: nielegalne dobra, szampan w kryształowych kieliszkach, tajemnicze uśmiechy i ukradkowe szeptki. Wykwint, wypływający z absurdalnego bogactwa, płynącego z handlu prowadzonego przez ludzi stąd i z Fidelis; Violet bez trudu może sobie wyobrazić, co ktoś byłby skłonny dać w zamian za wgląd w prawdziwą „magię”. Chwyta fragmenty rozmów toczonych wokół niej.

– ...poczynając od dwóch milionów dolarów za popiersie Nemetora z nietkniętym znakiem rzemieślnika, podobno ze starego miasta uczonych...

– ...Goro Matsuda powiedział, że gorzała była zatruta, ale ja jestem całkiem pewien, że to tylko jadalny brokat...

– ...jest asteria dostępny dla nas wszystkich, widziałaś? Po schodach na górę, na najwyższym piętrze...

Ostatnie słowa sprawiają, że Violet się zatrzymuje. Nie po raz pierwszy usłyszała o kartach asteros czy o asteriach, którzy je czytają.

Zaintrygowana podąża za zasłyszczanymi wskazówkami i kieruje się ku krętym schodom w najdalszym kącie sali. W jej głowie rozbrzmiewa coś jakby brzdęk kasy sklepowej, przypominający o tym, że opłacony czas już się kończy. Ale nigdzie nie może znaleźć Yulan, a poza tym – co złego w odrobinie zwiedzania? Od dawna nie zdarzyło jej się pofolgować ciekawości, więc na myśl o występnej rozkoszy ukradzenia pięciu minut wyłącznie dla siebie aż dostaje gęsiej skórki na ramionach.

Najwyższe piętro okazuje się ogromną szklaną kopułą, czymś w rodzaju szklarni, tylko bez większej ilości zieleni. Gołe żarówki, starannie rozwieszane na mocnych drutach, przesłaniają nocne niebo setkami małych światełek, które kołyszają się na niewidzialnym wietrze i płoną jak meteory. Tutaj jest znacznie ciszej, prawie nie słychać szumu toczonych niżej rozmów.

Na końcu pomieszczenia, wśród paproci, został rozbity namiot. To jedyne ciemne miejsce. W pierwszej chwili Violet wydaje się, że nikogo w nim nie ma, ale z wnętrza dobiega głos.

– Proszę, zostań na czytanie. – Męski głos.

Violet waha się, pomimo zaciekawienia, ale w końcu daje nura pod namiot. Po rżęsiście oświetlonej szklanej kopule niemal nie sposób tu cokolwiek zobaczyć. Widzi tylko zarys mężczyzny, ostrą krawędź stołu – i talię kart. Asteria i jego asterosy.

– Usiądź – komenderuje asteria i Violet wykonuje polecenie.

Mężczyzna rozkłada przed nią karty asteros. Ich rewersy lśnią znajomo, rozbłyskują złotymi iskierkami. Szata graficzna, z płynnymi liniami i jedwabistymi zaokrągleniami, przypomina secesyjny mural, który Violet widziała w Met*.

– Możesz wybrać trzy asterosy – odzywa się mężczyzna. – Kogokolwiek wybierzesz, naświetli twoją terażniejszość i będzie ci towarzyszył w przyszłości.

Violet odwraca pierwszą kartę. To kobieta w długim płaszczu, który spływa na ziemię u jej stóp, w rękę trzyma latarnię, jedyny jasny punkt

* The Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku (przyp. red.).

w morzu ciemnych barw. Spod nóg kobiety rozchodzą się matowe, srebrne linie.

– To Erriel, gwiazda zaginionych – wyjaśnia asteria.

Astrale zamiast arkanów. Violet bardzo niewiele o nich wie, ale o ile zdołała się zorientować, astrale to dla uczonych rodzaj bogów czy świętych.

– Szukasz czegoś bardzo dla ciebie ważnego, jak mi się zdaje, ale możliwe, że zrobiłaś fałszywy krok. Erriel oświetli twój cel, jednak nie może ci zagwarantować, że będziesz z tego zadowolona.

Następna karta przedstawia dwóch nagich, obejmujących się mężczyzn, których ciała oplatają cierniste gałązki. Każdy z nich trzyma nóż w ręce niewidocznej dla drugiego. Ich rozchylone usta dzielą zaledwie milimetry. To tylko obrazek, ale jest w nim taka zmysłowa tęsknota, że Violet się rumieni.

– Interesujące – mówi asteria z lekkim uśmiechem. – Tullis i Berias, astrale miłości i zdrady. Jesteś rozdzierana konfliktem, który może zostać rozwiązany na wiele sposobów. Ale wymaga poświęcenia. Masz wiele do stracenia. Może zbyt wiele.

„Jeśli Marianna nie zostanie odnaleziona, to ty będziesz wędrowała ze mną w ciemności”. Violet przełyka ślinę.

Ostatnia karta przedstawia wysoką, królewską kobietę, z jasnymi włosami, które otaczają ją jak aureola. Za plecami ma stylizowane rozłożone skrzydła, namalowane kilkoma pociągnięciami pędzla. Dłonie kobiety zaciskają się na rękojeści miecza wbitego w jej serce. Przez chwilę ani Violet, ani asteria się nie odzywają. Im dłużej Violet wpatruje się w kartę, tym bardziej twarz kobiety przypomina czaszkę, a jej oczy puste jamy.

– Ach – mamrocze w końcu asteria.

Violet sięga po kartę i odwraca ją awerssem do dołu; nie może dłużej znieść widoku tej kobiety.

– Co oznacza ta karta?

– Nie co, a kogo – poprawia ją mężczyzna. – Astriadę, astral zniszczenia. – Wróżbita sięga po aksamitny woreczek ściągany sznureczkiem i potrząsa nim, ale woreczek jest pusty. – Nie dołączam jej zwykle do talii; musiała sama przyłączyć się do kart.

– Astral zniszczenia – powtarza Violet. – To brzmi... mało pomocnie.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Wbrew rozsądkowi ponownie sięga po kartę Astriady i podnosi ją do światła. Coś w tej pełnej smutku twarzy, w rękach zaciśniętych na rękojeści miecza sprawia, że kobieta wygląda jak manifest spustoszenia.

Asteria spogląda na Violet z powagą.

– Ta karta oznacza klątwę.

Dziewiętnasty



Violet chwiejnie schodzi na dół, w światła imprezy. W głowie jej się kręci po tym czytaniu kart, choć asteria nie powiedziała nic, o czym by już nie wiedziała. Spustoszenie, klątwy, zdrada... i poświęcenie. Ale kiedy zobaczyła to przed sobą na stole, poczuła oszołomienie. To był zły pomysł, uznała poniewczasie.

Przecież wie, że zostało jej tylko sześć tygodni. I że nie ma pojęcia, co robić. Że jej matka, praktycznie rzecz biorąc, jest duchem. Nie potrzeba talii kart, żeby to odkryła.

Violet nie wie, jak długo była z asterią – może pięć minut, a może godzinę – ale przyjęcie zmieniło się pod jej nieobecność, jakby się zdegenerowało. Puste kieliszki po szampanie stoją na półkach z książkami, a niejeden gość zmierza chwiejnie do splądrowanych stołów z kanapkami, na których pozostały głównie opakowania i okruchy. Aukcja, obok której poprzednio przechodziła, nadal trwa, ale nastrój wyraźnie się zepsuł. Stawki są bardziej przemyślane, a porażki bardziej gorzkie. Kwartet smyczkowy został zastąpiony muzyką jazzową, płynącą z głośników umieszczonych nad głową. Violet znowu rozgląda się w tłumie za Yulan, ale w sali jest zbyt wiele osób i za dużo hałasu, żeby mogła się skoncentrować.

Podchodzi do niej mężczyzna w czarnej, jedwabnej koszuli i aksamitnej marynarce, z niedbałym wdziękiem, którego Violet nie cierpi, opiera się o regał. Ale pod poczuciem zazdrości kryje się również odrobina ulgi; wreszcie jakaś znajoma twarz na tym przyjęciu, nawet jeśli to ktoś, komu nie całkiem ufa.

– Juliet – mówi mężczyzna, unosząc brew.

– Caspian – odpowiada Violet.

To niemożliwe, żeby przez rok ścigać uczonych i nie natykać się od czasu do czasu na te same osoby. Jedną z najczęściej przez nią spotykanych był Caspian Verne, angielski drań i złodziej. Violet wpadła na niego kilka miesięcy temu na podobnej imprezie w Nowosybirsku, a potem znowu w Melbourne. I Caspian oczywiście rozpoznał ją po tamtym nieszczęsnym wieczorze w domu Adelii Verne. To on wspomniął jej o tym przyjęciu.

– Widzę, że zrobiłaś użytek z mojego zaproszenia. – Caspian lekko postukuje palcem w brzeg regału. – Nie rozumiem tylko, dlaczego nie przyszłaś tutaj pod własnym nazwiskiem. Zyskałabyś większą uwagę.

– Nie taką, na jakiej mi zależy. Zresztą – dodaje Violet, unosząc brew w jego stronę – myślałam, że to impreza tylko dla uczonych?

– Oj tam – odpowiada Caspian, bynajmniej nie urażony. – Jestem Verne. Byłby skandal, gdybym się tutaj nie pojawił.

To kolejna dziwna sprawa, jeśli chodzi o Caspiana. Potomek najbardziej wpływowej rodziny uczonych, ukochany wnuk wyjątkowo szacownej mistrzyni – a jednak on sam nie został uczonym. Jego miejsce zajmuje uzurpator, jakiś karierowicz, nikt, przynajmniej tak słyszała. Zaklinowany pomiędzy obu światami jak ona.

– Jak idą poszukiwania twojej matki? – pyta cicho Caspian.

Violet zerka na niego z ukosa, nagle czujna. Gdyby Caspian nie był w tak bliskich kontaktach z uczonymi, mogłaby go uznać za przyjaciela. Mogłaby wydobyć z niego trochę więcej informacji. Ale przekonała się, że pomimo rozplotkowania środowiska uczonych miejsce pobytu Mariany to temat zakazany. Wskutek ingerencji Penelopy, bez wątpienia. Została wygnana, powiedział ktoś, za zdradę naszych tajemnic. I ostrzeżenie: niech nikomu nie przyjdzie do głowy pomagać jej córce.

Więc Violet może naciskać, ale niezbyt mocno. A już i tak cholernie mocno nacisnęła, samą swoją obecnością na tej imprezie.

– Poszukiwania w toku – odpowiada w końcu. – Jak się ma twoja babcia?

– Jak zwykle. Wścieka się na radę uczonych z powodu jakiejś bzdury. I desperacko pragnie mnie ożenić, żebym wyprodukował stadko utalentowanych potworków. – Caspian się krzywi. – Podsuwa mi ciągle Kat

Hadley. Nie wiem, jak to możliwe, że nie zorientowała się jeszcze, iż ten statek zawinął już do portu. Dopytuje też ciągle o twoich wujów. Szczególnie o Gabriela.

– Nie sądzę, żeby za nim przepadała – mówi Violet.

Nie ma pewności, czy Caspian nie próbuje jej wybać w kwestii jej stosunków z wujami, ale woli nie ryzykować. O ile się orientuje, nie powiedzieli nikomu, że nie odzywają się do siebie.

Caspian spogląda jej w oczy.

– Lubię cię, „Juliet”, więc chcę ci zaproponować kolejne zaproszenie. Bezpłatne – dodaje, widząc wyraz jej twarzy. – Gdybyś wróciła kiedyś do Europy...

Wręcza jej coś, co wygląda jak wizytówka. Oraz srebrną monetę. Na wizytówce jest adres w Pradze i data, za parę tygodni.

– Nie wydaj tej monety – radzi.

Violet ociąga się z przyjęciem karty.

– Co to jest?

– Trzecia opcja. – Caspian wzrusza ramionami. – Nie jesteśmy uczonymi, więc dlaczego mielibyśmy przestrzegać ich reguł?

– Masz na myśli klucze i tatuaże? – rzuca Violet figlarnie.

Caspian uśmiecha się szerzej.

– Idź tam i przekonaj się.

To szczerza oferta i gdyby Violet nie była sobą, przyjęłaby ją. Słyszała pogłoski o legendarnych przyjęciach Caspiana i szczęśliwcach, którzy mogli wziąć w nich udział: o stworach nie z tego świata obdarzonych słowiczymi głosami; o magicznych pojedynkach rozgrywanych przy świecach przez śmiertelnych rywali; i o spektakularnej orgii obejmującej gry terenowe i poncz z owoców – afrodyzjaków. Violet podejrzewała jednak, że akurat tę plotkę rozpowszechniał sam Caspian. I... drzwi. Zawsze drzwi i syreni śpiew z zewnątrz. Ale taka impreza to czysta strata czasu, na którą nie mogła sobie pozwolić. Chowa jednak do kieszeni wizytówkę i monetę, z lekkimi wyrzutami sumienia. Na wszelki wypadek, mówi sobie.

– Nie szukam kłopotów – mówi Violet.

Caspian odsuwa się od regału, w jego oczach pojawia się nagle błysk, jakby kogoś rozpoznał.

– Wygląda na to, że kłopoty same cię znalazły.

Violet spogląda na niego, zaskoczona, ale Caspian tylko puszcza do niej oko i odchodzi do sali aukcyjnej, wypatrując kogoś znajomego.

– Miło cię widzieć, Goro. Jak się sprawuje twój jacht? – Caspian potrafi być sympatyczny, jeśli ma ochotę.

Jakaś kobieta staje obok Violet i wraz z nią obserwuje morze ludzi. Po jej ciemnogramatowej sukni koktajlowej biegną w górę wyhaftowane artystycznie srebrne pióra, a jej ciemne, lśniące włosy są zwinięte w elegancki kok. Violet chowa ręce za plecy, żeby ukryć wystrzępione mankiety.

Mężczyzna i kobieta przechodzą obok niej, omal nie zwalając Violet z nóg. Kobieta wzdycha.

– To miało być spotkanie najtęższych umysłów Fidelis. Szansa zaprezentowania naszych talentów mniej wyróżniającym się kolegom. Takie miałam szczytne ambicje.

– To przyjęcie robi wrażenie – przyznaje Violet.

– Cóż, na pewno dołożyłam wszelkich starań. Powiedz, co myślisz o moim asterii, Violet Everly?

– Myślę...

Violet sztywnieje. Przecież nikt miał nie wiedzieć, kim ona jest.

Kobieta bardzo ostrożnie odstawia swój kieliszek na boczny kredens.

– Lepiej chodź ze mną.

Violet się waha. Całkiem łatwo poprowadzić ją labiryntem korytarzy, w których zniknęłyby na zawsze. I po cichu pozbyć się intruza.

Kobieta wskazuje głową dwóch mężczyzn w grubych ubraniach.

– Zapewniam cię, że Hector i Eli są bardzo dobrzy w swoim fachu i mogliby gładko cię stąd usunąć. Ale nie chcę robić sceny. – Unosi jedną z wypięlegnowanych brwi. – Moi goście byliby baaardzo zainteresowani informacją, że ktoś z rodu Everlych jest tutaj, wśród nich.

Violet patrzy na kobietę twardym wzrokiem.

– Jeśli pani wie, kim jestem, to wie też pani, czego szukam. Pani jest Yulan Liu, prawda? – Kobieta twierdząco pochyla głowę. – Powiedziano mi, że może mi pani pomóc, więc...

Grupa osób wychodzi z sali aukcyjnej, hałaśliwie komentując swój sukces lub porażkę. Kilkoro z nich zauważa Yulan i rusza w jej stronę.

– Ta rozmowa powinna zostać przeprowadzona gdzie indziej – mówi Yulan. – Oczywiście do ciebie należy wybór, jak ma do niej dojść.

Violet znowu zerka na ochroniarzy. Tej walki nie zdołałaby wygrać. Więc pozwala, by Yulan zaprowadziła ją do niewielkiego biura na zapleczu. Drzwiami, obok których Violet przechodziła, w przekonaniu, że to drzwi kredensu. W biurze Yulan opiera się o brzeg biurka i krzyżuje przed sobą ramiona.

– Wyrazy uznania za twoją intrygę, ale nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego uznawaś podstępne wejście na moje przyjęcie za dobry pomysł – mówi.

– W zeszłym tygodniu kontaktowałam się z panią w sprawie mapy – odpowiada Violet. – Chciałabym ją kupić.

Stara się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest tym zainteresowana, jakby chodziło o zgubiony kolczyk, a nie dosłownie o życie. Ale w ostatniej chwili głoś ją zdradza. Violet klnie w duchu.

– Dużo o tobie słyszałam. Córka Marianny Everly – mruczy Yulan z zainteresowaniem. – Podobieństwo jest... uderzające.

Przez sekundę przesuwa po niej spojrzeniem, Violet czuje się nieswojo pod tak badawczą obserwacją. Zdarza się to nie pierwszy raz, a ona zastanawia się zawsze, co ci ludzie muszą w niej widzieć, które elementy wyglądu matki zostały przekazane jej młodszej wersji.

– Przykro mi sprawić ci zawód – odzywa się wreszcie Yulan. – Ale mapa nie jest dostępna.

Violet również na to jest przygotowana. Z wewnętrznej kieszeni wyjmuje książeczkę czekową. To kolejna lekcja przekazana jej przez Gabriela: łatwo ukraść gotówkę; a czek sugeruje, że może wpłynąć więcej pieniędzy. To odniosło pożądaną skutek w Nowosybirsku, kiedy musiała kupić sobie prawo wstępu na tamtejsze zgromadzenie uczonych. I proszę, co jej to dało: sojusz z Caspianem. Czasami wystarczy tylko stara, dobra łapówka.

– Och, źle mnie zrozumiałaś. – Yulan wskazuje gestem zamknięte drzwi, zza których dobiega gwar przyjęcia. – Ja nie potrzebuję więcej pieniędzy.

– Jeśli chodzi pani o informację...

– Sprzedałam tę mapę wczoraj. Podczas innego interesującego przyjęcia. – Wzrusza ramionami. – Po prostu ktoś był szybszy od ciebie.

Violet upada na duchu. Oczywiście, że ktoś był szybszy.

– Jak rozumiem, nikt nie miał wiedzieć o tej mapie – mówi ostrożnie.

Tego jest pewna. Mapa miała zostać wystawiona na finałowej aukcji, taka była zatwierdzona umowa. Dla uczonych ta mapa to jedna więcej błahostka, kosztowny drobiazg, którym można się pochwalić.

– Wieści szybko się rozchodzą – odpowiada Yulan. – Złożono mi ofertę, której nie mogłam odrzucić.

Ręce Violet zaciskają się na portfelu.

– Nie zdołam pani namówić, żeby zdradziła mi pani nazwisko nabywcy, prawda?

– Miałabym zaryzykować, że uczeni się dowiedzą? – Yulan unosi brew.

– Nie bez powodu cieszę się dobrą reputacją. Poza tym zorientujesz się, że nazwisko Everly ma wysoką cenę. Obawiam się, że zbyt wysoką dla nas obu.

– Ale...

– Muszę wracać do gości. Możesz wyjść tylnymi drzwiami. Sugeruję, żebyś z nich skorzystała. – Yulan wygładza suknię. – I, Violet?

Violet się odwraca.

– Tak?

– Nie przychodź tu więcej.

Drzwi wychodzą na ulicę w pobliżu kosza na śmieci, za którym ukryła swój plecak. Violet patrzy na niego bezradnie. Wróciła do punktu wyjścia.

Wyciąga wyblakły notatnik z odręcznym pismem Marianny na pierwszej stronie i otwiera go na stronie ostatniej. Zostało już tak niewiele nazwisk.

Violet zamyka oczy, żeby powstrzymać łzy, żeby nie zacząć krzyczeć, nie zrobić niczego, co mogłoby ściągnąć na nią uwagę. Zaciska pięści, aż paznokcie wbijają się jej w skórę, żeby ból wypchnął z jej głowy myśli. Kiedy otwiera dłonie, widać w ich wnętrzu kropelki krwi.

Znowu była tak blisko.

Nawet do jej jakże uroczego punktu obserwacyjnego docierają odgłosy prowadzonej aukcji. Ludzie, którzy są tam obecni, przez całe życie byli uczonymi, biegłymi w sztuce uwodzenia i perswazji. Caspian może nominalnie do nich nie należeć, ale w rzeczywistości jest jednym z nich. I ma rację; nikt nie ośmieliłby się odmówić Verne'owi czy Matsudzie, względnie Hadleyowi, ani żadnemu z uznanych rodów uczonych. Natomiast Violet nawet po rocznych staraniach do nich nie dorasta.

Gdyby nie była Everly, to być może Yulan zatrzymałaby dla niej mapę albo przynajmniej zdradziłaby jej tożsamość nabywcy. Z drugiej jednak strony, gdyby nie była Everly, to nie ciążyłaby na niej klątwa, żadna obietnica krwi i okrucieństwa nie czyhałaby na nią na końcu tej zbyt krótkiej drogi. Gdyby nie była Everly, w ogóle by jej tutaj nie było, nie musiałaby teraz powstrzymać się od płaczu koło kosza na śmieci.

Przychodzi jej na myśl kobieta z mieczem w sercu i perspektywa postępującej już dewastacji sprawia, że w Violet narasta chorobliwa panika. Nie po raz pierwszy wyjmuje telefon. Tym razem nie ma żadnych nieodebranych połączeń od Ambrose'a i Gabriela. I żadnych esemesów.

Może z niej zrezygnowali.

Sfrustrowana Violet zrywa z głowy perukę, tuzin wsuwek do włosów sypie się na ziemię. Potem zdejmuje niewygodne buty na obcasach i opiera je o bok kosza na śmieci. Ale kiedy podnosi plecak, coś szeleści w kieszonce z przodu – to odrobinę zaskakujący dźwięk. Violet grzebie w kieszonce i wyciąga zgniecioną kartkę z nabazgraną ręcznie notatką.

„Mam twoją mapę. Znajdź mnie, Everly”.

I adres na dole, w Austrii.

Ktoś rozpoznał ją na przyjęciu. Ktoś jeszcze zna jej nazwisko – albo przynajmniej domyślił się go na podstawie rysów jej twarzy.

Violet ogląda się na sklep i nagle czuje w kościach napięcie. To mógłby być kolejny fałszywy trop, ale wydaje jej się, że nie. Ma wiele pytań.

I ktoś zna na nie odpowiedzi.

* * *

Przyjęcie w Nowym Jorku kończy się przed świtem, goście wytaczają się z księgarni na ulice. Wewnątrz zmęczony personel zabiera się do żmudnego sprzątnięcia po nocnych ekscesach. Na górze, w sali ze szklanym sufitem, asteria pakuje swój namiot. Wsuwa akurat karty do aksamitnego woreczka, kiedy pojawia się blondynka. Asteria podnosi wzrok. Na jego dłoniach lśni reweritowy pył.

– Przepraszam, ale czytanie już się dzisiaj skończyło – mówi.

Kobieta nie wychodzi.

– Na pewno może pan poświęcić mi minutkę.

– Powiedziałem...

– Czytanie. – Głos kobiety jest twardy jak stal. – Będzie pan łaskaw.

Asteria mamrocze coś pod nosem, co dla czujnych uszu może brzmieć jak: „Przekłęci uczeni, myślą, że mogą żądać wszystkiego, do cholery, czego tylko im się zachce”. Ale rozkłada znowu stolik i wyjmuje karty.

Wskazuje gestem stół i rozłożoną talię.

– Proszę wybrać...

– Och, ja wiem, jak to się robi.

Szybko wyjmuje trzy karty i odwraca je twarzami do góry, jedną po drugiej. Mężczyzna w kajdanach, z głową pochyloną nad skutymi rękami, zakrwawione złote pióra tworzą wokół niego na podłodze krąg. Potem drugi, dumny i srog, z gracją obejmujący rękami włócznie ze słonecznego promienia. Kobieta z mieczem wbitym w serce.

Jak bardzo ten miecz musi boleć.

Penelopa podnosi wzrok i uśmiecha się do asterii, który się wzdryga.

– Powiedz mi, co mówiłeś Violet Everly.

Asteria mruga oczami.

– Komu? Ja nie...

Penelopa pewnym ruchem wyciąga rękę i zaciska ją na jego gardle. Asteria dusi się i próbuje oderwać jej rękę. U stóp Penelopy gromadzą się skłębione cienie.

Asteria próbuje spazmatycznie złapać powietrze i walczy, przekrwione oczy wychodzą z orbit, a żyły pękają, jedna po drugiej. Chrypi coś, może woła: „Pomocy!”, a może: „Przestań!”, ale to na nią nie działa. Penelopa czeka cierpliwie, aż mężczyzna przestanie się ruszać, a obrzmiały język wysunie mu się z ust. Jego głowa przechyla się na jedną stronę.

– Wyraziłam się jasno, że Everlym nie wolno pomagać – mówi Penelopa. – I nie będę tolerowała nieposłuszeństwa.

Bierze woreczek kart asteros i wkłada je asterii do rąk. Jego ciało osuwa się do jej stóp.

Ostrzeżenie.

Dwudziesty



Ydzień później Violet stoi przy wejściu do MuseumsQuartier w Wiedniu. Po obu stronach szerokiego chodnika wyrastają pełne wdzięku, imponujące budynki. Tabliczki w kilku językach kierują turystów w rozmaite strony. Co prawda mży, a niebo ma kolor ołowianoszary, ale pogoda nie jest w stanie zepsuć widoku.

Violet mocno ściska kartkę z adresem, w drugiej ręce trzyma parasolkę. Kiedy szukała w internecie, zakładała, że to będzie dom albo mieszkanie. Nie zaś pokój w jednym z najbardziej renomowanych muzeów na świecie. A ma przed sobą Kunsthistorisches Museum, wspaniałe i pełne turystów. Przeszywa ją dreszcz podniecenia.

„Znajdź mnie, Everly”. No to jest.

Staje w kolejce, kupuje okropnie drogi bilet i przechodzi przez kąpiące od złota atrium. Na honorowym miejscu klatki schodowej znajduje się rzeźba przedstawiająca Tezeusza walczącego z centaurem, z maczugą uniesioną do śmiertelnego ciosu. Wygląda zbyt gładko, zbyt czysto jak na tak krwawy akt.

Muzeum jest ogromne, Violet niejedną raz gubi drogę. Kiedy przechodzi z sali do sali, malowane oczy obserwują ją z pięknych krajobrazów i butnych portretów. Dwukrotnie ogląda się w przekonaniu, że ktoś ją obserwuje. Ale turyści powoli przechodzą obok niej, nie zwracając na nią uwagi. Ich wzrok przenosi się z jednego dzieła sztuki na drugie.

To tylko nerwy, mówi sobie Violet.

Po prawie godzinnych poszukiwaniach znajduje pokój figurujący na skrawku papieru. To jedna z mniejszych sal, wypełniona obrazami biblij-

nymi i scenkami pastoralnymi w bujnej zieleni. Tutaj jest mniej zwiedzających i nikt nie zatrzymuje się na dłużej.

Violet ogląda każdy z obrazów, a potem obchodzi całą salę dookoła i czuje się coraz głupiej. Może ten liścik nie był skierowany do niej, tylko do jakiegoś innego Everly'ego, niespokrewnionego z nią. Może znalazła się w niewłaściwej sali albo autor liściku zrezygnował już z czekania na nią.

A może weszła w pułapkę, tylko jeszcze o tym nie wie.

Podczas piątego okrążenia sali słyszy za sobą kroki. Za jej plecami otwierają się drzwi dla personelu i wychodzi kustosz: mężczyzna w średnim wieku, ubrany w profesjonalne tweedy, w okularach w metalowych oprawkach, z siwą brodą. Dostrzega ją i oczy mu się rozjaśniają.

– Marianno Everly, zajęło ci to sporo czasu... – Urywa i przygląda jej się uważnie. – Ty nie jesteś Marianną.

– Nie – przyznaje Violet.

Mężczyzna marszczy brwi.

– Wyglądasz na kogoś z rodziny Everlych.

– Jestem jej córką – wyjaśnia Violet i unosi kawałek papieru. – Czy pan to zostawił?

– *Scheisse*. – Mężczyzna wzdycha i gładzi brodę. – Do licha, powinienem mieć więcej oleju w głowie i nie oczekiwać, że Marianna weźmie udział w przyjęciu. Rzecz w tym, że padło nazwisko Everly, ty byłaś kobietą i pomyślałem... Córka Marianny. – Mówi to tak, jakby starał się wymówić słowa w obcym języku. – Ha.

Z jakiegoś względu to złości Violet, choć nie powinno, bo wielokrotnie już brano ją za matkę, pomimo oczywistej różnicy wieku. Córka Marianny, to idzie za nią jak cień. Gorsza wersja.

– Mam na imię Violet – mówi i wyciąga do niego rękę.

Mężczyzna potrząsa nią zdecydowanie. Violet czuje odciski na jego dłoni, co jest dość zaskakujące.

– Johannes Braun. Myślę, że chcesz wyjaśnień, prawda? W związku z moim liścikiem. – Spogląda na kilku przechodzących turystów. – Ale nie tutaj.

Johannes zerka na kamery, prowadzi Violet do drzwi opatrzonych tabliczką z napisem TYLKO DLA PERSONELU i otwiera jej swoją kartą.

Violet idzie za nim szybkim krokiem przez labirynt wąskich korytarzy, przeciskając się obok innych pracowników muzeum. Podchwytuje po drodze fragmenty rozmów.

W końcu Johannes wprowadza ją do niewielkiego gabinetu, wypełnionego aż po sufit książkami i segregatorami. Ziarniste zapisy z kamer przemysłowych z różnych galerii nagrane na przedpotopowych telewizorach balansują niestabilnie na wierzchu regału. Wśród tych wszystkich gratów jest miejsce jedynie na biurko i dwa rozklekotane, wypłowiałe fotele. Johannes wskazuje Violet, by usiadła, co ona ostrożnie czyni przy głośnym proteście sprężyn i opiera mokrą parasolkę o biurko. Natomiast Johannes, zamiast pójść w jej ślady, zaczyna myszkować w szafkach, wzbijając przy tym tumany kurzu i pokaszując.

– A, tutaj jest! – woła triumfalnie.

Stawia fotografię na biurku, na wprost Violet. Zdjęcie jest marnej jakości; flara przesłoniła większą część obrazu. Ale to jej matka. Młoda i zbuntowana, odwraca głowę od aparatu. Obok niej stoi młody mężczyzna, zdradzający niejaki podobieństwo do Johannaesa, obejmujący zaborczo ramieniem jej barki.

– Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi – mówi Johannes. – Razem zostaliśmy nowicjuszami, a potem asystentami tego samego uczonego mistrza. Niestety potem nasze drogi się rozeszły.

Violet popada w lekkie przygnębienie.

– Więc pan jej nie widział.

– Od wielu lat – przyznaje Johannes. – Mieliśmy drobną scysję i... No, jej nigdy szczególnie nie zależało na tym, żeby być lubianą. Ale ty o tym, oczywiście, wiesz. – Uśmiecha się do siebie, jego wzrok staje się daleki. – Była wyjątkowo utalentowana. Miała umysł ostry jak brzytwa. Pozostali asystenci nieustannie się na nią skarżyli, bo potrafiła jednym zdaniem rozłożyć ich na łopatki. Była jednak tak mądra, że żaden nauczyciel jej nie dyscyplinował. – Mężczyzna wzdycha. – Już nigdy więcej nie spotkaliśmy podobnego daru.

Violet wpatruje się w fotografię.

Kompletnie nie pasuje do osoby, którą zachowała w pamięci: do ciepłych objęć i śmiechu. Dobroci. To nie ta sama osoba, która potrafiła wchodzić w spory, potrafiła być okrutna.

- Co pan robi tutaj, w Wiedniu? – pyta, zmieniając temat rozmowy.
- To teraz moja praca. – Szerokim gestem wskazuje pokój.
- Więc jest pan na emeryturze? – pyta Violet z zaciekawieniem.

Johannes potrząsa głową.

– Uczeni nie przechodzą na emeryturę. I nie rezygnują, skoro już o tym mowa. To nie jest praca. – Johannes odruchowo kładzie dłoń na swoim przedramieniu. – Ale ja jestem skończony.

- Dlaczego? – pyta Violet.

Mężczyzna zdejmuje okulary, przeciera je i wzdycha. Milczy tak długo, że Violet zaczyna już podejrzewać, iż nie otrzyma odpowiedzi. W końcu mężczyzna wkłada okulary i podnosi na nią wzrok.

- Twoje bransoletki są wyjątkowo piękne – mówi. – To rewerit?

Violet podciąga rękawy, żeby lepiej widział.

- Tak.

On delikatnie odwraca jej rękę i przygląda się bransoletkom.

– Zrobiła je Marianna; poznaję. Taki talent to rzadkość. – Zauważa wyraz twarzy Violet i dodaje: – W tym talencie jest wszystko. Samo życie, zamknięte jak piorun w skale. Dowód, że bogowie chodzili kiedyś pośród nas. Ale bardzo niewielu potrafi go w pełni wykorzystać i w każdym pokoleniu rodzi się coraz więcej dzieci całkowicie pozbawionych tego daru.

- Chyba nie do końca pana rozumiem – wyznaje Violet.

– Nasza wiedza tajemna ma pewien koszt. Krwawy, straszliwy koszt. Zdradzają nam go częściowo, kiedy siadamy w fotelu tatuażysty. Dawkują go stopniowo jak truciznę i zanim człowiek zorientuje się, co zrobił, co on zrobił, okazuje się, że już wypił całą butelkę.

Violet czeka na szczegóły, ale mężczyzna milknie. A kiedy ona otwiera usta, żeby zadać pytanie, Johannes potrząsa głową i marszczy brwi z wyraźnym bólem.

Przypomina sobie ostrzeżenie wuja. To wilki. Co w takim razie zrobili Johannesowi Braunowi? Nagle pożałowała, że tak skwapliwie opuściła publiczne sale muzeum, żeby się z nim spotkać.

– Tak czy owak – odzywa się mężczyzna – nie przyszłaś tu po to, żeby wysłuchiwać moich żalów.

Violet rozwija złożoną kartkę z adresem i kładzie ją na jego biurku.

– Dlaczego zabrał pan mapę? – Pochyla się naprzód, z mocno bijącym sercem.

– Marianna Everly ukradła mi coś – odpowiada on po prostu. – Chciałbym to odzyskać.

Violet zastanawia się nad jego słowami.

– A jednak nie próbował pan zdradzić jej obecności na przyjęciu. – Patrzy na niego zwężonymi oczami. – Czego pan od niej potrzebuje?

Johannes niespodziewanie parska śmiechem.

– Mówisz jak Marianna. Przechodzisz od razu do rzeczy. Wystarczy powiedzieć, że nie pojawiła się, więc jeszcze tego nie mam. Z pewnością jesteśmy oboje sfrustrowani rezultatem naszych wysiłków.

W zawołany sposób powiedział jej: nie zamierzam ci powiedzieć. Cóż, wiedziała, że to nie będzie proste.

– Czy pan wie, dlaczego pana okradła? – pyta ostrożnie.

Domyśla się już, co mu zabrała. Poczynania Marianny pozostawiły ślad w postaci rozwścieczonych uczonych na całym świecie. Brak rejestru tu, skradziona książka tam; taka ilustracja wygrana w karty. Wszystko miało coś wspólnego z kluczami. Ale ile z tego może mu zdradzić? Ile tak naprawdę wie Johannes? Pod osłoną biurka Violet tak mocno zaciska w rękach brzeg kardiganu, aż jej kłykcie bieleją.

– O, jestem pewien, że miała swoje powody – odpowiada Johannes lekko. – Podobnie jak ja.

Siada w fotelu. Przez chwilę obserwują się nawzajem, Johannes patrzy na nią swoimi chabrowymi oczami. Uczony, który nie jest uczonym, a jednak zdradza żywe zainteresowanie ich poczynaniami. Który skwapliwie odbył podróż do Nowego Jorku, kiedy dotarli do niego plotki, ale nie zbliżył się do niej, żeby zweryfikować prawdę. Już zbyt długo chodzą wokół tego na paluszkach.

– Pan wie, czego ona szuka. Klucza – mówi Violet.

Jedyną rzeczy, która może zdjąć klątwę.

Ręka Johanna zaciska się na brzegu biurka.

– Jesteśmy ludźmi żyjącymi w pożyczonym czasie, Violet Everly. Powiedziałem ci, że my, uczeni, jesteśmy coraz mniej liczni. Ale kiedyś było nas mnóstwo, zanim nasze miasto dotknęła katastrofa, która na zawsze rozłupała je na pół. – Robi pauzę. – To miasto to nie Fidelis.

Violet marszczy czoło.

– Co?

Johannes parska śmiechem pozbawionym wesołości.

– Myślisz, że istnieją tylko dwa światy? To arogancja. Jest tyle światów, ile gwiazd na niebie, i kiedyś mogliśmy między nimi podróżować. Ale jesteśmy wygnańcami z naszej prawdziwej ojczyzny. Fidelis to tylko fragment, całkiem dosłownie. Mitologia nazywa to katastrofą; my nazywamy to rozpadliną w samej materii egzystencji. – Johannes wzdycha. – Mogą być inne tego typu odcięte, dryfujące miasta, wyspy, lecz one wszystkie należą do jednej prawdziwej ojczyzny.

– Więc Marianna szuka tej „ojczyzny”? – pyta Violet, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu.

– My wszyscy szukamy tego świata. W tym celu zostali stworzeni uczeni – odpowiada Johannes. – Szukamy Elandriel.

Elandriel. Violet obraca w ustach nieznanne słowo.

– Być pierwszą osobą, która odkryje ją na nowo, to... to byłoby coś. Ojczyznę naszych przodków, nietkniętą od tysiąca lat. Powiada się, że w tych właśnie murach były kiedyś osadzone drzwi prowadzące do innego świata i że uczeni z niezliczonych światów przybywali studiować w naszych czcigodnych salach. Wyobraź sobie, jaką wiedzę moglibyśmy odzyskać. Wyobraź sobie MOŻLIWOŚCI. Powtórne narodziny całego świata.

I Violet wyobraża to sobie, z tęsknotą, której siła ją samą zaskakuje. Jej mózg już wyczarowuje obraz miasta pełnego bibliotek wypełnionych książkami od podłogi aż po sufit, to przygoda zaledwie o krok od niej, wystarczy przekroczyć próg. Powinna już z tego wyrosnąć, ale nie jest w stanie powstrzymać dreszczyku emocji.

Na myśl o tętniących życiem morzach pod słońcem. O wiedźmach w puszczech. O tajemnicach przekraczających ludzką wyobraźnię.

– Marianna miała obsesję – kontynuuje Johannes. – Czytała wszystkie pierwotne mity, jakie tylko wpadły jej w ręce, każdy strzęp papieru ze wzmianką o Elandriel. Ciągłe mówiła o drzwiach, których żaden człowiek nie może otworzyć, o niewyobrażalnej magii. O takich bajkowych rzeczach. Zapytałem ją, oczywiście, dlaczego. Ale zawsze była bardzo skryta.

– Potrzebuję tej mapy – mówi cicho Violet. – Jeśli ona naprawdę istnieje, jeśli mogę zadać pytanie...

– Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? Dla ciebie Elandriel to coś na wymianę. To tylko interesujący fragmencik historii, który można ukraść i odrzucić. Ale czy wiesz, ilu uczonych byłoby gotowych zabić, aby zdobyć klucz? Albo jakie miałyby to znaczenie dla osoby, która go odnajdzie? Jednak ty tego nie rozumiesz. – Violet się wzdryga, kiedy Johannes uderza rękami w blat biurka. – Ty tego nigdy nie zrozumiesz.

Violet nie cofa się, tylko wstaje.

– A czy pan wie, co się dzieje z rodziną Everlych? – Nie może się zmusić do wymówienia imienia Penelopy, ale zauważa, że Johannes nagle nieruchomieje. – Niewiele czasu zostało. I jeśli nie znajdę Marianny...

– Przykro mi z powodu twojego trudnego położenia – mówi mężczyzna. – Naprawdę. Ale to nie mój problem.

– Myślałam, że chce pan pomóc. Jestem córką Marianny. Byliście przyjaciółmi. – Brzmi to niemal błagalnie, ale tylko niemal.

– BYLIŚMY.

Violet próbuje innej taktyki.

– Powiedział pan, że to dla uczonych bardzo ważne. I że ja nigdy tego nie zrozumieję. Ale jeśli powie mi pan...

– Przestań! – krzyczy ostro Johannes, a Violet po raz pierwszy zauważa, że pod płaszczykiem swobodnego profesjonalizmu kryje się strach. – Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. I chyba będzie lepiej, jeśli już pójdziesz.

– Ale ja...

Mężczyzna spogląda znacząco na nagrania telewizji przemysłowej.

– Możesz się tłumaczyć komu innemu, jeśli wolisz?

W oczach Johanna jest chłód, Violet ma przed sobą kogoś zupełnie niepodobnego do życzliwego kustosa, jakim był jeszcze parę chwil temu. Wstaje z fotela, prostuje się na pełną wysokość, nagle składa się z samych ostrych kątów podszytych okrucieństwem.

Violet ze złością łapie swoją torbę.

– Był pan tak zdesperowany, że zaprosił tutaj moją matkę. Był pan tak zdesperowany, że rozmawiał ze mną, kiedy ona nie przyszła. Potrzebuję tych odpowiedzi. Jeśli ten przedmiot to jedyny sposób, żeby je uzyskać...

– Przedmiot? – Johannes jeszcze raz mierzy ją wzrokiem, z zaciekawieniem. – Więc ona naprawdę nic ci nie powiedziała.

Te słowa wbijają się w jej pierś niczym sztylet. Violet wciąga z sykiem powietrze, stara się ułożyć rysy twarzy w jakikolwiek wyraz, byle nie szok. Po tych wszystkich latach powinna już uodpornić się na całkowity brak wiedzy o matce, na ten brak informacji, który wyrył tyle dziur w jej życiu. Ale kiedy usłyszała to wypowiedziane głośno i tak bez ogródek, naprawdę przeżyła szok.

I to przez obcego człowieka, któremu Marianna Everly w oczywisty sposób coś powiedziała, dawno temu.

Violet zadziera podbródek, cała zbuntowana.

– Ja nie zamierzam zrezygnować.

Johannes popycha ją w stronę drzwi i dalej, na korytarz. Zatrzymują się przed wejściem tylko dla personelu.

– W takim razie mogę ci zaoferować swoje współczucie, Violet Everly. Ale, niestety, nie współpracę.

Na dworze mżawka zmieniła się już w ulewę. Ludzie rozkładają parasolki, jednak kiedy Violet sięga po swoją, uświadamia sobie, że zostawiła ją w gabinecie Johannaesa. Klnąc pod nosem, otula się przemocznym kardiganem.

Obmyśli nowy plan. Znajdzie sposób nakłonienia Johannaesa, żeby oddał jej mapę. Nie potrzebuje jego współczucia, potrzebuje odpowiedzi na swoje cholerne pytania...

Ale w tym momencie czuje się taka biedna, że trudno jej o cokolwiek myśleć. Mokre włosy oblepiają jej czoło, więc odgarnia je z irytacją. Wiatr gna liście po ulicy, Violet dygocze w przemocznym ubraniu.

Tylko jedna osoba moknie wraz z nią na deszczu. Wysoki, szczupły mężczyzna przygląda się muzeum w zamyśleniu. Kołnierz płaszcza zasłania większą część jego twarzy, ale Violet zauważa ostre rysy i konstelację trzech kropek wytatuowanych wokół jego ucha. Dziewczyna mruga powiekami, żeby strząsnąć z nich krople deszczu. Po co mężczyźni taka uroda, przemyka jej przez głowę. Ale to nie może być on. To nigdy nie jest on.

Violet wraca myślami do biura Johannaesa Brauna i już szykuje się do odejścia.

GEORGIA SUMMERS

Wtedy mężczyzna zmienia pozycję i światło pada na jego twarz. Violet staje jak wryta na środku chodnika, serce podchodzi jej do gardła. Zna ten sposób chodzenia, to charakterystyczne pochylenie głowy. Te czyste, szare oczy, promienne i niebezpiecznie pełne obietnic.

To niemożliwe.

– Aleksander?

Dwudziesty pierwszy



o nieskończenie długiej chwili mężczyzna się odwraca. W czasie tej nieskończenie długiej chwili Violet przypomina sobie wszystkie wypadki, gdy wydawało jej się, że go dostrzeża; jego uśmiech w tłumie; błysk szarych jak morskie szkło oczu na przystanku autobusowym; śmiech, brzmiący jak jego, ostry i niespodziewany.

Oczy mężczyzny spotykają się z jej wzrokiem i na jego twarzy odmalowuje się wyraz zaskoczenia.

– Violet?

To naprawdę on.

Przez głowę przelatuje jej milion myśli. Co on tutaj robi? Co się z nim dzieło? I ta, która budzi w niej trwogę: On nadal jest asystentem Penelopy.

– Wow – odzywa się Aleksander. – Violet Everly. Cześć. Witaj. – Pociąga swój kark. – Nie wiem, co powiedzieć.

Violet też nie wie. Oddech więźnie jej w gardle.

Od dawna rozmyślała o tej chwili. W każdym scenariuszu, jaki układała sobie w głowie, toczyli subtelną niczym ruchy baletnicy konwersację. Kłótnie albo zarzuty, albo przeprosiny – przez ponad rok. Mógł do niej wrócić. Mógł przynajmniej spróbować jej coś wyjaśnić, zanim całkiem zniknął z jej życia. Byłoby lepiej, gdyby wściekała się na niego, gdyby wiedziała, na czym stoi. On powiedział wszystko Penelopie, przypomina sobie Violet. Ale gniew przecieka jej przez palce jak woda.

Czy on przez rok wypatrywał jej w tłumie? Czy wspominał, jak ona, wieczór przyjęcia u Verne'ów, swoją rękę obejmującą jej policzek, swoje palce splecione z jej palcami?

Ale wszystko wydaje się niewystarczające w świetle cholernego, czystego przypadku, kiedy ona ciągle jeszcze ma mętlik w głowie po rozmowie z Johannesem. Jeżeli to jest naprawdę przypadek.

Patrzą na siebie, wstrzymując oddech.

– Prawie cię nie poznałem – mówi Aleksander. – Wyglądasz... inaczej.

– Ty też – odpowiada Violet, zgodnie z prawdą.

Nad brwią Aleksandra widnieje niewielka blizna, pod kołnierzem da się zauważyć nowy tatuaż. A jego włosy – ten idiotyczny, kręcony, męski koczek, który Violet tak niechętnie polubiła – zostały obcięte niemal do gołej skóry, został jedynie meszek przypominający aksamit. Mężczyzna z przyjęcia miał w sobie pewną wrażliwość, ten nowy Aleksander wygląda na bardziej przystosowanego, jakby otaczający go świat bardziej mu pasował.

A jak ona wygląda? Jakie zmiany wycisnęła na niej ten rok?

– Jesteś w kolejnej misji dla Penelopy? – pyta Violet od niechcienia. Aż za bardzo od niechcienia.

Aleksander potrząsa głową, kropelki deszczu spływają mu po twarzy.

– Nie. Ja nie jestem... ja... słuchaj, może poszlibyśmy gdzieś, żeby pogadać? Wiem, że jestem ci winien wyjaśnienia.

Nerwowo zaciska ręce, po czym chowa je w kieszeniach. Violet tak bardzo chciałaby powiedzieć: „Tak”. Ale widmo Penelopy wisi nad nimi jak cień.

– Co ty tutaj robisz? – pyta go ponownie.

– Jestem pościgiem – odpowiada Aleksander i krzywi się, kiedy nad ich głowami przetacza się huk pioruna. – Listonoszem. Niektórzy ludzie mają rodziny po obu stronach, eee... no, wiesz.

– A Penelopa? – pyta Violet.

Jeśli jest mało subtelna, to nic jej to nie obchodzi. Jeżeli Aleksander wie o jej misji – jeśli od początku o niej wiedział – to już i tak za późno. Violet zerka ponad jego ramieniem, czy nie dostrzeże za jego plecami blond włosów, niebieskich oczu i uśmiechu, który rozszarpie ją na strzępy. Jeśli Aleksander dostrzeże jej niepokój, to nie daje tego po sobie poznać.

– Jestem sam – mówi.

Violet szczęka zębami z zimna. Mogłaby udawać, że jest zajęta. Mogłaby powiedzieć, że ma ważne sprawy, spotkanie, na które nie może nie pójść, pociąg, który mógłby jej uciec. On by to uszanował.

I wyszedłby z jej życia, znowu. Już tyle straciła.

– Miło cię znowu zobaczyć – odpowiada w końcu.

Aleksander przesuwając ręką po włosach, mokrych od deszczu.

– Co powiesz na drinka? Znam pewne miejsce w pobliżu.

Jeden drink nie zaszkodzi. Violet wie, że powinna być ostrożna.

– Jasne – mówi z uśmiechem. – Bardzo chętnie.

* * *

Aleksander prowadzi ją do restauracyjki, z dala od turystycznych szlaków, przytulnej i intymnej. Płynnie zamawia po niemiecku butelkę wina i siadają przy stoliku pod oknem zalanym deszczem. Violet obserwuje go ukradkiem, popijając ze swojego kieliszka. Wygląda na to, że Aleksander czuje się tutaj całkowicie swobodnie, bez śladu skrepowania czy obcości. Do twarzy mu z tą pewnością siebie, myśli Violet.

W świetle wczesnego wieczoru szuka innych zmian w Aleksandrze. Widocznie szorstkie ręce, które dawniej były miękkie i gładkie. Killkudniowy zarost. Wie, że nie powinna się gapić, ale nie może oderwać od niego wzroku, czeka, aż zniknie dysonans, aż mężczyzna z jej wspomnień i ten, który siedzi teraz przed nią, połączą się w jedną spójną całość.

– Nie mogę uwierzyć, że obciąłeś włosy – mówi z zalem.

Przez twarz Aleksandra przeemyka dziwny wyraz, ale znika, zanim Violet zdąży go rozszyfrować. Wpatruje się w jej twarz.

– A co ty tutaj robisz?

– Podróżuję – odpowiada Violet, nie całkiem kłamliwie. – Oglądam świat. Nigdy przedtem nie byłam w Wiedniu.

– Wiedeń to piękne miasto. – Aleksander odchyła się na krześle. – Odwiedziłaś Kunsthistorisches Museum?

– Nie dzisiaj. Może jutro.

Zapada niezręczne milczenie. W kawiarni gadali bez przerwy, ledwo wystarczało im czasu, żeby złapać oddech, nie przejmowali się upływem czasu. Ale to było, zanim ona w pełni zrozumiała, czym była dla niego praca dla uczonych – dla Penelopy.

Aleksander patrzy na nią tak, jakby potrafił czytać w jej myślach, jakby była przejrzysta niczym szkło. Jego uśmiech blednie i po raz pierwszy

Violet przychodzi do głowy, jak surowo wygląda Aleksander bez tych miękkich, eleganckich loków. Aleksander zamyka na moment oczy, długie, ciemne rzęsy odcinają się na tle bladej skóry. Potem odwraca spojrzenie.

– Musisz wiedzieć – mówi bardziej do okna niż do Violet – że nie jestem już asystentem Penelopy.

Violet mruga oczami.

– Naprawdę?

Aleksander opuszcza wzrok na swoje dłonie.

– Zdarza się.

Ale jedynym, czego pragnął zawsze Aleksander, była praca z Penelopą. Czyżby rok tak bardzo go odmienił?

Violet zerka na jego przedramiona w sfatygowanym dresie, na miejsca, w których mógłby znajdować się tatuaż uczonogo.

– Ale ja myślałam... czy to oznacza, że jesteś teraz uczonym?

Jego twarz sztywnieje.

– Nie.

– Więc dlaczego...

– A jak myślisz, Violet? Zostałem przyłapany na kradzieży klucza – rzuca Aleksander.

Violet się wzdryga. Ogarnia ją przerażenie, podszyte poczuciem winy. Wiedziała, że mogło coś pójść źle, że coś mogło udaremnić wysiłki Aleksandra. Ale Penelopa rozmawiała z nią tak, jakby on wcale nie próbował ukraść dla niej klucza. I choć Violet miała wszelkie powody, żeby wątpić w jej słowa, uwierzyła jej.

Wiedziała, że mogą być konsekwencje, ale i tak nalegała. Dla matki. Dla siebie.

– Nie powinnam cię o to prosić – mówi nagle. – To było za dużo.

Wyraz twarzy Aleksandra wreszcie łagodnieje.

– W tamtym momencie zabrałbym cię wszędzie, dokąd tylko byś sobie zażyczyła.

Violet nie wie, co na to odpowiedzieć, więc pociąga kolejny łyk wina. Ale czuje rumieniec, wędrujący w górę po jej szyi.

– Tak czy owak – kontynuuje Aleksander, nieco spokojniej – kiedy wróciłem do kawiarni, powiedziano mi, że rzuciłaś pracę. Więc nie miałem szansy spotkać się z tobą znowu.

Violet próbuje sobie wyobrazić, co jej byli koledzy mogli mu powiedzieć o tym, jak odeszła. We wczesnych godzinach porannych wsunęła pod drzwi swój fartuch i klucze wraz z rezygnacją. Jej telefon dzwonił tamtego dnia nieustannie, dopóki nie zablokowała numeru. Fatalnie się czuła z powodu zostawienia ich w taki sposób, ale czas zdawał się uciekać, przesypywać się jej przez palce jak piasek; dwutygodniowe wymówienie wydawało jej się niepowetowaną stratą.

– Mam nadzieję, że dostałeś przynajmniej darmową kawę – mówi.

Z zaskoczeniem widzi szybki uśmiech na jego twarzy.

– Wiesz co? Kompletnie o tym zapomniałem. – Aleksander wyjmuje ostemplowaną kartę i pokazuje ją Violet. – Ciągle ją mam.

Znowu zapada milczenie, wsłuchują się w bębnienie deszczu na dworze.

– Możemy zacząć od nowa? – odzywa się Aleksander niespodziewanie. – Przysięgam, że nie przyszedłem tutaj w złych zamiarach. Odnalazłaś matkę? Szukałaś jej, prawda?

Violet się waha. Wie, jak cenna jest ta informacja, ile osób zwróciłoby się przeciwko niej, gdyby znali zakres jej poszukiwań i ich przyczynę. Ale Aleksander zapytał ją o nowy początek; jest mu winna podjęcie próby.

Jak łatwo byłoby wyrzucić z siebie wszystko. Jak bardzo tego chciała. Od dawna nie podzieliła się z nikim swoim ciężarem.

– Jeszcze nie – mówi w końcu. – Dlatego tutaj jestem. Próbowałam spotkać się z jednym z kustoszy muzeum.

– Z Johannesem?

Violet pochmurnieje.

– Skąd ty...

– Roznoszę wiadomości, pamiętasz? – Aleksander dotyka łańcuszka na swojej szyi, przez koszulę widać zarys klucza. – Znam większość uczonych w tym rejonie. Co u niego? Słyszałem, że jest właściwie pustelnikiem.

„Uczeni nie przechodzą na emeryturę. Ani nie rezygnują, skoro już o tym mowa”. Tak jej powiedział i jeśli nawet Johannes odsunął się od uczonych, to oni najwyraźniej nie zapomnieli o nim.

Violet szybko referuje przebieg rozmowy, starannie usuwając wszelkie odniesienia do kłątwy. Stara się szczerzyć szczegółów, wspomina jedynie o mapie i frustrujących wysiłkach, by ją zdobyć. Możliwe, że Aleksander

nie jest już pod wpływem Penelopy, ale Violet zdążyła się zorientować, jak szybko rozchodzą się informacje.

Aleksander odchyła się na krześle w zamyśleniu.

– I tym się zajmowałaś przez cały rok?

– Tak jakby. – Wzdycha, skręcając w palcach serwetkę. – Ale może...

Aleksander przechyla głowę na bok.

– Może co?

– Czasami myślę, że powinnam zrezygnować – wyznaje. – Marianna najwyraźniej nie chce być odnaleziona. – Opuszcza wzrok na serwetkę, która jest już w strzępach. – Ale tak naprawdę nie ma takiej opcji.

Aleksander pochyla się do przodu, jakby chciał sięgnąć po jej rękę. Ale powstrzymuje się w ostatniej chwili.

– Przepraszam, to tylko... nieważne. – Cofa się. – To trudne. Klątwa Everlych uderza ponownie.

Violet podnosi na niego wzrok, zaskoczona; zapomniała, że opowiadała mu o rodzinnych portretach – o tych wszystkich Everlych, którzy odeszli w mrok i nigdy nie wrócili. Aleksander powiedział to w taki sposób, że Violet nabrała pewności, iż on nie ma pojęcia, kim jest Penelopa w rzeczywistości – ani do czego jest zdolna.

– Cóż, jeśli matka gdzieś tutaj jest, to ją znajdę. – Violet potrząsa głową, próbując uporządkować myśli. – Ale powiedz mi, co ty porabiasz w Wiedniu?

Rozmawiają godzinami, Aleksander strzela pytaniami, prawie zbyt szybko, by ona mogła postawić swoje. W końcu zaczynają zamykać restaurację. Aleksander reguluje rachunek. „Nalegam”, mówi, a kiedy Violet wstaje, cały świat się zatacza wraz z nią. Łapie oparcie krzesła, żeby utrzymać równowagę. Jej ręce są rozpalone, a twarz zaczerwieniona. W łazience zwilża wodą dłoń i przyciska je do szyi i ciemnoróżowych wypieków na policzkach.

Potem Aleksander bierze ją pod rękę i wyprowadza z restauracji. Violet uśmiecha się do niego z wdzięcznością, kiedy wytaczają się na chłodne powietrze.

– Gdzie się zatrzymałaś? – pyta Aleksander. – Odprowadzę cię.

Violet podaje mu adres hostelu i razem, ramię w ramię, wędrują wiedeńskimi ulicami. W różanych oparach wina dostrzega, że jest w tych chwilach jakiś urok, jakby znalazła się w starej fotografii w kolorze sepii.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Zatrzymują się przy Naschmarkt, gdzie złociste światło opromienia ludzi stojących w kolejkach do kramów. Cichy szmer rozmów i odgłos kroków współzawodniczą z szumem ruchu ulicznego. W oczach przechodniów Violet i Aleksander wyglądają pewnie jak para przyjaciół na wieczornym spacerze. I może w innym życiu tak by właśnie było. W innym świecie.

I choć on mocniej obejmuje ją ramieniem, to Violet zauważa, że jego spojrzenie staje się dalekie i zwraca się w stronę promieniejącego horyzontu. Dziewczyna trąca go lekko w ramię, za co zostaje nagrodzona lekkim uniesieniem kącików jego warg.

Kiedy docierają do hostelu, zaczyna ją boleć głowa. Aleksander delikatnie odsuwa się od niej, a Violet natychmiast odczuwa brak jego ciepła.

– Powinniśmy spotkać się znowu – mówi Aleksander. – Jeśli możesz.

Ona przygryza wargę, waha się. Zamierzała poświęcić ten wieczór na wymyślenie sposobu złamania Johanna Brauna, ale jakoś uciekł jej czas. A następnych kilka dni będzie miało kluczowe znaczenie, musi nakłonić Johanna, by uchylił jej rąbka tajemnicy.

Ale już od tak dawna nie pozwoliła sobie na myślenie o czymkolwiek poza swoją matką. Na spacerowanie z kimś pod rękę.

No i... to jest Aleksander.

– Będę w tym mieście tylko kilka dni – dodaje mężczyzna. – Pozwól przynajmniej, żebym dał ci swój numer telefonu. Na wypadek gdybyś zmieniła zdanie. Moglibyśmy skoczyć na kawę.

Violet udaje, że zastanawia się jeszcze przez kilka sekund. Jednak tak naprawdę poddała się w chwili, gdy o to zapytał.

– Myślę, że to ci się należy – mówi, wręczając mu swój telefon. – Byłoby wstyd zmarnować twoją kartę stałego klienta.

Aleksander parska śmiechem. Boże, jak ona za tym śmiechem tęskniła.

– Trzymam cię za słowo, Violet Everly – mówi.

A ona patrzy w ślad za odchodzącym Aleksandrem, którego pochłania noc.

Dwudziesty drugi



Moskwie mężczyzna płacze cichutko w swoim mieszkaniu. Jurij jest wychudzony i nadal chudnie; poparzone wrzątkiem gardło bardzo boli, nie może już prawie nic jeść. Pęcherze na jego rękach ropieją, martwica posuwa się w górę po jego poczerwiałych, wyschłych ramionach. Skala na wszystkich grzejnikach jest podniesiona najwyżej, jak tylko się da. Powietrze jest tak rozpalone, że aż drga.

A jednak jest mu zimno, strasznie zimno.

Drżącymi rękami otwiera lodówkę: paczka wołowiny, której termin przydatności do spożycia upłynął trzy tygodnie temu, prawie pusta butelka mleka pokrytego pleśnią – i jedna fiołka żółtostego płynu. Płyn зда-je się wirować w niej sam z siebie, rzucając światło na ścianki lodówki.

Jurij przez dłuższy czas z ustami rozchyłonymi z pragnienia wpatruje się w cenną fiołkę. A potem zaciska dłoń na resztkach wytatuowanego klucza i krzyczy. Przeszywa go udręka tak ostra, że pokonuje nawet chłód. To czyste cierpienie. Mężczyzna zatrzaskuje lodówkę i ciężko dyszy.

Nie zawsze tak było, cierpienie, siła woli i zimno.

Kiedyś Jurij był utalentowanym uczonym, specjalizującym się w historii miasta uczonych i pochodzeniu kluczy z reweritu. Już wtedy odczuwał ograniczenia tej metody podróžowania. Marzył o czymś więcej.

Ale tak było, zanim zaczął eksperymentować, zanim po połknięciu czystego reweritu tygodniami trząsł się z zimna w lodowatym pokoju – a może w pokoju było ciepło, tylko on zaczynał już odczuwać skutki, już wtedy? Zanim wstrzyknął sobie w żyły rozpalony do białości odpowiednik, krzycząc z bólu, a potem pogrążając się w ciemności.

– To w ten sposób Illios stworzył swoje Ręce, czyli pierwszych prawdziwych uczonych, aby wstąpić do innych światów – powtarzano Jurijowi raz za razem. – Chwała i rewerit. I, owszem, także ból.

– Chcesz zobaczyć Elandriel, prawda, Juriju? Chcesz przechodzić pomiędzy światami nieograniczany kluczami, żeby rozpałcić na nowo serca tych, którzy zwątpili w naszą przenikliwość. Być pierwszym wśród podobnych sobie, pierwszym po tysiącletniach pustki.

– Więc musisz zaakceptować ból.

Nawet przez jego własny krzyk przedzierał się ten uwodzicielski głos.

Zimno wkładało się w jego ciało, jak w początkach zapalenia płuc, z lekkim kaszlem i słabymi zawrotami głowy. W pierwszym okresie obejmowało tylko palce, więc zawsze miał przy sobie rękawiczki. Potem dodatkowe warstwy odzieży, nawet kiedy świeciło słońce i było ciepło. Nieustające dreszcze i przysuwanie się coraz bliżej do ognia, i choć spodziewał się palącego żaru na twarzy, nie czuł nic.

Więcej zastrzyków i więcej bólu, mimo że inni wokół niego umierali, niedoskonałe naczynia boskości. On ciągle czekał na cud, czekał, aż wybuchnie w nim rewerit i przemieni go w kogoś potężniejszego.

I to wszystko na JEJ polecenie.

A kiedy to nie podziałało – wygnanie.

– Muszę się ciebie stąd pozbyć. Jeśli nie możesz być Ręką Illiosa, to znajdź mi klucz do Elandriel – powiedziała Penelopa. – Za wszelką cenę.

Do tego czasu jego palce stały się czarne; nie aksamitną czernią reweritu, tylko czernią martwiczą, odstaniającą ciało i żółtawy tłuszcz, i szare kości. Uczeni zaczęli szeptać. Pół roku później odpadł pierwszy palec, zostawiając mu stały ból fantomowy opuszki palca serdecznego lewej ręki.

Teraz ból skryształizował się i niszczył jego umysł, jak lodowiec rozsadzający góry. Bywają dni, kiedy po przebudzeniu nie może sobie przypomnieć, jak ma na imię.

Te fiołki miały stanowić tymczasowe rozwiązanie, były sposobem spowolnienia procesu utraty jego ciała, kawałek po kawałku. Teraz może go ocalić jedynie krew bogów. Krew astrali. Ale tylko przez godzinę Jurij czuje znowu odrobinę ciepła.

Została mu tylko jedna fiołka. Tylko jedna możliwość wytchnienia, z nim ból podejmie dzieło niszczenia jego mózgu.

Może astrale nie chodzą już swobodnie po tym świecie, ale istnieją inne, w którym mogą odzyskać boskość, w którym w ich żyłach płynie płynny cud mogący go uleczyć. Elandriel.

„Za wszelką cenę”, powiedziała Penelopa.

Jurij ponownie otwiera lodówkę, wyjmując fiolkę i pije.

* * *

Johannes Braun to człowiek, który ma wiele powodów do żalu. Żałuje tego, jak postępował w życiu, żałuje tych wszystkich sytuacji, w których był współwinnym zniszczenia kogoś. Żałuje wszystkich straconych okazji, wszystkich „nie”, kiedy powinien był powiedzieć „tak”. Powinien był wrócić do Fidelis i uczyć, choć było to poniżej jego możliwości, żeby zbudować oddaną grupę młodych uczonych pozostających pod jego wpływem. Powinien był toczyć mniej zwad z Hadleyami albo przynajmniej podjąć wysiłek zaprzyjaźnienia się z potężniejszą rodziną – choć nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby postrzegać pozostałych uczonych w inny sposób niż tylko jako współzawodników. Powinien był trochę uważniej oglądać się za siebie. I chyba zawsze, gdy stanął na rozstajnych drogach, wybierał niewłaściwą.

Marianna Everly to jedna z tych rozstajnych dróg. Johannes siedzi w swoim gabinecie, patrzy, jak deszcz spływa grubymi kroplami po szybie, i wspomina, kiedy widział ją po raz ostatni. Oboje mieli jeszcze w sobie arogancję gibkiej młodości, Johannes był zaledwie o kilka lat starszy od Marianny. I być może właśnie z powodu tej młodzieńczej arogancji rozeszmiał jej się w twarz, kiedy zaproponowała, żeby zawarli sojusz. „Oboje jesteśmy ambitni”, powiedziała. Oboje wiedzieli, że obecny system uczonych upadnie i to raczej wcześniej niż później. Oboje wierzyli w istnienie przejść poza kluczymi z reweritu – i zdawali sobie sprawę z tego, jakie znaczenie miałyby dla Fidelis, gdyby znowu stało się całością i miało nieskrępowany dostęp do zasobów, których mu brakowało. Dlaczego nie?

Johannes siedział wtedy przy biurku podobnym do tego, z ręką jeszcze zaczerwienioną po świeżym tatuażu, i odmówił Mariannie. Już poznał smak pierwszego łyku trującej wiedzy – i chciał więcej. Dlaczego nie, rzeczywiście. Gdyby tylko był odrobinę starszy, odrobinę mądrzejszy. Ale

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

ogromna – niewłaściwie skierowana – pewnoś siebie sprawiła, że pomyślał: dlaczego miałbym zawracać sobie głowę sojuszem z Marianną, skoro koła mojego własnego sukcesu już zostały wprowadzone w ruch?

Marianna Everly stała po drugiej stronie jego biurka z rękami założonymi na piersiach.

– Jesteś słabym mazgajem, lichą namiastką mężczyzny, Johannesie – powiedziała, starannie wymawiając każde słowo ze zjadliwą nutką w głosie. – Miałam o tobie lepsze zdanie. Daj mi znać, kiedy odzyskasz kręgosłup.

W tydzień później Johannes otworzył swoją szufladę i odkrył, że wszystkie jego badania – praca całego życia nad Illiosem i jego Rękami – przepadły. Nie powinien być zaskoczony; wiedział, że Marianna szukała sposobu przemieszczania się pomiędzy światami bez kluczy z reweritu, jeśli coś takiego było w ogóle możliwe. A jednak stało się: wbiła mu nóż w serce, zanim zdążył dostrzec ostrze.

A dzisiaj? Dzisiaj zobaczył wszystkie swoje wybory życiowe zsumowane w potworną udrękę: Marianna Everly powróciła w osobie swojej córki. Miał szansę naprawienia swojego historycznego błędu. A zamiast tego zrobił to, co robił od dwudziestu lat: zaszył się w swoim biurze i udawał niewiedzę.

Marianna miała rację. Jest słabym człowiekiem. Choć wytatuowany klucz na jego przedramieniu zbladł, to nadal jest widoczny, ciemny tusz reweritowy nadal mieni się w świetle. Nawet na dobrowolnym zesłaniu Johannes jest związany z uczonymi. Istnieją długi, które należy spłacić.

Przez długi czas siedzi, obejmując głowę rękami. Potem wyciera twarz i wybiera numer Violet.

* * *

Na pustej ulicy Aleksander wyjmuje swój telefon.

Głos po drugiej stronie jest spokojny, pewny.

– Czego się dowiedziałeś?

Aleksander opowiada Penelopie o wszystkim.

Dwudziesty trzeci



W środku nocy dzwoni telefon Violet. Połowa mieszkańców pokoju jęczy; inni nadal chrapią jak szaleni. Violet zwleka się z łóżka i drepcze na korytarz, ciągle jeszcze otumaniona od snu. Numer jest nieznajomy; więc to żaden z jej wujów, myśli z niespodziewanym niepokojem.

– Halo? – mówi zaspanym głosem.

Po drugiej stronie odzywa się stanowczy głos Johannes Brauna.

– Dam ci mapę, Violet. Ale w tej historii jest coś więcej... muszę wytłumaczyć...

Violet przytomnieje w jednej chwili.

– To skomplikowane – kontynuuje Johannes. – Nie znasz całej... Lepiej wyjaśnię ci to osobiście.

– Teraz? – Na dworze jest noc, cicha i ciemna, to nieludzka godzina.

– Jeśli możesz.

– Momencik, proszę o adres.

– Wyślę ci – mówi Johannes. – Tylko przyjdź. Proszę.

Violet zamyka oczy i walczy z falą zmęczenia. Wie, że jej twarz jest blada i wyczerpana po zbyt wielu bezsennych nocach. Ale to jest TO.

– Będę – zapewnia.

Drzwi pełnego kurzu domu Johannes Brauna otwierają się tak cicho, jakby poruszył nimi podmuch wiatru. Skrzypią deski podłogi, szeleści kartka.

Johannes, spocony z wysiłku, poprawia okulary, które zsuwają mu się z nosa, i rozgląda się po swojej sypialni. Właśnie skończył pakowanie ostatniej walizki, wszystkie są już wypchane po brzegi dokumentami, ubraniami i pamiątkami, z którymi nie jest w stanie się rozstać. Pod podszewką jego aktówki znajduje się pięć paszportów na różne nazwiska, wszystkie z jego zdjęciem. Samochód stoi na jałowym biegu w garażu, gotów do drogi.

Najpierw pojedę wzdłuż włoskiego wybrzeża, myśli Johannes. Już tak dawno nie widział morza. Błękitnej wody i setek wiosek, w których można zniknąć bez śladu. Popasie się na włoskich makaronach i winie. Może zapadnie się tam na kilka miesięcy, potem zmieni kraj i jeszcze raz, do czasu, aż odnalezienie go będzie wymagało zbyt wielkiej fatygi. Tytuł jest krnąbrnych uczonych – jeden więcej z pewnością pozostanie niezauważony.

W kuchni coś się przewraca.

Johannes powoli sięga do szuflady nocnego stolika po broń, ukrytą pod fałszywym dnem. Jego ręce drżą, kiedy ją odbezpiecza.

– Powinieneś zrobić generalne porządki, Johannesie.

Jakiś mężczyzna blokuje drzwi. Nieznajomy. Okropny głos w jego głowie szepcze: *Ale to nie tak, prawda, Johannesie?* Od dawna nie odwiedzał wieży uczonych, nie uczestniczył w wieczorkach uczonych. Jego własny klucz rdzewieje w pudełku, zapakowanym do jednej z walizek.

Kiedy ostatnio słyszałeś pieśń gwiazd, Johannesie?, pyta ten sam głos.

– Ja... nie zrobiłem nic złego – mówi Johannes i wycelowuje broń w intruza. – Kim pan jest, do licha?

Mężczyzna nie odpowiada. Tylko sięga do kieszeni.

Johannes bierze go na cel i strzela.

I nic. Znowu pociąga za spust, ale wszystkie komory magazynka są puste. Niemożliwe. Jest absolutnie pewien, że zostawił naładowaną broń.

– Penelopa powiedziała, że będzie pan tutaj – mówi mężczyzna, jakby do siebie. – Że rozmawiał pan z Everly. Zna pan reguły. I konsekwencje.

Intruza wyjmuje coś z kieszeni: torebkę błyszczących kamyków i zapalniczkę wetkniętą pomiędzy palce okryte rękawiczką. Wyraźnie się

trzęsąc, wkłada torebkę do ust i rozgryza z chrzęstem. Johannes zalewa falą ulgi, że to jednak nie broń, ale kiedy spogląda mężczyźnie w oczy, uderza go zrozumienie.

– Ja pana znam – stwierdza, szerzej otwierając oczy. – Jurij Morozow.

Jurij zapala zapalniczkę, gasi i zapala znowu. To na pewno jest on, choć czas nie okazał się dla niego łaskawy. Ubranie wisi na nim, jakby głodował, a linię szczęki przecina strup; z pewnością to bardzo bolesne. Jego lśniące oczy w świetle zapalniczki wydają się czarne.

Spżywanie reweritu tak działa na człowieka.

Jurij mamrocze coś pod nosem, może modlitwę, a może przekleństwo. A potem wyciąga pistolet, smukły i lśniący.

– Nie powinien pan z nią rozmawiać – mówi.

Johannesowi ściska się serce.

– Czekaj, czekaj, mogę ci dać to, czego chcesz! Chcesz kobiety z rodu Everlych, prawda? Mogę ci ją dać... mapę, czego tylko chcesz... o co ona prosiła...

– Dokąd ona poszła?

– Bóg mi świadkiem, nie chciałem tego. Nie miałem nic wspólnego z Marianną, przysięgam! Potrzebuje tylko trochę więcej czasu! – woła Johannes błagalnie. – Proszę.

– Nie możesz dać mi czegoś, czego nie masz – mówi Jurij. – Przykro mi, Johannesie.

Johannesa ogarnia groza, gorąca wilgoć spływa po nogawce jego spodni. RzUCA się po laskę – w tym samym momencie Jurij unosi rękę i strzela.

Kula trafia między zebra Johannes. Biały ból eksploduje w jego piersi, Johannes pada na łóżko. Przyciska ręce do rany i cofa je, splamione krwią. Wciąga urywany oddech, ból jest jak rozpalone do czerwoności żelastwo przyłożone do nagiej piersi. Na chwilę zapada w ciemność.

Kiedy odzyskuje przytomność, Jurija już nie ma. W pokoju unosi się ostry, gęsty dym; płomienie żarłocznie pożerają framugę drzwi. Johannes próbuje wstać, ale jego nogi zdają się nie mieć łączności z resztą ciała. Każdy oddech pali, żar płomieni kęsa jego policzki.

Biedny Johannes Baun, będą mówili. Samotny, dziwny człowiek. Dom płonął jak beczka prochu.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Za zasłoną płomieni widzi Mariannę Everly, stoi w drzwiach z założonymi ramionami i zjadliwą miną. „Jesteś słabym człowiekiem, Johannesie”. Johannes stara się odezwać do niej, powiedzieć, że mu przykro, ale usta ma suche jak pieprz. Gdyby tylko mógł to wszystko odczynić.

Ogień go dosięga i obejmuje czule.

Dwudziesty czwarty



Przed świtem w mieście panuje taki spokój, że Violet, która przemierza ulice, słyszy w uszach bicie własnego serca. Strumienie złotego światła padają z latarni, cisza jest absolutna. Dwukrotnie czuje mrowienie między łopatkami i ogląda się w przekonaniu, że ktoś ją obserwuje. Ale to tylko wiatr szumiący wśród drzew.

Podany adres znajduje się na obrzeżu miasta, na niczym się niewyróżniającej peryferyjnej uliczce. Zbliżając się do celu, Violet wyobraża sobie schludny, dwukondygnacyjny domek z przyszczyżonym żywoplotem wzdłuż ogrodzenia i równymi grządkami kwiatów, jak przy każdym domu w sąsiedztwie.

Ale zanim jeszcze dotrze pod wskazany adres, wie, że stało się coś złego. W poranną ciszę wdzierają się wycie syren i mijają ją dwa wozy strażackie. W powietrzu unosi się gryzący dym.

Violet puszcza się biegiem.

Bez tchu staje pod domem Johannaesa. I jej serce przestaje bić. Przed sobą ma rozszalałe piekło – w miejscu, w którym powinien znajdować się jego dom.

Tuzin strażaków próbuje powstrzymać pożar, zaniepokojeni sąsiedzi kręcą się po ulicy w piżamach. Nawet po drugiej stronie ulicy Violet czuje na twarzy żar płomieni. Z trzaskiem i rykiem eksplodują okna i rozpadają się meble wewnątrz domu.

Przez ponad godzinę dziewczyna obserwuje, jak pożar powoli zmniejsza się i wygasa. Przybyła policja zaczyna odgradzać ulicę. Johannes zaraz wyjdzie, myśli Violet rozpaczliwie. Nic mu nie będzie.

A potem widzi to. Nosze na kółkach. Prześcieradło.

Zwłoki.

Jeden z policjantów patrzy na nią i krzyczy coś po niemiecku, ale ona ledwie to zauważa. To nie może być zbieg okoliczności. Ktokolwiek to zrobił... zrobił to przez nią. To ona odszukała Johanna. To ona nie zachowała wystarczającej ostrożności. Może nie zabiła go osobiście, ale jest odpowiedzialna za jego śmierć, ponosi za nią winę.

Johannes zginął przez nią.

Violet odwraca się i wymiotuje tak długo, aż nic w niej nie zostaje.

Następne chwile są jakby zamazane. Ale kiedy Violet wreszcie wraca do siebie i zaczyna myśleć, jest już kilka ulic od pożaru. Trudno jej zebrać myśli z wyczerpania. Sprawdza telefon. Wyświetla się nieodebrane połączenie sprzed kilku godzin i przez jedną okropną, pełną nadziei sekundę Violet myśli, że to od Ambrose'a. Że powie jej: Wracaj do domu.

Ale ku jej zaskoczeniu wiadomość głosowa jest od Johanna.

– Zmieniłem zdanie; to zbyt niebezpieczne. Wyjeżdżam. Teraz. – Jego nagrany głos brzmi słabo. – Ja... ja nie jestem dobrym człowiekiem, Violet. Żaden z uczonych nie jest dobry, niezależnie od tego, co ci będą wmawiali. Ale jeśli Marianna uważa, że znalazła drogę do Elandriel... to jej wierzę. – Śmieje się do siebie. – Byłem idiotą.

To są słowa ducha, martwego człowieka, uświadamia sobie Violet. Może jego ostatnie słowa.

Wiadomość głosowa jest długa, przerywana odgłosami pakowania. A na samym końcu Johannes podaje jej pewien adres. I ostrzeżenie.

– Violet, ten obiekt... musisz być ostrożna. Gdybyś wiedziała, czego tak naprawdę szukasz, nie poszłabyś – mówi. – Większość uczonych, którzy ruszyli na poszukiwania, nigdy nie wróciła. To jest... – Johannes robi pauzę i ciężko oddycha na drugim końcu linii, jakby nasłuchiwał. – Muszę już iść.

Na tym kończy się nagranie.

Violet przesłuchuje je jeszcze dwukrotnie, notuje adres. Budynek znajduje się we francuskiej wiosce, odległej stąd o kilka godzin jazdy pociągiem.

Przez kolejną sekundę myśli z tęsknotą o domu, o Ambrosie naprawiającym dres w swoim ulubionym fotelu, o Gabrieli uczącym ją znowu,

jak zadawać cios pięścią. „Kciuk na wierzchu, dzieciaku!” Wszyscy razem, w bezpiecznym schronieniu rodzinnego domu Everlych.

Ile by dała, żeby tam teraz być, odłożyć na bok swój gniew i po prostu wykreslić miniony rok jak zły sen.

Ale odpycha od siebie tę myśl i rusza w stronę stacji kolejowej.

* * *

Aleksander stoi na zimnie przed wieżą uczonych i przez szparę w drzwiach obserwuje panujący w niej ruch. W wieży trwa, jak zawsze, gorączkowa aktywność, rozbrzmiewa gwar posłańców i gońców, uczonych i ich asystentów. Aleksander śledzi to tak długo, jak długo może wytrzymać, a potem jeszcze trochę. Do jego punktu obserwacyjnego na dworze dociera zapach tuszu i ciepłego chleba pieczonego w kuchniach na dole.

Jak łatwo byłoby przekroczyć próg. I jak bardzo jest to niemożliwe.

Zanim ktokolwiek zauważy jego obecność, naciąga kaptur na głowę, żeby ukryć swój wstyd pod osłoną anonimowości. Obchodzi wieżę z boku i dociera aż na skraj tarasu, gdzie klif opada w śmiertelnie groźną nicłość. Z tego miejsca widzi niżej położone osady w dolinie, światła buntowniczo przebijają upartą mgłę.

Penelopa stoi na samym skraju i obserwuje z zainteresowaniem statki powietrzne parkujące poniżej. Ledwie rzuca okiem na Aleksandra, który staje obok niej. A on czeka w bolesnym milczeniu, aż zostanie zauważony.

– Co u niej? – pyta Penelopa.

Aleksander przełyka ślinę, zastanawiając się nad tym, co mógłby powiedzieć. Że widok Violet był jak cios w splot słoneczny. Że wydała mu się starsza, a jednak niezmieniona, nadal półdzika i niebezpiecznie piękna. I nadal pociągająca, jak pociągający jest dla wędrowca ogień widziany z daleka. Aleksander nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że był już na najlepszej drodze, by spłonąć w niej. Wszystko, co nastąpiło później, wracało teraz do niego falami wstydu, fala za falą.

Violet nie ma pojęcia, ile go kosztowała.

– Popatrz na mnie – żąda Penelopa.

Aleksander podnosi głowę, pełen obaw, ile zdradzi jego twarz. Spogląda jej w oczy i sztywnieje, przygotowując się wewnętrznie na jej furję.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

To jego wina. Wszystko to jego wina.

– Daję ci ostatnią szansę udowodnienia, że jesteś coś wart – mówi Penelopa. – Jeśli mnie znowu zawiedziesz, nie będzie odwrotu, rozumiesz? – Po tym stwierdzeniu srogość opada z niej, zostaje Penelopa z jego dzieciństwa. – Aleksandrze, nie miałam ochoty zrezygnować z ciebie. Ale zламаłeś najświętszą zasadę. Nie mogę sprowadzić cię teraz z powrotem bez sprawdzenia. Rada na to nie pozwoli.

Łagodnie obejmuje rękami jego twarz, ale jej dotyk jest zimny jak lód. Aleksandra dławią w gardle niewylane łzy. Ile by dał, żeby cofnąć czas, odczynić to wszystko.

– Jesteś zdolny do znacznie większych rzeczy. – Penelopa odwraca się od niego. – Ale musisz ponownie udowodnić swoją wartość. Dowiedz się, ile wie Violet. Dowiedz się wszystkiego. Zrób to dla mnie i zostań uczonym, którym, jak wiem, będziesz.

Dwudziesty piąty



Diecko ginie z ogrodzonego apartamentowca w Trynidadzie. Inne zostaje zabrane z łóżeczka tuż obok śpiących rodziców na statku odbywającym rejs po Morzu Śródziemnym. Mały chłopczyk, poważny maluch o lepkich rączkach, znika z targów stanowych w Illinois.

Nie zawsze zniknięciom dzieci towarzyszą zapach wanilii, pasmo blond włosów czy delikatne, pewne ręce. Niektóre maluchy są wabione piosenką, sztuczkami i obietnicami albo – przy słabszych kompetencjach – odurzane: do ich butelek dolewa się boleśnie słodkie środki uspokajające.

Kiedy budzą się w nieznanym domu, w nieznanym mieście, wita je łagodny uczonek, który mówi im, że jako jedne z nielicznych mają talent. Że są wyjątkowe. I wkłada do ich małych dłoni reweritowy koralik, wytworzony w tym właśnie celu. Kiedy koralik się rozjaśnia, uczeni kiwają głowami, zadowoleni. Gdyby te dzieci przyszły na świat w rodzinach mieszkających w Fidelis, zostałyby w przyszłości kowalami, rolnikami, inżynierami, lekarzami – może nawet uczonymi, jeśli okazałyby się silne i utalentowane.

Ale zamiast tego są prowadzone do niewielkiego, wysokiego pokoju w jednej z przyległych wież, ich pulchne rączki obejmują czyjś palec.

– To będzie trwało tak szybko, jak zapadanie w sen – odzywa się jakiś kojący głos.

Uczeni spoglądają na siebie, przyjmując do wiadomości, że popełniają właśnie niezbędny, choć straszliwy akt.

Błyskają ostre kły, tryska gorąca, czerwona krew. Bogini ponownie pochyla usta, przyjmując tę ofiarę.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

A potem rewanzuje się uczonym. Składa na ich ustach – jak pocałunek – kropelkę krwi w kolorze złocistych, słonecznych promieni, kropelkę o smaku potęgi; to dodatkowa chwila życia; przedłużenie młodości. To nagroda dla tych, którzy przynieśli dziecko – którzy wyrosli ponad innych akademików. Każdy starszy uczony, każdy mistrz otarł się o ten pokój i wie, że to cena, którą trzeba zapłacić.

Potem może przyjść czas na żal, na udrękę z powodu drogi, która doprowadziła go do tego miejsca bez powrotu. Ale tutaj jest tylko chwila obecna, miedziany odór samego czasu inkrustowanego rubinową czerwienią; chęptanie dające wyobrażenie o bezmiarze głodu odczuwanego przez tak długi czas. Każda kropla to sekunda, minuta – kolejny moment na linii życia rozciągającej się w nieskończoność w przyszłość.

Astriada, sprawczyni spustoszenia, oblizuje wargi z uśmiechem.

Dwudziesty szósty



Francuska wioska pojawia się w polu widzenia o zachodzie słońca, który okrywa wszystko cieniem. W górze ośnieżone szczyty zdają się drapać niebo jak bajkowi giganci pogrążeni w głębokim śnie. Pośrodku ciemny, sosnowy las pokrywa zbocze całymi milami bujnej zieleni przetykanej niewielkimi alpejskimi farmami. Drzewa kołyszają się, jakby sam świat oddychał.

Taksówkarz zwalnia i zatrzymuje się na skraju wsi.

– Jesteśmy na miejscu.

Violet poprawia plecak i gramoli się z samochodu. Nadal ma na sobie ubrania pachnące dymem, poszarzałe od popiołu.

Kilkakrotnie musiała pytać swoją łamaną francuszczyzną o drogę, zanim znalazła kogoś, kto jej zechciał ją wskazać. Podany przez Johannesa adres znajduje się na końcu bitej drogi, częściowo zarośniętej krzakami, daleko za wsią. Wielki, chylący się ku upadkowi dom, ukryty za rozsia-
nymi bezładnie, rosochatymi drzewami, ma wszelkie oznaki całkowitego zaniedbania. Farba łuszczy się ze ścian, a okna są pokryte sadzą. Frontowe drzwi stoją otworem, spaczone od wilgoci. Dół jest spęczniały od grzyba w niebezpiecznych, ropnych odcieniach żółci i oranżu.

Violet stoi w bramie przez całą wieczność, jak jej się zdaje, i próbuje zmusić się do wejścia do środka. Dom jest z rodzaju tych, w których wydarzyło się coś potwornego, coś tak okropnego, że zostawiło po sobie wy-
czuwalny ślad.

Za drzwiami rozciąga się ciemność. Zrywa się wiatr, Violet drży, otu-
lając się mocniej kardiganem.

EVERLY. ZNAMY CIE.

Jej ręka odruchowo otwiera furtkę, stopy same niosą ją w stronę drzwi. Jak we śnie otwiera je pchnięciem, wzbijając kurz. Ziemia pod jej nogami sprawia wrażenie miękkiej i gąbczastej, a powietrze, które wciąga w płuca, dusznego i wilgotnego.

Violet jest w połowie korytarza, gdy uderza ją dziwny wewnętrzny przy-
mus. Nagle jej serce bardzo przyspiesza, dziewczyna na oślep stara się wy-
macać telefon. Białe światło rozjaśnia mrok, pada na zakurzone ramki fo-
tografii, wydobywa z ciemności zarośnięte zielskiem deski podłogi.

Jakim cudem weszła tak głęboko? Nie zamierzała wcale wchodzić...
a może jednak?

Coś skrzypi za jej plecami, więc Violet odwraca się gwałtownie. Ale to
tylko wiatr, szarpiący drzwiami.

Reszta domu wydaje się równie opuszczona. Kiedy stawia pierwszy
krok na schodach, deska ugina się alarmująco pod jej ciężarem, więc Vio-
let się cofa. Jeśli odpowiedzi na jej pytania znajdują się na piętrze, to chy-
ba nie zdoła do nich dotrzeć, żeby nie skrócić sobie karku. Również po-
koje na parterze są prawie puste, połamane meble zostały zepchnięte pod
ściany. W tym domu od dawna nikt nie mieszkał.

Violet opiera ręce na biodrach i wzdycha. Ta mapa to ewidentnie fał-
szywy trop. A dotarcie tutaj trwało całą wieczność...

Everly.

Violet drętwieje. Słyszała to naprawdę: to nie był jej głos, nie wymyśli-
ła sobie tego szeptu. Powoli wyciąga z kieszeni szczyryk.

– Halo?! – woła.

Powietrze porusza lekki powiew, a trzaski rozpadających się mebli
brzmia jak śmiech. Włosy jeżą się na jej karku.

Violet cofa się do kuchni i potyka o zapleśniały dywan leżący na zie-
mi. Krzywi się i odzyskuje równowagę – i w tym momencie zauważa kła-
pę w podłodze. Rozsądek każe jej jak najszybciej wydostać się z tego do-
mu. Powinna stąd wyjść. Niewątpliwie nie znajdzie tu nic użytecznego.

Jednak z całą pewnością czuje, że nie jest sama. Wstrzymuje oddech –
i kolejny, niemal niewidzialny szept niesie się po całym domu.

Pociąga więc za duży pierścień i podnosi kłapę w podłodze. Z do-
tu wydobywa się suche, zepsute powietrze, tak cuchnące, że o mało nie

przyprawia jej o wymioty. Drabina prowadzi w dół, w ciemność. Violet przyświeca sobie telefonem i widzi na dole ubitą ziemię; w piwnicy nie ma drewnianej podłogi.

Z dołu dobiegają jęki, które brzmią bardzo po ludzku. Ktoś jest tu uwięziony?

– Schodzę na dół! – woła Violet.

Jedyną odpowiedzią jest kolejny jęk, tym razem konkretniejszy. Violet wsuwa się w otwór i testuje wytrzymałość drabiny. Ale to żelazo, chyba utrzyma jej ciężar. Ostrożnie chowa szczyrki do kieszeni i schodzi, wymacując drogę w dół, dopóki nie postawi stopy na ziemi. Na dole smród jest jeszcze gorszy, to niewątpliwie odór niemytego ciała. Violet stara się oddychać płytko i przez usta.

– Jestem tutaj... drzwi były otwarte... pozwól, że ci pomogę.

Przesuwa światłem latarki po pomieszczeniu. Rozlega się krzyk, ochrypliwy wrzask, który rezonuje w jej czaszce. Violet również krzyczy i cofa się pod ścianę. Wypuszcza z ręki telefon i na moment całe pomieszczenie zalewa białe światło, ujawniając powód jej nagłego przerażenia.

Stwór przykuty łańcuchem do przeciwległej ściany jest nagi i cofa się przed światłem. Ogromne, czarne skrzydła leżą za nim po obu stronach, porwane i pokaleczone. Wygląda jak makabryczna maskarada, jak kukielka z odciętymi sznureczkami. Czarna posoka sączy się z jego ran. Ciemne kosmyki włosów oblepiają twarz, która kiedyś mogła być piękna, boska nawet – ale teraz tak zapadnięta, że trudno powiedzieć. Srebrzyste, wilgotne oczy lśnią w świetle, a w otwartych w okrzyku bólu ustach błyskają zęby ostre niczym włócznie. Reszta stworzenia jest całkiem ludzka. Wygląda jak człowiek, którego wszystkie kości zostały połamane i zrosły się od nowa, a mięśnie i ścięgna przyschły do szkieletu.

Stwór znowu krzyczy. W języku, którego Violet nigdy nie słyszała, a który brzmi jak odłamki szkła sypiącego się na ziemię. Ale wyrazy formują się w jej głowie, wbijają w jej myśli.

To nas boli! Nie możemy tego znieść!

Roztrzęsiona Violet podnosi telefon i zaśnania ręką latarkę, żeby nie oświetlała pomieszczenia. Stwór wzdycha, jego oddech ma miedziany zapach krwi.

Ahhhh... wzdycha stwór.

Violet zdaje już sobie sprawę z tego, że świat jest dziwniejszy i bardziej wyjątkowy, niż mogła kiedyś przypuszczać. Ale uczeni to są jednak ludzie, podczas gdy to... to stworzenie... zdecydowanie nie. Przypomina sobie ostrzeżenie Johannaesa. Tego już za wiele. Musi stąd wyjść.

Przesuwa się w stronę drabiny z nadzieją, że ten stwór nie zauważy jej ruchów. I modli się, by jego łańcuch okazał się mocniejszy, niż na to wygląda. Nagle stworzenie znowu zaczyna mówić, brzęcząca melodyjka gładko wchodzi do głowy Violet, jak muzyka.

Czekaliśmy na ciebie, o, gwiazdne dziecko. Widzieliśmy ten dzień, kiedy byliśmy tylko chemicznym tańcem światła, kiedy świat był ciemny i nieskończony, a o tak dojrzałe do zerwania.

– Czym jesteś? – pyta Violet ochryple.

Czym jesteśmy? Ton potwora jest pełen rozbawienia, autoironii. Kiedyś byliśmy niewyobrażalni, nieśmiertelni, niezniszczalni. Kiedyś nazywaliśmy gwiazdy kuzynami, a niebo domem. Jesteśmy astralem.

Astral. Bóg Fidelis. To niemożliwe. A jednak on jest niewątpliwie istotą z innego świata. Violet przypomina sobie karty, które pokazywał jej asteria: astrale miłości i zdrady, i straty. Zniszczenia. Ale ten stwór nie przypomina żadnej z kart, które odwróciła.

Mapa doprowadziła ją tutaj. Nie do obiektu, lecz do BOGA.

Potem przypomina sobie słowa, które wypowiedział wcześniej.

– Wiedziałeś, że przyjdę.

Jaka matka, taka córka. Historia się powtarza.

– Była tutaj moja matka?

O tak. Była mądra, z darem. Astral wbija w nią przenikliwe spojrzenie. Nie wyczuwamy żadnego daru od ciebie.

Johannes nie wspominał o żadnym darze. A to, co Violet ma w plecaku, jest kompletnie bezwartościowe dla wszystkich poza nią samą.

– Nie mam nic do ofiarowania – mówi bezradnie.

Przyniostaś siebie. Weźmiemy tylko kęs, mruczy śpiewnie astral. Paluszek, kciuk. Łańcuchy dzwonią pod jego ciężarem, kiedy rzuca się naprzód. Ręka była by najwspanialszym darem.

Violet wzdryga się i potrzasa głową.

Ale w tej samej chwili w jej głowie rozlega się szept: *Tylko jeden palec.* Nic wielkiego – mały paluszek, może mały palec u nogi. Jak we śnie

pochyla się, żeby rozsznurować but, metodycznie rozluźnia sznurowadła. Czego by w końcu nie dała za wiedzę tysiąca żywotów?

Coś przemyka jej przez myśl, ale to nie może być nic ważnego. Zdejmuje skarpetki, gołe stopy zagłębiają się w pyle. Szczyryk sam wskakuje jej do ręki, jakby tam było jego miejsce. Violet uświadamia sobie niejasno, że astral coś nuci, a ślina kapie mu z ust.

Tylko jeden palec. Tylko jedna stopa, ale potem wszystkie tajemnice świata będą należeć do niej.

Violet unosi szczyryk.

Jesteśmy tacy głodni. Nie kosztowaliśmy mięsa od niepamiętnych czasów. Nasze serce jest zmęczone, o, gwiazdne dziecko. Nasze zdolności są coraz mniejsze, ciało nas zawodzi. Nas, którzy mieliśmy żyć wiecznie! O, daj nam jeden palec, kosteczkę ręki do schrupania, żebyśmy mogli poczuć smak całego świata, kropli rosy, zieleni trawy, miodowego blasku słońca. Nasz brzuch ryczy: MUSIMY JEŚĆ, O, MUSIMY POŻERAĆ...

Łańcuch napina się znowu i ten dźwięk zrywa odczuwany przez nią przymus.

Violet uświadamia sobie nagle, że jest bosa, że zimno jej w nogi od ubitej ziemi, że trzyma w rękę szczyryk jak piłę. Pragnienie odcinania sobie palców, jednego po drugim, znika w jednej chwili. Cofa się, przerażona.

Zrobiłaby to. Odcięłaby własną stopę, żeby nasycić tego potwora. I zrobiłaby to z uśmiechem.

Violet chwyta drabinę, żeby się stąd wydostać. Nie ma żadnego interesu w byciu tutaj i rozmowie z kimś, kto chce ją zjeść. Robi jej się niedobrze z przerażenia na myśl o tym, do czego mogło dojść. W ustach jej zaszło ze zgrozy, w jej żyłach krąży adrenalina.

Bez nas nie znajdziesz tego, czego szukasz, mówi chytrze astral.

Jego głos jest dziwnie pociągający, ale Violet ignoruje go, koncentruje się na przekładaniu jednej ręki nad drugą.

Nie zostawiaj nas jeszcze, o, gwiazdne dziecko!, woła Astral rozpaczliwie. Nie będziemy się więcej wtrącać.

Jedna ręka przed drugą, powtarza sobie stanowczo Violet.

Violet Everly odzywa się znowu astral, teraz już błagalnie. *Gwiazdne dziecko, czy wiesz o tym, czy nie, podróżniczko po tysiącu przyszłych światów, córko Marianny Everly. Poszukiwaczko jasnego, zgubnego miasta w gruzach.*

Violet przestaje się wspinać. Przegląda własny umysł, pełna wątpliwości, ale nabiera pewności, że nadal jest sobą.

– Szukam klucza – mówi.

A do czego prowadzi ten klucz? Marianna Everly przyszła do nas, kiedy byliśmy jeszcze wojownikami w kajdanach. Odwiedzata nas często, czerpała przyjemność z naszego towarzystwa. Podczas ostatniej wizyty ofiarowała nam dar. Nie mięso, ten ciepły, czerwony ocean życia, mający smak wszystkiego, co straciliśmy, za czym tęsknimy... astral wzdycha. – ciato. Pamięć, światło. Kiedyś dysponowaliśmy wieloma walutami, o, gwiazdne dziecko.

A my w zamian daliśmy jej to, o co prosiła.

– Czyli co? – pyta Violet.

Dawanie niczego za darmo nie leży w naszej naturze. Prosimy o coś w zamian.

– Nie dam ci swoich palców... ani stóp – odpowiada Violet.

Astral zdaje się zastanawiać.

Weźmiemy pamięć, Violet Everly. Pieśń za pieśń. Pamiętamy jeszcze wymiany z dawnych dni, pomiędzy gwiazdnymi krewnymi.

Tysiąc myśli przelatuje przez głowę Violet jednocześnie, wszystkie sprzeczne ze sobą. Mogłaby znaleźć inny sposób dotarcia do matki. I byłoby szaleństwem zaufać *czemuś*, co ma taką władzę nad jej umysłem.

Ale jeśli astral mówi prawdę, to jej matka schodziła niegdyś tu, na dół i wyszła stąd żywa. Z informacją.

– Przysięgnij, że mnie nie skrzywdzisz – mówi Violet. – Przysięgnij, że nie weźmiesz niczego... ekstra.

Przysiegamy na hełm bojowy naszej matki, na słoneczną włóczęgię ojca. Przysiegamy na nasze imię, które nadal jest przy nas, kiedy wszystko inne rozsypano się w pył.

To musi jej wystarczyć.

Musi zmobilizować całą odwagę, żeby zejść znowu po tej drabinie w mrok. Widzi, że on obserwuje z otwartymi ustami, jak ona wkłada z powrotem but. Potem staje najdalej od niego, jak to tylko możliwe, niepewna, co robić dalej.

Musisz podejść bliżej.

Robi dwa kroki naprzód, potem jeszcze jeden. Owiewa ją jego oddech. Cuchnący.

Bliżej.

GEORGIA SUMMERS

Violet jest już tak blisko, że nawet w ciemności widzi blizny na torsie astrala i otwarte rany, z których płynie posoka po jego zniszczonym ciele. Nietrudno się domyślić, jak bardzo musiał kiedyś przypominać człowieka. Zalewa ją nagła fala współczucia.

Dotknij naszego ciała, o, gwiazdne dziecko. I sprawdź, co zobaczysz.

Ignorując targające jej wnętrznościami mdłości, Violet przyciska dłoń do jego piersi. Coś pulsuje, gwałtownie pręży się na końcu pomieszczenia i nagle Violet leci do tyłu. Uderza głową o ścianę. „Skłamałeś”, próbuje powiedzieć, ale słowa nie chcą jej przejść przez usta, a szczęka uparcie nie chce się poruszyć.

A potem zauważa stojącą przed nią kobietę. W pierwszej chwili wydaje jej się, że doświadcza wrażenia bycia poza swoim ciałem i obserwuje samą siebie w ostatnim momencie swojego życia. Ale potem zauważa długość włosów kobiety, odrobinę inną figurę, nieznaną ubranie.

To jej matka.

Dwudziesty siódmy



Marianna Everly stoi przed astralem, absolutnie nieustraszona, jakby czas obaw przed stratą kończył się dawno temu. Violet patrzy na nią, oczarowana. Od dwunastu lat nie widziała matki.

Tak długo starała się ją przywołać i oto jest, właśnie tutaj. Violet wyciąga rękę, żeby w końcu jej dotknąć...

Ale zerka na twarz matki i jej ręka opada. Marianna Everly byłaby teraz starsza, przez ponad dekadę musiałaby się zmienić. A tymczasem wygląda na młodszą od Violet, jej twarz jest okrągła i miękka, w orzechowych oczach błyszczy determinacja. Na jej nadgarstkach połyskują bransoletki. Violet przeżywa szok na widok brzucha matki, napiętego i tak bardzo w ciąży.

To jest wspomnienie. Tylko wspomnienie.

– Potrzebna mi widownia, Tamrielu – mówi, a Violet serce się ściska, gdy słyszy głos, którego nie słyszała od lat. – Wysłuchasz mnie?

Ponad ramieniem Marianny Violet widzi astrala, ale nie takiego jak dzisiaj. Nie potwora, lecz pięknego, nagiego mężczyznę o złocistej skórze. I oczach srebrzystych jak światło gwiazd. Jego pierś przecina wytatuowany czarnym tuszem napis wykonany nieznanym Violet liternictwem. Jego umięśnione skrzydła są pokryte piórami, jeszcze białymi, ale splamionymi jego złotą krwią. Tylko nogi leżą pod takim samym dziwnym kątem, wszystkie kości są połamane.

– Marianno Everly – odzywa się nadspodziewanie miękkim głosem. – Słyszemy twoje nazwisko niesione poszumem wiatru. Czy uwolnisz nas z kajdan?

– Nie mogę i nie zrobię tego. Ja również o tobie słyszałam, Tamrielu. Wiem, za co tutaj trafiłeś. – Marianna prostuje ramiona. – Z racji urodzenia domagam się przyrodzonego prawa do rewanzu. Prawdy za prawdę.

Oczy Tamriela się zwężają.

– Moglibyśmy odmówić. – Potem wzdycha, a wyraz jego twarzy jest tak ludzki, że Violet zaczyna się wstydzić własnego strachu. – Ale ponieważ jesteś z nami spokrewniona, nie zrobimy tego. Czekamy na twoje pytanie, gwiazdne dziecko.

Marianna waha się i przez sekundę wygląda w każdym calu na tak młodą i niepewną dziewczynę, jaką jest.

– Jak złamię klątwę Everlych?

I w tym momencie obraz zaczyna się rozmywać, a słowa Marianny rozwiewają się w powietrzu.

– Zaczekaj... – prosi Violet.

Wspomnienie się zmienia, obraca się jak nóż. Violet mruga powiekami i matka znowu stoi przed nią, naprzeciw Tamriela. Ale to nie jest już portret młodej dziewczyny ani odległe wspomnienie. Na twarzy Marianny pojawiły się zmarszczki, a we włosach nitki siwizny. Wygląda starzej, niż Violet pamięta, a w jej rysach są gorycz i zmęczenie. Tamriel wygląda tak jak obecnie, cały we krwi i posoce, prawie nierozpoznawalny jako mężczyzna.

Violet przygryza wargę, żeby nie sapnąć głośno. To nie jest wspomnienie sprzed dziesiątków lat. Tylko z ostatnich czasów, może sprzed paru miesięcy.

– Potrzebuję audiencji u ostatniej Ręki Illiosa. U ostatniego przechodzącego między światami. Jak mogę ją uzyskać?

Prosisz nas o wiele, Marianno Everly. Moglibyśmy podejrzewać, że z nas kpiasz, gdybyś była tak głupia, by tego próbować. Tamriel patrzy na nią przenikliwie. Dlaczego?

– Czy tego chcesz w zamian?

Tamriel się uśmiecha. Violet wzdryga się na widok jego uśmiechu, w którym nie ma nic ludzkiego.

Tak. To, co ci oferujemy na nasz koszt, to wielka prawda i musisz w zamian zaoferować to samo.

Tym razem to Marianna się uśmiecha i Violet przeżywa szok, widząc na jej twarzy taką samą zjadliwość.

– Moją wielką prawdą jest to, że dowiem się, czego Astriada pragnie najbardziej na świecie. I odbiorę jej to.

Astriada. Violet przypomina sobie kartę, którą wyciągnęła, ostrzeżenie przed katastrofą, jasnowłosego astrala z mieczem wbitym w pierś. To nie może być ta, o której myśli, a jednak...

Tamriel wybuchła cichym śmiechem, całe jego ciało się trzęsie. Z jego ran tryska świeża krew, a łańcuchy dzwonią jak dzwoneczki, a nie kajdany. I choć każdy ruch musi sprawiać mu ból, to jego śmiech uspokaja się bardzo powoli.

Czekamy z niecierpliwością na ten dzień. Potrząsa głową z rozbawieniem. Dobrze, Marianno Everly, nagrodzimy cię, dostaniesz swój skarb.

W powietrzu pojawia się zamazany obraz miasta, z wieżyczkami i drogami wodnymi. Praski zegar astrologiczny, katedra Świętego Wita z jej wieżyczkami skąpanymi w deszczu. Potem obraz przybliża się i koncentruje na kościele wetkniętym w róg skądinąd niepozornej uliczki. Arkada połyskująca złocistym światłem. Sylwetka kobiety na kamiennym murze, światło prześwituje przez jego pęknięcia, kobieta przyciska ręce po obu stronach.

Pozostaje cena do zapłacenia.

Marianna kiwa głową ze znużeniem.

– Wiem. – Opuszcza wzrok na swoje dłonie. – Klątwa to jest właściwie kontrakt.

Ta scena trwa jeszcze przez sekundę, połyskliwa i krucha. A potem rozwiewa się i Violet jest znowu w ciemnym pomieszczeniu, z dłonią przyciśniętą do piersi Tamriela. Nie pada na ziemię. Jej matka zniknęła, porwana przez czas. Pierś stwora unosi się ciężko, astral oddycha z wysiłkiem.

Pokazaliśmy ci. A teraz musimy wziąć.

– Ja... zaczekaj minutkę...

Ogromny ciężar przygniata jej głowę, przez jej mózg przelatują rozmaite obrazy. Szmaragdowe pole; matka kładzie ją spać z bardzo smutną miną. Opowieść padająca z jej ust takim miękkim, jasnym głosem. Lekki zapach perfum, kiedy pochyla się, żeby pocałować Violet w czoło. To ostatni dzień, kiedy widziała matkę, uświadamia sobie Violet. „Tylko nie

to!”, próbuje powiedzieć. Są inne wspomnienia – Marianna kłócąca się z Violet o jakąś rzecz położoną nie na swoim miejscu; Marianna podczytująca coś w kuchni podczas gotowania; Marianna popychająca Violet w stronę wujów, ponieważ: „Mam coś do zrobienia” – te wspomnienia Tamriel może zabrać. Tylko nie to jedno. Nie ostatnie.

Potem ucisk nagle znika. Violet zatacza się do tyłu, próbuje zatrzymać... co to właściwie było? Ale obrazy już odpłynęły jak woda. Jej twarz jest mokra, łzy płyną po niej strumieniami, choć Violet nie ma pojęcia dlaczego. Wyciera je ze złością.

– Co zabrałeś? – pyta.

Zabraliśmy, co nam się należało. Wymiana się dokonała.

– Nie rozumiem – mówi Violet. – Cena? Co ma znaczyć ta Ręka? Będzie miała klucz? Praga to duże miasto. Jak miałabym ją znaleźć?

To już nie nasz problem. My już nigdy nie zobaczymy niczego poza tą ciemnością.

Astral powiedział to w taki sposób, że Violet musiała się zatrzymać i popatrzeć na niego jeszcze raz. Po obejrzeniu wspomnień Marianny nie sposób nie dostrzegać w nim resztek boga. Astrala. Jej spojrzenie biegnie ku łańcuchom z reweritu.

– Jak wyglądał? – pyta miękko Violet. – Elandriel?

Tamriel obserwuje ją swymi srebrzystymi oczami z nieprzeniknioną miną.

Elandriel nie miał sobie równych, to wrota do niewypowiedzianych światów. Marzenie, tysiące lat w trakcie powstawania. Nasi bracia mieli takie plany na ten świat światów, ten nasz skarb.

Ale potężne marzenia to potężny ciężar. Popatrz, co ten ciężar z nami zrobił. Tamriel przechyla głowę na bok, w jego wzroku maluje się ewidentna ciekawość. Dlaczego nas o to pytasz?

– Ja... – Violet otwiera usta, żeby opowiedzieć mu o matce, o klątwie Everlych, o własnym wewnętrznym zegarze odmierzającym ostatnie chwile.

Ale gdyby powiedziała, że o tym właśnie pomyślała w pierwszym momencie, to byłoby kłamstwo. Bo myśli o talencie krążącym w jej żyłach, który może jeszcze pewnego dnia pozwoli jej przechodzić pomiędzy światami.

– Po prostu... chciałam wiedzieć – mówi.

Tamriel przysuwa się do niej tak blisko, że jego łańcuch się napręża.
Przypominasz nam bardzo inną. Widzimy twoją matkę, tę, która wędruje, ale jest coś jeszcze...

Astral spogląda nagle na sufit, jakby coś tam wyczuwał.

Czas rozliczeń już prawie minął. Zostaw nas, o, gwiazdne dziecko.

– Ale ja...

ODEJDŹ!, krzyczy Tamriel tak rozkazującym tonem, że Violet musi posłuchać. Jest już w połowie drabiny, kiedy dociera do niej, że znowu nie zdołała mu się oprzeć. I czy chce, czy nie chce, musi wchodzić. Wiele pytań cisnie jej się na usta. O Elandriel, o przyrodzone prawo, o matkę i co się stanie z Tamrielem...

Wyłazi z podziemi pokryta kurzem i czuje się tak, jakby spędziła tam całe życie. Słońce już zaszło, kuchnia jest pogrążona w ciemności. Zamiera, kiedy coś w domu skrzypi.

Nadchodzi czas zdawania rachunków. Ale dla kogo?

* * *

Penelopa wyłania się z cienia i obserwuje opuszczającą dom Violet. To ciekawe, jak szybko dzieci dorastają, zauważa. Co zabierają w dorosłe życie, a co zostawiają za sobą. Violet wdała się w Everlych, bardzo niewiele odziedziczyła po swoim bezwartościowym ojcu – kimkolwiek był.

Z drugiej jednak strony, krew Everlych jest mocniejsza od większości innych. I bardziej uparta od innych.

Penelopa schodzi po drabinie do podziemi, ślady stóp Violet są jeszcze widoczne na ziemi. Tamriel podnosi wzrok i śmieje się cicho.

– Tamrielu – odzywa się Penelopa. – Okłamałeś mnie.

Wróciłaś, o, gwiazdna córko. Wiedzieliśmy, że wrócisz.

– Powiedziałeś mi, że ona przyjdzie szukać zgubionych rzeczy – mówi Penelopa, a każde jej słowo jest ostre jak nóż. – Powiedziałeś, że będę bezpieczna. Jak śmiesz.

Tamriel śmieje się znowu.

Jaką przyjemność sprawiłby nam widok ciebie zniweczonej.

Penelopa robi krok naprzód, w ciemność.

– Mylisz się, jeśli sądzisz, że przeżyjesz ten dzień i będziesz mógł być świadkiem czegokolwiek.

Przewidzieliśmy ten dzień jak wszystko inne. Twój czas nadchodzi, astriado. I będziemy się tym rozkoszować, czy jako popiół na wietrze, czy pyłki w blasku słońca.

Penelopa podchodzi do Tamriela, tak blisko jak do pocałunku. Gładzi jego zniszczoną twarz.

– Och, Tamrielu. Od dawna nie rozmawiałeś z nikim poza samym sobą, biednym i niedorzecznym. Ja odczytuję wyroki nieba; moja przyszłość, moja wieczna przyszłość, jest pewna. – Uśmiecha się, odsłaniając zęby. – Widzisz, niebiosy też zmieniają zdanie.

Kładzie rękę na jego szarej, pokrytej bliznami piersi, tuż nad sercem. On powoli mruga, tylko raz. Wie, co Penelopa zamierza zrobić.

Widzimy tysiąc umierających światła, syczy nagle. Widzimy więzienie w niebiosach, zapadające się ulice, miasto w ogniu. Widzimy śmiertelnika, kochanego i znienawidzonego, i, o, jakże cennego dla ciebie, astriado...

Paznokcie Penelopy wbijają się w jego ciało. Tamriel gwałtownie wciąga powietrze i drga, gdy uchodzi z niego życie. Jego usta otwierają się i zamykają bezużytecznie, a ręce chwytają powietrze. Jego skóra powoli staje się ciemnoszara i sucha jak papier. Powieki opadają. Wciąga jeszcze raz powietrze z chrapliwym, nieludzkim odgłosem – a potem przestaje oddychać.

Jego pierś nieruchomieje. Osuwa się na ziemię, łańcuchy brzęczą, próbując podtrzymać jego ciało.

Penelopa wydaje cichy pomruk. Jej palce ociekają krwią. Ale jest nasycona, na razie. Delikatnie oblizuje palce do czysta, jakby po zakończonym posiłku. I chyba w pewnym sensie tak jest, myśli. Przejęła jego życiodajną krew, jego talent. Resztki jego wigoru.

Po zakończeniu przygląda się ciału Tamriela, jego cuchnącej śmiertelnej powłoce.

– Zawsze chciałeś mieć ostatnie słowo, Tamrielu – mówi. – Myślałeś, że jesteś taki mądry, taki niezniszczalny. Chroniony przez całe życie, drogi kuzynie. To właśnie ci zaoferowałam i spełniłam obietnicę.

Penelopa zostaje przy zwłokach tak dopóty, dopóki muchy nie zaczną się zlatywać do krwi na jego piersi. Potem, jak wcielenie wdzięku, unosi się, pełna odnowionej siły. Kolejna działka czasu, nabyta i opłacona.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Ale nawet kiedy wychodzi z włazu na wschodzące słońce, dręczy ją pewna myśl. Violet miała nigdy tutaj nie dotrzeć. A niezależnie od tego, czego dowiedziała się od Tamriela, jest o krok bliżej Marianny Everly. Matka czy córka, bez znaczenia – nie wolno dopuścić, by któraś znalazła Elandriel pierwsza.

Violet Everly staje się problemem.

Dwudziesty ósmy



W opuszczonym domu na peryferiach jakiejś austriackiej wioski Jurij zapada w głęboki sen. W ostatnich dniach tak niewiele spał, że kiedy ogarnęła go senność, była tak mocna, że musiał się jej poddać. Fiolki zapewniają mu do tego stopnia niesamowicie żywe sny, że po przebudzeniu nie potrafi ich odróżnić od rzeczywistości.

Ostatnio śniło mu się, że twarde łuski z reweritu pokrywają jego skórę. Ból był tak dotkliwy, jakby to się działo naprawdę. Jego martwicza skóra odpada płatami, odsłaniając wrażliwe ciało. Potem kamień rozrywa jego żyły, błyszczące płatki zachodzą na siebie jak zbroja: naramienniki, kirys, pancerz otaczają go jak skorupa żółwia.

Rewerit przekształca go w coś cudownego. W kogoś WIEĆCEJ.

W boga, podpowiadają mu myśli. W astrala.

– Jurij.

Budzi się, stoi nad nim jakiś człowiek. Niewiele widzi poza zarysem sylwetki, ale rozpoznaje ten głos. Przyjmowanie reweritu powoli krystalizuje jego wzrok, źrenice przesłania katarakta.

– Aleksander – mówi z ogromną ulgą. – Jesteś tutaj. Zabrakło mi... ostatnia fiolka jest...

– Miałeś POROZMAWIAĆ z Johannesem. – Aleksander odwraca wzrok, Jurij słyszy w jego głosie przerażenie. – Nie miałeś go zabijać.

– Ja... nie chciałem... ale ogień...

Gorąco na jego twarzy. Niekończące się ciepło.

– Przez ciebie uczeni zaczynają zadawać pytania. Pytania, na które Penelopa nie może odpowiedzieć, nie powodując komplikacji.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

– Ja tylko potrzebuję... fiolek...

– Przysięgałeś, że masz kontrolę nad sobą! – woła Aleksander. – A teraz Johannes nie żyje. Zabiłeś człowieka, uczonego!

Jurij przełyka z trudem, czuje palenie w płucach.

– Aleksandrze, ja...

Czuje nacisk napierśnika. Potrzebuje tylko więcej CZASU. Jest już tak blisko.

– To koniec, Jurij. – Aleksander robi pauzę. – Jadę do Pragi sam. Przykro mi.

Po jego wyjściu do Jurija dociera skowyt, jakby jakieś zwierzę wpadło w pułapkę. Po chwili uświadamia sobie, że to lamentuje on sam.

Przez nieokreślony czas unosi się na oceanie rozpalonych do białości igieł. Brak fiolek oznacza brak ulgi w cierpieniu. Jest mu tak zimno, że nie ma już pewności, gdzie kończy się udręka, a zaczyna jego ciało. Czas się rozciąga i skręca.

Ale gdzieś w tym wirze cierpienia rodzi się plan. Umysł jeszcze nie całkiem go zawiódł.

Żeby stać się bogiem, musi złożyć im dar. Ofiarę, jeśli wolicie.

Jest pewna młoda kobieta, która ogromnie interesuje Penelopę.

Aleksander ze swym służalczym szacunkiem pójdzie w zapomnienie. Jurij zostanie astralem. Będzie samym światłem objawionym. Odrzuci śmiertelność dla wiecznej chwały, jakby zmieniał skórę.

To będzie wspaniałe.

Powoli, stopniowo Jurij zbiera się w sobie i rozpoczyna długą podróż do Pragi.

CZEŚĆ
TRZECIA



Bajka



Chciałabyś posłuchać opowieści? – pyta Ambrose.

Violet właśnie skończyła dziesięć lat, jest smutna i zła, bo jej matka dwa tygodnie temu wyruszyła „na przygodę”. On, dwudziestopięcioletek, od dawna cierpiący z powodu tego, że jest najmłodszy z rodzeństwa i łatwo ulega wpływom – nie tak jak Gabriel – został oderwany od studiów doktoranckich z literatury, aby zaopiekować się siostrzenicą. Oczywiście po powrocie Marianny będzie mógł kontynuować karierę naukową. Z tego powodu tak niechętnie wrócił, kiedy Marianna pojawiła się z dzieckiem i rodzeństwo Everlych musiało się przegrupować. Przyjeżdżać znowu do domu, za którym ciągnie się taka długa pamięć, i do zniechęconych portretów, gdzie nazwisko Everly wypiera wszystko inne. Ale prawda jest taka, że Ambrose już nigdy nie wróci do swojego doktoratu, bo zanim zda sobie z tego sprawę, jego siostrzenica, ze swą błyskotliwą dociekliwością i nieustępliwym charakterem, całkowicie podbije jego serce.

Tego wieczoru jednak są jeszcze nieznanymi, a Violet ma łzy w oczach, co ją bardzo złości. Jest zła na cały świat. A mimo to ożywia się na słowo „opowieść”. Niechętnie kiwa głową.

– To jest dobra opowieść, zapewniam – mówi Ambrose, sadowiąc się z nią na kanapie. – I dotyczy twojego dziedzictwa. Ponieważ zaczyna się od Everly’ego. On nie był pierwszym i z całą pewnością nie będzie ostatnim z nas, ale być może najbardziej wyjątkowym. – Odchrząkuje i zaczyna w taki sam sposób, w jaki Marianna wyjaśniała genezę klątwy Everlych, czyli od bajki. – Dawno, dawno temu w magicznym mieście na dalekim wybrzeżu żył Ever Everly.

– Co za głupie imię – mamrocze Violet.

Ambrose stara się ukryć uśmiech.

– Ale wiesz, to był mądry człowiek.

Był rzemieślnikiem, opowiada Ambrose. I to wybitnym. Uderzeniem młotka albo obrotem śrubokręta potrafił tworzyć zabawki, z którymi nic nie mogło się równać. Ludzie je kochali. Ale Ever miał pewien sekret, tym sekretem było to, że nikt go nie kochał.

Początkowo to mu nie przeszkadzało. Jeśli już tak jest na świecie, niech i tak będzie. Ale z wiekiem, kiedy obserwował pary mające się ku sobie, potem ciężę, wreszcie małżeństwa z dwójką dzieci u boku, zapragnął także mieć kogoś, dopasowanego do niego jak dwa kawałki puzzli. Ale jeśli uznać go za taki kawałek puzzla, to był kawałkiem, którego zabrakło w pudełku, bez którego nie da się ułożyć obrazka.

Ale pewnego dnia do jego sklepu weszła kobieta.

Powiedzieć, że była piękna, to jak porównać księżyc do skały. Była tak cudowna, że ludzie szlochali na jej widok, mówili, że wyglądała jak gwiazda, która zstąpiła na ziemię. Była przepiękna, ale i jej czegoś brakowało. Bo tak jak Ever Everly nie był nigdy przez nikogo kochany, tak ona nigdy nie kochała nikogo. Natomiast magii miała w sobie aż za dużo. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na Evera i już wiedziała, jak bardzo pragnął znaleźć swoją drugą połówkę.

I doszła do wniosku, że właśnie od Evera Everly’ego mogłaby nauczyć się miłości. Więc zaproponowała mu umowę. Będzie go kochała przez rok i jeden dzień, a potem da mu do wyboru: albo połknie jego duszę, albo dusze wszystkich mieszkańców miasta. Ever był dobrym człowiekiem, więc wiedziała, że wybierze to pierwsze. Dusza kogoś przepętnionego miłością ma wielką moc, a ona nie miała ochoty posmakować dusz mieszkańców miasta, w większości mdłych i niedojrzałych.

Kobieta uważała, że to uczciwa propozycja, podobnie sądził, na swój własny sposób, Ever Everly. Miał dobre życie, nie licząc braku miłości, i gotów był oddać się jej, kiedy przyjdzie czas. Rok i jeden dzień miłości, rozumował, to wspaniałomyślna oferta za życie. Pobrali się pod mieczami przodków i wkrótce urodziło im się dziecko.

Jednakże kobieta nie liczyła się z tym, co miłość zrobi z nią. Miłość dała jej siłę. Ale miłość ją również osłabiła. Miłość sprawiła, że pragnęła

go bardziej niż czegokolwiek innego. Kochała to, że z takim pietyzmem podchodził do wszystkiego, co tworzył, i że pytał każdego klienta o jego rodzinę. To, w jaki sposób wypowiadał jej imię, jakby miał w ustach bezcenny klejnot.

Ale była związana kontraktem. Kiedy upłynie rok i jeden dzień, będzie musiała albo połknąć jego duszę, albo dusze całego miasta. Bez wiedzy Evera Everly'ego podejmowała decyzję.

Minęło sześć miesięcy. Potem dziewięć. Rok.

Ostatniego wieczoru Ever Everly uporządkował wszystkie swoje sprawy. Wysprzątał warsztat, rozdał zabawki i zamknął swój sklep na zawsze. Potem zwrócił się do kobiety i powiedział jej, że jest gotów zostać pożarty. Ale ona go nie połknęła. Był dla niej zbyt cenny. Wołała wziąć miasto.

Ever Everly próbował ją powstrzymać. Miłość uczyniła ją jednak odporną na jego błagania, kobieta je zignorowała. W mieście były tysiące dusz, zjadłaby je wszystkie, byle tylko być z nim. A on rozglądał się wokół siebie, zdesperowany, myślał o dzieciach, o parach, które od lat obserwowwał. Co mógłby zrobić?

A ponieważ był mądrym człowiekiem, znalazł wyjście. Pochłonięty bez reszty miłością zapomniał o tym, że nie był jedynie połówką całości. Był odrębną osobą. I miał wybór. Kobieta nie będzie mogła chronić duszy, która nie istnieje.

Zdjął ze ściany miecz przodków i przebił nim swoje serce. Magia, która sprawiła, że był tak wspaniałym twórcą, eksplodowała z niego i zamroziła kobietę w posąg równie niezniszczalny jak ich kontrakt. Pozbawił kobietę jej magii, żeby nie mogła już zjadać dusz. Miasto było bezpieczne.

– A potem – opowiada Ambrose – mając gwiazdy w oczach, wydał ostatnie tchnienie i umarł.

Zapada cisza i Ambrose zaczyna się zastanawiać, czy nie powinien był wybrać innej opowieści, która nie kończy się śmiercią i rozlewem krwi. Ale kiedy odważa się popatrzeć na Violet, jej oczy są szeroko otwarte z podziwu.

– Wow – szepcze dziewczynka.

Ambrose uśmiecha się do niej.

– Wiem. A kobieta, zamknięta głęboko w swojej kryształowej klatce, ciągle marzy o połknięciu jego duszy, ponieważ to jedyny sposób, żeby nauczyła się kochać.

GEORGIA SUMMERS

Co, oczywiście, nie jest bynajmniej prawdziwą miłością.

– Chciałabym, żeby on nie umarł – mówi później Violet, idąc już do łóżka.

Ambrose otula ją – po raz pierwszy mu na to pozwoliła. Zastanawia się nad tym przez chwilę. Marianna powiedziałaaby coś o bohaterstwie i poświęceniu, ale on nie może się zmusić do kłamstwa, że Everly dobrowolnie szli na śmierć. My nie idziemy bez oporu, myśli smętnie.

– Myślę, że Everly również tego nie chciał. Kto wie, co mógł zrobić z resztą swojego życia? Zginął jednak, ratując swoje miasto. Zginął, ratując to, co było dla niego ważne. – Ambrose całuje Violet w główkę. – Zginął, ale wygrał dla nich świat.

Dwudziesty dziewiąty



Praga. Już tylko kilka tygodni zostało do okropnego deadline'u Penelopy.

Ale po rocznych poszukiwaniach Violet jest już tak blisko. Prawie nie może spać, nie wspominając już o tym, że nie może zapomnieć Tamriela i jego słów, które ciągle brzmią jej w uszach. Może to właśnie asteria miał na myśli, mówiąc o poświęceniu – i wybory, jakie jej dał, należą już do przeszłości. Zawsze uważała, że jest panią siebie, ale to, do czego o mało nie nakłonił jej Tamriel... co kazał jej zobaczyć...

Ogarnia ją nieprzejednany gniew na myśl o matce, a siła tego gniewu zaskakuje ją samą. Gniew nie zmusi Marianny do powrotu ani nie powstrzyma klątwy Penelopy. Ale gdyby Marianna powiedziała jej, co robić albo dokąd pójść, to Violet nie stałaby teraz być może na środku obcego miasta, nie mając pojęcia, czego szukać.

Może Violet nie musiałaby zejść do tej zimnej, ciemnej piwnicy i zmierzyć się z potworem.

Violet wędruje po mieście, nie mając pojęcia, gdzie znaleźć kościół z wizji, i w końcu trafia na most Karola. Przez chwilę po prostu opiera się o mur i obserwuje przechodzących ludzi, a wiatr rozwiewa jej włosy związane niedbale w koński ogon. Widziała kiedyś w jakiejś starej książce ilustrację przedstawiającą ten most, choć wtedy nie umiała jeszcze nawet czytać. Siedziała w szafie z książką rozłożoną na kolanach i opowiadała sobie historie o każdym z pomników. Święci stanowili wówczas dla niej tajemnicę; nie, te posągi z całą pewnością przedstawiały magików, w długich szatach, z postawą pełną powagi.

To miasto to prawdziwy rarytas i po raz pierwszy Violet czuje w sobie pustkę na myśl, że nie ma z kim dzielić się wrażeniami. Tolerowała to w Nowym Jorku, w Akrze, w Melbourne, ale teraz, kiedy już wie, jak to jest wędrować z kimś ramię w ramię, tęskni za towarzystwem.

I zanim się rozmyśli, pstryka zdjęcie mostu oraz swych ukochanych magików i wysyła je Aleksandrowi. Po chwili odzywa się jej telefon. „Słyszałem, że kawa w Pradze nie ma sobie równych”.

Uśmiech rozjaśnia jej twarz. „Przyjdź i przekonaj się sam”.

Zamyka oczy, a kiedy je otwiera, on już jest.

– Violet Everly – mówi z błyskiem w oczach koloru morskiego szkła. – Co za zbieg okoliczności.

Jego włosy są nadal przyprószone śniegiem, który Violet strąca i czuje pod palcami chłód skóry Aleksandra. Mimowolnie wyciąga rękę, żeby dotknąć blizny nad jego brwią, ale on robi krok do tyłu. Ręka Violet zawisa w powietrzu. Szybko chowa ją za plecy i na jej twarz wypływa rumieniec.

– Wiem, że wspominałem o kawie – mówi Aleksander. – Ale myślałem o czymś bardziej konkretnym.

Violet burczy w brzuchu, jak na zawołanie.

– Moim zdaniem to oznacza tak – mówi Violet, próbując otrząsnąć się z zakłopotania.

Aleksander prowadzi ją do malutkiej restauracji na ruchliwej ulicy, siadają przy stoliku z widokiem na połyskującą w słońcu rzekę. I znowu Aleksander płynnie składa zamówienie, z bezbłędnym czeskim akcentem. Kelner coś mówi, a kiedy Aleksander odpowiada, kelner parska śmiechem, a potem odchodzi, zabierając ze sobą ich menu.

– Byłeś już kiedyś w Pradze? – pyta Violet.

Aleksander potrząsa głową.

– Lubię języki. A Penelopa zadbała o to, żebym otrzymał wszechstronne wykształcenie.

Violet wygląda przez okno, żeby ukryć niechęć, jaką budzi w niej samo wypowiedzenie imienia Penelopy; za każdym razem działa na nią jak kubeł zimnej wody, niezależnie od tego, ile razy pada w trakcie rozmowy. Nie widziała Penelopy od tamtego dnia w kawiarni, czasami wydaje jej się nawet, że to był zły, niewyraźny sen. Ta kobieta ukształtowała

całe życie Violet. Byłoby miło przeżyć choć jedną nieskażoną przez nią chwilę.

Ciągle jeszcze wygląda przez okno, gdy uświadamia sobie, że Aleksander zadał jej jakieś pytanie.

– Słucham? – mówi.

– Czy dotarłaś wreszcie do tej mapy? – pyta Aleksander.

Chwilę zajmuje jej zrozumienie, o co mu chodzi. A potem uderza ją myśl: on nie wie o Johannesie. Czym innym było powiadomienie Aleksandra o rozmowie w muzeum, kiedy to była tylko rozmowa – i nic więcej. Ale nie ma pewności, czy powinna choćby zacząć mu tłumaczyć straszliwą śmierć Johannaesa, nie wspominając już o przerażającej piwnicy Tamriela i wizjach, jakie jej pokazał. Żołądek jej się skręca z niepewności.

– To długa historia – mówi.

Aleksander przysuwa się do niej bliżej, muska jej ręce.

– Mam czas.

Violet przygryza wargę i zaraz ulega.

– Szukam Ręki Illiosa. Albo jakiejś Ręki. Możliwe, nie jestem pewna.

Aleksander mruga.

– Słucham?

Violet zniża głos.

– Illiosa. To ma jakiś związek z kluczami i drzwiami, i... cóż, ja nie wiem, co to znaczy, ale moja matka wiedziała. To coś przypuszczalnie jest tutaj, w Pradze.

Czeka na wyjaśnienia Aleksandra, czeka, aż on znajdzie odpowiedź. Ale on tylko patrzy na nią.

– Nie wiedziałem, że wiesz o astralach – mówi cicho.

– Wiele się nauczyłam przez ostatni rok, Aleksandrze. – Violet stara się powiedzieć to żartobliwie, ale nawet w jej uszach zabrzmiało to jak przytyk.

– Jesteś pewna? – Aleksander marszczy czoło.

– Absolutnie tak – odpowiada Violet.

I czeka, żeby on powiedział coś więcej, ale wtedy pojawia się jedzenie i rozmowa cichnie. Potem pozostają przy stoliku. Violet jest syta i zadowolona, po raz pierwszy od, jak się jej zdaje, bardzo dawna. Aleksander popada jednak w głębokie zamyślenie, jego czoło przecinają zmarszczki.

GEORGIA SUMMERS

– Wszystko w porządku? – pyta Violet.

Zmarszczki znikają, gdy odwraca się do niej.

– Oczywiście. Chodź, pójdziemy zwiedzać miasto.

Kluczą po wyłożonym mozaiką chodniku wzdłuż rzeki. Violet kątem oka zerka na Aleksandra. Wydaje się całkowicie rozluźniony, bez śladu poprzedniego poruszenia. A jednak Violet nie może pozbyć się wrażenia, że coś się za tym kryje.

W czasie spaceru rozgląda się za kościołem z wizji Tamriela. Ale tutaj kościoły są prawie wszędzie. Violet upada na duchu. Zostało już tak mało czasu.

Nagle się zatrzymuje.

– Co jest? – pyta Aleksander.

Była tak skupiona na poszukiwaniu matki i klucza, że całkiem zapomniała o zaproszeniu Caspiana. A jednak znalazła się tutaj, w Pradze, w samą porę. Uczeni i ich spotkania, myśli Violet i uśmiecha się wbrew sobie. Ale kogo lepiej zapytać niż Caspiana Verne’a z jego szerokimi kontaktami i dobrą wolą?

Myśli o uczuciu, którego doznała, gdy po raz pierwszy wpadła na Aleksandra: że sam los wyciąga do niej rękę. Gdyby nie wykorzystwała wówczas sposobności, czy zobaczyłaby tak wiele zakątków świata? Czy byłaby teraz tutaj, tak blisko zwycięstwa jak nigdy dotąd?

Może los znowu wyciąga do niej rękę. Poza tym od tak dawna nie pozwoliła sobie na odrobinę zabawy.

– Hej, masz jakieś plany na przyszły tydzień? – pyta.

Zaskoczony Aleksander mruga.

– Niewiele. Dlaczego?

– Mogę cię gdzieś zabrać?

Trzydziesty



dwa dni później Violet spotyka się z Aleksandrem w zaułku tuż po zapadnięciu zmroku. Przechodzą po moście Karola, mijają magików – świętych i rysowników, pakujących wieczorem swój sprzęt. Ale zamiast wchodzić pod górę w stronę zamku, Violet skręca w lewo i prowadzi go wzdłuż rzeki, coraz węższymi uliczkami. Ciemność następuje im na pięty.

– Czy wiesz, dokąd idziemy? – pyta Violet.

Aleksander marszczy czoło.

– Cóż, nie bardzo, bo przecież to ty zaprosiłaś mnie. A powinienem wiedzieć?

Zaskakuje ją nutka niepokoju w jego głosie. Macha ręką i uśmiecha się szerzej.

– Nie, to niespodzianka – odpowiada.

Aleksander nauczył ją tylu rzeczy, że odkrycie czegoś, czego mógłby nie wiedzieć, daje jej poczucie zwycięstwa.

Zapamiętała wszystko dokładnie tylko po to, żeby urządzić Aleksandrowi przedstawienie, a jednak wstrzymuje oddech, kiedy puka raz, potem dwa razy i jeszcze jeden raz do niczym niewyróżniających się drzwi. Mija sekunda i tym razem to Violet czuje lekki niepokój. Albo zaraz będzie musiała stawić czoło rozgniewanemu nieznanemu, albo...

Drzwi się otwierają i jakaś kobieta wyciąga dłoń.

– Żeton, proszę.

Violet posłusznie podaje jej monetę, którą dostała od Caspiana w Nowym Jorku.

– I jeden plus – dodaje, wskazując na Aleksandra.

Kobieta obrzuca Aleksandra szybkim spojrzeniem, ale zanim kiwnie głową, Violet ogarnia zdenerwowanie.

– Ręczysz za niego. – To nie jest pytanie.

Drzwi prowadzą bezpośrednio na schody obstawione świecami kapiącymi woskiem na podłogę. Schody prowadzą w dół, skąd dochodzi ogłuszające dudnienie basów. Coś zwisa z sufitu; kiedy oczy Violet przyzwyczajają się do słabego oświetlenia, dziewczyna dostrzega, że to klucze, setki kluczy rozmaitych rozmiarów i kształtów. I pióra, zanurzone w złotej farbie i umocowane tak, że poruszają się lekko w górze.

Aleksander szybko bierze oddech.

Violet, w przyływie zuchwałości, łapie go za rękę.

– Chodź.

Odswieżyła ostatnio lekturę i dowiedziała się, że pod Pragą znajduje się całe podziemne miasto jak druga skóra. Stare piwnice, zamurowane, a potem ponownie odkryte; upiorne lochy pokryte nielegalnymi graffiti; całe ulice pogrzebane pod nowymi budynkami. Oficjalnie nikt nie ma tam prawa wstępu poza wycieczkami prowadzonymi przez przewodników. Nieoficjalnie istnieją setki wejść w podziemia, których nikt nie pilnuje.

Violet podejrzewa, że jeśli zobaczy kiedyś Elandriel, będzie wyglądał podobnie do tego.

Kiedy docierają do stóp schodów, Aleksander szybko ściska jej rękę. Ale nie puszcza jej. Violet uśmiecha się do siebie w ciemności.

Schody otwierają się na ogromną piwnicę z niskim, beczkowatym sufitem. Światło świec, konkurujące z lampami stroboskopowymi, odbija się od ceglanych ścian. Basy entuzjastycznego didżeja pulsują pod ich stopami. Ktoś rozłożył na ziemi dywany, żeby słumić dźwięk, ludzie zdejmują buty i rozsiadają się na nich. Wieczór jest chłodny, więc niektórzy przynieśli pod ziemię grzejniki podłączone do „pożyczonego” prądu albo owijają się kocami. Violet dostrzega wyświechtaną talię kart asteros, rozłożoną przed niewielką, choć urzeczoną widownią.

Ta impreza tak bardzo różni się od przyjęcia uczonych, jak to tylko możliwe. A jednak obecność tutaj jest równie ekscytująca.

Violet spostrzega klucze uczonych umieszczone na palcach jak pierścionki – albo owinięte wokół przedramion na prostych, czarnych przepaskach,

albo lśniące koronkowe tatuaże obok zuchwałych plam koloru. Ale znacznie więcej osób nie ma żadnych ozdób w formie kluczy, tatuaży i tym podobnych.

To osoby takie jak ona.

Stojący obok niej Aleksander unosi brew.

– Mówiłaś, że od kogo usłyszałaś o tym miejscu?

– Mogę mieć więcej niż jednego przyjaciela, wiesz? – odpowiada Violet kpiąco.

Ale on wygląda na jeszcze bardziej zaniepokojonego.

– Nie wiem, czy powinniśmy tu przychodzić. Ci ludzie nie są...

– Uczonymi? – podsuwa Violet.

Chciałaby powiedzieć: „To dla ciebie odrobinę za wysokie progi?”, ale nie może. Bo gdyby nie poprosiła go, żeby wykradł dla niej klucz, to byłby już prawdopodobnie jednym z nich. Pamięta, jaka osamotniona czuła się na imprezie Yulan, i serce jej się ściska ze współczucia. Domyśla się, że niełatwo mu być wśród tak wielu uczonych.

Ale tutaj Aleksander nie musi być uczonym. Ona również.

Jest tu aż za dużo rzeczy do oglądania, dziesiątki nisz, w każdej ukryta inna niespodzianka. Kilkoro kupców rozstawiło swoje stoiska, w których sprzedają niemal wszystko: gorące napoje zwalczające chłód podziemi; kruche książki i zwoje w dziesiątkach języków; antyczne szklane butle potyskujące dziwnie w blasku świateł. Jest nawet stoisko sprzedające skradzione klucze uczonych – ale Violet decyduje się odciągnąć Aleksandra od tego akurat kramu.

Zamiast tego skręcają w stronę zakątka udekorowanego jasnymi czarodziejskimi światełkami. Znajduje się tam stolik upstrzony odłamkami mieniących się kamieni i w pierwszej chwili nie widzą nic innego. Potem jednak Violet dostrzega słaby złocisty błysk i czuje dreszczyk emocji.

Aleksander bierze do ręki kamyk i natychmiast odkłada go z powrotem.

– Nie ma w nim dość reweritu, żeby zasilić żarówkę.

Ostatnia wnęka w przestronnej sali jest tak pograżona w cieniu, że Violet dopiero po dłuższej chwili orientuje się, że ktoś rozłożył w niej kolejną talię kart asteros. Nikt inny zdaje się tego nie zauważać; ten fragment podziemi jest pusty.

– Ty. – Kobieta wskazuje Aleksandra. – Zostań na czytanie.

Aleksander spogląda na Violet, która wzrusza ramionami. Ona już widziała swój los w talii kart i wolałaby nie pokazywać go Aleksandrowi.

– Bez opłat – dodaje kobieta.

Aleksander masuje kark, Violet wyczuwa, że się waha. Popycha go z uśmiechem w stronę stolika.

– Mogę przez chwilę zająć się sobą – mówi.

Aleksander dotyka boku jej twarzy, tylko raz. Ciepło napływa do jej policzków i nagle Violet czuje wdzięczność z powodu ciemności.

– Będę za chwilę – obiecuje Aleksander.

Violet obserwuje oddalającego się Aleksandra i uśmiech nie schodzi z jej ust.

Mężczyzna w czarnej, jedwabnej koszuli staje obok niej.

– Powiadają, że jeśli zobaczysz asterię na golasa, ściągniesz klątwę na trzy pokolenia.

Caspian Verne zamienił formalny strój na ciemną, skórzaną marynarkę i ciemniejsze dżinsy. To swobodny styl, ale na nim wygląda irytująco elegancko.

– W takim razie ty jesteś przeklęty do potęgi – zauważa Violet.

Jego usta drgnęły.

– Bezdyskusyjnie. Cieszę się, że dałaś radę tu dotrzeć, Violet. – Potem zerka na sylwetkę oddalającego się Aleksandra. – I przyprowadziłaś nader interesujące towarzystwo.

– Aleksandra? – pyta zaskoczona Violet. – Jesteśmy tylko... to znaczy...

– W porządku, wszyscy mamy swoje grzeszki.

Violet zostawia tę uwagę bez komentarza.

– Właściwie przyszedłem tu z pewną misją. Chcę z tobą porozmawiać.

– To zabawne, bo ja również. – Caspian wskazuje labirynt podziemnych pomieszczeń. – Przejdź się ze mną, Everly. Chyba że nie możesz się rozstać ze swoim białym rycerzem.

Violet przewraca oczami.

– On nie jest moim rycerzem.

Ale mimo to spogląda na Aleksandra. Da sobie bez niej radę; to tylko pięć minut. Poza tym, jeśli nie liczyć niezobowiązujących pogawędek w czasie rozmaitych spotkań i wpadania na siebie w ostatnim roku,

ona i Caspian właściwie nigdy nie porozmawiali ze sobą poważnie. Aż do dzisiaj.

– Powiedz mi w takim razie – mówi Violet – jakie mądrości może mi przekazać wielki Caspian Verne?

Uśmiech Caspiana błyska w ciemności.

* * *

Aleksander podchodzi do asterii ze zdrową dozą sceptycyzmu. Normalnie asterie kręcą się wokół rozmaitych kiermaszów w Fidelis, przepowiadają przyszłość, wyklócają się o najlepsze talie kart i współzawodniczą o najbardziej efektowne kostiumy. Większość używa masek, pod którymi ukrywa codzienne oblicza, ale Aleksander widział zbyt wielu z nich, żeby nie wiedzieć, iż pod przebraniem kryje się zwykle rzeźnik albo jeden z rolników. Zwyczajny człowiek, który udaje, że ma gorącą linię z bogami.

Ta kobieta nie nosi maski. Jej twarz jest tylko pomalowana w proste, złote linie, przecinające kości policzkowe i znikające pod linią włosów. Resztę jej kostiumu stanowi prosta czarna halka, dająca mylne wyobrażenie o temperaturze panującej w podziemiach. Kiedy ich oczy się spotykają, włosy na karku Aleksandra się podnoszą.

Kobieta bez słowa zaczyna rozkładać karty.

Talia asterosów jest równie prosta jak jej przydzwiewek, z czarnymi, matowymi rewersami, jakby ktoś w pośpiechu zamalował oryginalne obrazki. Ale mają wymowny połysk reweritowego pyłu, świadczący o tym, że są prawdziwe.

Dużo czasu minęło, odkąd Aleksander odwiedził ostatnio asterię, choćby dla zabawy. Dotyka każdej z kart, zastanawiając się, który astral trzyma w rękach jego los. Czy będzie to Nemetor, dzierżący buławę nieomyślnej mądrości? A może sama Etallantia, łagodna patronka uczonych i ich asystentów? Na tym etapie gotów byłby nawet przystać na bliźniaczych oszustów Miraela i Finraela.

Aleksander wyciąga rękę, żeby odwrócić trzy karty, ale asteria powstrzymuje go uniesioną dłonią. I nadal je wykląda.

– Powinny być tylko trzy – zaczyna Aleksander.

Asteria ucisza go jednym spojrzeniem i kontynuuje, dopóki nie leży przed nim siedem kart ułożonych w półkole. Siedem astrali. Kobieta rozkłada ręce w jasnym geście, mówiącym: teraz możesz zobaczyć swoich przewodników.

Pierwsza jest Fillea, zdecydowanie przeciętna karta. Astral wyborów, odwrócona do niego plecami, rozłożonymi ramionami wskazuje rozwidlone drogi. Aleksander nie potrzebuje karty asteros, i bez niej wie, że będzie musiał dokonać wyboru.

Odwraca następną kartę, już żałując fatygi – i przestaje. To niezaprzeczalnie Berias i Tullis, bliźniacy w swej klasycznej pozie miłości i zdrady. Ale Berias ma ciało kobiety, a Tullis unosi wysoko niewidoczny dla niej nóż...

To Violet i Aleksander.

Podobieństwo jest niezaprzeczalne: tatuaże Tullisa są takie same jak Aleksandra, łącznie z trzema kropkami wokół ucha; a Berias ma kąpiący uśmiezek Violet i jej kręcone włosy. Aleksander zerka na asterię, ale ona tylko wskazuje ruchem głowy następną kartę.

Aleksander przetyka ślinę i kontynuuje.

Trzecia karta to Etallantia z księgą mądrości i kubkiem wiedzy przeznaczony wyłącznie dla uczonych. Ale ten astral ma znowu twarz Aleksandra. Następny jest Illios, Pierwszy Uczony, który przerzucił most nad przepaścią dzielącą ludzi i astrale, otoczony swoimi Rękami. Namalowany wizerunek Aleksandra krzywi się, pijąc złocisty płyn z kielicha, co podniesie go do boskiej godności.

Piątą kartą jest Tamriel Profanator. Astral w napierśniku i spódniczce wojownika, z rękami uniesionymi do nieba, podczas gdy miasto u jego stóp spływa krwią. Ma twarz Aleksandra, na której widnieje ekstatyczny uśmiech. A na rękach – plamy czerwieni.

Aleksander nie może się powstrzymać, odwraca kolejną kartę. Tej nie rozpoznaje, ale i na niej znajduje się jego wizerunek, ze skrzydłami wyrastającymi za plecami i złotymi łzami spływającymi po twarzy. Trzyma w ramionach zwiotczone ciało, którego twarz jest ukryta w zagięciu jego ramienia. Ale dobrze zna te miękkie, brązowe włosy, pełne wdzięku wygięcie szyi i parę bransoletek na nadgarstku zwisającej ręki...

Aleksander cofa się gwałtownie, strącając ze stołu świecę. Szklany świecznik rozbija się, zasypuje odłamkami podłogę. Wosk tworzy na ziemi kałużę.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Została już tylko jedna karta, ale Aleksander nie może się zmusić, żeby jej dotknąć. Nie chce wiedzieć, co ona ujawni.

– Nie mogę – szepcze.

Asteria beznamiętnie odwraca ostatnią kartę: Erriel, astral straty. Jej twarz, oświetlona pojedynczą latarnią, jest poważna. Reszta karty została pomalowana na czarno. Nicość.

Asteria patrzy na niego, jej nieodgadniona twarz pod namalowanym wizerunkiem. Spogląda mu w oczy i Aleksander cofa się gwałtownie. Jej oczy są straszliwie stare, odwieczne. Jak mógł tego dotąd nie zauważyć?

– Widzimy za tobą mrok – mówi asteria. – Widzimy cień przed tobą. Z nicości w nicość.

Aleksander robi krok do tyłu, potem następny. To wszystko podstęp i oszustwo, stara się sobie przypominać. Ktoś sobie wymyślił taki żart. Te karty to tylko karty.

Tullis i Berias. Aleksander spleciony z Violet, jego usta na jej ustach...

Rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie na stół, zanim ucieknie i zauważa, że układ kart przypomina arkadę. Drzwi.

Trzydziesty pierwszy



Violet wędruje z Caspianem niekończącym się podziemnym korytarzem, coraz dalej od ciemnej wnęki asterii. Caspian czuje się tutaj równie swobodnie jak na przyjęciu Yulan. Zdaje się, że zna wszystkich z nazwiska, a tych nielicznych, których nie zna, wita z niewymuszonym wdziękiem. Uwadze Violet nie umyka fakt, że wykorzystuje ten wdzięk również wobec niej, co oznacza, że czegoś od niej chce. Ale i tak okropnie trudno mu się oprzeć.

– Zapewne nie mogę zapytać, dlaczego jesteś tutaj, w Pradze – odzywa się w końcu Caspian. – I to akurat z Aleksandrem.

Violet zerka na niego kątem oka.

– Mógłbyś zapytać.

Caspian łączy palce w zamyśleniu.

– Tak, ale wówczas powiedziałabyś nieprawdę, a ja udawałbym, że ci wierzę. Nie róbmy z nas obojga kłamców – mówi, po czym dodaje z cwany uśmiechem: – Poza tym byłbym zawiedziony, gdyby to okazało się mniej ekscytujące niż plotki.

– A co to za plotki? – pyta Violet z zacięciem.

– Że ścigasz kochanka po całym świecie – odpowiada Caspian, opuszczając palce. – Że jesteś szpiegiem. Że już przechodzisz pomiędzy światami. – Nagle zatrzymuje się w pół kroku. – Że szukasz wrót do zaginionego miasta uczonych, Elandriel.

Violet rzuca mu ostre spojrzenie. Caspian nie patrzy na nią, ale wydaje jej się, że wsłuchuje się bacznie w każdy jej oddech. Przesuwa ręką po zakrzywionym kancie odłożonej cegły.

– A ty jak sądzisz? – pyta go tak lekkim tonem, na jaki tylko może się zdobyć.

Caspian uśmiecha się do niej, ale Violet ma poczucie, że już i tak powiedziała za wiele.

Zatrzymują się przy niszy z wystawionymi na sprzedaż dziesiątkami map przypiętych do muru. Violet rozpoznaje zarysy Fidelis ze swojej książeczki z bajkami. Dziwnie się czuje, widząc tę mapę tak otwarcie zaprezentowaną, a nie ukrytą w jakimś sekretnym miejscu. Pozostałe mapy to zwyczajne gryzmoły i niewyraźne instrukcje, tak skąpe w szczegóły, że mogą wskazywać dowolne miejsce. Kilka z nich Violet już przedtem widziała, wszystkie miały rzekomo doprowadzić do czarodziejskich krain lub całkowicie innych światów. „Wypij ten wywar o północy przy krwawym księżycu i zrób trzy kroki do tyłu w kamiennym kręgu zalanym księżycową poświatą” i tym podobne.

Racjonalna część jej osobowości wie, że to nie są prawdziwe instrukcje ani nawet rzeczywiście istniejące miejsca. Ale inna częśćka aż nazbyt łatwo wyobraża sobie kamienny krąg, padające z góry światło księżyca i kroki w tył, w nieznanne. Do wieńców w przepastnych lasach, do schodów w głębi szafy. W głowie Violet ciągle kołocze słowo, nieodłączne od jej marzeń. „Przygoda”.

– Wiesz, ja je widziałem – mówi Caspian cicho. – Wrota do innego świata.

Znikają sny na jawie; Violet przytakuje ruchem głowy.

– Wiem. Klucze.

Ale Caspian potrząsa głową.

– Klucze to tylko toporne narzędzia w rękach niezbyt ciekawych i niezbyt uzdolnionych. Mogą cię przenieść jedynie w miejsca, w których już byłaś.

– Ale i tak klucz jest lepszy niż nic – przypomina mu Violet.

– Mam być jeszcze bardziej uzależniony od uczonych niż teraz? Nie chcę być częścią tego wszystkiego – mówi Caspian.

– Dlaczego? – pyta Violet.

Nie z powodu tego, że jego reputacja wpoila mu jakąś źle pojętą nieskazitelność.

– Czy wiesz, jak się zostaje uczonym? – pyta Caspian.

– Dzięki talentowi – odpowiada Violet.

– Talent jest czymś wrodzonym; uczeni są konstruktem. Ty nie należysz do uczonych, choć masz mnóstwo talentu. Wiedziałaś o tym?

Violet odwraca wzrok, żeby ukryć irytację.

– Prawdę mówiąc, tak.

Nie żeby potrafiła cokolwiek z tym talentem zrobić. Nie jest bliższa wejścia w posiadanie klucza, niż była przed rokiem, kiedy pracowała w kawiarni, a każdy ślad prowadzący do Marianny wskazuje miejsce odległe od Fidelis. I nawet jeśli w jej ręce trafiał rewerit, dla niej był tylko kawałkiem metalu. Uległ metalu, ale to wszystko. Może gdyby została uczoną, wyglądałoby to inaczej. Może jej talent miałby jakieś znaczenie.

– Powinnaś zadać sobie pytanie, z kim uczeni wiążą swoją moc, gdy decydują się pójść tą drogą. I co w zamian poświęcają. Mogą tytułować się kolegami i udawać, że łączy ich jeden cel, ale w głębi serca to smoki, które strzegą skarbców swojej wiedzy. I z tego powodu nigdy nie wykorzystują w pełni swojego potencjału. – Caspian wzrusza ramionami. – Rewolucji nie buduje się na jednostkach.

To nie smoki, myśli Violet. To wilki.

– A skoro już o tym mowa, może i nie jestem uczonym, ale sporo się nasłuchałem o Aleksandrze – kontynuuje Caspian. – Nie wszystko jest przyjemne. Czy jesteś pewna, że wiesz, co to za człowiek?

Violet o mało nie wybucha śmiechem, rozbawiona jego troską.

– To mój przyjaciel. Myślisz, że przyprowadziłabym go tutaj, gdybym mu nie ufała? Zresztą on nie jest uczonym. Nie jest taki jak oni.

Gdyby nie Aleksander, nie stałaby teraz tutaj.

– Jeśli jesteś tego pewna... – W głosie Caspiana wciąż pobrzmiewa nutka niepewności, ton dość rzadko u niego spotykany.

– Jestem pewna.

Ale już w chwili, gdy to wypowiada, wraca myślami do rozmaitych dziwnych momentów, na przykład jak wpadli na siebie w Wiedniu i do tych wszystkich dręczących pytań...

– Mam pewne wyznanie – mówi nagle Caspian. – Nie jestem tylko pewien, czy ci się spodoba.

Nareszcie! Powód, dla którego Caspian zaprosił ją na tę przechadzkę. Możliwe, że powód, dla którego zaprosił ją na tę imprezę. Musiała przyznać, że wiedział, jak nakłonić ludzi, żeby tańczyli, jak im zgra.

– Mniej więcej dwa lata temu twoja matka poprosiła moją babcię o spotkanie. Szukała przejścia pomiędzy światami, które nie wymaga klucza, szukała wrót. Oczywiście my, Verne’owie, jesteśmy najważniejszymi adresatami takich pytań. Jesteśmy szczególnymi ekspertami, pozwolę sobie zauważyć.

Wrota, Elandriel. Serce jej się ściska.

– Marianna uciekała od dawna. I była gotowa się zatrzymać. Nie wiem, przed czym tak uciekała. – Caspian patrzy pytająco na Violet. – Ale ty wiesz.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – pyta Violet.

Caspian zachowuje lekki ton, choć daje się wyczuć w jego głosie stalową nutę.

– Muszę przyznać, że nie za wiele o tym myślałem, kiedy twoje imię zaczęło pojawiać się w rozmowach – tłumaczy. – Violet Everly, córka Marianny Everly, która pojawia się tu i tam i zadaje pytania. Zdarza się. Ludzie ustawicznie pojawiają się w naszym świecie i znikają, czasami niedobrowolnie. Ale ty byłaś wyjątkowo natarczywa, choć nie miałaś nic wartościowego. Żadnych sekretnych informacji, żadnych wyjątkowych rzeczy na wymianę.

Violet domyśla się, dokąd to zmierza.

– I to cię zaciekawiło.

– Ludzie z zewnątrz, którzy tak bardzo czegoś pragną, zwykle giną albo w ciągu roku zostają jednym z nas. Ty nie jesteś uczoną. – Caspian patrzy jej prosto w oczy. – Daję ci teraz prezent. Rozumiesz?

Violet kiwa głową, troszeczkę skruszona.

– Nie sądzę, żebyś zamierzała odnaleźć swoją matkę. – Caspian robi pauzę. – Marianna prosiła moją babkę, żeby przeszkodziła twoim poszukiwaniom. Powiedziała, że nie chce, żebyś poszła w jej ślady.

– To niemożliwe – stwierdza Violet. – Marianna nie zrobiłaby tego.

Nie przed odczynieniem klątwy. Nie przed powrotem po Violet.

– Wiesz, one się przyjaźniły. Bóg wie, jakim cudem, bo nawet ja nie nazwałbym swojej babki ciepłą osobą. Ale przy Mariannie naprawdę się rozpromieniała. I nie okłamałaby mnie w tej sprawie – dodaje Caspian.

– Ale ja właśnie dlatego tu jestem – ob staje przy swoim Violet. – Szukam pewnego kościoła. Powinien być gdzieś tutaj... „Ręka Illiosa”, cokolwiek to oznacza... sama nie wiem...

– Masz na myśli Błogosławieństwo Illiosa? – mówi zaskoczony Caspian.
– No, to naprawdę byłaś zajęta.

– Tak, właśnie – przyznaje Violet z ulgą.

Caspian unosi brwi.

– Nie miałem pojęcia, że zamierzasz zostać uczoną. – A potem, gdy dostrzega mars na czole Violet, niepokój znika z jego twarzy. – Aha. Błogosławieństwo Illiosa to ich doroczny rytuał. Tydzień krwawych przysięg, całowania w dupę, masochistycznych tatuaży i tym podobnych, a potem, hokus-pokus!, oficjalnie zostajesz uczonym. To nie jest żadna huczna impreza z tańcami i śpiewami, ale uczeni lubią zbierać się u Matki Boskiej Zwycięskiej i świętować.

Violet notuje w pamięci nazwę kościoła.

– Tam właśnie wybierała się moja matka. Musiało tak być. Może zniszczyła swoje badania, ale... pozostawiła mi coś do odkrycia. Nie mogła tak po prostu... odejść.

Na tę myśl wywracają się jej wnętrzności. Zostało już tylko kilka dni. Marianna nie spałaby tak po prostu manatków i nie odeszła. Coś szepnęło jej w głowie: *Tak jak zostawiła swoich braci? Tak jak zostawiła ciebie?*

– Zapytam babkę. Może ona coś więcej wie. – Caspian waha się przez chwilę. – Ja naprawdę mam nadzieję, że ją znajdziesz, Violet.

– Dziękuję – mówi szczerze dziewczyna. – Za wszystko.

– Cóż, fajnie jest pokrzyżować od czasu do czasu plany uczonych. A od lat nie przydarzyło im się coś równie ekscytującego jak ty. – Caspian uśmiecha się do niej ciepło. To szczery uśmiech sięgający kącików oczu, może pierwszy taki uśmiech, którym obdarzył Violet. – Poza tym byłoby szkoda, gdyby uczeni przerobili cię na kogoś na wzór i podobieństwo swoje.

Violet odwzajemnia jego uśmiech, dziwnie ujęta troską Caspiana. Gdyby nie miała ustawicznie w głowie Penelopy oraz Elandriel, oraz swojej matki, oraz rozlicznych poważnych problemów... to może i miałyby powód do troski. Ale na razie...

– O, nadciąga twój rycerz – mówi Caspian, spoglądając za plecy ich obojga. – Wobec tego zostawiam was samych. Ale pamiętaj, nie musimy być nikim innym, tylko sobą. Nie jesteśmy uczonymi... ale nie jesteśmy również nikim. Pamiętaj o tej trzeciej opcji.

Składa jej przesadnie głęboki ukłon – znowu jest politykiem, jednym wielkim urokiem – i znika w tłumie. Violet odprowadza go wzrokiem i stara się zapisać w pamięci tę rozmowę, żeby móc później do niej wrócić. On nie może mieć racji w sprawie Marianny. Rodzina Everlych trzyma się razem; matka wróci.

Pojawia się Aleksander, z zaczerwienioną twarzą.

– Tutaj jesteś – mówi. – Wszędzie cię szukam, a ty... Czy to był Caspian Verne? Co ty z nim robiłaś, do licha?

Violet gwałtownie wraca do rzeczywistości.

– On po prostu chciał ze mną pogadać.

– Pogadać. Akurat. – Aleksander krzyżuje ramiona. – Czy wiesz, kim on jest? Kim jest jego rodzina?

– Czy to ważne?

– Verne’owie to dupki – rzuca Aleksander z zaskakującą gwałtownością.

– To właśnie Caspian nas tutaj zaprosił. Właściwie mu nie ufam, ale... wiesz, istnieje wiele opcji.

Violet czuje, że ogarnia ją irytacja, i próbuje się z niej otrząsnąć. Każdy uczoney chowa przynajmniej jeden szkielet w szafie i z reguły nie jest to szkielet kogoś z innej rodziny. Akurat Aleksander nie ma prawa decydować, z kim ona rozmawia.

Aleksander odwraca od niej wzrok.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłaś?

Jego ton jest tak ostry, że Violet w końcu przygląda mu się uważniej. Aleksander ma w oczach cień, a jego ciało jest sztywno wyprostowane. Mężczyzna, który stoi przed nią, to ktoś nieznajomy, mroczny i zły. Bardzo daleki od tego, którego zostawiła zaledwie przed chwilą w rękach asterii.

– Myślałam, że będziesz zadowolony – odpowiada, zaskoczona. – Myślałam...

– Myślałaś, że zabierzesz mnie do jakiejś ciemnej piwnicy... – głos boleśnie więźnie w gardle Aleksandra – ...żebym wygłupiał się z innymi amatorami, który nie interesują się uczonymi i nie mają dla nich szacunku. Jeśli mnie kiedykolwiek znałaś, to powinnaś wiedzieć, że będę tego nienawidził.

Violet robi krok do tyłu.

– Chyba zupełnie cię nie znam – mówi cicho.

Aleksander przesuwając ręką po włosach, bardzo pobudzony.

– Nie rozumiesz. Dużo ode mnie chciałaś. Za dużo.

– Jeśli chodzi ci o Caspiana...

– To nie ma z nim nic wspólnego. Chodzi o ciebie – rzuca Aleksander.

– W takim razie nie powinieneś być dawać mi swojego numeru telefonu! – woła doprowadzona do furii Violet. – Mogłeś odejść. Mogłeś udawać, że mnie nie poznałeś. Nie musiałeś zostawać.

Wyraz jego twarzy się zmienia, Aleksander ściąga brwi, zmieszany. Jakby nie przyszło mu nawet do głowy, że mógłby się od niej odwrócić. Pocięra kark i Violet dostrzega na jego twarzy wstyd.

– Ja... ja nie mogłem. Ja nie... – Przełyka ślinę. – Jak mógłbym pozwolić ci odejść?

To brzmi jak wyznanie, jak gdyby miał z tego powodu poczucie winy.

Violet patrzy na niego bezradnie.

– Czego ty ode mnie chcesz, Aleksandrze?

Aleksander wydaje rozpaczliwy pomruk i zaciska wargi, niezdeterminowany. Jakoś w trakcie tej kłótni znaleźli się zaledwie o centymetry od siebie. Tak blisko, że Violet dostrzega srebrzysty połysk blizny nad jego brwią. Tak blisko, że czuje na czole jego oddech.

– Chcę... – Jego ochrypy pomruk budzi dreszcz w całym jej ciele.

Ręce Aleksandra przesuwają się po ramionach Violet, jego kciuk uciska boleśnie jej obojczyk. Zwraca na nią pytające spojrzenie. Violet dotyka boku jego twarzy, tylko raz.

Nadal jest na niego wściekła – czuje podskórne wrzenie – ale pod tą furią jest coś jeszcze, coś niezupełnie nieznanego. To samo uczucie pojawiało się zawsze, ilekroć patrzyła na niego, ilekroć jej uwagę przyciągał błysk szarych oczu albo ciemne, kręcone włosy. I potem to gorzkie rozczarowanie, że to nie był on. Choć bardzo tego chciała.

Ale tutaj, teraz, to jest właśnie on.

Tuż przed nią.

A ona tak bardzo go pragnie.

Violet pozwala sobie wesprzeć się na nim całym ciałem. Jego ciało jest takie mocne i ciepłe. Pozwala swoim palcom zabłąkać się w okolice jego

pasa i czuje, jak Aleksander gwałtownie wciąga powietrze, kiedy znajdują szczelinę pomiędzy koszulą a spodniami.

Aleksander przyciska wargi do jej ust, mocno, natarczywie, z pożądaniem. Violet smakuje miętą i solą. Krwią. Przygryza zębami jego dolną wargę, ta cudowna tortura wydziera mu z gardła jęk. Jego ręce wplątują się we włosy Violet, wyczuwają drobniutkie dreszcze pożądania przebiegające po jej karku. Violet całuje go gorączkowo i znowu z jego gardła wydziera się pomruk. Mogłaby się w nim zatracić.

To niedobry pomysł. Nie, kiedy jest taka zdenerwowana. Nie, kiedy nie ma pojęcia, na czym stoi. Ile dla niego znaczy. Violet odsuwa się od niego z największym trudem. Czuje, że ma potargane włosy. Czuje pieczenie warg. Aleksander nie wygląda lepiej; zmięta koszula wysuwa się ze spodni, a górny guzik jakoś się sam rozpiął. Jak łatwo byłoby paść z powrotem w jego ramiona. Ulec pokusie. Violet wciąga głęboki, nierówny oddech.

– Aleksandrze – szepcze. – Nie możemy.

Jego ręce natychmiast opadają. Aleksander robi krok do tyłu, ale przedtem udaje jej się dostrzec w jego oczach coś jakby ból.

– Zbyt wiele mi odebrałaś, Violet – mówi i tym razem brzmi to oskarżycielsko. Potem potrząsa głową. – Masz rację. To był błąd.

I zanim Violet zdąży odpowiedzieć, wyrazić swój gniew, on już wsuwa poły koszuli w spodnie, jakby nic się nie stało. Jego twarz zmienia się w maskę surowej dezaprobaty.

Violet chciałaby go powstrzymać – złapać za rękę, przyciągnąć z powrotem do siebie i znowu całować. Chciałaby zawołać: „Poddaję się. Chcę mieć jeszcze te dwa tygodnie, a potem już nic”.

Ale pozwala mu odejść, choć serce mocno wali w jej piersi. A do oczu napływają gorące łzy frustracji.

Elandriel. Marianna. Penelopa. Uczeni. I teraz Aleksander. Trzyma w rękach zbyt dużo nitki, a wszystkie strzepią się w jej palcach.

I już jej się wydaje, że zaraz się załamie i rozplacze w miejscu publicznym, kiedy ktoś w lśniącej, złotej sukni podaje jej pęk pozłaczanych piór. Wyciska na jej policzku pocałunek, wrywając zaskoczoną Violet z dręczącego rozpamiętywania. Zamiast korony ma prostą, złotą opaskę na włosach czarnych jak tusz.

GEORGIA SUMMERS

– Erriel przesyła wyrazy uszanowania – szepcze.

To imię sprawia, że w głowie Violet, pomimo zdenerwowania, rozdzwanianą się dzwoneczki.

– Czekaj – prosi.

Jednak ten ktoś już zniknął, wtopił się w ciemności. Violet dotyka policzka, na jej palcach pozostaje ślad ciemnoczerwonej szminki. W słabym oświetleniu wygląda jak krew.

Trzydziesty drugi



małym, wysokim pokoju ostre kły błyskają w ciemności. Charczący oddech. Drżące połykanie. A potem cisza.

Czterech uczonych klęczy przy ołtarzu z uniesionymi rękami, dygocząc pod wpływem adrenaliny. Szaty wskazują ich moce: archiwisty, notariusza i dwóch mistrzów uczonych – wszyscy dobrze obeznani z tym szczególnym rytuałem.

Dzięki Penelopie będą żyli dłużej, wypełniając zobowiązania wobec wieży i przywracając utraconą wiedzę. Jej nowo powstałe miasto stara się ze wszystkich sił, nawet jeśli już nikt nie pamięta wielkości imperium, jakim dawniej było.

Penelopa pije wielkimi haustami, miedziana krew plami jej usta, a jednocześnie w jej kości napływa z powrotem moc. Ale nie tyle, ile ona potrzebuje. Tysiąc lat temu wystarczała jej kropelka krwi. Trzysta lat temu – ofiara z nadgarstka. Pięćdziesiąt lat temu – jedno poświęcone życie. Teraz to stały strumień dzieci ze światłem śpiewającym w żyłach – albo okazjonalnie jakiś niekompetentny uczonec, jeśli zmusza ją do tego gwałtowna potrzeba.

Ale żadna krew nie jest tak słodka, tak gorzka, tak potężna jak krew Everlych.

Penelopa podtrzymywała przez wieki ich linię krwi, wstrzymywała się tak długo, jak tylko mogła. Teraz jednak odstęp między pokoleniami zbyt-
nio rozciąga się w czasie. Ciało ją zawodzi. Gdyby miała Mariannę i klucz do Elandriel...

Gdyby je miała, nie byłoby jej tutaj, stęsknionej wśród ruin.

Głęboko żałuje tej barbarzyńskiej obietnicy. Ale dziesięć lat, to dziesięć lat. A Penelopa zawsze dotrzymuje słowa.

Kolejne dziecko wspina się do wieży, mocno trzymając uczonego za rękę. Kiedy zostaje posadzone, podnosi na nią wzrok i się uśmiecha. Z nadzieją. Głupio.

– Zamknij oczy – szepcze Penelopa głosem miękkim jak pocałunek.

* * *

Nadchodzi burza.

Bracia Everly są razem po raz pierwszy od niemal roku. Siedzą obok siebie i pochylają głowy nad skradzioną księgą o astralach, tym razem ich rodzinne podobieństwo jest niezaprzeczone. Identyczne orle nosy, takie same głębokie rynienki pod nimi i kąciki ust opuszczone ze zmartwień. Wymieniają porozumiewawcze spojrzenia ponad otwartą stronicą.

W noc poprzedzającą planowany wylot do Pragi Yulan Liu leży w łóżku w objęciach uczonej, obrysowującej kształt miękkich wzgórków jej piersi. Obie nadal próbują udawać, że to tylko romans, że każda z nich może w każdej chwili odejść, niezraniona. Uczona dotyka twarzy Yulan.

– Nie jedź do Pragi – prosi.

Yulan wie, że znalezienie się w pobliżu Błogostawieństwa Illiosa otworzyłoby przed nią wiele możliwości: nowi klienci, nowe książki do pozyskania, nowe miejsca pracy, ale na twarzy uczonej maluje się powaga. Yulan wtula się w jej ciepłe ciało i całuje zagłębienie pod obojczykiem.

– Nie pojedę – szepcze i rzeczywiście nie jedzie.

W podziemnym mieście wzniesionym na prochach umarłych Caspian Verne rozmyśla o swym ciemnym odpowiedniku, Aleksandrze; o człowieku, którym sam mógłby z łatwością się stać. Bardzo rzadko pozwala sobie na rozważania tego, co zostało mu odebrane – bo jaki sens ma rozmyślenie o przeszłości, na którą nie miał wpływu, skoro liczy się jedynie przyszłość? Ale tego wieczoru bardzo mu trudno odwrócić bieg myśli.

Od niechcenia rzuca w powietrze monetę. Jeśli będzie rewers, to zostanie, żeby zobaczyć, jak to wszystko się ułoży. Jeśli awers, to wyjeżdża. Moneta spada na jego dłoń, Caspian przykrywa ją drugą ręką. Srebrny miecz czy złote pióro? Potem będzie się przeklinał za tchórzostwo; ale

jednak podziękuje każdemu bogu, którego zna, za łut szczęścia, który zdecydował o jego wyjeździe.

Jurij Morozow budzi się z głębokiego snu; jego zbroja jest prawie gotowa. Opuszcza spodnie z wychudłych bioder, żeby zbadać martwicę, która obejmuje już jego łądzwie. I tam, na samym złączeniu miednicy i lewego uda, przebija się przez skórę lśniąca reweritowa łuska. Zapowiedź cudu pojawia się na jego ciele za późno.

Głęboko w górskiej jaskini, gdzie grunt jest miękki i grząski od wody z topniejącego lodowca, Penelopa odprawia ostatnie obrzędy nad dzieckiem na cmentarzysku znanym jedynie mistrzom uczonych. Znajduje się tutaj ponad sto grobów, wszystkie bezimienne i nieoznakowane – lecz Penelopa pamięta każdy z nich. Taki potencjał stracony dla wyższych celów. Ale nie może się zatrzymać, nie teraz.

Aleksander przyciska palce do ust i zamyka oczy. „Czego ty ode mnie chcesz, Aleksandrze?” Niczego nie wolno mu mieć.

W mrocznym kącie hostelu Violet obejmuje rękami telefon, światło ujawnia ślady jej łez. Uważnie odczytuje wiadomość do Ambrose’a, której jeszcze nie wysłała. Jej kciuk długo wisi w powietrzu nad ekranem, gotów wcisnąć: wyślij. Ale w końcu Violet wyciera łzy z twarzy i kasuje wiadomość, słowo po słowie.

A potem...

W dawno umarłym świecie, w ciszy, która aż dzwoni w uszach, wśród ksiązek, których nikt nigdy nie przeczyta, i drzwi, przez które nikt nigdy nie wejdzie, w pokrytych kurzem przejściach i zaułkach, którymi nikt nie wędrował przez tysiące lat...

Coś się porusza.

Trzydziesty trzeci



kilka dni później Violet czeka pod uliczną latarnią, wygładzając ostatnie zagniecenia na swym nowym stroju. Ma na sobie sukienkę w odcieniu pudrowego błękitu, pod samą szyję i z długimi rękawami, żeby ukryć brak tatuażu. Tak długo chodziła w wygodnych, sfatygowanych strojach podróżnych, że przywykła do miękkich, elastycznych materiałów. Nowe buty uciskają jej palce; szwy drażnią zębra. Violet poprawia mankiety, ściąga je tak nisko, jak tylko się da.

Znowu sprawdza godzinę i stara się nie przejmować rozciętą wargą. Aleksander się spóźnia. Nie zamierzała prosić, żeby z nią poszedł, ale nie jest uczoną i nie ma tatuaży stwarzających iluzję, że nią jest. A Caspian niespodziewanie odmówił, tłumacząc się rodzinnym spotkaniem, na którym nie może go zabraknąć. Więc nie miała wyboru, musiała zaprosić Aleksandra.

„Zbyt wiele mi odebrałaś”.

Prawie nie rozmawiali ze sobą od czasu tej kłótni. Od czasu pocałunku. Jej wargi do tej pory są obolałe jak rana, której nie można przestać dotykać, choć boli. Zbyt wiele i za mało zarazem.

To nieważne. Po tym wieczorze każde z nich pójdzie w swoją stronę. Caspian ma rację, choć Violet przyznaje to z niechęcią. Są uczeni i jest Aleksander, ale są też tacy ludzie jak Violet. Nawet gdyby nie miała noża na gardle, nawet gdyby nie starała się odnaleźć matki i powstrzymać Penelopy, i w końcu żyć swoim cholernym życiem...

Zawsze będzie o nim myślała. Violet jest już zmęczona udawaniem, że mają jeszcze możliwość powrotu do dawnej przyjaźni, jak dwa ka-

wałki puzzli z łatwością trafiające na swoje miejsce. On się zmienił. Ona również.

W miarę upływu czasu Violet zaczyna się martwić, że Aleksander w ogóle nie przyjdzie. Wreszcie się pojawia, biegnie ulicą, trzymając w rękach jakiś błyszczący przedmiot.

– Sorry, sorry! – woła bez tchu. – Musiałem to najpierw odebrać. Inaczej nie wyglądałabyś na swoją.

Podaje jej złotą maskę obramowaną koronką i cekinami. Violet przykładą ją do twarzy, wiązadła opadają na kołnierzyk jej sukienki.

– Pozwól, że ci pomogę.

Aleksander wyciąga ręce i zawiązuje wstążki z tyłu jej głowy. Delikatnie, choć mocno przywiązuje maskę, muskając palcami koniuszki jej uszu. Violet czuje na karku jego ciepły oddech.

Jego maska jest wykonana ze stalowoniebieskiego jedwabiu naciągniętego mocno na drucianą ramę, wygiętą do góry i tworzącą ostre, srebrne rogi. Tym razem nie ma na sobie źle dopasowanego garnitur; marynarka ściśle opina tors, a mankiety są odpowiedniej długości, ze srebrnymi spinkami pasującymi do maski.

– Jak wyglądam? – pyta Violet, znowu obciągając nerwowo mankiety. To musi wystarczyć. Musi się udać.

Aleksander przechyla głowę na bok.

– Wyglądasz pięknie – mówi cicho. – Jak zawsze.

Violet zarumieniłaby się pewnie z zadowolenia, gdyby nie nutka niechęci w jego głosie. Robi krok do tyłu, w światło.

– Nikt nie zauważy braku tatuaży – dodaje Aleksander i podaje jej ramię. – Idziemy?

Violet bierze go pod rękę po chwili wahania. Nie może pozwolić, żeby coś ją rozpraszało, niezależnie od tego, jak silna byłaby pokusa sprawdzenia i podjęcia ich kłótni. Dziś wieczorem znajdzie Mariannę, znajdzie klucz, znajdzie sposób powstrzymania Penelopy.

Dziś wieczorem wreszcie się to skończy.

Z taką samą niesamowitą precyzją, jaką zaprezentował w Wiedniu, Aleksander prowadzi ją krętymi uliczkami Pragi. Prawie nie patrząc na znaki, ciągnie ją zaufkami, w które żadnemu turyście nie przyszłoby nawet do głowy wejść.

– A mówiłeś, że nigdy dotąd nie byłeś w Pradze – mówi Violet.

Aleksander wzrusza ramionami.

– Dobrze sobie radzę w miastach.

Violet staje i przygląda mu się ze zmarszczonym czołem. Pomiędzy jego łopatkami widać nieprzyjemne napięcie, jakby całe jego ciało przygotowywało się na coś przykrego. Aleksander zatrzymuje się na środku ulicy.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że odnajdziesz to, czego szukasz? – pyta.

– Tak – odpowiada Violet bez wahania.

Wszystko prowadziło ją do tego momentu: notatki wujów, wizje Tamriela, kroki matki. Nawet Caspian i jego sugestie o innych światach.

„Czy ty naprawdę wierzysz, że klątwa nie jest prawdziwa? Że przepowiednia nigdy cię nie dosięgnie? Że krążący kosmos to tylko chemiczny abstrakt? Czy nie słyszysz śpiewu gwiazd, mała marzycielko?” Dawno, dawno temu, w tamtej kawiarni wierzyła w to, nawet jeśli nie do końca rozumiała, co ta wiara oznacza. Co oznacza przyjęcie potworności i boskości.

Violet wierzy, że znajdzie swoją matkę. I znajdzie.

– Podziwiam to w tobie, Violet – mówi niespodziewanie Aleksander. – Wiesz, czego chcesz i ile kosztuje dążenie do celu. – Opuszcza wzrok na swoje ręce. – I co zrobisz, kiedy ten cel osiągniesz.

Zabłąkana uliczna latarnia rzuca złoty blask na jego ramiona i Violet przypomina sobie nagle kartę asteros przedstawiającą kobietę z mieczem w sercu, głowa kobiety była pochylona tak samo jak teraz głowa Aleksandra. Violet patrzy na jego elegancką, posępną twarz renesansowego anioła i nie po raz pierwszy zastanawia się, co takiego wydarzyło się w ubiegłym roku, że stał się takim człowiekiem. Dalekim i niepoznawalnym jak gwiazda.

– Znajdę ją – powtórzyła.

Aleksander zwrócił na nią spojrzenie.

– Wierzę ci.

Ruszają znowu.

– Fajnie wyglądasz, swoją drogą – odzywa się Aleksander po chwili.

Violet spogląda na niego.

– Ty też.

Wychodzą z za rogu na ulicę zalaną światłem padającym z kościoła. Kilka osób kręci się na zewnątrz, paląc cienkie papierosy w cygarniczkach i pochylając głowy ku sobie. Mężczyzna monitoruje wejście.

Violet robi się niedobrze, kiedy zbliżają się do drzwi. Ale strażnikowi wystarczy spojrzeć na tatuaże Aleksandra, kiwa głową i wpuszcza ich do środka. Na spinkach jego mankietów lśnią złote klucze, włosy ma związane srebrną wstążką.

– Widzisz? – szepcze Aleksander. – To łatwe.

Powiedział przecież, że mógłby załatwić im wejście, ale ona nie do końca w to wierzyła. Spogląda na tatuaż widoczny na jego ręce: siedem cienkich czarnych linii, znikających, o czym Violet wie, po wewnętrznej stronie przedramienia, gdzie skręcają się one, tworząc abstrakcyjne gałęzie albo korzenie. Tyle czasu spędziła z uczonymi, a zadziwiająco dużo rzeczy stanowi jeszcze dla niej tajemnicę. Co wprowadza człowieka do ich kręgu; co sprawia, że zostaje z niego usunięty na zawsze.

Jeśli nie liczyć kilkorga uczestników imprezy, w kościele panuje spokój, w powietrzu unosi się jeszcze słaby zapach kadzidła. Święci z witraży ze smutkiem wskazują sobie nawzajem, sztuczne oświetlenie rzuca na posadzkę blade tęcze.

Inny mężczyzna – w ciemnogrnatowym smokingu i takiej samej masce – prowadzi ich wzdłuż nawy, a potem skręca w lewo, w północny transept i dalej, w stronę drzwi. Gdy schodzą w dół krętymi schodami, dobiega ich dziwny szum, który intensywnieje, odbijając się echem od kamiennych ścian. Violet czuje w głowie mocny ucisk, jakby znajdowali się pod wodą. Zerka na Aleksandra, ale on wygląda na równie zaskoczonego jak ona, jego czoło przecinają zmarszczki. Kamień zdaje się błyszczeć, nawet w ciemności.

Potem, z głośnym pach!, ciśnienie powietrza znika. Kończą się schody. I Violet ma nad głową otwarte niebo.

Mruga raz, potem drugi, ale to rzeczywistość. Chmury przesuwają się w świetle księżyca, a chłodny wiatr sprawia, że Violet cieszy się z sukienki z długimi rękawami. Otaczają ich góry, imponujące i nie do zdobycia. Pod nogami mają wydeptany kamień, Violet dostrzega biegnące w nim jedwabiste nitki srebra i złote żyłki. Podłoże jest zbyt gładkie, zbyt idealne, by mogło być wytworem naturalnej erozji. Na skraju wznoszą

się wysokie kolumny i choć połowa z nich jest złamana albo zburzona, to i tak przedstawiają sobą spektakularny widok. To dziedziniec, dzieło ludzkich rąk.

Violet przypominają się słowa Caspiana: „Wrota do innego świata”.

Z podniecenia czuje na skórze mrowienie.

Na ich powitanie rusza tłum, większy od tych, z którymi spotykała się dotychczas. Uczni, dziesiątki uczonych z całego świata. Wszyscy noszą maski tak uderzająco kunsztowne, że te Violet i Aleksandra mogłyby schować się ze wstydu. Violet rozgląda się w tłumie, dostrzega klatki z kutego żelaza i jedwabne welony, maski ze złotych listków i delikatnie barwionego szkła albo składające się z perełek nanizanych na cieniutkie srebrne łańcuszki. Członkowie kwartetu smyczkowego grają w prostych czarnych maskach.

Teraz, gdy dotarli wreszcie na miejsce, Aleksander tryska nerwową energią, splata ze sobą ręce. Violet nie ma do niego pretensji, widok tak wielu uczonych w jednym miejscu ją samą również przyprawia o dreszcze.

A potem dostrzega ciężką arkadę ze spadzistym dachem, wspartym na dwóch identycznych, rzeźbionych kolumnach, wyglądających jak skrzydła ptaka rozłożone do lotu, choć kruszą się już ze starości. To właśnie uderzyło ją w wizji Tamriela: ani w czasie swych rozlicznych podróży, ani w książkach nigdy czegoś podobnego nie widziała. I dlatego natychmiast poczuła się jak w innym świecie.

Już miała podejść bliżej, gdy poczuła na sobie czyjś wzrok. Rozpoznała go natychmiast: Pan Aksamitny Żakiet, który tak ją wyprowadził z równowagi podczas przyjęcia u Adelii Verne. Jego oczy podchwytyją spojrzenie Violet i się zwięzają.

– Chodź. – Violet odciąga Aleksandra.

Nagle ogarnia ją strach. Kto jeszcze postanowił wziąć udział w tej imprezie? A jeśli Penelopa także jest gdzieś tutaj, krąży wśród gości? Przez te maski trudno powiedzieć, ale każda z tych osób – uśmiechających się, pijących, pałaszujących – może być nią. Violet się wzdryga.

Aleksander zdejmuje marynarkę i narzuca ją na jej ramiona.

– Chłodno tutaj.

– A co z tobą? – pyta Violet.

Aleksander wzrusza ramionami.

– Nic mi nie będzie.

Violet patrzy na niego – patrzy tak naprawdę. Mężczyzna, którego znała kiedyś, i ten obecny, nieznajomy stapiają się w jedno, gdy Aleksander się do niej uśmiecha. Zdają się chodzić, wciąż od nowa, po cienkiej linii przyjaźni, powtarzają te same taneczne ruchy i zataczają koła, by wracać do początku. Violet powiedziała sobie, że tej nocy nie pozwoli się zdekoncentrować, ale jak mogłaby nie zapytać?

– Aleksandrze...

– Musimy być w innej części Fidelis – wpada jej w słowo Aleksander.

Violet mruga.

– Nie mieliśmy klucza.

– Nie, ale... – Unosi głowę i spogląda w nocne niebo usiane gwiazdami. – Poznaje konstelacje. Tullis i Beris, widzisz? A to Etallantia.

Cała gadanina Johannesesa o skruszonych pozostałościach Elandriel nie miała w tamtym momencie sensu. Ale teraz, stojąc pod tymi gwiazdami, Violet uświadamia sobie z nagłą jasnością, gdzie się znajduje. Na wyspie, oderwanej od większej całości.

Ogląda się na bramę, przez którą tutaj weszli. Z tego miejsca wygląda jak kolejne przejście wykute w skale, dziwne, drewniane drzwi wydają się razić niestosownością na tle masywnych, kamiennych filarów. Drzwi są do połowy otwarte, więc Violet może zobaczyć schody pnące się w górę do podziemi kościoła. Dwa obrazy zmagają się ze sobą, powodując ból głowy.

– Tędy do Błogosławieństwa – mówi Aleksander, popychając ją w stronę arkady. – Po to tutaj przyszedłeś, prawda?

Mężczyzna w złotej masce stoi z nożem w ręce pod łukiem. Violet spogląda z niepokojem na innych uczonych. Bez tatuaży czuje się naga, niebezpiecznie rzucająca się w oczy. Wystarczy jedno przelotne spojrzenie na jej niczym nieozdobioną skórę i zostanie stąd wyrzucona – albo jeszcze gorzej. Ale musi znaleźć sposób, żeby podejść bliżej, więc przetyka niepokój i idzie.

Arkada prowadzi do przytulnego wnętrza, w którym poza mężczyzną w złotej masce może się zmieścić kilkoro uczonych i coś, co na pierwszy rzut oka wygląda na mównicę. Kiedy Violet podchodzi bliżej, widzi, że to coś przypomina raczej kościelną chrzcielnicę, tylko z wypukłą misą,

zamiast wklęsłej. Nóż błyska w ciemności, gdy uczeni podchodzą, jeden po drugim, nacinają dłonie i skrapiają krwią wypukłą misę.

– Musisz złożyć ofiarę – mówi mężczyzna w złotej masce.

Ostrze zostało już wytarte do czysta i połyskuje na stole. Violet waha się tylko sekundę. Potem nacina poduszczkę serdecznego palca, ostry ból trwa jedynie do momentu wyciśnięcia kropli krwi na wypukły kamień. Krew powinna wsiąknąć w porowatą skałę, a tymczasem stacza się po gładkiej powierzchni do płytkiego kanału i spływa dalej, do jakiegoś tajemnego miejsca przeznaczenia.

Violet zostaje bezceremonialnie odsunięta i kolejni uczeni podają ręce mężczyźnie w złotej masce. Nie ma wyboru, musi kręcić się w pobliżu, dopóki większość uczonych nie wróci na imprezę, zapominając o rytualnym akcie. Muzycy zaczynają grać walca, dźwięki odbijają się od górskich zboczy. Przez moment Violet ubolewa nad fundamentalnym brakiem zainteresowania uczonych otoczeniem. Być może to miejsce jest już im doskonale znane i wszelkie niezwykłości stały się dla nich czymś zwyczajnym, ale ona nie może przestać podziwiać światła gwiazd migoczącego na posadzce czy rzeźbionych gałązek bluszczu pnących się po kolumnach, jakby dążyły do nieba.

Inny świat – a ona przekroczyła próg bez klucza, samą tylko myślą. Ile istnieje jeszcze więcej przejść takich jak to, zazdrośnie strzeżonych przez uczonych? Albo opuszczonych, zapomnianych? Może zrobić pół kroku i zniknąć gdzieś całkowicie, znaleźć się poza zasięgiem pazernych rąk Penelopy.

Co za kusząca myśl.

Violet przesuwając badawczym spojrzeniem po tłumie, widzi, że mężczyzna w złotej masce rozmawia z jakąś kobietą w połowie dziedzińca, więc wchodzi ponownie pod arkadę. Spogląda w górę, wzór nakrapianych piór jest taki sam jak w wizji Tamriela.

W głębi pieczary na ścianie znajduje się wyrzeźbiony wizerunek kobiety, trzymającej dumnie światło nad głową. Violet rozpoznaje ją z karty asteros: to Erriel straty.

To musi być to.

Violet robi to, co wskazała jej wizja: kładzie ręce na ścianie i wstrzymuje oddech. Skała kruszy się pod jej palcami. Odślania się wąska klatka

schodowa, śliska od wilgoci, prowadząca w ciemność. Przejście w przejściu, myśli Violet z podziwem. Ogląda się za siebie, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje, a potem zdejmuje buty; ostatnie, czego by chciała, to upaść i złamać nogę.

Aleksander podąża za nią.

– Nie jestem pewien, czy powinniśmy tu być.

– Potrzebuję tylko chwili – odpowiada Violet.

Jak dotąd wizja Tamriela się nie myliła.

– Violet, zaczekaj! – woła Aleksander.

Dziewczyna jest już w połowie schodów, ale zatrzymuje się, słysząc za sobą kroki Aleksandra. Odwraca się, zaskoczona.

– Aleksandrze?

On stoi na szczycie schodów jak wmurowany, jego twarz jest biała jak alabaster, a ręka zaciska się na poręczy z taką siłą, że aż mu pobieleły kostki. Violet spogląda za siebie, ale nic tam nie ma, tylko ciemność. Krok po kroku wraca na górę i kładzie rękę na ramieniu Aleksandra. Jego ciało jest całkiem zeszywniałe.

– Popatrz na mnie – prosi, żeby Aleksander oderwał spojrzenie od ciemnych schodów za jej plecami.

Aleksander wspiera się na niej, muska czołem czubek jej głowy. Violet obejmuje jego ramiona i pomaga mu odzyskać równowagę. Dla zewnętrznego obserwatora to mogłoby wyglądać jak objęcia kochanków pod osłoną ciemności. Jednak Violet dobrze wie, czym to jest w istocie. Trwogą.

Aleksander bierze urywany oddech, który wywołuje drżenie w jej ciele.

– Nie mogę tam zejść. Nie mogę.

Mało brakuje, a wyrwałyby się jej słowa: to tylko ciemność. Ale w samą porę przypomina sobie mrok w piwnicy Tamriela, który wydawał jej się tak dotykalny, jakby obejmowało ją żywe stworzenie. Przez kilka następnych nocy spała przy zapalonym świetle, bo dzięki temu czuła się bezpieczniej, nie budziła się w środku nocy z dławiącym przerażeniem.

– Ja pójdę – mówi, podając mu swoją maskę. – W porządku.

W końcu to jej poszukiwania.

Z wahaniem zostawia go na szczycie schodów, a sama schodzi ponownie. Wyciosane w kamieniu ściany lśnią od wilgoci, wzdłuż schodów

biegnie w dół kanał. Z resztkami krwi uczonych, co wyprowadza ją z równowagi. Całkiem możliwe, że ta krew jest tylko symboliczna, że uczeni jedynie udają rytualne poświęcenie.

„Weźmiemy tylko mały kęs”.

Być może Aleksander też już coś wie o takim przerażeniu.

Kiedy wreszcie Violet stawia stopę na dnie, ciemności są już nieprzeniknione, a odgłosy przyjęcia w ogóle tutaj nie docierają. Wymacuje drogę przed sobą, krok po kroku, w uszach dudni jej bicie własnego serca. Coś szeleści. Powiew – albo ciężki oddech. Udaje jej się powstrzymać od krzyku.

– Halo? – Jej głos odbija się echem, jakby stała na stadionie.

Wybucho oślepiające światło, z góry sypie się snop iskier. Violet unosi ręce nad głowę, żeby się ochronić, ale iskry lądują na jej skórze niczym słoneczne pocałunki. Jej oczy przyzwyczajają się powoli do zarysu kobiety. Ogromne skrzydła emanują blaskiem, które rozdziera ciemności złocistymi strzałami światła.

– Bądź pozdrowiona, Violet Everly – mówi astral. – Czekaliśmy na ciebie.

* * *

Jurij obserwuje, jak Violet schodzi po schodach, jego oczy skrywa czarna maska połyskująca onyksowymi koralikami. Nikt nie zauważył wtargnięcia intruzów na tę maskaradę, wszyscy są zbyt zaabsorbowani ploteczkami i szampanem. Ale on ich zauważył i zastanawia się, jak wszyscy pozostali mogą ignorować parę w tak oczywisty sposób niepasującą do reszty.

Jurij poprawia rękawiczki i czeka, aż jej partner wróci na przyjęcie, wróci na gwarny dziedziniec. Ona będzie sama. Doskonale.

Od tak dawna nie czuł ciepła.

Jest gotów spłonąć.

Trzydziesty czwarty



Astral promienieje w ciemności, jest bardziej światłem niż istotą. Ale pomiędzy ostrzami promieni Violet udaje się dostrzec zarys czoła, ostry nos, wygięcie warg. Włosy otaczają jej głowę jak korona, jak aureola na świętym obrazku, emanując migotliwym światłem. W ręce ściska laskę, która się kołysze, jakby poruszana niewidzialnym prądem. Skrzydła tworzą wokół całej postaci aureolę, to raczej promienie niż pióra, ich powierzchnię nakrapiają tęcze.

– Słyszeliśmy twoje imię szeptane wśród gwiazd, niesione na chmurach, nucone przez wzbijające się drobiny pyłu – mówi astral głosem, który na szczęście jest słyszalny, to nie jest szept wdzierający się uporczywie w jej myśli. – Wydaje się, że same niebiosy są ciekawe, więc czuliśmy się zobligowani do odpowiedzi na twoje wezwanie.

Jej skrzydła poruszają się jeden raz i Violet owiewa fala ciepła, której towarzyszy wytrawny zapach drzewa sandałowego.

– Kim jesteś? – pyta Violet.

– Posługujemy się imieniem Erriel, choć niewiele osób zna nas po imieniu, a jeszcze mniej liczni wiedzą, gdzie rezydujemy. W obecnych czasach Ręce Illiosa są znacznie mniej zdyscyplinowane.

Violet przypomina sobie kobietę na przyjęciu, tę ze złotym bukietem.

– Przysłał mnie Tamriel – mówi Violet nerwowo. – Powiedział, że mogłabyś mi pomóc.

– Ten bezecnik! Ten zdrajca! – Erriel wzdryga się. – Złodziej światła i śmiechu, morderca wiedzy z dawnych wieków! Nie chcemy więcej słyszeć jego imienia, zaklinam cię na naszych braci, których on zgładził.

– Ja... przepraszam.

Twarz astrala łagodnieje.

– Nie mogłaś wiedzieć o jego zbrodniach. Ale mamy nadzieję, że będzie dźwigał swoje kajdany aż po kres czasu, choć to zaledwie ułamek tego cierpienia, na jakie zasługuje.

Teraz, kiedy już znalazła się tutaj, Violet nie ma pojęcia, co powiedzieć. Co mogłaby właściwie powiedzieć bogini?

– Spotkałaś moją matkę – mówi. – Mariannę Everly.

Ile już razy zwracała się z tymi słowami do obcych ludzi, którzy mogli ją skrzywdzić lub odesłać albo którymi z kolei Marianna wzgardziła? Violet jest już zmęczona tymi słowami, zanim jeszcze padną z jej ust.

Uśmiech Erriel przypomina słoneczny promień.

– Szukała sposobu, by nas uwolnić, doceniamy ten gest, choć nie był on potrzebny.

Violet po raz pierwszy kieruje spojrzenie na stopy Erriel, zakute w kajdany, mimo że łańcuchy kołyszają się, załamując światło. A więc to tutaj prowadzi kanał krwi; więc to prawdziwy rytuał, udający tylko maskaradę. Erriel podąża za jej wzrokiem i wzdycha.

– Czy jesteśmy więźniami? Nie. To nasz wybór. Wypełniamy obowiązek, podobnie jak nasze siostry, nasze matki i babki, i ci, o których pamięć rozwiała się w mgle niepamięci. To zaszczyt, Violet Everly, ale również zobowiązanie. – Stuka swoją łaską i rzuca tęczę na podłogę. – Przez całe nasze życie przechowujemy wiedzę, na ile tylko możemy, zachowujemy skarby naszych braci.

Violet bierze głęboki wdech.

– Na przykład klucz do Elandriel – mówi.

Astral nieruchomieje, muzyczne tony jej łańcuchów zmieniają się w niski pomruk. Z łaską w rękach i otaczającą ją ciemnością wygląda niemal jak obrazek z kart asteros.

– Zostałaś wprowadzona w błąd, Violet Everly – mówi. – Nie mamy klucza.

Czas zdaje się stać w miejscu.

– Ja... nie rozumiem – jąka Violet. – Musi być klucz.

Przecież nie poświęciła całego roku na poszukiwanie czegoś, co nie istnieje.

Ale Erriel pochyla głowę z litością.

– My nie kłamiemy.

– To po co przyszła Marianna? – pyta Violet.

– Chciała odejść. Przyszła do nas znużona, pełna nieokreślonych smutków i frustracji.

„Chciała odejść”. To jest dla Violet jak kubek zimnej wody.

– Czy Marianna powiedziała, dokąd się potem uda? – pyta błagalnie.

– Czy dotarła do Elandriel? Czy znalazła to, czego szukała?

Erriel dotyka policzka Violet, jej palce są ciepłe.

– Powiedziała, że będziesz zadawała mnóstwo pytań. Jesteś do niej podobna, Violet Everly, i och... jak za nią tęskniliśmy.

Potem Erriel przesuwają się na bok i Violet dostrzega to, co dotąd skrywało przed nią oślepiające światło. Srebrne drzwi zawieszono na framudze z reweritu. Nie umiałyby wyjaśnić dlaczego, ale jest pewna, że wyczuwa coś za tymi drzwiami. Jakiś szum. Pomruk, który mógłby być gwarem głosów.

– Wyszła tymi drzwiami. Poszlibyśmy za nią, gdyby to było możliwe, choć nie prowadzą one do Elandriel ani do ojczyzny, która jest nadal cenna w naszej pamięci. Jeżeli słyszymy pieśń gwiazd, to tylko jej dalekie echo.

Violet robi krok w stronę drzwi, lecz laska Erriel mocno uderza o ziemię.

– Nie dajemy nic za darmo – oświadcza Erriel. – Wolelibyśmy, żeby było inaczej, ale taka już nasza natura.

– A co ci dała Marianna?

Erriel patrzy na nią z zaciekawieniem.

– Rękę. Ofiarowała ją z własnej i nieprzymuszonej woli – zapewnia na widok wyrazu twarzy Violet. – My tego nie zasugerowaliśmy.

Violet przeżyka ślinę.

– Czy ja muszę dać ci... mięso?

– Uznalibyśmy to za należytą zapłatę – oświadcza Erriel. – Twoja krew jest taka słodziutka, podobnie jak ty cała.

Violet spogląda na swoje dłonie ze zgrozą. Co mogłaby zaoferować, a nie byłoby nią samą? Tak wiele już straciła. Czas. Przyszłość, za którą powinna być wdzięczna, że w ogóle jakąś miała. Pamięć, która wywierca dziury w jej mózgu.

– Mamy dla ciebie inną sugestię, Violet Everly – odzywa się Erriel. – Weźmiemy coś, czego nie będzie ci brakowało, z wyjątkiem marzeń. Twój talent.

– Mój talent – powtarza Violet jak echo.

To coś, czego poszukują uczeni, co pozwala im manipulować reweritem i przechodzić pomiędzy światami. Aleksander powiedział jej kiedyś, że to wygląda w jego oczach jak złote iskierki, ale ona nie widziała ich nigdy, najwyżej migotanie.

Violet nie zrobiła zresztą nigdy nic z tym tajemniczym talentem. A jednak waha się. Nigdy nie będzie wiedziała, jak wykorzystać ten potencjał, który w niej wybucha. Nigdy nie dowie się, jak to jest, kiedy się tworzy magię gołymi rękami albo przekracza granicę światów z kluczem. To jedyne dziedzictwo, które tak naprawdę zostawiła jej matka.

Erriel wyciąga rękę przed siebie.

– Weź ją i podążaj za Marianną, dokąd tylko zechcesz. Albo odejdz. Nie będziemy cię zmuszać.

Ręka Violet zawisa w powietrzu nad dłonią Erriel. Ale nie jest w stanie się poruszyć.

– Jeżeli przejdziesz przez te drzwi, możesz już nigdy nie wrócić – uprzedza Erriel.

Ręka Violet zaciska się w pięść i cofa. Co pomyśleliby wujowie? Violet przywołuje wszystkie ich cierpkie słowa o Mariannie, każdą kłótnię pomiędzy nimi, każde skrzywienie dezaprobaty Gabriela. Myśli o Ambrosie, siedzącym na krześle przy kominku, starzejącym się i czekającym na dzień, w którym powróci jego siostrzenica. Nie dowiedziałyby się nigdy, co się z nią stało.

Może do końca życia miałby w tyle głowy, czy przypadkiem Violet nie zrezygnowała z rodziny i nie zniknęła. Podobnie jak Marianna.

– Musi być inny sposób – mówi Violet.

– Ceną za przejście przez te drzwi jest zawsze poświęcenie, Violet Everly – odpowiada miękko Erriel. – Czyż nie uraczyłaś nas swoją krwią po przybyciu? Te drzwi mogą nie prowadzić do bajecznego miasta starożytności, ale tak samo jest z nami.

Violet przygryza wargę. Jeżeli przejdzie przez nie dla matki, to może znajdzie sposób, by wrócić. Mogłaby sprowadzić z powrotem je obie. Ale

musi dać sobie słowo, że nie dopuści, aby jej decyzją zachwiała matka albo nowy świat roztaczający przed nią zapowiedź bezpieczeństwa. Musi być niewzruszona jak skała.

A jeśli nie zdoła wrócić... Będzie musiała żyć z tą decyzją. Może już nigdy nie zobaczyć Ambrose'a i Gabriela. A jeśli Penelopa dostanie ich w swoje ręce...

Czy mogła to zrobić? Wiedząc o tym, co się wydarzy, jeśli ona tutaj zostanie?

Violet powoli wyciąga rękę do Erriel.

– Myśle...

Niewyraźna smuga ciemności odpycha ją na bok.

Violet upada na ziemię, ból przeszywa jej szczękę, gdy podbródek zderza się z twardym kamieniem. W głębi czaszki słyszy trzask zębów.

Mężczyzna rzuca się naprzód, jego twarz nadal pozostaje ukryta pod maską. Coś potyskuje w jego ręce. Odłamek reweritu, ostry jak sztylet. Kieruje go w stronę Violet, czubek kofysze się o cale od niej. Ona pełźnie do tyłu, ale nie ma dokąd uciec.

– Kto ośmiela się naruszyć nasze sanktuarium? – pyta Erriel.

– Przychodzę po skarb, moja kuzynko – odpowiada mężczyzna, wskazując Violet długim, chudym jak u kościotrupa palcem.

Ukryte pod maską oczy mężczyzny są przesłonięte ciężkimi powiekami, otacza go szczególnie, metaliczny zapach, jakby się paliło. Kiedy mówi, słowa zdają się toczyć z jego ust, jakby sprawiało mu to ból.

Erriel przechyla głowę na bok.

– Kuzynko? Jesteś w błędzie.

Mężczyzna rzuca marynarkę i szarpie swoją koszulę. Guziki sypią się z trzaskiem na ziemię, gdy zdziera z siebie koszulę jak drugą skórę.

– Widzisz – szepcze. – Jestem taki sam jak ty.

Jego nagi tors marszczą setki blizn, pokrywają skórę jak pióra. Czarne cętki pną się w górę, owijają wokół sterczących żeber. Ale coś jeszcze przebija się przez skórę na zewnątrz: szpikulce jak ostre płatki, potyskujące wiele mówiącym blaskiem reweritu. Jeden z nich jest ułamany, poszarpana reszтка, ciemna i złowieszcza, pasuje do odłamka w jego dłoni.

– Nie czuje się pan dobrze – mówi Violet, próbując go ułagodzić. – Jeśli pan pozwoli...

GEORGIA SUMMERS

– Widziałem cię w Nowym Jorku. Wyśledziłem cię w Wiedniu – mówi mężczyzna. – Ale przychodziłem za późno. Zawsze byłem za późno. A to, co musiałem zrobić... Ofiary, jakie złożyłem...

Johannes Braun. Straszliwa groza ściska serce Violet.

– Jestem chory, tak – przyznaje mężczyzna. – Ale wkrótce wyzdrowię. – Przymyka oczy i chwieje się na nogach. – Miałem marzenie, kuzynko. Słyszałem pieśń. Słyszałem... chwałę.

Erriel uderza laską o ziemię, co brzmi jak wystrzał z broni palnej. Z włóczni tryska światło tak silne, że Violet musi osłonić oczy.

– Jesteś obrzydliwy – syczy Erriel. – Jak żaden śmiertelnik, który chodzi po ziemi. Nie jesteś astralem.

– Długi należy spłacać – mamrocze mężczyzna. – Będę bogiem.

I podrzyna odłamkiem gardło Erriel.

Trzydziesty piąty



Krzyk rozszczepia myśli Violet na dwoje. Usta Erriel układają się w małą literkę „o”, gdy mężczyzna wyrywa odłamek reweritu. Żółty płyn tryska z jej gardła i plami podłogę. Światło wokół niej dygocze, tworząc wokół nich świetlną koronę.

Mężczyzna z pewnym trudem zdejmuje maskę, odsłaniając twarz poczerniałą od gangreny i wargi fioletowe jak przy hipotermii. Szron osiadł na jego rzęsach. Wstrząsają nim konwulsyjne dreszcze, a przez twarz przetaczają się fale bólu.

– Dług... sptacony.

Jesteśmy rozpruci! Cierpimy!

Złożone skrzydła opadają, Erriel osuwa się na ziemię, jej kolory znikają, przechodzą w przerażający rumieniec śmierci. Laska wypada z jej ręki. Uderza o ziemię z cichutkim szeptem, rozpada się na iskierki, które rozbiegają się dookoła – i znikają.

Srebrne drzwi rozpadają się z rozdzierającym zgrzytem. W skale pojawia się pajęcza sieć pęknięć.

Droga do Marianny znika.

Violet rzuca się pędem w stronę drzwi, ale mężczyzna macha odłamkiem i rozcina jej rękaw. Ból rozdziera jej ramię.

– Od tak dawna... nie było mi ciepło – szepcze mężczyzna, najpierw po angielsku, a potem w innym, nieznanym Violet języku.

Erriel podnosi na nią wzrok, jej złote źrenice ciemnieją.

Tak nam zimno, Violet Everly.

Mężczyzna pada na ziemię, jego ręce lśnią od złota. Pochyliła się nad ciałem Erriel i przyciska usta do jej szyi. Jej powieki trzepoczą, a potem znika z nich słońce. Kiedy mężczyzna ponownie unosi głowę, jego zęby są lśniące i złote od jej krwi.

Violet cofa się, groza usuwa z jej głowy wszelkie myśli.

Rzuca się pędem do schodów, o mało nie przewracając się o rąbek swej sukienki, i wbiega na górę po dwa stopnie naraz. Po upadku czuje ciepło i wilgoć na goleniach, ale nie może się zatrzymać, żeby sprawdzić, czy nie krwawi.

Za sobą słyszy jakieś nieludzkie ryki.

Aleksander nadal kręci się w pobliżu szczytu schodów, trzymając w ręku jej maskę. Violet chwyta go za rękę i ciągnie do wyjścia, a że równocześnie próbuje włożyć buty, to się potyka. Przerażony Aleksander szerzej otwiera oczy.

– Violet, twoje ramię – mówi. – I twarz.

Violet dotyka policzka i spogląda na palce zaplamione złotem. Krew astrala.

– Musimy się stąd wydostać – cedzi przez zaciśnięte wargi. – Natychmiast. Zanim...

– O mój Boże – szepcze Aleksander, patrząc na coś za jej plecami. – Jurij.

Violet podąża za jego spojrzeniem i robi jej się słabo. Z klatki schodowej chwiejnie wyłazi mężczyzna, spodnie opadają z niego jak rozżarzone węgielki. Iskry sypią się na ziemię i wybuchają z głośnym sykiem. Mężczyzna zdaje się świecić od środka, białe światło wytryskuje z pęknięć w jego zniszczonej gangreną skórze.

Przez kilka sekund nikt nie zwraca na niego uwagi, tancerze nadal wirują w walcu, muzycy grają z wigorem. Ktoś się śmieje donośnie, głos niesie się po całym dziedzińcu.

Mężczyzna zderza się z bokiem stołu i wtedy kilka osób odwraca się, żeby na niego spojrzeć.

– O jasna cholera – mruczy ktoś. – Kto go tutaj wpuścił?

– On jest pijany.

Pan Aksamitna Marynarka podchodzi do mężczyzny, ale zatrzymuje się na widok promieniującego z niego światła.

– Jurij? Co ty, do licha...

Mężczyzna łapie Roya za kołnierz, niesamowicie mocno.

– To pali! O mój Boże, ratuj...

Jurij kładzie dłoń na twarzy Roya i przyciska je. Krzyk Roya przedziera się przez dźwięki muzyki i gwar rozmów. A potem urywa się nagle.

Cisza aż dzwoni w uszach, wszyscy kamienieją, smyczki wiolinistów nieruchomieją na strunach.

Roy wali się na ziemię, jego spalone ciało syczy w miejscach, których dotykał Jurij.

Na dziedzińcu wybuchają okrzyki przerażenia. Uczeni umykają z przyjęcia w stronę wyjścia. Ale klatka schodowa jest wąska – przeznaczona dla jednej osoby – więc tłum kłębi się przy wejściu, spanikowany i rozwścieczony.

Jurij ściska swoją głowę i wrzeszczy w mieszaninie rosyjskiego i angielskiego oraz w tym samym pozaziemskim języku, jakim posługują się astrale. Szarpie swój tors, zdzierając z niego skórę.

– Co się stało? – pyta Aleksander z naciskiem, torując im drogę do wyjścia.

– Myślę, że... on pił jej krew.

Są jeszcze ślady tej krwi na jej rękach, powstałe, gdy przypadkowo dotknęła podłogi, i na jej twarzy.

– Czyją krew? Violet...

Ktoś zderza się z Aleksandrem, on wpada na stół zastawiony kieliszkami, które spadają na ziemię wraz z nim. Krew sączy się na jego jedwabną maskę, czerwień na błękicie.

Jurij kuca przy kolejnym człowieku – kolejnych zwłokach, co zauważa Violet z tępą zgrozą – ale dźwięk tłuczonego szkła sprawia, że odwraca głowę. Wyciera usta, na których szkarłat miesza się ze złotem, i wciąż urywany oddech.

– Prosiłem ją, żeby zabrała ten ból, prosiłem, żeby go zabrała.... Ale ty odmówiłaś, ty powiedziałaś nie... ja się odrodzę, będę jak nowy... mam dług... Boże, jak to pali...

Jurij zmierza w stronę Aleksandra, który cofa się przed nim. W oczach Jurija płonie białe światło, wypala jego źrenice do rozmiarów łebka od szpilki.

Violet gorączkowo przedziera się przez tłum, serce podchodzi jej do gardła. To ona zabrała tutaj Aleksandra; jeśli coś mu się stanie...

Wydostaje się z tłumy w samą porę, by zobaczyć, że Jurij dociera do Aleksandra. Violet bez namysłu łapie to, co pozostało z paska od spodni Jurija, i mocno szarpie. On odwraca się twarzą do niej, przez jego żądny krwi amok przedziera się rozpoznanie i jego oczy się rozjaśniają. Violet cofa się, zerkając jednym okiem na Aleksandra.

– To ty – syczy Jurij. I rzuca się do niej, z każdym krokiem zmniejszając dzielącą ich odległość. – Spóźniłem się w Nowym Jorku i w Wiedniu... ale nie tutaj.

Stopa Violet uderza o kamienny klif. Znalazła się w pułapce.

Jurij przyparł ją do skały, oparł ręce po obu jej stronach. Jego oddech cuchnie miedzianą krwią, gorąco bije od niego jak z paleniska. Na ułamek sekundy Violet jest znowu w piwnicy Tamriela, w uszach dzwoni jej jego miękki głos: TYLKO JEDEN KĄSEK.

Jurij patrzy na nią, po jego twarzy płyną wielkie, złote łzy. Jego usta wykrzywia rozpaczliwy żal.

– Ja tylko chciałem, żeby znowu było mi ciepło. Chciałem jedynie ciepła. Boże, przepraszam. Ale długi trzeba spłacać.

Wyciąga rękę, jakby chciał pogłaskać ją po twarzy.

Violet ma tylko tę jedną szansę, żeby się ratować.

Kciuk na zewnątrz pięści.

Jej ręka wystrzeliwuje w górę i trafia w szczękę Jurija. Kłykiec przeszywa ból, osłepiający żarem. W ciągu sekundy, dzielącej cios od reakcji, udaje jej się uwolnić z jego ramion.

Jurij zatacza się do tyłu i przewraca koksownik na stół. Płomienie obejmują drewno, liżą obrus. Ogień skupia na sobie całą jego uwagę. Violet zdąża dostrzec w przelocie wyraz twarzy Jurija – bolesną tęsknotę. Jurij rzuca się w tamtą stronę i wsuwa ręce w płomienie.

Violet wykorzystuje to, że jego uwaga jest skierowana w inną stronę, i rusza biegiem do Aleksandra. On dopiero zdołał podnieść się z podłogi, jego usta wykrzywia ból.

– Nic ci nie jest? – Aleksander zadaje jej idiotyczne pytanie, ale Violet i tak kiwa głową.

– A tobie? – pyta.

Aleksander krzywi się i wskazuje na swoją nogę.

– Skręciłem ją, upadając.

Uczeni opuścili już w większości dziedziniec, pozostały tylko ciała na podłodze, ciche i nieruchome. Zwłoki. Nad jednymi pochyla głowę Jurij, słuchać odgłos miażdżonych kości. Kiedy unosi głowę znad zwłok, żeby krzyknąć, jego głos niesie się echem po całym dziedzińcu i – po raz pierwszy odzywa się w głowie Violet. On się zmienia, myśli Violet ze zgrozą.

To tylko kwestia chwili, zanim Jurij zorientuje się, że jest tu jeszcze coś do pożarcia.

– Musimy stąd zmykać – mówi.

– Ale... uczeni... – jąka Aleksander.

– Nie możemy ich uratować – odpowiada Violet, w pełni świadoma, jak okropnie to brzmi. – Posłuchaj: albo uciekniemy natychmiast, albo skończymy właśnie tak.

– Ja... – Aleksander ogląda się na Jurija, który zaczyna zdzierać sobie skórę z pleców. – Okej.

Dzieli ich zaledwie kilka kroków od drzwi, kiedy Jurij orientuje się, co robią. Ich spojrzenia się spotykają. Podrywa się z ziemi, jego ciało jest nienaturalnie wydłużone. Światło bijące z jego skóry tworzy ognistą łunę.

Violet nie zastanawia się: łapie Aleksandra za rękę i wlecze go do wyjścia. Słyszy, że on syczy z bólu, ale to ignoruje. Muszą dotrzeć do drzwi przed Jurijem, który próbuje ją złapać. Chwyta pazurami tył jej sukienki, rozdziera materiał...

Lecz w następnej chwili Violet jest już za drzwiami i zatrzaskuje je, zostawiając Jurija po drugiej stronie. Ma krew na ramieniu, na twarzy, czuje gorąco na plecach. Ale są bezpieczni. Tylko...

Drzwi. Matka. Erriel.

– Violet? – W głosie Aleksandra pobrzmiwa cały świat pytań.

– Już idę. Tylko...

Jeszcze mogłaby zawrócić. Mogłaby wywalczyć sobie przejście obok Jurija i dotrzeć do reweritowych drzwi prowadzących do matki i jakoś to wszystko załatwić. Mogłaby przynajmniej spróbować.

I już prawie łapie za klamkę, naprawdę to robi.

Znajduje się zaledwie kilka stopni od drzwi, kiedy rozpadają się one na tysiące kawałków, pogrążając ich w ciemności.

Trzydziesty szósty



kościół już prawie całkiem opustoszał, kiedy udaje im się wreszcie wejść po schodach. Violet wlecze się do najbliższej ławki i pada na nią, ciężko dysząc, choć właściwie powinna łkać.

W uszach ma takie trzaski, jak przy zakłóceniach odbioru radiowego. Widzi miejsce, w którym nóż Jurija przeciął jej sukienkę, ale nie czuje nic. Na razie.

Drzwi prowadzące do matki przepadły. Nadal ma drzazgi we włosach. Takie zwyczajne drzwi do tak wyjątkowego miejsca.

Wszystko stracone.

Aleksander siada obok niej i mruczy pod nosem, żeby nie usłyszeli go ostatni spóźnialscy. Wciąż ma na twarzy maskę, błękitny jedwab z plamkami czerwieni. Jedną z jego kości policzkowych znaczy bolesne cięcie.

– Co się tam stało na dole? – dopytuje. – Co to było, do diabła?

Violet próbuje mu wszystko wyjaśnić, ale jej myśli wydają się fragmentaryczne, zapętlone wokół twarzy Erriel. Ostrza z reweritu zatopionego w jej gardle. Cierpienia, które mąci jej w głowie.

– Wszystko, co mówiła, dotyczyło poświęcenia – odpowiada Violet. – Poświęcenia, drzwi i... – Przyciska nasadę dłoni do czoła. – On zabił astrala.

Aleksander rzuca jej spojrzenie z ukosa.

– Astrale są... są podobne do bogów. Nie istnieją w tym wymiarze.

– Cóż, przykro mi, ale muszę cię rozczarować.

Mało brakowało, a parsknęłaby śmiechem. Aleksander, który dokonuje magii z reweritem, który przechodzi pomiędzy światami i wśród gwiazd, nie wierzy w astrale.

– To tylko bajki. – W tym momencie dostrzega wyraz jej twarzy. – Violet, nie możesz mówić poważnie.

– To czyją krew mam na twarzy? – rzuca Violet. – I co, w takim razie, widziałam tam, na dole? No, proszę, mów, skoro najwyraźniej wiesz wszystko.

Aleksander spogląda na jej ręce zaciśnięte w pięści. Z poparzonych kłykci prawej ręki, w miejscu, które miało kontakt ze skórą Jurija, sączy się płyn.

– Wierzę ci – mówi Aleksander. – Rzecz tylko w tym, że... Jurij... nigdy nie myślałem, że oni mogą być tacy.

Violet chciałaby móc powiedzieć to samo. Taki sam nienasycony głód, takie samo przerażające piękno. Myśli o Tamrieli w kajdanach i zastanawia się, czy istniał jakiś powód, dla którego oboje, on i Erriel, zostali przykuci, zamiast chodzić wolno po świecie.

Zastanawia się, jak długo Jurij przetrwa na tamtym dziedzińcu, dożywając swoich dni na tej pękniętej wysepce świata. Już nie człowiek, a jeszcze nie prawdziwy astral. Wzdryga się.

Ostatnia osoba opuszcza kościół, pozostawiając po sobie głuchą ciszę. Aleksander wstaje i zaczyna iść wzdłuż nawy. Jedyne, czego Violet pragnie, to spać przez kilka dni, ale on – pomimo okoliczności – zdaje się mieć w sobie maniacką energię.

– Więc ją odnalazłeś?

Violet marszczy czoło.

– Kogo?

– Mariannę. – Natarczywość Aleksandra zaskakuje Violet.

– Co? Nie, ja...

– A klucz? – dopytuje się Aleksander. – Znalazłeś klucz? Zanim Jurij...

Violet milknie nagle i spogląda na niego. Wspominała mu o poszukiwaniach matki i być może raz wymknęło się jej coś o kluczu. Ale sposób, w jaki Aleksander o tym mówi...

– Aleksandrze – odzywa się i powoli wstaje z ławki. – Co ty robisz w Wiedniu?

Aleksander przesuwając ręką po włosach, unika jej spojrzenia. Jego usta zaciskają się w paskudną, prostą linię. Ale to było pytanie retoryczne – ona już zna odpowiedź.

Czekał tam na nią.

W tym momencie Violet uzmysławia sobie, że nie są sami. Za otłazem stoi blondynka zwrócona do nich plecami. Z uniesioną głową, jakby podziwiała gotyckie rozety w oknie, pogrążona w kontemplacji. Jest nieruchoma jak posąg świętej.

– Odbyłaś całkiem niezłą podróż, Violet Everly. Ostatnia Ręka Illiosa! Doprawdy, zaskoczyłaś mnie.

Ten głos. Miękki i bezpretensjonalny, sztylet w aksamitnej osłonce. Zimny dreszcz przebiega po krzyżu Violet, gdy zwraca się w stronę Aleksandra. On przestaje chodzić, stoi na baczność jak żołnierz. Może i jest żołnierzem, w wojnie prowadzonej przez kogoś innego.

Po tym wszystkim, co wydarzyło się tego wieczora, Violet nie może już udawać, że on wygląda jak nieznajomy. To jest prawdziwy on. Tylko zrozumienie tego zajęło jej zbyt wiele czasu.

– Okłamałeś mnie – mówi głosem bez wyrazu.

– Nigdy nie skłamałem – odpowiada Aleksander. – Nie jestem uczonym... nie jestem asystentem Penelopy...

– Ale pracujesz dla niej.

Aleksander biegnie spojrzeniem ku Penelopie.

– Tak.

Zniszczenie. Miecz wbity w serce.

Violet otwiera usta, żeby zapytać dlaczego, ale uświadamia sobie, że nie chce wiedzieć. Nie miał żadnego powodu, żeby ją zdradzić, żadnego usprawiedliwienia, które mogłoby być do przyjęcia. Coś w niej obserwuje to z daleka, z ironiczną obojętnością. Oto Violet Everly, najbardziej ciekawsza kobieta na świecie, kompletnie niezainteresowana odpowiedzią na to jedno pytanie.

Aleksander krzyżuje ramiona na piersiach.

– Robiłem to, co musiałem zrobić. Ale Jurij nie miał się tam pojawić. Nie rozumiem...

– Posłałeś tego człowieka, żeby... co zrobić? Powstrzymał mnie przed odnalezieniem Erriela? – Violet błędnie. – Żeby mnie zabił?

– Chryste, Violet, nie! Nikt nie miał zostać zraniony.

– Nie masz nawet pojęcia, co mi zabrałeś – mówi Violet.

Ręce jej się trzęsą, więc zaciska je na oparciu ławki. Nie okaże mu słabości. Nie da mu satysfakcji z tego, że udało mu się ją rozgniewać.

Ale to Aleksander zaczyna krzyczeć.

– Ty odebrałaś mi wszystko! Pewnie nawet nie wiedziałaś, co mi odbierzesz, ale... – urywa. – Kiedyś zrozumiesz...

– Kiedyś zrozumiem? Gdybyś wiedział, co właśnie zrobiłeś...

Penelopa wpada jej w słowo.

– Aleksandrze, zaczekaj na zewnątrz.

Violet spodziewa się, że Aleksander zaprotestuje, powie, że wolałby poczekać w kościele, że wolałby zostać, choćby po to, żeby zobaczyć cierpienie Violet – że powie coś, cokolwiek – ale on tylko kiwa głową i wychodzi. Nie oglądając się nawet za siebie.

– Aleksandrze! – krzyczy Violet.

Zatrząskują się drzwi kościoła.

Violet odwraca się, żeby popatrzeć na Penelopę. Na tę kobietę, która próbowała i próbuje zniszczyć jej życie, która śledziła jej kroki po całym świecie.

– Pewnie uważasz się za bardzo sprytną – odzywa się Penelopa. – Pod wieloma względami przewyższyłaś moje oczekiwania. Johannes Braun, Tamriel... – Stuka palcem w ołtarz. – Te imiona nie wzięły się znikąd. Twoje poszukiwania były naprawdę gruntowne.

– Warte uczonej? – pyta gorzko Violet.

Pomimo trwogi wzbierająca w niej wściekłość bierze górę. Nie dopuści, by Penelopa ją pokonała. Nie wejdzie w ciemność, nie będzie kolejną przedstawicielką rodziny Everlych, która przyjmie z jej ręki brutalną śmierć.

– Nigdy nie znajdziesz tego, czego szukasz – wyrzuca z siebie Violet. – Erriel powiedziała, że to nie istnieje.

– Ręce Illiosa już nie są i na dobrą sprawę nigdy nie były ważne, to po pierwsze. Erriel spędziła dwa tysiące lat w tej jaskini jako przereklamowany posąg przewodniczący światu pozbawionemu znaczenia – stwierdza Penelopa. – Nie pamiętała już nawet, kim była. Do czego była zdolna.

– A ty pamiętasz?

W kościele zapada głęboka cisza.

– Wiem, kim jesteś – mówi Violet. – Astriadą.

Penelopa sztywnieje.

– Nie masz prawa nazywać mnie moim prawdziwym imieniem.

– Ale to JEST twoje imię – rzuca Violet. Przechyliła głowę na bok. – Ciekawe, czy Aleksander wie, dla kogo pracuje?

– Zapominasz się, mała marzycielko.

Cienie w pomieszczeniu gęstnieją. Mrok rozlewa się u stóp Violet, która próbuje się ruszyć, ale jej stopy jakby przymarzły do posadzki. Grube, czarne pnącza otaczają jej buty, pną się do góry po nogach, palą gołą skórę. Violet wyrywa się, ale przy każdym jej ruchu kolejne pnącze przytwierdza ją do miejsca.

Penelopa podchodzi, ciągnąc za sobą długi cień. Przy każdym jej kroku ławki po obu stronach nawy rozpadają się z trzaskiem. Przez moment Violet widzi nie jedną, ale dwie wersje Penelopy: tę, którą zawsze знаła, blondynkę z włosami starannie zatkniętymi za uszy; i kobietę mroku, wysoką aż do sufitu, ze skrzydłami z dymu rozkładającymi się za jej plecami.

Bogini. Astral. Ale to tak, jakby ktoś wyssał z niej wszelkie światło, zostawiając czarną dziurę zamiast wybuchającej do wewnątrz gwiazdy.

– Liczę sobie setki lat, Violet Everly. Pamiętam czasy, gdy gwiazdy chodziły po ziemi jak śmiertelnicy. Pamiętam czasy, gdy ludzie byli kaprysem kosmosu, gwiazdym pyłem i gliną, i głupotą. – W jej głosie pojawia się nagle dziwna tęsknota. – Pamiętam czasy, gdy niebiosa były domem.

Penelopa podnosi palec – szpon z paznokciem zakończonym płomieniem – do gardła Violet. To pali jak kwas. Witraże we wszystkich oknach pękają, odłamki szkła sypią się jak deszcz. Złote iskry wybuchają na skraju jej pola widzenia, jest ich tyle, że żołądek Violet wywraca się do góry nogami.

– Twój talent to kropla w nieskończonym oceanie. W moim nieskończonym oceanie.

Nagle cienie się cofają. Violet pada na podłogę, gdy znikają mroczne rośliny, które ją pętały. Oddycha z trudem. Penelopa góruje nad nią, znowu jest już tylko kobietą.

– Trzyście dni – mówi Penelopa. – Sugeruję, żebyś je mądrze wykorzystowała.

Wyływa z kościoła, zostawiając ciężko dyszącą Violet na podłodze. Z daleka dobiega gwar ludzkich głosów – Aleksandra, zgadzającego się na coś – potem spod drzwi wyływa niebieskie światło. W kościele ponownie zapada cisza.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Violet siedzi na posadzce zasypanej odłamkami szkła i połamanymi ławkami. Potem uderza pięściami w ziemię, aż kłykcie ją pałą. Aż rozkwita ból, jaskrawy i czerwony, zostawiając na jej skórze plamy krwi.

Nie ma klucza.

Matka przepadła.

Violet przegrała.

Trzydziesty siódmy



Penelopa i Aleksander wracają do wieży uczonych w wirze niebieskiego światła. Penelopa pozwala mu wrócić samemu do kuźni. Dobrze mu zrobi ciężka noc, albo i dwie – to kara za jego wahanie. Przypomnienie, co się dzieje, kiedy zdaje egzamin z niewzruszonej lojalności.

– Czekaj tam na mnie – rozkazuje Penelopa. – Muszę się zająć kilkoma sprawami.

– Tak, Mistrzynie – odpowiada on z przykładowym posłuszeństwem w każdej sylabie.

Penelopa odprawia go gestem i Aleksander schodzi po schodach, lekko kulejąc wskutek takich czy innych obrażeń. Jej niewzruszone ostrze.

Wbrew sobie czuje lekką dumę ze swego asystenta, któremu dała tak dotkliwą nauczkę. Teraz łatwo skierować go we właściwą stronę. Popchnąć w jedną, pociągnąć w drugą. Pomimo całej swej siły Aleksander nadal nosi w sobie słabość jak otwartą ranę. Ale ona go tego oduczy, z czasem. Potem będzie stał u jej boku jak najczystszy z uczonych. Opoka jej nowego świata.

Penelopa czeka, aż Aleksander zniknie jej z oczu, i dopiero potem wraca do swoich pokoi. Odczuwa już męczące skutki swego „pokazu”, każdy krok wymaga od niej nieco większego wysiłku niż poprzednio, każdy oddech trudniej wciągać do płuc. Uniesienie powrotem do swego potężnego, mrocznego „ja” już z niej wyparowało. Teraz ściga ją jak duch, jak przypomnienie tego, czym była dawniej i czym mogłaby być znowu.

W apartamencie czeka na nią drogocenna filiżanka pełna życiodajnej krwi. Penelopa podnosi ją i przygląda się jej badawczo, ślina napływa

jej do ust. Ale ona wstrzymuje się jeszcze, pozwala, by żołądek ścisnął się z głodu, wywołując fale bólu przetaczające się przez nią jedna za drugą.

To nie jest krew Everlych. A powinna być. Nikt inny nie ma takiego talentu jak oni, talentu, który bogowie uznali za odpowiedni – który ONA uznała za odpowiedni jako dar dla nich. Dawno, dawno temu to wystarczało, aby podtrzymać jej długowieczność, aby odzyskać to, co kiedyś do niej należało, Everly za Everlym. Bezcenna krew przekazywana z pokolenia na pokolenie. Ale nawet bogowie potrzebują czegoś więcej niż tylko pozostałości gwiazdnej pyłu, żeby żyć w swej prawdziwej postaci.

W końcu pozwala sobie wypić wszystko naraz. Głód nie znika – nie znika nigdy – ale zwierzęcy warkot w niej na razie cichnie. Jutro będzie musiała wziąć kolejne dziecko, albo i dwoje, na zimne, ponure zbocze góry i ukryć tam swoje tajemnice.

Ale dzisiaj mogła sobie pozwolić na świętowanie. Bo dzisiaj odniosła zwycięstwo.

Wychodzi ze swego apartamentu i schodzi na dół schodami uczonych na parter i niżej, mija ciemne pokoje, gdzie wymierzana jest sprawiedliwość. Musi użyć kilku kluczy, a zardzewiała brama skrzypi niemiłosiernie przy otwieraniu, ale Penelopa jest tak daleko od uczonych, że nie ma powodu się tym przejmować.

W końcu staje w pomieszczeniu z reweritowymi drzwiami i wytartymi wersetami. W przeszłości padłaby na kolana w milczącym błaganiu, jakby jej rodzeństwo mogło usłyszeć jej myśli zza tych drzwi. Jakby mogło zignorować inskrypcję skazującą Penelopę na nędzną, chaotyczną egzystencję tutaj.

Dzisiaj nie robi tego co zwykle. Patrzy na drzwi jakby nowymi oczami, jej mózg pracuje intensywnie. Przeczytała wszystkie fragmenty tekstów pozostawionych przez Ręce Illiosa, wszystkie szeptane kluczy i nie znalazła nic, co by świadczyło o czymś przeciwnym. Ale nigdy nie wzięła pod uwagę... metafory.

„Jedne, o czym mówiła, to poświęcenie. Poświęcenie i drzwi”.

Czy to naprawdę aż tak proste po tysiącu lat tęsknoty?

W dziedzinie poświęcenia Penelopa jest naprawdę dobra. I zna, oczywiście, rytuały, które przywiodły istoty jej rodzaju tak daleko od ich oryginalnych siedzib. Krew, kość, pamięć. I boski metal, choć już od dawna

GEORGIA SUMMERS

myślała o nim jedynie jak o rewericie, naukowej zasłonie kryjącej jego prawdziwą naturę.

Kłębi się w niej niecierpliwe oczekiwanie. Jest tak blisko Elandriel. A potem – dom.

Za trzynaście dni obmyje te drzwi krwią Violet Everly. Całą. Poświęcenie, czyste i jasne, i całkowite, jak należy. Także poświęcenie przez Penelopę jej własnego czasu – każdego frustrującego, dręczącego dnia dzielącego ją od obiecanych dziesięciu lat. To oczekiwanie będzie prawdziwą udręką, ale warto. W końcu chwafa ma kolor ciemnej, intensywnej czerwieni.

Za trzynaście dni te drzwi staną otworem, wyłącznie dla niej.

To w końcu początek.

CZEŚĆ
CZWARTA



Ostrzeżenie przy kominku



ołą, w środku zimy, kiedy kuźnie blokuje śnieg, a plony reweritu są na najwyższym poziomie, mistrzyni kowalstwa gromadzi swoich uczniów przy ogniu. To czas ciemności i zimna, opowieści o duchach i ostrzeżeń. Ogień trzaska i tworzy figury z dymnych cieni.

Mistrzyni kowalstwa bierze głęboki wdech i przygląda się twarzom uczniów, wszystkich i każdego z osobna. Mówi:

– Był kiedyś mądry człowiek.

Mądry to znaczy o zręcznych rękach. Potrafił tworzyć prawdziwe cuda z kamieni, metalu i drewna. Przez dziesięciolecia był najbardziej renomowanym rzemieślnikiem w mieście, na świecie. Podróżnicy napływali gromadami do jego warsztatu dla jego wiedzy.

Ale czas to kapryśna istota. Kiedy człowiek się zestarzał, odkrył, że jego zdolności są ograniczone. Kostki jego rąk opuchły, palce nieporadnie gmerały przy drutach, a plecy bolały, gdy pochylał się nad warsztatem. A w mieście pojawiła się nowa generacja rzemieślników o zręcznych rękach, pełnych młodzieńczego wigoru, tworzących cuda, których on nie był już w stanie skopiować. Klienci opuścili jego sklep i dawniej wykonane przedmioty poszarzały od kurzu.

Aż tu pewnego dnia do jego sklepu wchodzi gwiazda. Piękna jak furia, z ogniem narzuconym na ramiona niczym płaszcz.

– Pomóż mi, błagam – jęczy człowiek.

– Dobrze. Ale nie mogę nic dać bez zapłaty.

Mężczyzna gorączkowo grzebie w przedmiotach ze swego sklepu. Pokazuje szmaragdy wielkie jak jajka, inkrustowane złotem i wysadzone

brylancikami. Rozkłada przed nią talię posrebrzanych kart i zapewnia, że przepowiedzą jej przyszłość. Wyjmuje delikatną filigranową tancerkę ubraną w drucianą spódniczkę, która wygląda jak z materiału, i przekreśla kluczyk w jej postumencie, żeby zabrzmiała muzyka, która przyprawiłaby każdego śmiertelnika o łzy.

Gwiazda patrzy na niego z rozbawieniem.

– To musi być coś cennego dla ciebie samego. A nie widzę tutaj nic wartościowego.

On zaczyna bełkotać o pierworodnych, o pierścieniach rozkazujących człowiekowi, o skrytobójstwach i trzecich synach trzecich ksiąząt...

– Dość – odzywa się gwiazda.

On błagalnie unosi ręce.

– Co ja jeszcze mogę mieć?

Gwiazda zastanawia się przez chwilę.

– Zaproponuję ci układ – mówi potem.

Oferuje mu wiedzę całego życia do wykorzystania przez rok i jeden dzień. Po roku i jednym dniem zabierze jego duszę. Potężna magia wymaga potężnej zapłaty, wyjaśnia gwiazda.

Mężczyzna nie ma szczególnej ochoty oddawać swojej duszy. Ale zgadza się, bo jest zmęczony uzurpatorami i boi się, że stanie się nikim.

Z pomocą gwiazdy odkrywa wiedzę tak cudowną, że zapiera mu dech w piersiach. Jak obrabiać boski metal, który spada z nieba. Jak przechodzić pomiędzy światami, jak słuchać pieśni jej gwiazdnego rodzeństwa, tańczącego walca przez galaktyki. Jak osiągnąć długowieczność i odzyskać młodość.

Ale w tyle głowy ma ciągle tykający zegar, odmierzający czas do końca zawartej z gwiazdą umowy. Kiedy upływają jego dni, błaga gwiazdę, by oszczędziła jego duszę. Jeszcze nie ma dość – nigdy nie będzie miał dość – swojej pracy. Dopiero zaczął tak naprawdę żyć.

– Czy w żaden sposób nie zdołam cię przekonać żebyś pozostawiła moją duszę? – pyta.

– To nie jest kwestia przekonywania – odpowiada gwiazda karcąco. – Wymiana została już dokonana.

Ale on nie przestaje próbować. Posuwa się nawet do uwodzenia jej w nadziei, że każdy pocałunek, każda pieszczota stopniowo ją zmiękcza

i pojawi się sposób wymigania się z dopełnienia umowy. Ale szybko przekonuje się, że to jest równie głupie jak błaganie o łaskę.

Człowiek zaczyna odbywać długie spacery pod wilgotnym księżycem, każdy rytmiczny krok uspokaja panikę i pozwala jego umysłowi funkcjonować. A ponieważ jest mądrym człowiekiem, to wie, że w tym straszliwym pakcie musi być jakaś dziurka od klucza. A wiedza, jaką zapewniła mu gwiazda, sprawiła, że stał się naprawdę wyjątkowo mądry.

W środku nocy powiosłował na wyspę na obrzeżach miasta. Tam, w ruinach katedry, zbudował dla siebie klatkę z boskiego metalu. O ile mu wiadomo, jest tylko człowiekiem. Ale jak lepiej walczyć z gwiazdą niż poprzez boski twór?

Ostatniej nocy swego roku i jednego dnia wszedł do klatki i dokładnie ją zamknął. Teraz gwiazda nie mogła go osiągnąć. Pojawiła się w ognistym wirze, który zmienił kolor na głęboki fiolet, kiedy zrozumiała jego intencje. Zaczęła chodzić przed jego klatką.

– Jesteś podstępny, zdradzieckim stworzeniem – mówi gwiazda. – Oddaj mi swoją duszę.

– Jest dla mnie zbyt cenna – odpowiada człowiek.

– Zniszczę twoje miasto – grozi ona.

Człowiek rozważa jej słowa.

– Ale ja będę żył.

– Niech tak będzie.

Pierwszej nocy ciemności ożywiają krzyki.

Drugiej nocy płomienie liżą horyzont.

Trzeciej nocy znikają wszystkie gwiazdy z nieba.

Czwartego dnia w mieście panuje cisza. Człowiek z wahaniem przekręca klucz w zamku klatki, drzwi otwierają się z cichym szeptem zawiasów. Wchodzi do miasta obróconego w popiół. Gwiazda zniknęła.

Wygrał; ale w wyschniętych ustach czuje smak spalonych kości. Jego warsztat to szerniała ruina. Spalone klejnoty pokrywają posadzkę wraz ze skręconym od mściwego żaru metalem. Na drzwiach frontowych ktoś napisał złotą krwią: **DOPÓKI TWOJA DUSZA BĘDZIE CHODZIŁA WOLNO, BĘDĘ CHODZIŁA WOLNO I JA.**

Kiedy minęły pierwsze dni jego świeżo zdobytej wolności, człowiek rozpoczyna realizację ostatniej części swojego planu. Blokuje drzwi do

GEORGIA SUMMERS

innych światów, które tak długo tworzył, i niszczy te, których nie jest w stanie zamknąć. Gwiazda przebywa na razie gdzie indziej, jeśli będzie mądry i dopisze mu szczęście, to może już nigdy nie będzie musiał stawić jej czoła.

W tydzień później człowiek wspina się na najwyższe wzniesienie w mieście, żeby obserwować zachód słońca. Ruiny zalewa krwista czerwień.

Człowiek jest mądry.

Ale jest również tchórzem.

Trzydziesty ósmy



lucz nie istnieje. A Marianna zniknęła, zabierając ze sobą wszelką nadzieję na ucieczkę przed Penelopą.

No i jest Aleksander. Sztylet ukryty pod płomiennym pragnieniem.

Nie zostało już nic do zrobienia – nic, co ona mogłaby zrobić – więc Violet wraca do domu, z każdym kilometrem czuje się coraz bardziej żaloszna i bezużyteczna. W taksówce, do której wsiadła na dworcu, opiera głowę o okno i patrzy na drzewa, już prawie gołe, zrzucające zeschnięte liście.

Ciągle odtwarza w pamięci ostatnią scenę, raz za razem. Każdy dręczący krok na drodze, z której mogła zawrócić albo powiedzieć Aleksandrowi nie, albo bardziej uważać, komu powierza swoje tajemnice.

Nienawidzi Aleksandra za to, co zrobił. Ale jeszcze bardziej nienawidzi siebie za to, że mu na to pozwoliła. Gdyby była trochę mniej zakochana, gdyby przestała zadawać sobie pytanie, czego on tak naprawdę od niej chce... ale wówczas musiałaby uświadomić sobie, czego ona chciała od niego.

Może coś między nimi było podczas tego pocałunku. Coś straszniego, podniecającego i zachłannego, właśnie dlatego, że było to prawdziwe – być może to była jedyna prawda, jaką jej powiedział. Ale być może to było tylko pożądanie i tylko Violet w głupocie swojej myślała, że to coś więcej.

Taksówka podwozi ją pod dom, któremu Violet przygląda się przez chwilę. Znowu w domu. Przy dokładniejszej obserwacji dostrzeża mech

wspinający się po cegłach i brakujące dachówki, przez które dach wygląda jak szczyrbaty. Ogród robi wrażenie opuszczonego i na wpół martwego, wiotkie szare gałązki pousychały i zwieszają się nisko.

Obrzydliwy samochód Gabriela z opuszczonym dachem stoi zaparkowany w otwartym garażu. Violet wskakuje do środka, zawieszenie balansuje pod jej ciężarem. Kładzie ręce na kierownicy, a stopę na pedale. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że wciska gaz do dechy, a wiatr rozwiewa jej włosy. Droga, otwarta i bezkresna.

Otwiera oczy i opiera czoło na kierownicy.

Wewnątrz domu jest lodowato zimno, bardzo szybko staje się jasne, jak mało uwagi mu poświęcano od jej wyjazdu. Okna i malowidła wiszące w holu pokrywa kurz. Violet kopniakiem zrzuca z nóg buty i wędruje przez oranżerię, opanowaną przez zielony szlam zasłaniający widok. Zupełnie jakby cofnęła się w czasie, jakby znowu miała dwanaście lat i marzyła o innych światach, dalekich od tego.

No i popatrz, dokąd te marzenia cię doprowadziły, myśli.

Gabriel i Ambrose są gdzieś w domu, ale Violet nie jest na razie gotowa stanąć z nimi twarzą w twarz. Wchodzi po długich, krętych schodach do swojego pokoju, drewno skrzypi pod jej ciężarem. Farba odpada ze ścian, na suficie widać kilka mokrych plam. Taka ruina domu łamie jej serce w sposób nie do opisania.

Violet otwiera drzwi swojej sypialni, spodziewając się pajęczyn, ale pokój wygląda tak jak wtedy, gdy go opuściła.

Mysłała, że kiedy znajdzie się tutaj, bezpieczna w swoim sanktuarium z dzieciństwa, to załamie się i zacznie płakać. A tymczasem zostawia tu tylko swoje manatki i kieruje się do biblioteki. Po zmianach, jakie zaobserwowała w pozostałej części domu, z ulgą stwierdza, że to pomieszczenie pozostało w większości nietknięte, bez warstwy kurzu pokrywającego wszystko inne. Tutaj są jej książki, jej dziecięce graffiti – V.E. nagryzłomone niezdarnie na ukrytych częściach wszystkich regałów – oraz jej bezcenna szafa.

Kiedyś to był cały jej świat.

Nie ma mowy, żeby teraz zmieściła się do szafy, ale stara się w nią wpaść, siedząc po turecku na podłodze. Jej kolana wystają na zewnątrz, uniemożliwiając zamknięcie. „A kto w ogóle wstawia szafę do biblioteki?”, zapytał Aleksander, kiedy mu o niej powiedziała.

Na powierzchnię wypływają również inne wspomnienia. Jak ścianki szafy napierały na nią, a potem tak samo dom, jednocześnie więzienie i sanktuarium. Świat zewnętrzny wydawał się wtedy taki ekscytujący, pełny możliwości. PRZYGÓD. A teraz to ścianki świata zamykają się wokół niej. Świata w postaci jednej kobiety, ale jednak świata, pomimo wszystko.

W jej bajkach rozwiązanie pojawiłoby się jak uderzenie pioruna. Spóśób na kłutwę, miecz na potwora, korona dla księcia. Doskonałe i całościowe rozwiązanie w swej prostocie. Niech żyje król w szczęściu aż po kres swoich dni.

Ona miała rozwiązanie – dopóki Aleksander nie wyrwał go z jej rąk. Zdrada to też swoiste uderzenie pioruna.

* * *

Oto i piorun: spalenizna, uderzenie – a potem znika w powietrzu, skąd przybył.

Wczesnym rankiem – tak wczesnym, że właściwie można go zakwalifikować jako noc – Aleksander budzi się na swojej drewnianej pryczy, bolała go wszystkie mięśnie. Obok niego śpi tuzin innych pracowników kuźni na swoich pryczach, wyściełanych sianem, żeby choć trochę zmiękczyć twarde deski pod spodem. Dwoje z nich to jeszcze dzieci mniej więcej dziesięcioletnie, ale już silne i zahartowane, nieustająco umorusane popiołem, z włosami ogolonymi do gołej skóry, żeby je ustrzec przed nieszczęśliwymi wypadkami, dopóki nie zostaną uznane za wystarczająco wyszkolone, by uniknąć ognia. Większość jednak jest w wieku zbliżonym do Aleksandra, kończą terminowanie, aby móc potem prowadzić własne kuźnie. Albo pracować jako uzdolnieni rzemieślnicy, przetwarzający rewerit we wszystko inne – od kryształowych lamp oświetlających Fidelis po drobny proszek wykorzystywany do tuszów tatuażystów.

Aleksander nigdy nie będzie jednym z nich. Tak niegodny zaufania, że nigdy nie wyjdzie ponad poziom praktykanta, nie może rościć sobie prawa do pozycji mistrza kowalstwa, choć pracuje równie ciężko jak wszyscy pozostali, a jest tak utalentowany, że potrafi tworzyć najdelikatniejszy filigran gołymi rękami. Wykrywa najdrobniejsze nieczystości w metalu; podsyca ogień do idealnej temperatury; potrafi wziąć do ręki obiekt

z reweritu i odtworzyć jego historię na podstawie samego dotyku – a tego jeszcze za mało. I zawsze będzie za mało. Niełaska spowija go jak niewidzialny, choć permanentny, całun.

W ciemności ochlapuje się letnią wodą, ale zanim się ubierze, już jest spocony, taki żar bije z paleniska. Przez następne trzy godziny wrzuca węgiel i drewno do gorącego ognia, podsycając płomienie, aż jego twarz płonie. Pot gryzie go w oczy; sadza osiada na skórze i włosach.

O wschodzie słońca reszta praktykantów wkracza do akcji: rąbią więcej drewna; dźwigają węgiel; roznoszą wiadomości do pozostałej części miasta, łącznie z wieżą uczonych. O siódmej przychodzi mistrzyni kowalstwa, żeby skontrolować wykonanie porannych prac i sprawdzić na mapach nieba zbiory reweritu.

O ósmej Aleksander jest wreszcie zwalniany ze swych zadań, ponieważ do dziesiątej ogień jest ryczącą bestią, wreszcie nasyconą. Aleksander opłukuje znowu twarz chłodną wodą, popiół wpada mu do oczu. Potem przychodzi pora zmiatania podłogi, sprawdzania zasobów metalu, rąbania drewna na dworze, aż pękają pęcherze z poprzedniego dnia. I to wszystko przy złotych iskierkach błyskających w niekontrolowany sposób przed jego oczami, aż do mdłości, bo reweritowy pył unosi się wszędzie.

Jadają na zmiany i Aleksander uważa za drobny przywilej, że może zawsze wybierać najwcześniejszą. Bo o tej porze jest już strasznie wygłodniały, a jedzenie jest na szczęście zawsze smaczne i obfite. To jedne z nielicznych chwil, kiedy przypomina sobie, że to praca, a nie jakaś niekończąca się kara nałożona specjalnie na niego.

Potem wraca do kuźni. Czerpie wodę ze strumieni, poleruje metalowe formy, i jeszcze więcej zmiatania, więcej dostarczania pożywienia. Woda. Drewno. Popiół. I tak aż do pory obiadowej. A potem od nowa, dopóki niebo nie stanie się czarne i usiane gwiazdami, a Aleksander tak zmęczony, że nie potrafi jasno myśleć.

Kim on będzie, jeśli nie uczonym? I ma swoją odpowiedź: nikim.

Aż do dnia, w którym Penelopa wezwała go do otaczającego wieżę uczonych ogrodu na skraju klifu. Poszedł z drzeniem serca i z mdłościami, wywracającymi jego żołądek, choć jeszcze nic nie jadł. Nie widział Penelopy od miesięcy, nie mówiąc już o rozmowie z nią. Co ona robi ze swoim ostrzem, roztrzaskanym tak, że nie nadaje się do naprawy?

Odwróciła się do niego i miała w oczach taki smutek, że Aleksander chciał paść na kolana. I zaproponowała mu układ. „Dowiedz się, co porabia Violet Everly. Obserwuj ją uważnie. I wróc do nas. Wróc do domu”, powiedziała.

Violet Everly. Jej imię kojarzy mu się z kawą, z ciepłym słońcem na ramionach, z ciekawością płonąca jak pożar. Z klątwą, kluczem, ciemnym pokojem.

Ostatni rok nie był wypełniony nienawiścią do niej. A może byłoby lepiej, gdyby jej nienawidził.

W Nowym Jorku obserwował, jak ukradkiem wędrowała po Metropolitan Museum of Art, zatrzymując się dłużej przy wystawie. Aleksander nie znał tej artystki – bo sztuka nie była tą dziedziną studiów, którą wybrała dla niego Penelopa – czego pożałował, widząc, z jak skoncentrowaną uwagą Violet wpatrywała się w portret kobiety w czarnej sukni. I po raz pierwszy od dłuższego czasu zapragnął zawołać „cześć”, żeby się odwróciła i rozpałała go swą ciekawością.

Co nie znaczy, że mógł to zrobić. Ale chciał...

Przyłapał ją w Wiedniu, kiedy wysiadła z pociągu, zaspana, ale pełna podziwu dla miasta rozciągającego się przed nią. Przed Kunsthistorisches Museum czekał i zastanawiał się z sercem podchodzącym do gardła. Penelopa kazała mu szukać odpowiedzi, więc będzie pytał.

Był tak skoncentrowany na jednym niewielkim okienku, że nie zauważył, gdy Violet zeszła ze schodów, taka wyzywająca, w ulewny deszcz. Wymówiła jego imię tak, jakby miała w ustach wielki znak zapytania.

Dopiero kiedy zapytała o uczonych, odnalazł w sobie twarde jądro rezydentury. Gdzie były jej blizny? Jak mogła nie zauważyć nieubłaganych zmian, które zaszły w twarzy patrzącej na niego każdego dnia z lustra? I jak udało się jej wyjść bez szwanku, skoro jemu to się nie udało?

Gniew wzbierał w nim jak przyływ, pochłaniający wszystko.

Nie powinien był w żadnym wypadku jechać do Pragi.

Aleksander haruje w kuźni tak, że bołą go wszystkie kości, aż z wyczerpania gwiazdy eksplodują pod jego powiekami. Wykuwa młotem płyty metalu. Wnosi do wnętrza drewno opałowe. Zamiatą podłogę, aż ta lśni czystością. Jego prycza pozostaje nietknięta, prześcierała precyzyjnie poskładane w rogiach.

W końcu mistrzyni kowalstwa wyjmuje mu miotłę z ręki i każe odpocząć.

Posłusznie – bo do tego sprowadza się teraz jego istnienie. Stał się człowiekiem czekającym na polecenia – kładzie się do łóżka i odgłosy z kuźni powoli od niego odpływają. W głowie ma ciemność, spowija ją cień. Jurij ryczy w swojej klatce, wkłada ręce do ognia, gotów spalić cały świat. Żłota krew bryzga na twarz Violet, jej oczy są szeroko otwarte, oskarżycielskie. Tyle zniszczeń po sobie zostawił i nigdy nie będzie w stanie tego cofnąć.

Sam w pokoju, płacze.

* * *

Ambrose wie, kiedy pojawia się Gabriel, bo w całym domu rozlega się wtedy trzaskanie drzwiami. Czeką w bibliotece, wsłuchując się w nadciągającą burzę. Drzwi otwierają się gwałtownie i wpada przez nie Gabriel z płonącym wzrokiem, pomimo przeciwsłonecznych okularów. Gotów do walki.

– Gabrielu... – zaczyna Ambrose.

– Marianna odeszła. Wiedziałem o tym. Niepotrzebnie traciliśmy na nią czas.

Ambrose za wszelką cenę stara się zachować spokój, choć ton Gabriela sprawia, że mimowolnie cały się napina.

– Nie wiem, co się stało, ale...

– Cholernie dobrze wiemy, co się stało.

Ambrose zamyka oczy.

– Jak powiedziałem...

– Nadal nic nie rozumiesz. Marianna nie wróci. – Gabriel bardzo dobitnie wymawia każde słowo. – Jak tylko uświadomiła sobie, że to przegrana sprawa, po prostu spieszyła stąd! Całe to gówniane gadanie o kłuczach i ludziach gwiazdach. Ma tylko bajki we łbie.

– Więc wolałbyś patrzeć, jak Marianna odchodzi z Penelopą? – warczy Ambrose. – Wolałbyś pozwolić jej umrzeć?

– Wolałbym, żeby nam powiedziała pieprzoną prawdę. Że wielka, nieomylna Marianna zawiodła. Wtedy nie stracilibyśmy bez sensu dziesięć lat na poszukiwanie jej! – Gabriel wali pięścią w ścianę, aż książki objają się o siebie na półkach.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Ambrose obserwuje go ze zmarszczonym ze znużenia czołem. Racionalnie zdawał sobie sprawę z tego, że mieli bardzo nikłą szansę na zwycięstwo; nikt inny nie zdołał uciec, dlaczego więc miałyby się to udać Violet? Ale nawet w najgorszych snach nie wyobrażał sobie czegoś takiego: wyprzedzającego lęku przed porażką i tym, co ona oznacza, domu przypominającego grobowiec z wyprzedzeniem pogrążonego w żałobie. Niezmierzonej nieobecności Marianny. Nawet w najgorszych snach widział Mariannę stojącą przy nich.

– A teraz przez nią... przez nas...

Gabriel kieruje wzrok na Ambrose'a, opuszcza go wola walki. Bezradnie unosi ręce – Gabriel, który nigdy nie był bezradny, który wpadł tutaj w tamten burzowy wieczór dziesięć lat temu, gotów zrobić wszystko, by chronić siostrzenicę.

Starszy brat Ambrose'a nigdy jeszcze nie wyglądał na tak zagubionego. Gabriel pada na krzesło i kryje twarz w dłoniach.

– I co teraz zrobimy?

Trzydziesty dziewiąty



Violet udaje się unikać wujów imponująco długo, przez dwa dni. Całe dwa bezcenne dni – bezcenne, bo czas przecieka jej przez palce. Ale Violet nie wie, co im powiedzieć. Tak długo była na nich wściekła, że nie wie, jak odpuścić. Możliwe, że i oni są na nią źli. W końcu to ona uciekła z domu i nie odpowiadała nigdy na ich telefony i esemesy. Pozwalała, by się zamartwiali – to był z jej strony akt pasywnej zemsty, chociaż teraz już rozumie, ile mogli dla niej poświęcić.

Może istnieje granica wybaczenia, zza której nie ma już powrotu.

Po południu Violet wychodzi przez okno i wspina się po rynnie na dach. Kiedyś spędzała tam całe godziny, przejęta tęsknotą na światem za linią horyzontu. I za matką, która gdzieś tam była. Za Marianną Everly, która mogła przebywać na tym świecie albo na innym – albo być martwa, tego Violet nie dowie się nigdy.

Zaciska pięści. Marianna Everly, która nie poświęciła nawet dwóch cholernych sekund, żeby powiedzieć komukolwiek, dokąd idzie ani jaki straszliwy sekret sprawił, że tak skwapliwie odeszła. W głowie Violet odzywa się głos Johannes Brauna: „Nigdy szczególnie nie zależało jej na tym, żeby być lubianą”.

Violet zdejmuje z nadgarstków bransoletki matki i odrzuca je najdalej, jak tylko się da. Błyskają w powietrzu raz i znikają w wysokiej trawie na dole. Bez nich nadgarstki wydają się lżejsze. Puste. Violet przesuwając palcami po jasnym pasie skóry w miejscu, gdzie zwykle się znajdowały.

W kilka sekund później zbiega po schodach do tylnych drzwi, żal dławi ją w gardle.

Po godzinach poszukiwań udaje jej się znaleźć tylko jedną bransoletkę, tak umazaną błotem, że straciła połysk. Violet wyciera ją o dres, wsuwa na nadgarstek i czuje znowu znajomy ciężar. Wie, że powinna zrezygnować – ale nie może.

Trzeciego wieczoru w końcu wędruje po pozostałej części domu, zbyt głodna i niespokojna, żeby kryć się dłużej w swoim pokoju – i zrobiło się już za zimno, żeby spacerować po dachu. W ostentacyjnie pustej kuchni przygotowuje sobie pierwszy prawdziwy posiłek od kilku dni, ale cały dom zdaje się pomrukiwać wokół niej w oczekiwaniu. Powoli bierze do ust każdy kęs, potem zmywa wszystko i wyciera blaty, aż cała kuchnia lśni. Wreszcie nie pozostaje jej już nic innego, jak tylko poszukać wujów.

Ambrose siedzi na swym ulubionym krześle w trzeciej bawialni, trzaskający wesoło ogień przegania jesienny chłód. Trudno jej zmierzyć się z tym, co ma mu powiedzieć. Ale jest mu winna prawdę o swej porażce.

– Wróciłam – mówi cicho.

Ambrose wzdycha na jej widok, a potem poklepuje drugie ze swych ulubionych krzesel. Violet zwija się na nim, podciągając nogi pod siebie. Gabriel zwykł mawiać, że siostrzenica przypomina mu kota, na co ona zawsze pokazywała język. Teraz spogląda na swoje ręce i żałuje, że to nie kocie łapki.

– Co się stało? – pyta Ambrose.

Nie: jak mogłaś? Nie: jak śmiałaś?

Violet zamyka oczy. Znowu ma w głowie obrazy. Wszystkich ludzi, których nie chciała zawieść.

Opowiada mu o wszystkim.

– Nie powinnam była ufać Aleksandrowi. To wszystko moja wina. – Wyciera łzę złości, potem następną. – Tak cię przepraszam, Ambrose.

Ambrose wpatruje się w ogień w zamyśleniu; płomienie rzucają cienie na jego twarz.

– Nie byłem starszy niż ty teraz, kiedy twoja matka zostawiła cię ze mną – mówi w końcu. – Pamiętam, że wpadłem w panikę. Nie mogłem zajmować się dzieckiem! – Uśmiecha się do siebie. – Ale Marianna była błagała. Wiedziała, że nie może zabrać cię ze sobą, ale nie mogła również zostać. Chciała walczyć dla ciebie, walczyć dla nas wszystkich, tak naprawdę. Więc się zgodziłem.

Violet pamięta kilka pierwszych tygodni bez matki. Dni wydawały jej się takie puste, czas ciągnął się jak guma do żucia. I pamięta Ambrose'a, który pytał wyraźnie skrepowany, czy bawiła się lalkami, co chciałyby zjeść, czy chciałyby się z nim zaprzyjaźnić. Nie zaszczycą go odpowiedzią.

Ale potem on zadał magiczne pytanie i jej oczy zabłyśły jak gwiazdy.

„Czy chciałybyś posłuchać opowieści?”

Ambrose łączy palce.

– Czy sądzisz, że przez te lata nie popełniałem błędów? Wiesz, kiedy Gabriel ostrzegł mnie przed Penelopą, rozważaliśmy ucieczkę. Może nie uciekliśmy zbyt daleko, ale mogliśmy przynajmniej spróbować. Pojechać do innego kraju, pod innymi nazwiskami.

– Penelopa i tak by nas znalazła – zauważa Violet.

– A może nie? – mruczy Ambrose. – Mogliśmy cię wywieźć. Moglibyśmy, ty i ja, mieszkać teraz na jakiejś tropikalnej wyspie, wylegiwać się na plaży. I mieć kokosy na co dzień.

Violet, wbrew sobie, prychna.

– Zwolnij, Robinsonie Crusoe.

– Cóż, może i nie. Z pewnością w tamtym czasie to wydawało mi się niemożliwe. I ciągle jeszcze liczyliśmy na Mariannę. – Jego uśmiech znika. – Może powinienem był pozwolić, żeby zabrał cię Gabriel. Żeby od dawna cię tu nie było, kiedy Penelopa po ciebie przyjdzie.

Violet blednie na tę myśl.

– Zabiłaby ciebie.

– Ale TY byłabyś bezpieczna. Wiesz, dużo o tym myślałem. Z czego gotów byłbym zrezygnować. A z czego nie. – Wzdycha. – Powinienem był powiedzieć ci prawdę. Ale wtedy sądziłem, że postępuję właściwie.

Violet próbuje sobie wyobrazić Gabriela odjeżdżającego w stronę zachodzącego słońca swoim jaskrawym, pomarańczowym samochodem i siebie skuloną na miejscu pasażera. Albo dzieciństwo, w którym rodzina kłątwa nie byłaby tylko jedną z wielu opowieści, ale straszliwym, ogromnym fatum wiszącym nad jej głową przez całe życie.

– Adelia Verne proponowała kiedyś, że weźmie cię do siebie i umieści wśród uczonych ze swojej rodziny. Nie sądzę, żebyś o tym wiedziała – mówi Ambrose.

– Naprawdę?

Inne życie. Magia, uczeni, rewerit – Fidelis. Kiedyś Violet powiedziała „tak” bez chwili wahania, rozpaczliwie pragnęła zobaczyć świat, którego tak długo jej wzbraniano. I pozostał nadal w niej cień tamtego szczególnego pragnienia.

– To nie jest tak nadzwyczajne, jak mogłabyś sądzić. Marianna odeszła. – Ambrose bębni palcami w podłokietnik. – I znowu, miałem przed sobą wybór. Czy byłabyś szczęśliwsza w Fidelis, gdzie przyszedłaś na świat, gdzie był dom Marianny? – zastanawia się Ambrose. – Czy też cierpiałabyś pod rządami uczonych, tak jak twój przyjaciel?

Violet zalewa falą oburzenia.

– Aleksander nie zasługuje na twoje współczucie.

Ambrose spogląda na nią z zaciekawieniem.

– A tobie nie jest go żal?

Aleksander okłamał ją w Wiedniu i potem znowu w Pradze. Taka kumulacja kłamstw urasta do poziomu zdrady. A ona przecież WIEDZIAŁA; ten nowy, układny Aleksander nie był taki, jaki się wydawał, od czasu ich ostatniego spotkania wyrosły mu kły. Próbował ją oczarować jak kiepski magik, próbował omamić ją uroczymi świecidełkami swoich względów, choć karty prawdziwych intencji wypadały mu z kieszeni. A ona mu na to pozwalała. Po prostu bardzo chciała uwierzyć w tego mężczyznę, który uśmiechał się do niej znad filiżanki kawy, który pozwolił jej zobaczyć, jaki potrafi być świat, jeśli tylko szerzej otworzyć oczy.

A jeśli patrzył na nią w cierpieniu? Jeśli na moment okrywający go for-nir pękał?

– Powinieneś mnie odesłać – mówi Violet z żalem. – Powinieneś mnie odesłać i odzyskać wolność. Nie mogłeś przecież tego pragnąć.

Ambrose bierze jej ręce w swoje dłonie i uśmiecha się, mrużąc oczy.

– Może nie jest to życie, jakie bym sobie wybrał. Ale obserwowanie twojego dorastania uważam za przywilej.

Przez dłuższy czas oboje z Ambrose’em wpatrują się w ogień, który dopala się na kominku i zmienia w popiół. W słabym oświetleniu te trzaski przypominają Violet łaskę Erriel i błysk jej bursztynowych oczu.

Była tak blisko drzwi. Gdyby nie czekała tej ekstrasekundy, gdyby od razu podała rękę Erriel i dobiła targu, mogłaby już być z Marianną. Albo dalej goniliby za cieniem. Za kobietą, która nie chce zostać odnaleziona.

„Ona chciała odejść”.

– Marianna nie walczyła o nas – odzywa się nagle Violet. – Nigdy nie wróciła, nawet po to, żeby nas ostrzec. Kiedy zorientowała się, że nie zdoła powstrzymać Penelopy, po prostu... odeszła.

– Och, Violet...

– Ty zostałeś! Gabriel został! – woła Violet pospiesznie. – „Marianna Everly, twarda jak szpon. Marianna Everly, uparta jak diabli. Marianna Everly, bystrzejsza niż szatan”. Cóż, jeśli była tak cholernie twarda, uparta i bystra, to dlaczego nie wróciła?

W kącikach jej oczu zbierają się gorące, piekące łzy, ale to jeszcze bardziej podsycą jej złość. Powinna już przestać się tym dręczyć. Tym upokorzeniem i żalem, że nie była taką córką, przy której warto zostać. Marianna odeszła przeszło dziesięć lat temu, a mogła przecież siedzieć tutaj z nimi, patrzeć w ten sam ogień, zamiast pozostawiać wielką wyrwę w życiu Violet.

– Ona się bała – mówi Ambrose.

Violet przygryza wargę, mocno, aż do krwi. Przyciska do oczu nasady dłoni i bierze długi, nierówny wdech.

Ona nie może tego robić. Nie może.

Ambrose z piskiem sprężyn podnosi się z krzesła. Obejmuje ją ciepłymi ramionami.

– Przykro mi, że Marianna odeszła – mówi Ambrose. – I przykro mi, że nie powiedzieliśmy ci prawdy. Boże, jak bardzo mi przykro.

Coś w Violet pęka.

Później, po łzach wycieranych koszulą Ambrose’a, kiedy ogień zmienił się w popiół, wuj wychodzi na chwilę, ale zaraz wraca z filiżanką herbaty. Podaje ją Violet, która głęboko wciąga jej zapach, zanim weźmie się do picia.

To marne lekarstwo na złamane serce, ale i tak je przyjmuje.

* * *

W dwa dni później Aleksander w obecności Penelopy pakuje w kuźni swoje skromne manatki. Pracownicy kuźni przyglądają się z mieszaniną podziwu i strachu. TA słynna Penelopa w ICH kuźni.

– Dokąd idziesz? – pyta nieśmiało jeden z nich. Dziecko.

Penelopa przykłęka, żeby móc patrzeć praktykantowi prosto w oczy.

– Wraca tam, gdzie jego miejsce, mały marzycielu. – Odwraca się do Aleksandra. – Nieprawdaż?

Aleksander pochyła głowę, nie jest w stanie nawiązać kontaktu wzrokowego z Penelopą.

– Tak, Mistrzyni.

Wchodzą na wzgórze w milczeniu. Tłum rozstępuje się przed Penelopą bez żadnego wysiłku z jej strony; ludzie robią jej przejście jak bogini, która zstąpiła między nich. Ale Aleksander czuje na karku wwiercające się w niego spojrzenia. Asystent w niełasce wraca do katedry wiedzy. To nawet jemu wydaje się urągać świętości.

Penelopa zatrzymuje się pod wieżą uczonych.

– Minęło już dużo czasu, prawda? W porządku, możesz to powiedzieć.

– Tak, Mistrzyni – mówi Aleksander, przełykając nagłe dławienie w gardle.

Rok wygnania, ciężkich doświadczeń. Zapłacił za to własną krwią i cierpieniem. Zapłacił za to zaufaniem Violet i człowieczeństwem Jurija. Ale odpycha od siebie tę myśl, gdy tylko się pojawiła.

Czy nie zasłużył sobie na to? Przyszłość otwiera się przed nim ponownie, oferuje cały ocean możliwości. Arkada uczonych majaczy wysoko w górze.

Penelopa uśmiecha się i po raz pierwszy w całym jego życiu odsuwa się na bok, żeby Aleksander mógł wejść pierwszy.

– Witaj w domu.

Aleksander otrzymuje nowy pokój, na wyższym poziomie wieży niż poprzedni. Pokój uczonego, nie nowicjusza, choć ma jeszcze przed sobą test rozdzielający te dwa poziomy. Zamiast kamiennych murów i gołej podłogi ma boazerię na ścianach i luksusowy dywan. Miękkie łóżko i pełne puszyste poduszki. Jest tu nawet przynależna do pokoju łazienka z wodą pompowaną z gorących źródeł. W pokoju są już także jego najcenniejsze książki, ustawione na prawdziwym regale.

Ma wszystko, czego zawsze pragnął.

No, nie całkiem. Z krótkimi włosami i mocnymi mięśniami wyrobionymi przy pracy w kuźni Aleksander wyróżnia się wszędzie, gdziekolwiek

się uda, i nawet uczeni schodzą mu się z drogi. Ich wzrok biegnie ku jego gołemu przedramieniu, bez reweritowego tatuażu, wyróżniającego prawdziwego uczonego i wszelkie rozmowy milkną, jakby nawet plotki były zbyt święte dla jego uszu. Aleksander zaczął nosić długie rękawy i jadać o dziwnych porach w kafeterii, kiedy tylko personel kuchenny zerka na niego z ukosa i mamrocze coś pod nosem, przygotowując się na resztę dnia.

Przedtem, jako asystent Penelopy, musiał znosić najróżniejsze plotki – że był jej trzymanym w tajemnicy dzieckiem, że przyjęła łapówkę, żeby go wziąć, a nawet że jego nieznani rodzice mieli nad nią jakąś władzę – ale potrafił to wszystko ignorować, ponieważ był jej asystentem. Wybranim. Nawet w kuźni był w stanie znosić podejrzliwe spojrzenia i plotki. Ale te odczuwa w inny sposób, jakoś dotkliwiej.

Walczy z poczuciem winy, pogrążając się bez reszty w pracy, spędza długie godziny w archiwum. Początkowo nieświadomie, a potem już celowo, choć nie zadaje sobie pytania dlaczego, zaczyna wyszukiwać wszystko, co tylko się da, na temat australi. Większość dokumentów jest fragmentaryczna albo zapisana w języku tak starym, że Aleksander z trudem może go odczytać, pajęczym alfabetem wijącym się po stronicach z wgłębieniami jakby poznanymi przez larwy trzyszczka. Aleksander zatrzymuje się dłużej przy słowach oderwanych od zdań, paragrafów, które mogły niegdyś stanowić część całego eseju: DŁUGOWIECZNOŚĆ, ŁASKA, WOJNA, KATASTROFA.

Niejednokrotnie sięga na półkę i cofa rękę, bo trafia na wolne miejsce szerokie na palec i pełne kurzu. Książki znikają z biblioteki od czasu do czasu, pomimo katalogu kart i armii archiwistów o przenikliwych spojrzeniach: trafiają na niewłaściwe półki; są pozostawiane na biurku; czasami kradzione przez pazernego uczonego, który chce przestudiować je komfortowo we własnym pokoju; i znacznie rzadziej niszczone przez zemsotę – albo przez niedbałość zalewane gorącymi napojami.

Ale nawet biorąc pod uwagę wszelkie możliwe nieszczęścia, to nadal niespotykane, żeby dokument całkowicie zniknął z półki. Szczególnie więcej niż jeden na ten sam temat. Archiwiści wzruszają ramionami przy dwóch pierwszych zniknięciach, przy trzecim mierzą go już podejrzliwym spojrzeniem. Potem Aleksander przestaje ich informować o brakach, ale notuje je wszystkie w tyle głowy.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Niejeden raz pozwala sobie na rozmyślanie o tym, czego szuka. Ale pomimo głębokiej niepewności nie przestaje kopać, wchodzi coraz głębiej w archiwa, poza dobrze oświetlone półki z pierwszego rzędu i zagłębia się w rozliczne tunele wślizgujące się w zbocze góry. Czyta, dopóki nie zapadnie przy biurku w głęboki sen bez snów. Budzi się w środku nocy z twarzą przytuloną do książki, sam.

Czterdziesty



Następnego dnia Violet podążyła za Gabrielem do gabinetu, a żółtek ścisła jej się z przerażenia. Na dworze niebo ma kolor smutnej szarości, wiatr przejął panowanie nad aurą. Deszcz będzie o szyby, nęka dom całą serią przecieków, stare uszkodzenia pozwalają stworzyć prawdziwą symfonię z kropel wody kapiących do wiader. Gabriel był podejrzanie cichy od jej powrotu; Violet nie mogłaby tego udowodnić, ale wydaje się jej, że wuj wymyka się do Fidelis. Nie ma pojęcia, co tam robi. Bo jeśli o nią chodzi, to już nic nie pozostało do zrobienia.

Zbierała się na odwagę, żeby z nim porozmawiać – powiedzieć mu, jaką była idiotką – ale wuj ją uprzedził, pukając do jej drzwi o niemiłosiernie wczesnej godzinie.

– Chodź, mała. Mamy coś do obgadania.

Mijając na korytarzu długi ciąg portretów Everlych, Violet wzdycha. Te wizerunki zawsze napełniały ją nieokreślonym smutkiem, ale teraz, kiedy ma pełną wiedzę o wiszącym nad nimi przeznaczeniu, dostrzega w ich twarzach odwagę, bunt, rezygnację. Nie żeby w ostatecznym rozrachunku wyraz ich twarzy miał jakiegokolwiek znaczenie.

– Tak wielu Everlych – mruczy Gabriel. – Nigdy nie mieli żadnej cholernej szansy, prawda?

Violet wie, że wuj myśli o bracie. Kim byłby teraz Ambrose, gdyby nie ciężar klątwy i porzucone dziecko? Byłby szczęśliwszy, myśli Violet z goryczą.

A kim stałaby się ona? Nie ma jej portretu, który mógłby zastąpić jej obecność i przypominać przyszłym Everlym o czekającym ich niebezpieczeństwie.

Violet spodziewa się, że Gabriel zacznie ją besztać, jak tylko zatrzaśną się za nimi drzwi gabinetu – albo, co gorsza, będzie w milczeniu patrzeć na nią z dezaprobatą. Ale on siada za biurkiem, skórzane krzesło trzeszczy pod jego ciężarem. Wygląda na pokonanego, wydaje się dziwnie bezbronny bez swych przeciwsłonecznych okularów i sardonicznego uśmiechu.

– Rozgrywka trwa, dzieciaku – mówi ciężko. – Powstaje pytanie, co ty chcesz zrobić?

Violet przechyla głowę na bok, zaskoczona.

– Nie rozumiem.

– Zostało jeszcze kilka opcji. Może niezbyt wiele, ale... – Rozkłada ręce na blacie. – Są trzy.

Gabriel otwiera szufladę i wyjmuje fałszywe paszporty, akty urodzenia i prawa jazdy.

– Ambrose i ja nie możemy wyjechać. To byłoby zbyt oczywiste. Ale ty możesz jeszcze uciec.

Violet przysuwa do siebie paszport i otwiera go. Obok jej zdjęcia figuruje nazwisko: Emma Blythe, oraz zmieniona data i miejsce urodzenia. Następny paszport jest hiszpański; ta sama fotografia, ale znowu zmienione nazwisko.

– W Skye jest ekspert od fałszerstw – wyjaśnia Gabriel. – Może dostarczyć absolutnie wszystko, o co się go poprosi. I był mi winien przysługę, więc poprosiłem.

Violet przygląda się paszportom, świadectwom życia, którego nie przeżyła. Ale które rozwija się teraz przed jej oczami. Podróżowanie z miasta do miasta, bez zatrzymywania się gdziekolwiek na dłużej. Mogłaby pojechać wszędzie.

– Gdybym chciała uciec... – zaczyna.

– Nie mogłabyś tu nigdy powrócić – ostrzega Gabriel. – Penelopa by cię dopadła. I wiedziałyby, że ci pomogliśmy. – Przesuwa ręką po włosach, jego spojrzenie biegnie ku oknu. – To nie byłoby łatwe życie. Gdybyś doszła do wniosku, że chcesz mieć dzieci i rodzinę, czy choćby stałe miejsce zamieszkania... Cóż, widziałaś, jak to się kończy.

Wyimaginowane życie rozwiewa się w jednej chwili. Podróże i wolność tak – ale nie prawdziwa wolność. Zawsze musiałyby oglądać się za

siebie i czekałaby tylko, aż Penelopa lub któryś z jej sprzymierzeńców ją znajdzie. Żadnych związków, żadnych przyjaciół. I tak bez końca. Nie mogłaby nigdy przyjechać do domu.

– To nie byłoby prawdziwe życie – mówi Violet.

– Ale ŻYCIE.

Violet grzebie w aktach urodzenia, sprawdza rozmaite nazwiska. Na żadnym nie pojawia się Everly.

Gabriel kontynuuje, wylicza inne opcje, które rozważał. Przejście do Fidelis, choć to miasto jest zbyt małe, by dało się w nim ukrywać przez dłuższy czas; wegetowanie w jakimś specjalnie zaprojektowanym, bezpiecznym budynku...

Ale Violet wyłącza się, myśli gorączkowo.

Jej matka by uciekła. Jej matka uciekła naprawdę.

Violet ponownie sięga po paszporty. Myśli o życiu, jakie mogłaby wieść, o kobiecie, jaką mogłaby się stać. Potem odkłada je na biurko.

– Tak naprawdę nie ma innych opcji, prawda? – odzywa się.

– Obawiam się, że nie, mała.

Violet kiwa głową do siebie.

– W takim razie zamierzam zostać i walczyć. Za nas wszystkich.

* * *

W kilka dni później Aleksander puka do drzwi apartamentu Penelopy z nadzieją, że nie widać po nim zdenerwowania. Robił to tylokrotnie w czasie swojego życia, że nie powinien w ogóle się nad tym zastanawiać. Ale kiedy był tutaj ostatnio, próbował ukraść klucz. Tamten dzień odmienił jego życie. Serce bije mu gwałtownie, donośnie w jego uszach.

– Proszę – odzywa się Penelopa.

Wchodzi, owiewa go znany zapach cedru i wanilii podszyty czymś metalicznym. Ogień płonie wesoło na kominku.

Penelopa siedzi przy biurku zawałonym, jak zwykle, książkami i listami. Aleksander stara się nie patrzeć na nie; kolejna nauczka z dzieciństwa. Jego uwagę przyciąga sama Penelopa. Ma podkrążone oczy, a jej skóra wydaje się niemal przezroczysta. Penelopa nigdy nie chorowała – ani dnia w czasie całego jego życia. Ale to niewątpliwie jakaś choroba.

Aleksander otwiera usta, żeby ją zapytać, jak się czuje, ale zamyka je z powrotem.

Po roku w kuźni, gdzie żadne pytanie nie było zbyt głupie i żaden mistrz kowalstwa zbyt zajęty, by odpowiedzieć, Aleksander o mało się nie zapomniał.

– Aleksandrze – odzywa się znacząco Penelopa.

I choć Aleksander nadal ma w głowie gonitwę myśli, to jego ręce automatycznie podejmują działanie – otwierają kredens i wyjmują wino, biszkopty i kilka twardych serków. Znajdują dwa kieliszki, z lekka zakurzone, bo długo nie były używane, i wycierają je do czysta niewielką ściereczką. Kiedy w końcu to wszystko ustawia, Penelopa przygląda się stolikowi z uśmiechem.

– Teraz wszystko jest tak, jak powinno – mówi. – A, jeszcze chwila, Aleksandrze.

Znika z gracją w przyległych pokojach i pojawia się znowu z buteleczką ciemnego, lśniącego płynu, nie wyższą od jej pięści.

– Oszczędzałam ją przez długi czas – mówi. – To wyjątkowy rocznik. Ale dzisiaj je wypijemy.

Aleksander sięga po swój kieliszek, ale Penelopa go powstrzymuje.

– Jeszcze nie, mój asystencie.

Łapie nóż i wprawnie wbija go w poduszczyk palca wskazującego. Zbiera się kropelka krwi z lekko złocistym zabarwieniem.

Aleksander się wzdraga.

– Mistrzyni...

– Ta droga nie była dla ciebie łatwa – mówi Penelopa. – Przeszedłeś więcej prób niż jakikolwiek inny asystent i może nie była to wyłącznie twoja wina. Ale przetrwałeś wszystko, co ci się chwali. – Wyciska kropelkę swojej krwi do jego kieliszka. – Odwdzięczamy się naszym ludziom, Aleksandrze. Więc pozwól, że ci to dam.

Aleksander patrzy na zawartość swojego kieliszka, na wino czerwone jak rubin i gęste. Jest dość na kilka pełnych łyków. Przez cały dzień nic nie jadł, wnętrzności ściskają mu się ze zdenerwowania, ale mając przed sobą ten kielich, czuje, że wcale nie jest głodny.

Penelopa unosi swój kieliszek.

– Za dom. Za przeznaczenie. Za naszą przyszłość.

Potem wychyla wszystko do dna, jednym, głębokim haustem. Aleksander pospiesznie bierze łyk i musi powstrzymać grymas, czując na języku oleisty, metaliczny smak. Więc wypija wszystko najszybciej, jak może, a płyn pali go w gardle.

I może to tylko jego wyobraźnia – a może zupełnie nic – lecz ma poczucie, że przez jego ciało przebiega elektryczność i spływa do opuszków palców. Znika tępe pulsowanie w dole pleców spowodowane ponownym znalezieniem się przy biurku.

Aleksander podnosi wzrok na Penelopę, ale ona wyciera palce serwetką i patrzy w inną stronę. Więc on wraca myślami do czytania kart asteros w Pradze, do Illiosa – wypija fiołkę, karty sypią się, jedna na drugą, ciało Violet w jego ramionach, droga, którą już przeszedł, tak daleko i tak szybko...

– Więc powiedz mi, mój asystencie. Jak wykorzystujesz swoją wolność? – pyta Penelopa.

Aleksander stara się wrócić do rzeczywistości.

– Czytam, pracuję. – Aleksander obciąga mankiety swoich szat. – Jest... tyle rzeczy, do których muszę się ponownie przystosować.

– Rabia mówi, że spędzasz dużo czasu w archiwach.

Aleksander przetyka ślinę.

– Tak. Chciałem zapoznać się ponownie z pewnymi tekstami.

Aleksander wpatruje się w nóż, leżący na stole, czeka, aż Penelopa wspomni o astralach. Starał się zacierać za sobą ślady, najlepiej jak potrafił, wybierał niezbyt dogodne godziny studiowania, kiedy archiwiści mają pełne ręce roboty i nikt nie zwraca uwagi na zagubionego uczonego.

– Z pewnością nie zapomniłeś wszystkiego, czego cię nauczyłam? – mówi Penelopa.

– Nie, Mistrzynie – zapewnia Aleksander. – Chcę tylko być przygotowany. Na wypadek...

W jej oczach pojawia się nagły błysk zrozumienia.

– Chcesz dobrze zdać egzamin.

Zalewa go fala ulgi.

– Tak. Egzamin.

Za wszelką cenę trzeba odwieść ją od tematu archiwów. I powstrzymać mdłości buntującego się żołądka.

Penelopa patrzy na Aleksandra w zamyśleniu, przesuwając palcem wokół krawędzi kieliszka. W blasku ognia cienie wokół niej się wydłużają. Po raz pierwszy wygląda staro, jej skóra wiotczeje i marszczy się, we włosach błyskają nitki siwizny. To wręcz niemożliwe; zawsze wydawała się niezmienna. „Jak sądzisz, dlaczego tak jest?”, odzywa się jakiś głos z tyłu jego głowy.

– Aleksandrze, gdyby to ode mnie zależało, odstąpiłabym od tego egzaminu. W pełni udowodniłeś swoją lojalność wobec mnie – zapewnia Penelopa. – Niestety, to nie wszystko. Jednakże myślę, że będziesz bardziej niż wart tego zadania. – Wstaje. – Jesteś gotów?

– Teraz? – pyta zaszokowany Aleksander.

Penelopa się uśmiecha.

– Nie ma lepszego czasu niż chwila obecna.

– Ja... nie przygotowałem się; nie przestudiowałem...

Penelopa ucisza go jednym spojrzeniem.

– Aleksandrze, studiowałeś przez całe swoje życie.

Wyjmuje z kieszeni klucz. Domyślając się, dokąd Penelopa zamierza go zaprowadzić, Aleksander zaczyna zdejmować szatę, ale Penelopa go powstrzymuje.

– Nie zamierzamy się nikomu pokazywać – mówi.

Aleksander wchodzi za nią do małej komnaty podróźnej, przy jej otwartych drzwiach gromadzi się śnieg. Oddech tworzy w powietrzu przed jego twarzą mgiełkę, Aleksander drży z zimna.

Test uczonych. Jak długo czekał na zaproszenie do tego egzaminu? Słyszał pogłoski o podstępnej alchemii, o długich pracach pisemnych, podczas których wtajemniczeni pocili się przy każdym słowie. Ale skoro przechodzą do innego świata, to z całą pewnością nie będzie to esej. Może zostanie pozostawiony w obcym mieście i poproszony o wykonanie czegoś niemożliwego.

Wiatr. Swobodny upadek. Błysk niebieskiego światła.

Aleksander otwiera oczy w ciemnym pokoju. Rząd łózek ustawionych pod ścianą, blask księżycy lśni na metalowych słupkach. W każdym łóżku drzemie dziecko, małe powieki drgają we śnie.

Aleksander odwraca się do Penelopy, bardzo zaskoczony. Musieli popełnić gdzieś błąd, podróżowali z niewłaściwą intencją albo...

Ale Penelopa nigdy nie popełnia błędów.

– Witaj na egzaminie – mówi Penelopa. – Chcę, żebyś mi znalazł mazydziela.

Aleksander marszczy czoło. Czy to wszystko? Robił to już pewnie setki razy pod jej nadzorem i to na ruchliwych ulicach, gdzie milion spraw mogło rozproszyć jego uwagę. Aleksander przestawia swój umysł na szary obszar skoncentrowanej uwagi i przesuwając spojrzeniem po szeregu uśpio-nych dzieci. Natychmiast mrugają do niego złote iskiereki.

– Czwarte łóżko od okna – mówi z przekonaniem.

Penelopa kiwa głową; musiała już wiedzieć. Ale nie gratuluje mu i nie wyjmuje klucza, żeby wrócić do domu. Patrzy na niego takim stalowym, nieruchomym spojrzeniem, że żołądek opada mu do pięt.

– Weźmiesz to dziecko za rękę i zabierzesz stąd – mówi Penelopa. – Z powrotem do Fidelis.

Aleksander drętwieje. Z pewnością się przestyszał.

– Mistrzyni? – mówi pytająco.

Ona ani drgnie.

– To jest egzamin.

– Egzamin polega na wykradzeniu DZIECKA? – Ostatnie słowo powiedział za głośno, jedno z dzieci mruknęło coś przez sen i odwróciło się na drugi bok. – Dziecka – powtarza Aleksander, jakby powtarzanie tego mogło w jakiś sposób naświetlić głębszą prawdę. Bo musi się tutaj kryć jakaś głębsza prawda. To z pewnością element egzaminu? Penelopa prosi, żeby ruszył głową, żeby myślał szybciej i bystrzej, żeby domyślił się, dlaczego ona chce, żeby wyciągnął dziecko z łóżeczka. Bo przecież nie może chcieć tego naprawdę. To wykluczone.

– To jest sprawdzian, Aleksandrze.

On cofa się o krok.

– Nie rozumiem.

– One mają talent, więc stanowią własność Fidelis. – Penelopa się uśmiecha. – Zresztą, jak sądzisz, w jaki sposób wybrałam ciebie?

Czterdziesty pierwszy



Violet pozostał tydzień. Tylko tydzień na złamanie wielowiekowej klątwy. Ma poczucie, że to daremny trud, ale musi próbować. Ambrose sadza ją w bibliotece ze stertą książek i rozmaitych dokumentów: map, ilustracji, stron wyrwanych z dzienników.

– To wszystko, co udało nam się zgromadzić przez lata – mówi. – Nie-wiele, ale nie było zbyt dużo do odnalezienia. Penelopa dobrze pozacierała ślady.

Violet zagłębia się w papiery.

Zawsze szukała ucieczki w książkach. Kiedy nie mogła opuszczać domu, kiedy nikt nie odpowiadał na jej pytania, kiedy czuła się tak okropnie samotna na świecie. Dawniej książki zawsze pozwalały jej znaleźć wyjście, może zrobią to znowu.

Czyta i czyta. Kiedy robi się ciemno, zapala lampy naftowe i całą bibliotekę zalewa miękkie światło. Od czasu do czasu któryś z wujów przynosi jej kanpkę albo filiżankę kawy, zabiera niedojedzone posiłki i niedopite napoje z filmem wodnym na bokach filiżanki. Jeżeli nie chodzi o pożywienie, to chodzi o ich własne notatki, owoc dziesięcioleci poszukiwań, które skrupulatnie zebrali w całość. Violet czuje nadchodzący ból głowy. Ziewa i przeciera oczy, a potem wraca do pracy.

Łączy w głowie zdania z książek różnych autorów, szuka wątków przewijających się w historii i w chaotycznych przekładach. Tematy są diametralnie różne: teologia, geografia, baśnie i ludowe przypowieści z obu światów, biografia szesnastowiecznego malarza, nagryzmołona notatka mistrza kowalstwa. Ale w miarę czytania Violet zaczyna sobie tworzyć obraz astrali.

Wedle niektórych zapisów ulepili oni ludzi z gliny i gwiazdowego pyłu, rozdzierając siebie, żeby obdarzyć ich talentem. Inne źródła podają, że astrale nadal chodzą wśród śmiertelników i rozdzielają łaski i kary jako boski wymiar sprawiedliwości. Violet nie rozpoznaje tych niepojętych, nieomylnych istot; ich abstrakcyjny altruizm nijak się ma do próby zjedzenia jej przez Tamriela czy obojętności Erriel na jej błagania.

Fascynują ją najmroczniejsze podania – te właśnie, które były opatrzone największą liczbą komentarzy. Pogłoski o istotach, przez które niebo poczerniało albo które wędrowały przez światy, pożerając miasta, jedno za drugim. Udawały śmiertelników, przewracały ich życie do góry nogami i rozdierały społeczności. Ale nawet te mroczne opowieści mają bajkową otoczkę, jakby prawdziwe informacje były zbyt bolesne, aby je zapisać.

Zawsze na końcu astrale wracają do swoich ojczyzn, pozostawiając za sobą ruiny lub odbudowę. Ale zawsze ODCHODZĄ. Więc dlaczego nie robi tego Penelopa?

Pewnego wieczoru, gdy Ambrose wchodzi do gabinetu, Violet niespokojnie spaceruje, postukując długopisem w dłoń.

– Marianna robiła to samo, kiedy rozgryzała jakiś problem – mówi Ambrose.

Violet natychmiast przestaje. Jej palce zaciskają się mocniej wokół długopisu.

Już drugi dzień z rzędu zasypia zwinięta w kłębek na jednym z foteli, w pozycji, której rano będzie gorzko żałować. Jej sny są urywane i okropne: pełne krwi i płomieni, oślepiającego światła i uśmiechów słodkich jak miód. Penelopa szepcze jej do ucha: już prawie czas. Violet kilkakrotnie budzi się w nocy, pewna, że otaczające ją ciemności chcą ją wciągnąć.

Czwartego dnia sięga po plik dokumentów i wyciąga masywną księgę. To nie jest starodawny tom, ale lata źle się z nim obeszły, jest sponiewierana i osmalona. Złocenia prawie całkiem się wytarły, ale Violet udaje się jednak odczytać wyfłoczony tytuł: *Nadnaturalne kolekcje: Opowieści o Astralach*.

Violet otwiera z trzaskiem pachnącą stęchlizną okładkę i ostrożnie przewraca kartki cieniutkie jak bibułka. Książka jest podzielona na rozdziały poświęcone poszczególnym astralom, wystrzępiona wstążeczka służy za zakładkę, są też kruche notatki wsunięte pomiędzy stronicę. Miedzioryty

w eleganckim stylu art nouveau przedstawiają wizerunki każdego z astrali – kompletnie niepodobne do rzeczywistych, z którymi Violet zdążyła się już zetknąć.

Ostrożnie przechodzi do stronicy zatytułowanej: *Astriada*. Z ilustracji spogląda na nią kobieta w prześwitującej sukni, z mieczami po obu stronach. Może i jest pewne podobieństwo w tym dumnie uniesionym podbródku i ostrym nosie, ale trudno powiedzieć. Jakiś pechowy czytelnik musiał przez nieuwagę zaciąć się w kciuk, bo na stronie jest kilka krwawych odcisków. Violet odwraca kartkę i...

„Był kiedyś mężczyzna, który potrafił zrobić wszystko, czego tylko zapragnął. Ale nigdy nie był kochany. Aż do dnia, w którym do jego sklepu weszła gwiazda i zaproponowała mu wymianę”.

Niektóre szczegóły są znajome: rzemieślnik, gwiazda, umowa. Ale inne stoją w sprzeczności z bajką z jej dzieciństwa. W tej wersji ostatniej nocy mężczyzna wbija ślubny miecz w serce kochanki, zabijając ich oboje. Następna opowieść jest mniej więcej taka sama, ale znowu pojawia się różnica. Klatka z boskiego metalu chroni mężczyznę do świtu, czyli do czasu, gdy gwiazda odchodzi. Natomiast w innej wersji gwiazda umiera, gdy obietnica nie zostanie spełniona, a zrozpaczony mężczyzna wędruje po świecie przez całą wieczność.

To tylko opowieści. A jednak podobieństwa między nimi sprawiają, że umysł Violet rusza pełną parą.

W kilka godzin później Violet stoi chwiejnie na drabinie, zdejmując z zaczepów starożytny miecz należący od wieków do rodziny i ostrożnie kładzie go na podłodze. Przygląda się rozpadającemu się relikтови otoczoneму całymi ryzami jej własnych notatek. Przez ostatnich dwadzieścia kilka lat miecz, który przechodził z jednego przodka na drugiego, wisiał w bibliotece. Praktycznie zapomniany wśród innych dziwacznych przedmiotów w domu Everlych.

Z bliska widać, że metal nie jest całkiem gładki, tylko odrobinę wyszczerbiony po bokach, z zielonkawymi plamkami na onyksowej czerni. Skóra właściwie odpada z rękojeści, a srebrna głowica zmatowiała i zaśnieżyła. Miecz wygląda tak samo jak przez całe jej życie. Ale tym razem Violet doskonale wie, czego szuka: miecza z ostrzem z reweritu, choćby pozbawionego połysku i skrzącego.

Violet zamyka oczy i się koncentruje. Kładzie ręce na ostrzu i przyciska palce do metalu. Przed laty położyła kamień na dłoni i czekała na cud. Kiedy Aleksander wyjaśnił jej kwestię talentu i boskiego metalu, zrozumiała, że to nie w jej rękach tkwił problem; chodziło po prostu o to, że nie miała odpowiedniego materiału, nad którym mogłaby pracować. Do tej pory nie trafił jej się rewerit, więc nie miała szansy się sprawdzić – ale gdyby nawet miała odpowiedniej wielkości nieobrobiony metal, czy starczyłoby jej odwagi? Tak niewiele wiedziała o posługiwaniu się reweritem. Teraz jednak nie miała nic do stracenia.

Straciła już wszystko.

Pod jej powiekami pojawiają się iskierki. Violet otwiera oczy – ostrze miecza zdaje się lśnić znowu jak złoto. Kiedy zdejmuje ręce, dostrzega głębokie odbicie kciuka w metalu, z idealnie odtworzonymi liniami papilarnymi.

To nie kamyk i galaktyka, ale przypuszczalnie to właśnie odróżnia ją od innych ludzi. Dzięki temu jej krew wydawała się Erriel taka słodka. To ściąga na nią wściekłą nienawiść Penelopy. I z tego nie była w stanie zrezygnować nawet po to, żeby odnaleźć matkę.

Z operowania reweritem. Boskim metalem. Gwiezdnym metalem.

Ze zdolności nieograniczonego przechodzenia pomiędzy światami.

Astrale nie są niezniszczalne, choć mogą żyć wiecznie. Violet wraca myślami do Erriel, do reweritowego odłamka wbitego w jej serce. Do kajdan Tamriela w jego więzieniu.

Czym lepiej walczyć z bogiem niż boskim tworem?

W Violet budzi się słaba iskierka nadziei, pomimo obietnic, jakie sobie składała.

Czterdziesty drugi



Caspian Verne leniwie spędza czas na jachcie u południowych wybrzeży Włoch, ukrywając się przed resztą towarzystwa. To nie jego jacht i nie jego towarzystwo, a w drinku stojącym obok niego jest więcej lodu niż alkoholu, ale znalazł się tutaj na prośbę babki, jako reprezentant rodziny – a babki, pomimo jej dziewięćdziesięciu trzech lat, nie wolno ignorować. Więc jest zadowolony z telefonu, który daje mu możliwość oderwania się od rzeczywistości, a jeszcze bardziej, gdy odkrywa, kogo ma na drugim końcu linii.

– Widziałaś ostatnio jakiegoś asterię na golasa? – pyta.

– Cześć, Caspianie – mówi Violet Everly.

Caspian słucha przez kilka minut w absolutnej ciszy, podczas gdy Violet wyłuszcza istotę swego problemu. W jej opowieści jest więcej dziur niż w durszlaku, ale Caspian udaje, że uważa każde jej słowo za świętą prawdę.

– Nie rozumiem, dlaczego nie poprosisz o to swoich wujów – mówi w końcu.

– To niespodzianka. Rodowy prezent urodzinowy. Czy byłbyś w stanie załatwić to w ciągu trzech dni?

Caspian przygląda się włoskiej linii brzegowej, urwistym klifom i soczystej zieleni. Człowiek mógłby do tego przywyknąć.

– To wymagałoby pewnych przysług, ale do diabła z nimi. W końcu po co się ma znajomych? – No, jest jeszcze kilka powodów, jeśli się nad tym zastanowić.

– To bardzo miły gest jak na uczonego – mówi Violet.

– Nie jestem uczonym i nie jestem taki znowu miły. Masz u mnie dług, Everly – odpowiada Caspian.

Słyszysz na drugim końcu linii jej śmiech.

– Mogę z tym żyć.

Caspian zwykle nie przepada za łgarzami, sam jest ekspertem w dziedzinie kłamstwa, nie ma również w zwyczaju wykorzystywać swoich niebagatelnych wpływów bez odpowiedniej nagrody, ale w Violet Everly jest coś takiego, że ma ochotę wyrzucić wszystkie swoje reguły do kosza.

– O co chodziło? – pyta kobieta, wyciągnięta na leżaku obok niego, kiedy Caspian wyłącza telefon.

Caspian kołysze w rękę swojego drinka.

– Kat, czy pamiętasz, jak chciałaś dostać ten test na stypendium Etalantii? Ukradłem go dla ciebie i obiecałaś, że zrewanżujesz mi się za to, ale dotychczas tego nie zdołałaś.

Uczona zaciska usta, najwyraźniej o tym pamięta, ale miała nadzieję, że Caspian zapomniał.

– No to czas wystawić czek. I dokładnie wiem, w jakiej walucie chciałbym otrzymać zapłatę.

* * *

Yulan Liu, siedząca nad papierkową robotą w księgarni, odbiera telefon od swojej uczoney. Zerka przez uchylone drzwi na tętniący życiem sklep, pełen klientów tłoczących się po najświeższy bestseller, po czym zamyka drzwi.

– Katherine, moja kochana – mówi tonem, którego używa jedynie w sytuacjach intymnych ich jak najbardziej intymnego związku.

– Słodziutka, jestem w lekkich opałach i muszę cię prosić o przysługę. Czy pamiętasz tego konserwatora?

* * *

W dwanaście godzin później Goro Matsuda otwiera drzwi i odbiera na swym kosztownym progu przesyłkę w kształcie miecza. Nigdzie nie widać kuriera, jest tylko notatka w złowieszczym tonie, który rozpoznałby wszędzie.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

*Goro,
jesteś moim dłużnikiem od św. Jana. Kurier wróci po to za dwa dni. Liczę, że to
wystarczająco długi czas.*

Y.L.

Goro mruży oczy, wpatrując się w dal, ale kurier już dawno zniknął.

– Cholera – mruczy pod nosem.

Czterdziesty trzeci



Nadszedł czas zbioru reweritu. Przez tydzień, od świtu do zmroku, właściciele kuźni rozciągają nad klifami starannie splecione metalowe sieci, bardzo mocno naprężone. Wszystkie dachy dostają silne, ochronne okrycie. Świece są gaszone, a uliczne latarnie przyciemniane, więc całe miasto pogrążone jest w mroku, a przy chodzeniu wzdłuż klifów należy zachować szczególną ostrożność. To nie jest festiwal gwiazd – zbiory reweritu to ciężka praca, a nie zabawa – ale i tak pojawiają się kramy z gorącymi kiełbaskami, wazy z pikantną zimową zupą nalewaną chchlą i gorąca czekolada, tak gęsta, że łyżka stoi w kubku.

Gdy tylko słońce chowa się za horyzontem, w chmurach pojawiają się pierwsze świetne punkciki, jaśniejsze i bardziej szalone od gwiazd. Rewerit, zrodzone z nieba meteoryty wielkości pięści. Sypią się w dół jak błyszczący deszcz, zostawiając za sobą płonący ślad, zupełnie jak wyciągnięte palce gwiazd: OTO NASZ DAR, O WY, KTÓRZY BYLIŚCIE NIEGDYŚ NASZYMI NIEOPIERZONYMI MARZENIAMI.

Co chwila rozlegają się przekleństwa z powodu poparzonych palców, gdy właściciele kuźni, odziani w grube skórzane ubrania i ochronne kaski, skalują sieci, żeby wybrać płomienne dary gwiazd. Ale są również śmiechy i śpiewy, oklaski przy większych kawałkach reweritu oraz aplauz dla kowala za inauguracyjny zbiór.

Aleksandra to zupełnie nie cieszy.

Siedzi samotnie na ławce i obserwuje, jak właściciele kuźni rzucają się zwinnie w przerwy pomiędzy sieciami. Choć zbiory reweritu to coroczne wydarzenie i wysokość nie jest nikomu w mieście obca, to widzowie

gwałtownie wciągają oddech, gdy kolejny właściciel kuźni zawisa nad urwiskiem, trzymając się tylko jedną ręką, i zbiera się w sobie, by przerzucić ciało na górę. Mistrzynie kuźni stoi niżej, na przemian wykrzykuje instrukcje i dodaje odwagi.

W zeszłym roku to Aleksander skalował sieci rękami zgrabiętymi z zima, z sercem mocno bijącym z chwalebego przerażenia. Teraz może tutaj być już tylko jako obserwator.

Ponieważ będzie uczniem.

Wykradł dziecko.

Ale będzie uczniem.

Ukradłeś dziecko, Aleksandrze.

W normalnej sytuacji musiałby czekać kolejny rok na następne Błogosławieństwo Illiosa, żeby zostać uczniem wraz z innymi pomazańcami. Ale Penelopa nalegała, żeby stało się to dzisiaj. W nagrodę za przykłądną służbę nie tylko dla uczonych, lecz dla całego Fidelis. A kto sprzeciwiłby się Penelopie, kiedy stawia sprawę w ten sposób?

– Dopilnuję, by dla ciebie, mój asystencie, wszystko było możliwe – powiedziała.

Jeszcze kilka tygodni temu oddałby wszystko, żeby usłyszeć te słowa.

Aleksander opuszcza wzrok na swoje ręce. Tatuowanie zostało zaplanowane na północ – to raczej niespotykana pora na wykonanie rytuału uczonego, ale z uwagi na to, jak ważne są zbiory reweritu, ma szczęście, że w ogóle otrzyma tatuaż tej nocy.

Zostało jeszcze pół godziny. Potem będzie uczniem, ze wszystkim, co się z tym wiąże.

Zawsze myślał o sobie jako o kimś zakorzenionym w środowisku uczonych. Zawsze. Początkowo była to niekwestionowana lojalność; uczeni przyjęli go do siebie, gdy nikt inny tego nie zrobił, dali mu cel w życiu. Potem pojawiła się satysfakcja płynąca z rozwiązywania skomplikowanych problemów, z rozszyfrowywania kilkusetletnich tekstów, aby odkryć skrywane przez nie tajemnice, nawet jeśli było to coś tak przyziemnego jak przepis na zapiekanekę warzywną. Nie wszyscy uczeni kochają archiwum tak jak Aleksander, a jeszcze mniej liczny jest starczy cierpliwości i wytrwałości, by ślęczeć godzinami nad kilkoma tekstami, dopasowując do siebie fragmenty, aby naświetlić większą prawdę o tym, co odziedziczyli

w swym pękniętym domu na górskim zboczu. Co mogli przynieść ze sobą z Elandriel.

A on jest bardzo, ale to bardzo dobry w przekopywaniu się przez archiwa w poszukiwaniu prawdy. A – jak się okazuje – prawda to imię. Tylko imię.

Astriada. Usłyszał je z ust Violet w Pradze, gdy zatrząskiwiał za sobą drzwi kościoła. To wydawało się niemożliwe – oczywiście, że tak. Ale z drugiej strony, cała podróż Violet miała w sobie coś mitycznego, jakby dziewczyna tworzyła własną legendę. I w jej głosie brzmiało takie przekonanie.

Więc zaczął grzebać w archiwach. I jaką prawdę odkrył.

To dlatego Penelopa ostrzegała go, żeby nie zadawał pytań. Dlatego był taki dobry w roli jej ostrza. Ponieważ teraz, kiedy ma już w swoich rękach wiedzę, nienawidzi odpowiedzi, jakie mu przyniosła. Nienawidzi tego, że musi dokonać wyboru.

Jak łatwo byłoby pozostać ostrzem Penelopy i pozwolić, by ta świeżo zdobyta wiedza zapadła w najgłębsze zakamarki jego pamięci. Nikt by się o tym nie dowiedział, poza nim samym.

Aleksander chowa zmarznięte ręce do kieszeni i przypadkowo dotyka postrzępionego rogu starej podstemplowanej karty. Wyjmuje ją i ogląda, choć jest tak ciemno, że trudno cokolwiek zobaczyć. Te stemple to niespełniona obietnica.

Na kwadrans przed północą właściciele kuźni kończą zbiory i kłaniają się przy burzliwych oklaskach, zdyszani, ale szeroko uśmiechnięci. Na niebie rozrywają się fajerwerki, gdy jeden dzień się kończy, a drugi zaczyna. Aleksandra nigdzie nie można znaleźć.

* * *

Już prawie północ. Prawie czas.

Penelopa wychodzi w ruiny na zboczu góry, nie zważając na chłód. Nie czuła zimna od tysiąca lat – ani ciepła, jeśli już o tym mowa. Tylko dotkliwy brak śpiewu rodzeństwa i jej własnej, pulsującej w żyłach mocy. I rozpalonego do białości światła i lodowatej otchłani, brak DOMU.

Powiada się, że dla boga sto lat to zaledwie jedno mgnienie. Że śmiertelnicy są jak ćmy, żyją i umierają pomiędzy jednym a drugim oddechem.

To kłamstwo.

Penelopa odczuwa każdą sekundę wygnania, każdy ból straty. Odbyla już swoją karę.

Teraz czas wrócić.

* * *

Jeśli się nie uda, to będzie ostatnia północ w jej życiu. Violet postanawia spędzić ją na dachu domu, choć temperatura na zewnątrz spadła dramatycznie. Ale woli tam marznąć, niż patrzeć, jak wujowie wymieniają coraz bardziej rozpaczliwe spojrzenia, jakby mieli jeszcze czas, żeby namówić ją do wyjazdu.

Chmury zbierają się w górze, przestaniają księżyc. Violet dostrzega jasny Pas Oriona, Plejady, Oko Byka. To całkiem możliwe, że w innym świecie gwiazdy chodzą po ziemi, już nie są tańcem pierwiastków chemicznych, tylko przybierają postać śmiertelników. Mogą żyć, kochać – niszczyć.

Być może to wcale nie będzie bolało.

Może to się stanie miłosiernie szybko i zanim Violet się zorientuje, już będzie po wszystkim. Ale nie, znając Penelopę, to raczej myślenie życzeniowe.

Ale przynajmniej ma w rękach prawdę, choć gdyby mogła, napisała by ją od nowa. Po latach zastanawiania się, czy Marianna umarła, czy została uwięziona, czy nadal szuka „przygody”, nagrodą pocieszenia jest świadomość, że matka opuściła ją na długo, zanim Violet wkroczyła do świata uczonych.

W jej pokoju na biurku spoczywa miecz z reweritu, jeszcze w folii bąbelkowej przewiązanej sznurkiem. Metal już nie jest kruchy i przerdzewiały, lśni jak polakierowany, ostry i śmiertelnie groźny. Violet ma nadzieję, że nie będzie musiała go użyć.

Ale jeśli tak się stanie, to liczy, że się uda.

Wstaje i rozprostowuje zeszytniałe z zimna kończyny. Do północy pozostało jeszcze kilka minut, ale chce uspokoić mieszane uczucia co do efektywności tego głupiego miecza. W obliczu tak wielkiego zagrożenia czuje się jak idiotka, choćby rozważając przyjęcie połączonych w jedno

GEORGIA SUMMERS

bajek za prawdę – a przynajmniej taką prawdę, która pozwoli jej powstrzymać Penelopę. Boski metal, aby powstrzymać boginię.

To, czego naprawdę potrzebuje, to cud.

Violet rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie na księżyc, schodzi do swojego pokoju – i wpada prosto na Aleksandra.

Czterdziesty czwarty



est taki moment, ułamek sekundy pomiędzy wyrazem szoku i zderzeniem, kiedy Violet wydaje się, że śni. Potem wpadają na siebie, zderzają się głowami i Violet ma gwiazdy przed oczami. To wcale nie sen – Aleksander naprawdę stoi tutaj, w jej pokoju.

Gniew zabarwia wszystko na czerwono.

– Ty zakłamany gówniarzu – warczy Violet. – Jesteś kanalią.

Chociaż zaledwie dwa tygodnie temu stali oboje w praskim kościele, to Aleksander wygląda jakoś inaczej, choć Violet nie potrafiłaby dokładniej określić zmian, jakie w nim zaszły. Stracił część swej irytującej zuchwałości, włosy szybko mu odrastają, łagodząc nieco ostre jak brzytwa rysy twarzy.

Ale Violet już tyle razy została oszukana, że nie wierzy w nic, co maluje się na jego twarzy.

– Penelopa cię przysłała? – pyta. – To jakiś pieprzony prerytuał?

Aleksander się krzywi.

– Violet, ja...

– Wynoś się. – Wskazuje mu palcem drzwi. – Już.

– Musimy porozmawiać – zaczyna Aleksander, ale spogląda na biurko i traci rezon. – Czy to miecz?

Violet o mało nie wybucha śmiechem z niedowierzania. Oto ona, na moment przed zagładą, a Aleksander odgrywa w jej pokoju uczonego. Trzeba mieć czelność!

– Miałś rację – mówi Aleksander, nie odrywając wzroku od miecza – nie wierząc uczonym. Ani mnie.

Jak on śmie mówić coś, o czym ona już wie, przyznawać się do zdrady bez poczucia winy. To zbyt łatwe. Nawet nie jest mu z tego powodu przykro.

Violet mocno krzyżuje ramiona.

– Jeśli ci się zdaje, że masz prawo wparować tutaj tylko po to, żeby oczyścić sumienie...

– Zabrałem dziecko – wyrzuca z siebie Aleksander.

To stopuje Violet na chwilę.

– Co?

– Zabrałem DZIECKO. I... sam nie wiem, co ja sobie myślałem. Ale ona chciała, żebym to zrobił. To był egzamin. – Waha się. – I, Boże dopomóż, zrobiłem to.

Aleksander zaczyna chodzić po pokoju, jedną rękę przyciska do głowy, jakby w ten sposób mógł wymazać z niej pamięć. Violet próbuje przyswoić sobie to, co przed chwilą powiedział.

– Penelopa kazała ci ukraść dziecko – powtarza.

Aleksander spogląda na nią ze zmarszczonymi brwiami, jakby mu serce pękało, i Violet uświadamia sobie, że ten dziwny wyraz jego twarzy, którego nie potrafiła nazwać, to rozpacz.

– Chciałaś powiedzieć: Astriada.

Żołądek opada jej do pięt.

– Ty wiesz.

Aleksander przestaje chodzić.

– Powinienem wcześniej się zorientować. Naprawdę nie mam żadnego wytłumaczenia. – Parska śmiechem pozbawionym wesołości. – Ty by-łabyś doskonałą uczoną. Znacznie lepszą od mnie.

Violet bezwiednie siada na łóżku.

– Co się stało?

Aleksander szybko relacjonuje przebieg egzaminu na uczonego. I jak domyślił się, kim jest w istocie Penelopa. Oszczędza jej szczegółów, ale Violet domyśla się, że niejedno pominął, bo Aleksander unika jej wzroku. A może po prostu prawda nie chce mu przejść przez usta.

– Gdzie jest teraz to dziecko? – pyta Violet.

– Odprowadziłem je z powrotem – odpowiada Aleksander. I szerzej otwiera oczy, gdy coś mu się przypomina. – Ja... ja zagroziłem jednemu

z uczonych, żeby dostać się do kwater nowicjuszy. O Boże, i ukradłem ich KLUCZ. Ale ona zabiłaby tego chłopczyka. Nie wyobrażałem sobie nigdy... wszystko, co robiła Penelopa...

Aleksandrowi nigdy nie przyszło do głowy, że pozostali uczeni w tym uczestniczą, uświadamia sobie Violet. A przecież przynajmniej część z nich musi zdawać sobie sprawę z prawdziwej tożsamości Penelopy. Pierwszą wskazówką powinien być fakt, że ona się wcale nie starzeje. Johannes wiedział; świadczył o tym sposób, w jaki mówił o zatrutym kielichu. A tymczasem Aleksander nie miał o tym pojęcia.

Natomiast Violet zawsze wiedziała, że w świecie magii muszą istnieć również potwory.

Nagle ogarnia ją lodowaty chłód. Penelopa będzie tutaj za chwilę. Gdyby nie była osobą tak miłosierną – gdyby była uczoną – to pozostawiłaby Aleksandra w nieświadomości i pozwoliłaby mu zostać, dla czystej przyjemności obserwowania, co z tego wyniknie. Żeby na własnej skórze poczuł, czym jest zdrada. Żeby cierpieł.

Ale Violet nie jest uczoną i nigdy nią nie będzie.

Więc zrywa się na równe nogi.

– Musisz już iść.

– Violet, ja nie mogę...

– Nie rozumiesz – wpada mu w słowo. – Nie może cię tutaj być. Nie teraz.

I zaczyna popychać go w stronę drzwi w momencie, gdy przerażające, błękitne światło rozbłyskuje na dziedzińcu.

– Cholera – mruczy Violet.

Aleksander podnosi na nią wzrok i jego twarz robi się biała jak prześcieradło.

– Znaleźli mnie.

Violet przestaje popychać Aleksandra. Łapie miecz z biurka. Ten okropny, beużyteczny miecz, którym powinna nauczyć się operować, zamiast kłócić się z Aleksandrem. Teraz nie ma już na to czasu.

– Och, na litość... tu nie chodzi o CIEBIE.

– To o kogo? – Wzrok Aleksandra biegnie w stronę miecza. – Co ty zrobiłaś?

Z dołu dobiega dźwięk dzwonka. Violet nie ma już na nic czasu.

– Zostań tutaj, odejdz, wszystko jedno... tylko nie schodź na dół. – Przepycha się obok niego. – Sugerowałabym jednak, żebyś stąd poszedł.

Zatrząskuje za sobą drzwi, serce podchodzi jej do gardła. Miecz waży chyba tonę, a w jej spoconych rękach wydaje się jeszcze cięższy niż wtedy, kiedy zdejmowała go z uchwytów w bibliotece. Wtedy poczucie, że ma do dyspozycji taką solidną broń, dawało jej pocieszenie. Ale Violet nie jest błędnym rycerzem, a ten miecz to nie smok z bajki.

Ona tutaj umrze, co będzie okropnie głupie.

Na dole Ambrose głośno się awanturuje, w dzieciństwie ten ton głosu wuja zmuszał wstrząśniętą Violet do posłuszeństwa. Nie ma złudzeń, z kim Ambrose się teraz wyklóca.

U stóp schodów Violet wpada na Gabriela. Wuj rzuca na nią jedno spojrzenie – na miecz, na jej zbieleiałe kłykcie zaciśnięte na rękojeści, na krew na jej ustach przygryzanych od trzech dni – i wyciąga rękę, żeby ją zatrzymać.

– Czy ty postradałaś zmysły, do cholery? – syczy. – Wracaj na górę... weź mój klucz...

– Nie zostawię was – oświadcza Violet.

Wuj łapie ją za ramię, tak mocno, że aż boli.

– To nie są negocjacje. Możemy ci kupić trochę czasu, ale musisz odejść NATYCHMIAST.

– Powiedziałam, że zostanę i będę walczyć. I mówiłam poważnie. – Violet wrywa się z uścisku Gabriela. – My, Everly, trzymamy się razem, pamiętasz?

Mocniej ściska rękojeść miecza, wymija wuja i zmierza korytarzem do drzwi frontowych. Przez parę chwili pozostaje niezauważona, bo kłótnia Ambrose'a z Penelopą rozwinęła się już w donośną awanturę. Ambrose stara się zablokować wejście. Ale Penelopa, ze spokojem malującym się na twarzy, robi kolejny krok w głąb domu.

– Zawarliśmy umowę, Ambrose. Dziesięć lat, co do dnia. Ja ze swojej strony dotrzymałam umowy; teraz wy musicie wypełnić swoją część. – W tym momencie jej oczy rozjaśniają się na widok Violet. – Już czas, mała marzycielko.

Ambrose ogląda się za siebie i traci koncentrację. Penelopa odsuwa go na bok, jakby był lekki jak piórko. Wdziera się w głąb domu, ciągnąc za sobą długie cienie.

Wyciąga dłoń.

– Chodź. Tak będzie łatwiej.

Violet ani drgnie. ODWAGI.

– Ja nie zawierałam z tobą żadnej umowy i nigdzie się nie wybieram.

Unosi miecz, żeby Penelopa mogła go zobaczyć, choć jej ramiona od razu słabną z wysiłku. W ostrzu miecza widzi swoje odbicie – cholerna idiotka pełna idiotycznej nadziei. Może tym tylko zawsze była. Ale musi spróbować.

A potem... jej chwyt słabnie. Rękojeść wysuwa jej się z rąk. Violet łapie za ostrze, choć wie, że nie powinna, ale i ono wymyka się z jej palców.

Miecz upada na podłogę z donośnym brzękiem. Cisza aż dzwoni w uszach.

Penelopa nie śmieje się na głos, ale Violet widzi, że jej usta wyginają się do góry z rozbawienia.

– Mała marzycielko, zawsze lubiłaś urządzać przedstawienia. – Pochyliła się, żeby podnieść miecz, i nagle na jej twarzy pojawia się wyraz furii.

– On nie został zrobiony dla CIEBIE.

– Odpieprz się – wyrzuca z siebie Violet, bo tylko to już jej zostało.

Penelopa spogląda na nią ostrzej.

– Doskonale.

Przemienia się za jej plecami, w obłoku dymu i z iskier eksplodują skrzydła. Wydłużają się jej pazury. Atramentowe źrenice wypełniają całe oczy. Violet rzuca się naprzód, żeby odzyskać miecz, ale Penelopa przydeptuje stopą ostrze.

Violet wymienia pełne paniki spojrzenia z Ambrose'em.

– Zmykaj stąd, Vi! – krzyczy wuj.

Violet ogląda się, żeby rzucić się do ucieczki, ale ktoś stoi jej na drodze. Aleksander. Jeszcze ma stopę na ostatnim stopniu schodów, jakby zszedł na dół przez przypadek. Ale jego usta są zaciśnięte w wąską, ponurą linię, świadczącą o tym, że doskonale wie, po co zszedł i czego będzie świadkiem.

Penelopa podnosi wzrok i przez sekundę – tylko przez sekundę – wizerunek jej ciemnej strony się załamuje. Przez twarz bogini przemyka wyraz osłupienia, czy nawet bólu, ale szybko znika. Violet pyta się w duchu, czy naprawdę go widziała.

– Mój zbłąkany asystent – mówi Penelopa i Aleksander się wzdryga. – Pokażę ci, gdzie twoje miejsce.

Penelopa rzuca się naprzód, ale Ambrose zaściana sobą Violet.

– Nie jesteś w tym domu mile widziana, Astriado.

Penelopa odrzuca go na bok jednym machnięciem ręki. Rozlega się okropny chrzęst, Ambrose uderza o ścianę. Nie wstaje.

– Ambrose! – krzyczy Violet.

Podbiega do wuja, ale Gabriel ją uprzedza i unosi brata. Powieki Ambrose’a drgają i całe ciało Violet się odpręża, choć na sekundę.

Żyje. On żyje.

Violet wymienia rozpaczliwe spojrzenie z Gabrielem. Powinna zostać. Powinna się upewnić, że Ambrose’owi nic nie jest. Powinna poddać się Penelopie, jeśli to ma zapewnić bezpieczeństwo rodzinie.

– Zmykaj stąd, Violet! – rozkazuje Gabriel.

I Violet biegnie.

Penelopa wykonuje śmiertelnie groźny wymach ręką, ale Violet jest za szybka, wymyka się ciemnym spiralom, które wzbijają się z wiru cieni pod jej stopami. Aleksander uskakuje jej z drogi, w samą porę, by mogła przemknąć obok niego. Violet wbiega po schodach, po dwa stopnie naraz. Za nią coś się rozpryskuje i rozlega się przekleństwo Gabriela.

Violet, z sercem w gardle, wpada na podest. Jeśli zdoła dopaść bawialni, to stamtąd ma doskonałą drogę ucieczki, przez okno na dach. A co zrobisz potem?, pyta samą siebie. Miecz przepadł, wujowie – nie myśl o Ambrosie, przestrzega się w duchu – są zajęci. Nikt nie przyjdzie jej na ratunek, a szansa, by uratowała się sama, być może nigdy nie istniała.

Co z niej za idiotka, jak mogła upuścić miecz! I jak mogła pomyśleć, idiotka, że ma jakąkolwiek szansę! A wszystkie strategie, jakie przewidywała, sprowadzają się teraz do uderzeń jej serca i gwałtownego przyływu adrenaliny spowodowanego paniką. A jej decyzje ograniczają się do następnego oddechu, następnego kroku naprzód w ucieczce przed kłębiącymi się za nią cieniami.

Violet dociera do okna, otwiera je...

Coś łapie ją za piętę. Violet spogląda w dół. Ciemny kłęb owija się wokół jej kostki. Violet próbuje się oswobodzić, strząsnąć go z siebie, ale kolejny okręca się wokół jej ręk, odciąga je do tyłu, przygważdża ją do

ściany. Penelopa wyłania się z korytarza, pół kobieta, pół astral, personifikacja zniszczenia.

– Twoja wiarołomna matka mnie zdradziła. Uciekła mi. Ale ty... będę miała CIEBIE – syczy Penelopa z oczami zwężonymi w szparki. – Jeszcze usłyszysz śpiew moich braci, Violet Everly.

Kieruje szpon w stronę piersi Violet. Dziewczyna gorączkowo próbuje wyszarpnąć nadgarstki. Ale jej ręce wiszą beużytecznie, unieruchomione płonącą ciemną liną. Gdyby tylko mogła się wyswobodzić...

Aleksander wpada do pokoju, a za nim Gabriel, uzbrojony w krzesło. Aleksander się wzdyga, jego oczy są szeroko otwarte i pełne grozy. Ale Gabriel nie waha się ani chwili; rzuca krzesłem w Penelopę. Krzesło odbija się od jej pleców i natychmiast rozpada w drzazgi.

Penelopa skacze do nich jak wąż i więzy się rozluźniają. Violet odpycha się od ściany całą sobą. Wpada na Penelopę i na moment ciemności ograniczają jej pole widzenia. Wdycha popiół i płomień, zachłystuje się oparami. Penelopa mocno chwyta Violet, pazury wbijają się w jej plecy.

– Wyjdziemy razem – mówi cicho Penelopa.

Przez łzy zalewające jej twarz Violet dostrzeża błysk miecza w rękach Aleksandra. On patrzy na miecz, potem na nią, uwięzioną w objęciach Penelopy, dzieli ich morze trujących, czarnych cieni.

Waha się.

Natomiast Gabriel się nie waha. Wrywa miecz z rąk Aleksandra i rzuca go przez cały pokój.

Violet pochyla się po miecz, czuje szpony rozdzierające jej plecy, ale wymyka się z uścisku Penelopy. Penelopa odkręca się – jest szybka jak błyskawica, a jednak nie dość szybka. Ręce Violet zaciskają się wokół skórzanej rękojeści. Podrywa miecz w górę, ostrze robi szeroki łuk, rozbłyśkując złotymi iskierkami. I zderza się z jakimś ciałem. Krew tryska na twarz Violet.

Penelopa wzbija się w powietrze i z góry obejmuje spojrzeniem scenę, którą ma przed sobą. Jej nieziemskie skrzydła lśnią i Violet po raz kolejny widzi dwie postacie nakładające się na siebie: kobietę i potwora. Blond włosy przylegają do czaszki, a skóra zbyt ciasno opina kości, jakby Penelopa postarzała się gwałtownie pomiędzy jednym krokiem a drugim.

– Znasz mnie, Violet Everly – syczy Penelopa. – Biorę, co moje. I żaden podstęp cię nie uratuje.

Składa skrzydła, zalewa dywan ogniem. Przez zasłonę dymu Violet dostrzega błysk klucza w powietrzu i snop błękitnego światła...

Penelopa znika.

* * *

Serce Aleksandra tłucze się o żebra. Opiera się o ścianę korytarza, próbując zrozumieć to, co przed chwilą widział. Co zrobił.

Jeżeli sądził, że odprowadzenie dziecka z powrotem było niewybaczalną obelgą, to tym razem zrobił coś, czego nigdy nie będzie w stanie odpracować. W jego piersi narasta panika. Ściany napierają na niego, cały świat zawęży się w jeden ciemny punkcik. Nieświadomie szarpie przód swojej koszuli, jakby materiał był zbyt ciężki, aby mógł go udźwignąć.

Wędruje korytarzem do pokoju. Jest tylko ta czarna otchłań. I ból. Taki wielki ból.

Jesteś w domu Violet Everly, powtarza sobie Aleksander. Stoisz pod ścianą z paskudną tapetą.

Własny wdech brzmi bardzo głośno w jego uszach. Serce mu pęka. Skóra płonie.

Jesteś w domu Violet, mówi sobie.

Ona nie będzie z tobą w tamtym pokoju.

Powoli panika ustępuje i Aleksander znajduje w sobie siłę, żeby wziąć głęboki oddech, potem następny. Udaje mu się zejść do kuchni, skąd dobiegają głosy.

Wujowie Violet już tam posprzątali i teraz bombardują siostrzenicę pytaniami. Ich ręce zdają się fruwać wokół niej: jedna spoczywa na ramieniu Violet i podtrzymuje ją, druga kieruje ją delikatnie w stronę krzesła. Krew sączy się z rozcięcia biegnącego wzdłuż linii włosów, a szeroko otwarte oczy Violet mają puste spojrzenie osoby w szoku. Nadal ścisła w rękach miecz, obejmuje nagle ostrze, choć to musi boleć.

Wujowie wyglądają nie lepiej, są posiniaczeni i utykają. Wyższy z nich – ten, którego Penelopa popchnęła na ścianę – ciągle krzywi się i masuje tył głowy. Ale cała uwaga ich obu jest skoncentrowana na Violet.

Wygląda na to, że kompletnie zapomnieli o Aleksandrze.

A Aleksander obserwuje to wszystko z lekko mdlącym uczuciem w żołądku, to niezupełnie poczucie winy i niezupełnie nienawiść, ale coś pomiędzy. ZAZDROŚĆ. Nagle nie jest już w stanie na nich patrzeć. Odwraca wzrok, spogląda na popękane kafelki na podłodze, wydeptane stopami Everlych, którzy chodzili po nich latami.

On zawsze będzie kimś z zewnątrz, gdziekolwiek by się znalazł. Zawsze będzie nikim, choćby najbardziej się starał zostać kimś wartym miłości.

A teraz, kiedy już wie, kim jest Penelopa, choć nie może się zmusić, żeby myśleć o niej jak o Astriadzie – pomimo że widział jej astralną postać – i choć kazała mu zabrać DZIECKO...

– Aleksandrze. – Violet patrzy na niego, z jej oczu ustępuje już wyraz szoku. – Wszystko w porządku?

Aleksander podnosi wzrok, przełyka twardą gulę resentymetu i kiwa głową.

– A... u ciebie?

Przerażający wuj, ten w skórzanej kurtce, odsuwa krzesło, wstaje i sąsania Violet przed jego spojrzeniem. Lewe szkło jego przeciwsłonecznych okularów jest pęknięte.

– A jak ona, twoim zdaniem, wygląda, do licha ciężkiego? – rzuca pytanie. – Jak śmiesz tu wracać. Nie masz żadnego cholernego prawa tu być.

– Gabe, nie zaczynaj – prosi ze znużeniem ten drugi.

– Zamknij się, Ambrose! – woła ostro Gabriel, po czym znowu zwraca się do Aleksandra: – Miałeś w rękach ten miecz i co zrobiłeś?

– Gabrielu, proszę...

– Spieprzyłeś absolutnie wszystko, oto co...

– Dość! – mówi Violet i obaj milkną.

Gabriel piorunuje wzrokiem Aleksandra, ale przesuwają się i staje za Violet, zupełnie jak wyjątkowo wzburzony ochroniarz. Aleksandra uderza ich podobieństwo, z tymi zadartymi podbródkami wyglądają na nieustraszonych, a przynajmniej pragną robić takie wrażenie. Serce znowu mu się ściska.

– Musimy ruszyć w pościg za Penelopą – kontynuuje Violet. – W przeciwnym razie ona wróci po nas wszystkich.

Gabriel patrzy na siostrzenicę tak, jakby wyrosła jej druga głowa.

– Absolutnie nigdzie nie pójdziesz.

– Nadal możemy pojechać w jakieś bezpieczne miejsce – mówi szybko Ambrose. – Przyszykowałem je, na wypadek gdybyś zmieniła zdanie.

– Doskonale! – woła Gabriel, a Violet w tym samym momencie rzuca:

– Nie ma mowy, do diabła.

Gabriel robi groźną minę.

– Violet, jeśli będę musiał, to przerzucę cię przez ramię i będę niósł przez całą drogę.

Violet próbuje wstać, ale krzywi się i siada z powrotem.

– Tylko spróbuj, chciałybym to zobaczyć. Ambrose?

– Przykro mi, Vi, ale tym razem jestem po stronie Gabriela.

– Jej nic nie powstrzyma – odzywa się niespodziewanie Aleksander.

Wszyscy troje odwracają się w jego stronę. Z niezrozumiałych względów jego dłonie zaczynają się pocić.

– Jest teraz słaba. Może dlatego miecz podziątał. Ale Penelopa zawsze dostaje to, czego chce – kontynuuje Aleksander. – Zawsze. – Waha się, boi się wypowiedzieć głośno pytanie, które dręczy go od chwili, gdy zobaczył Penelopę w holu. – Dlaczego ona tak chce ciebie?

– Jakbyś nie wiedział – rzuca Gabriel szyderczo.

Jednak Violet przygląda mu się uważnie, z wyrazem zaciekawienia na twarzy. To jeszcze niezupełnie zaufanie. Aleksander wie, że po tym wszystkim, co zrobił, nigdy go nie odzyska. Nie odzyska tego jednego bezcennego daru, z którego nie zdawał sobie nawet sprawy, dopóki go nie utracił.

Violet wstaje i tym razem, choć jej twarz wykrzywia ból, nie opada z powrotem na krzesło.

– Chcę zamienić słówko z Aleksandrem. Na osobności – dodaje, widząc wyraz twarzy wujów. – Zresztą muszę się przebrać.

Jej bluzka jest spryskana krwią Penelopy, podobnie jak jego koszula, uświadamia sobie Aleksander. Nie czerwoną ani złotą jak innych astrali, ale czarną. Jak coś skorodowanego.

– Chcę się przebrać i porozmawiać z Aleksandrem. Potem wezmę jakieś środki przeciwbólowe i pójdę za Penelopą – oświadcza Violet stanowczo.

– To kiepski plan – mówi Ambrose.

– Ale taki mamy – odpowiada Violet.

Wszyscy bez słowa wymieniają spojrzenia – pełne irytacji, miłości i czegoś jeszcze, czego Aleksander nie potrafi zidentyfikować – potem Ambrose wdycha i opada na krzesło. I w ten sposób Violet wygrywa ten spór.

– Bądź ostrożna – mruczy wuj.

Po wyjściu z kuchni, kiedy już siedzący w niej wujowie nie mogą ich usłyszeć, Violet staje, opiera się o ścianę i zaciska zęby z bólu. Potargane włosy opadają jej na twarz i Aleksander odczuwa absurdalną pokusę, żeby wyciągnąć rękę i je odgarnąć. Zamiast tego chowa rękę za plecy.

– Czy jesteś pewna, że chcesz to zrobić? – pyta.

Violet bierze głęboki wdech i zamyka oczy, ale zaraz je znowu otwiera.

– Nie mam wyboru. Wiesz, jaka jest Penelopa. WIESZ, co ona z nami robi.

To pewna ulga, choć niewielka, że Violet nadal nazywa Penelopę imieniem, pod jakim zawsze znał ją Aleksander, a nie tym, które należy do ich mitycznego panteonu. ASTRIADA. Ta istota jest ciągle jeszcze dla niego niezbyt realna.

Jaki był głupi, kierując swój gniew, swój resentyment przeciwko Violet.

– Pozwól, że ci pomogę – proponuje.

Violet prostuje się, ignorując jego wyciągniętą rękę.

– Nie.

Dłoń Aleksandra opada. Oczywiście. Nie może mieć do niej pretensji.

Wędrówka do jej pokoju na najwyższym piętrze trwa dwa razy dłużej niż zwykle. Violet musi przystawać na każdym półpiętrze i potrząsać obolałymi kończynami, żeby zaznać choć odrobiny ulgi, zanim podejmie dalszą wspinaczkę. Ale on nie proponuje jej już pomocy, a ona o nią nie prosi. Zapada między nimi przykre milczenie. A tyle chciałby jej powiedzieć. Jak cudownie znów ją widzieć, pomimo okropnej chwili i tego, co ją poprzedziło. Jaka była wspaniała, kiedy stawiała czoło Penelopie, odważniejsza od wszystkich znanych mu uczonych. I jak bardzo, bardzo ją przeprasza – za wszystko. Jednak wszelkie przeprosiny byłyby teraz spóźnione i służyłyby wyłącznie jemu samemu.

A on prawie nie zastępuje na to, by na nią patrzeć. Więc nie patrzy.

W końcu Violet dociera na szczyt domu. Otwiera drzwi pokoju na poddaszu, zabałaganionego, ale emanującego ciepłem i przytulnego. Aleksander zerknął przedtem tylko na ten pokój, kiedy Violet wdrapywała się

przez okno, lecz dokładnie wie, w czyjej sypialni stoi. Wszędzie są ster-ty książek, ale też spłowiałe mapy przypięte do ścian z zaznaczonymi na czerwono trasami wędrówek, ilustracje do wiktoriańskich bajek wyrwane z czasopism, całe rzyzy odręcznych notatek Violet, porozrzucane na chybił trafił po całym pokoju. Na półce nad biurkiem tłoczą się lalki w domowej roboty ubrankach: czarodziejka, rycerz, księżniczka.

Aleksander zastanawia się, jak w jej oczach wyglądałoby jego dzieciństwo, gdyby miał dość pamiątek, aby udekorować nimi swoją sypialnię.

Violet nasłuchuje pod drzwiami, po czym kiwa głową i je zatrząskuje.

– Chciałeś wiedzieć, dlaczego Penelopa na mnie nastaje. Po wszystkich innych Everlych.

– Tak. – Aleksander opuszcza wzrok na swoje dłonie.

Długo rozmyślał o tym, jaki on sam ma w tym wszystkim udział. Jeśli Violet mu to wyjaśni, być może zrozumie w końcu, jakich zniszczeń dokonał.

– Dawno, dawno temu – zaczyna Violet bardzo miękko – był sobie pewien mądry człowiek.

Czterdziesty piąty



Aleksander siada na łóżku Violet i starannie omija ją wzrokiem. Naprawdę nie wiedział. Violet myślała, że po tak długim czasie Aleksander przynajmniej zacznie się domyślać dzięki wskazówkom, które mogły się wyrwać Penelopie albo tym, które dawała mu ona sama. Ale kiedy relacjonowała mu historię Evera Everly'ego i jego diabelskiego paktu, zauważyła, jak Aleksander znieruchomiał, zamilkł i chłonął każde jej słowo. I tym razem ta historia to coś więcej niż tylko bajka Ambrose'a, którą Violet opowiadała mu kiedyś w kawiarni.

Czy wiedziała, pochylając się nad dzielącym ich stolikiem, czym to się dla nich skończy?

– Więc to jest prawda. Jesteśmy przekłęci – kończy Violet, dość słabo. Jeśli można nazwać klątwą wendetę jednej nieśmiertelnej kobiety, mszczącej się na całej rodzinie.

Im dłużej Aleksander milczy, tym bardziej ona robi się nerwowa.

– Aleksandrze? – pyta.

Chłopak podnosi w końcu na nią wzrok.

– Dziękuję, że mi to powiedziałaś.

Nie mówi: mogłaś powiedzieć mi o tym wcześniej. Violet nie ma powodu do poczucia winy, szczególnie po Pradze, choć i tak doskwiera jej nieco sumienie. To okropne ukrywać taką straszliwą tajemnicę. Ale zaraz wzbiera w niej furia, ponieważ przypomina sobie, jak Aleksander stał z mieczem w ręce i wahał się, gdy ona była bliska utraty przytomności, na jego oczach. Nawet widząc prawdę jak na dłoni, on się wahał.

Lecz po nią wrócił.

Aleksander przenosi spojrzenie z Violet na srebrzysty błysk na parapecie okna.

– Trzymałaś ptaka – mówi zaskoczony.

Violet odwraca od niego wzrok i grzebie w szufladzie w poszukiwaniu czystej bluzy, niezaplamionej krwią. Zdejmuje koszulę, pod którą ma stanik bez krwawych plam. Kątem oka dostrzega, że Aleksander okazuje nagle zainteresowanie książkami na podłodze. Skóra ją piecze na wspomnienie dotyku jego rąk.

Znajduje koszulę dla Aleksandra i rzuca mu ją, co można uznać za wyraz wyjątkowej gościnności.

– Należała do Ambrose’a – wyjaśnia Violet lakonicznie. – Powinna pasować.

Aleksander zerka na koszulę, a następnie długo patrzy na Violet z zaskakująco beznamiętną miną. Potem coś miga w jego oczach i Aleksander zaczyna rozpinać guziki swojej koszuli. Violet odwraca się natychmiast, rewanżując mu się za delikatność, jaką on jej okazał.

Nie zamierzała patrzeć w lustro, w którym odbijają się twarde linie torsu Aleksandra i gładka skóra od szczytu ramienia aż po lekkie wcięcie w pasie. Nie zamierzała gapić się na wypukłości i wgłębienia w dole pleców, gdzie powinny znajdować się gładkie mięśnie. Nie zamierzała oglądać jego blizn.

Aleksander odwraca się w tym samym momencie co Violet i ich oczy spotykają się na nieskończenie długą, przerażającą chwilę.

„Czy nie jest ci go żal?“, zapytał kiedyś Ambrose.

– Nie rób tego – mówi Aleksander. – Proszę.

– Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień – zapewnia szybko Violet.

Po chwili Aleksander wciąga koszulę Ambrose’a jak gdyby nigdy nic. Ale Violet nie może nie widzieć wściekle czerwonych blizn, przecinających całą powierzchnię jego pleców, od łopatki do łopatki. Wyglądają jak ślady po uderzeniach pioruna. I przypomina sobie, jak Aleksander kuli się w niewielkich, ciemnych pomieszczeniach. Wreszcie zaczyna to rozumieć i robi się jej niedobrze.

Nadal jest na niego wściekła. Tylko że teraz jest jej o wiele trudniej podsycać płomień tego czystego, rozpalonego do białości oburzenia.

– Lepiej już chodźmy – rzuca lekko Aleksander. – Twoi wujowie czekają.

Tym razem Aleksander nie proponuje jej pomocy, choć sztywnieje za każdym razem, gdy Violet potyka się o własne nogi. Na dole podestu Violet masuje lewą kostkę i krzywi się, gdy coś trzaska w stawie. To tylko zwichnięcie, na pewno, choć boli ją wszystko.

– Już mieliśmy wysłać ekspedycję ratunkową – mówi Ambrose, kiedy wchodzi do kuchni.

Violet nie jest w stanie spojrzeć na Aleksandra.

– Idziemy. Wiem, że to się wam nie podoba, i bardzo mi przykro.

Ale to jej nie powstrzyma.

– A jeżeli zostaniecie rozdzieleni? – pyta Ambrose i próbuje wstać z krzesła. – Pójdziemy z wami.

Gabriel obserwuje, z jakim wysiłkiem brat stara się wstać, po czym opada z powrotem na krzesło.

– Ty nie jesteś w stanie nigdzie iść, do cholery. – Odwraca się do Violet. – Ja z tobą pójdę, ale...

– Nie – sprzeciwia się Violet.

Nie narazi wujów na kolejne niebezpieczeństwa. Widok Ambrose'a na podłodze, te kilka sekund, kiedy nie wstawał... nie ma takiej siły, która mogłaby wymazać ten widok sprzed jej oczu.

– W takim razie weź mój klucz – prosi Gabriel.

Odpina z szyi srebrny łańcuszek i podaje go siostrzenicy. Klucz wisi na końcu łańcuszka, jego trzonek jest skręcony i wygrawerowany w kapryśny wzór bluszczu. Ciężko spoczywa na jej dłoni. Latami marzyła o podróży pomiędzy światami. Z najdrobniejszymi szczegółami wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy wreszcie otrzyma jeden z kluczy pozwalających to robić. Śniła o tym na jawie, wydawało jej się, że będzie się czuła jak zwycięzca podczas rundy honorowej wokół stadionu, jakby trzymała w rękach całą galaktykę.

A tymczasem ma przed oczami tylko blizny Aleksandra i eksplodujące skrzydła Penelopy z dymu i płomieni.

– Bez niego nie będziemy mogli pójść za tobą – ostrzega ją Gabriel. – Jeśli coś ci się stanie...

– To sobie poradzę – wpada mu w słowo Violet.

Nie zapewnia, że nic jej się nie stanie ani że wszystko będzie dobrze. Nie będzie ich okłamywała, nie teraz.

– Chryste wszechmogący, dzieciaku. Nie wybierasz łatwej drogi, prawda? – mówi wuj, z irytacją i dumą jednocześnie.

I porywa ją w miażdżące uściski, od których kręci się jej lekko w głowie. Teraz kolej na Ambrose’a. Obejmuje ją mocno, pachnie lekko woskowymi świecami i starymi książkami, jak zawsze. Jak pachnie dom.

– Bądź ostrożna, Vi – mruczy. – Nie zapominaj, wobec kogo on jest lojalny.

Dopiero po chwili dociera do niej, że Ambrose mówi o Aleksandrze. Potem wypuszcza ją z objęć, ściska jeszcze raz jej ramię i wreszcie ją uwalnia. Gabriel krzyżuje ręce przed sobą.

Aleksander wreszcie patrzy jej w oczy.

– Jesteś gotowa?

Violet nigdy w życiu nie była na nic równie gotowa.

Wcale nie jest na to gotowa.

Aleksander bierze ją pod rękę i zdejmuje z szyi klucz. Wsuwa go do zamka kuchennych drzwi – tych, którymi przechodziła przez większość dni swojego życia – i Violet odczuwa zmianę ciśnienia powietrza. Łód trzaska wzdłuż krawędzi drzwi. Żółte iskierki tańczą w powietrzu. Violet zamyka oczy, gdy owiewa ich nieznana jej dotąd fala powietrza. Żółta się jej wywraca.

Śnieg, góry, niebo.

Światło gwiazd.

* * *

Penelopa zmierza chwiejnie do swego apartamentu, przyciskając pierś. Jej ręce nadal ociekają krwią, ale szpony zmieniły się znowu w paznokcie. Skóra opina kości jak papier, a skrzydła – jej cudowne, prześliczne skrzydła – ciągną się za nią po ziemi, nie jako dym, tylko w formie fizycznej, jako skóra i ścięgna. Penelopa bierze urywany oddech.

To sprawka Violet Everly.

Jak zawsze Everly, przyczyna jej zniszczenia. Zawsze Everly, jej upadek.

Penelopa rzuca się do drzwi. Szpony, potem ręce, potem znowu szpony. Straciła za dużo krwi i teraz traci władzę nad sobą. Ubywa jej siła, zbyt szybko; trwało to przez tysiąclecia, ale w końcu jej czas dobiega końca.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Na niższych poziomach wieży trwa gorączkowa aktywność. Setki uczonych uwijają się wokół swoich codziennych spraw, nie zdając sobie sprawy z chaosu rozgrywającego się ponad ich głowami. Setki marzycieli, których życie to jasne iskry energii. Jak pszczoły robotnice, celowe w swej bezrozumnej z pozoru krzątaninie.

Ich talent – ich życiodajna krew – przyzywa ją śpiewnie, a żołądek Penelopy burczy żałością.

Przysięgała, że nigdy tego nie zrobi. Zniweczenie własnych wysiłków, mających na celu odtworzenie jej roztraskanego dziedzictwa, to czyste marnotrawstwo. Ale Penelopa wyobraża sobie ich smak, ze wszystkimi dręczącymi szczegółami. Smak słońca i ziemi, reweritu i gwiazdowego pyłu. Wszystkich rozkoszy świata, tylko je brać. To nie poświęcenie wybrałaby dla upamiętnienia tak doniosłej okazji, lecz przywykła już do ohydnych kompromisów.

Potem przyjdzie czas na wysączenie ciała Violet aż do ostatniej kropli. I na zdyscyplinowanie krnąbrnego asystenta – bo dzisiaj Aleksander po raz ostatni sprawił jej zawód. Później przyjdzie czas na odbudowę tego, co musi teraz zniszczyć.

Jest Astriadą, boginią władającą dwoma mieczami: łaski i sprawiedliwości. Jest chwałą. Jest zniszczeniem.

I jest GŁODNA.

Czterdziesty szósty

B

ezkresna biel. I ziąb przejmujący aż do kości. Violet bierze oddech i o mało nie dławi się lodowatym powietrzem.

Wylądowali na klifie, ale śnieg sprawia, że trudno odróżnić, gdzie kończy się brzeg, a zaczyna niebo. Nad nimi, z tyłu wznosi się półłuk arkady otoczonej ruinami kamiennych budynków. Gdzieś w oddali mającą góry z czapami lodu, niskimi i upiornymi.

– Uznałem, że lepiej przenieść się tutaj, żeby nie zwracać na siebie uwagi. I... nie pokazywać się nikomu. – Aleksander rzuca jej lekki uśmiech i przez moment Violet ma przed oczami tamtego młodego mężczyznę, który opowiadał jej o gwiezdnych pyle i marzeniach. – Witaj w Fidelis, Violet Everly.

Fidelis.

Violet rozgląda się znowu po zaśnieżonym krajobrazie. Tyle razy śniła o tym, żeby tutaj przybyć: dosłownie śniła, jej głowę wypełniały obrazy fantastycznego miasta z fantastycznymi nazwami ulic. Miejsca pełnego magii, uczonych i tajemnic.

– Przyniosłaś ze sobą miecz – mówi Aleksander, potęgując jej poczucie, że trafiła do bajki.

Violet spogląda na swoje zaciśnięte pięści i ciężki miecz balansujący między nimi.

– Chyba tak.

Aleksander prowadzi ją w dół niebezpiecznymi, oblodzonymi schodami. Schodzą w zaułek, przeciskają się za rozrośniętymi krzakami, które zasłaniają wejście. Początkowo Violet widzi jedynie masywne mury po

obu stronach uliczki, rzucające na nich cień. Śnieg skrzypi pod ich nogami, biały puch zbiera się na jej ramionach. Violet gwałtownie łapie zimne powietrze, gdy rzeński wiatr przewiewa ich ubrania. Ale podąża za Aleksandrem i w końcu wychodzą z zaułka na ogromny dziedziniec, w mroźny wieczór. A potem Violet musi co chwila przystawać.

Lśniące od śniegu szczyty gór wbijają się w niebo niczym odłamki szkła. Poniżej ziemia opada w dół tarasami oplatającymi zbocza gór. W dolinie bursztynowe światła zabarwiają mgłę, która osiada w dolnej partii linii drzew. I gwiazdy. Konstellacje tworzą na poły znajomy wzór, który Violet widziała kiedyś rzucony na kuchenny stół.

– Pięknie, prawda? – odzywa się cicho Aleksander.

Violet nie może oderwać oczu od przeciwległej strony doliny, ponurej i ciemnej na tle jeszcze ciemniejszego nieba.

– Nie wyobrażałam sobie, że to będzie takie rzeczywiste.

– Rzeczywiste jak życie – mruczy Aleksander.

– Gdybym tutaj mieszkała, nie wyjechałabym stąd nigdy – mówi Violet.

– Większość ludzi nigdy stąd nie wyjeżdża – przyznaje Aleksander. – Ale jeżeli się nie wyjeżdża, to nie wie się, jak wygląda reszta świata. Jak wyglądają inne światy. A przede wszystkim, nie wie się, jaki oszałamiający jest Fidelis.

Potem wzrok Aleksandra biegnie poza linię horyzontu i jego uśmiech znika.

– Światła w wieży uczonych – mówi. – Zniknęły.

Aleksander zaczyna się wspinać po górskim zboczu w stronę wieży, mijając rzędy domów o stromych dachach, słożonych blisko siebie, jeden przy drugim.

Violet biegnie za nim.

– Aleksandrze?

– Musi być jakieś wyjaśnienie – mruczy on, jakby do siebie. – Musi być.

Violet podąża za nim mozaiką uliczek, ledwo starcza jej czasu na podziwianie urody miasta. Zerka na chodniki zawieszane nad klifami, na szklarnie pełne bujnej zieleni za zamglonymi szybami, na okrągłe, białe domy z terakotowymi dachami, pomarańczowymi w blasku księżyca. Powinno być pięknie. I właściwie jest pięknie. Tylko ta cisza jest

denerwująca i większość światel została specjalnie zgaszona albo starannie ukryta za zaciągniętymi zasłonami. Mroczny cień wieży uczonych wisi nad wszystkim.

Docierają do wejścia, łączącego twardy, górski kamień i żelazne latarnie przysypane śniegiem. Ziemia pod ich stopami jest przeważnie oczyszczona, dalej, w brei pośniewowej, widać słabe odciski setek butów.

Aleksander zrzuca z siebie płaszcz i podaje go Violet.

– Nie możesz zostać rozpoznana jako osoba z zewnątrz. Gdyby tak się stało...

– Nie będę – zapewnia dziewczyna z przekonaniem, którego nie czuje.

Zarzuca płaszcz na ramiona. Jest podbity futrem i pachnie jak Aleksander: węglem drzewnym i starymi książkami. Wciąga kaptur na głowę, zaśnaniając twarz na wypadek, gdyby ktoś mógł rozpoznać, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Aleksander nie zwraca jednak na nią uwagi. Przez chwilę nasłuchuje pod grubymi, dębowymi drzwiami, potem je otwiera i wpycha Violet do środka. Wewnątrz dominującym elementem jest ulokowana centralnie ogromna klatka schodowa z sufitem na takiej wysokości, że Violet nie widzi szczytu. Z klatki schodowej zwisają grube liny i bloczki utrzymujące w powietrzu do połowy zapełnione palety. Na ścianach przy wejściu widać tuziny haczyków, a pod nimi stojaki na buty. Uderza ją prozaiczne odkrycie, że uczeni również potrzebują miejsca na zimowe buty oraz płaszcze.

Światła są przyciemnione i panuje całkowita cisza.

– Coś jest nie w porządku – szepcze Aleksander.

Teraz, kiedy są już wewnątrz, Violet również to czuje, choć nie potrafi sprecyzować dlaczego. Zresztą trudno tego od niej oczekiwać, ale czy na pewno? Po chwili uderza ją zrozumienie – ich kroki odbijają się echem, słysząc nawet ich oddechy.

Jest zbyt cicho, nawet jak na środek nocy.

Aleksander przechyla się przez poręcz, patrzy w górę, potem w dół, bo schody prowadzą również w lodowatą ciemność.

– Platformy są nieruchome. A zawsze są w ruchu. Ja... czekaj. Coś widzę.

Wbiega na górę po dwa stopnie naraz, Violet rusza za nim, próbuje go dogonić. Mimowolnie odnotowuje obecność na ścianach licznych portretów w złożonych ramach, każdy opatrzony plakietką. Znamienici uczeni, domyśla się Violet, prezentujący rozmaite poziomy namalowanej srogości. Głupio z jej strony rozglądać się – jakby Penelopa mogła kiedykolwiek dać tabliczkę komuś z Everlych – ale i tak szuka orzechowych oczu, dumnego podbródka...

Aleksander zatrzymuje się tak nagle, że Violet o mało na niego nie wpada.

– Zostań! – woła ostrzegawczo, lecz jest już za późno.

Tam są zwłoki. Ciało uczonego w granatowej szacie leży na schodach. Ciemna krew wokół głowy plami stopnie.

– O mój Boże – szepcze Violet.

Nigdy nie zdołają usunąć plam krwi z marmuru, przychodzi jej do głowy absurdalna myśl. Aleksander delikatnie odwraca ciało. Violet nie ma pojęcia, kim był ten uczony, ale Aleksander z pewnością go znał, bo z ust wyrывa mu się taki odgłos, jakby zainkasował cios w splot słoneczny. Starszy mężczyzna z siwiejącą brodą leży w niewygodnej pozycji, ze skręconą szyją. Jego niewidzące oczy skierowane są w górę.

– Nienawidziłem go – mówi Aleksander w oszołomieniu. – Zmuszał mnie do przynoszenia mu różnych rzeczy, bo nie podobało mu się, że byłem asystentem Penelopy. Ale bał się również jej. Musiał się potknąć i uderzyć w głowę. Dlaczego jeszcze nikt go nie zabrał? Nie rozumiem.

Violet patrzy na schody za jego plecami. I robi się jej niedobrze. Więcej ciał, więcej krwi. Ostrzegawczo kładzie rękę na ramieniu Aleksandra.

– Nie patrz – mówi, choć spojrzenie Aleksandra już podąża za jej wzrokiem.

– Tam... tam jest więcej...

Aleksander mija ją półprzytomnie, zatrzymuje się przy kolejnych zwłokach i przykłęka. Idąc w górę, natykają się na sterty ciał, niektórzy ze zmarłych mają w rękach sztylety, jakby wiedzieli, co nadchodzi. Na twarzach innych zastygł wyraz szoku. Ich ciemne szaty pokrywa krew, jak gdyby zostali rozszarpani przez zwierzę.

– Kto mógł to zrobić? – powtarza Aleksander, jakby wierzył, że to mógł być ktoś inny, ktokolwiek inny.

Violet mocno zaciska usta. Ale pamięta szpony Penelopy, wydawały się śmiertelnie groźne.

– Może ukrywają się tu jeszcze jacyś uczeni – mówi Aleksander z nadzieją, która nawet Violet wydaje się głupia. – Musimy sprawdzić. Chodź.

Violet się waha.

– Aleksandrze...

On odwraca się do niej, w oczach ma twarde spojrzenie.

– Tutaj są zakwaterowani nowicjusze. DZIECI. Ktoś musi je uratować, powiedzieć im, że wszystko będzie dobrze.

Nagle skręca ostro w lewo w jeden z wielu wąskich korytarzy. Violet idzie za nim z mocno bijącym sercem. Może Penelopa po prostu zesłała na dół i opuściła wieżę. Może ktoś przetrwał w ukryciu.

Jednak to niepodobne do Penelopy, ona poruszyłaby każdy kamień.

Po drodze mijają kolejne zwłoki, potem całą stertę leżącą pod drzwiami. Ręce Aleksandra zaciskają się w pięści, jego twarz jest biała jak kreda.

– Nie musiała tutaj przyjść – mówi tępo. – Nie musiała... Te wszystkie dzieci.

– Aleksandrze, nie – prosi Violet, ale on już przedziera się przez stertę zwłok do pokoju za drzwiami.

Violet podąża za nim, choć jej wnętrzości skręcają się ze zgrozy.

W pokoju jest ciemno jak w grobie i w pierwszej chwili wydaje się, że nigogo tam nie ma. Ale potem Violet dostrzega skuloną gromadkę w rogu. Ciała są zbyt małe, by mogli to być dorośli ludzie, leżą zaplątane w zbyt duże dla nich szaty. Można by uznać, że śpią, gdyby nie całkowita nieruchomość ich ciał.

– Violet... o bogowie...

Aleksander pada na kolana i wymiotuje tak długo, aż nic w nim nie pozostaje. Jego ramionami wstrząsa bezgłośny szloch.

– To były dzieci – powtarza raz za razem. – To były tylko dzieci.

Tylko dzieci. Ale stanęły na drodze Penelopy.

* * *

Violet udaje się wyprowadzić Aleksandra z tego pokoju, z powrotem na klatkę schodową. Mija zwłoki, na które nie jest w stanie patrzeć, choć nie

znała tych ludzi. Ale zamiast zatrzymać się przy wejściu – żeby ostrzec innych – Aleksander schodzi po schodach, podążając za stróżką krwi. Nie zatrzymuje się przy pierwszej otwartej bramce przedzielającej schody – ani przy drugiej.

Ślady krwi są nadal wyraźne, miejscami nawet śliskie, jakby Penelopa ciągnęła jedno ciało po drugim po schodach na dół. Wszystkie bramki są szeroko otwarte. I co gorsza, nikt nie wychodzi, żeby ich zatrzymać. Niektóre z bramek mają ponad trzy metry wysokości, są gładkie i nie sposób się na nie wspiąć. Aleksander dotyka jednej z nich z wyrazem niedowierzania na twarzy.

Zatrzymuje się dopiero wtedy, kiedy docierają do końca oświetlonej klatki schodowej. Fantazyjne portrety i okna z aksamitnymi zasłonami skończyły się już dawno, została surowa fasada przypominająca fortecę albo więzienie.

– Nikomu nie wolno schodzić niżej – szepcze Aleksander. – Ja nigdy... z wyjątkiem...

Aleksander mocno zaciska usta i bierze głęboki wdech, jakby chciał się uspokoić.

– Musimy iść dalej – mówi Violet.

Rozsądek nakazuje jej zawrócić, wejść po schodach na górę i zmykać stąd najszybciej, jak się da. Penelopa jest prawdopodobnie na dole, nie wiadomo, w jakiej formie. Zbiera siły. Przygotowuje się do wywarcia biblijnej zemsty na Everlych. Violet nie może do tego dopuścić.

Kolory znikają z twarzy Aleksandra.

– Violet...

– Musimy – odpowiada Violet. – Przepraszam.

– Nie rozumiesz. Ja NIE MOGĘ.

Aleksander wygląda tak samo jak na schodach w Pradze. Jest przejęty wręcz irracjonalną zgrozą.

Co ci się stało?, chciałaby zapytać Violet, ale nie może.

Przypomina jej się, jak Aleksander wahał się z mieczem. Są takie bliźni, o których ona wie, i takie, o których nie wie. Może lepiej będzie, jeśli pójdzie sama. Nikt nie będzie jej przeszkadzał.

Ale też nikt jej nie uratuje, odzywa się w niej cichy szept.

– Ja pójdę – mówi Violet. – Ty zostań tutaj.

Aleksander opuszcza ramiona z ulgą, choć nadal nie wygląda na przekonanego.

– Ona może nadal być tam, na dole.

Violet nie musi pytać, kogo Aleksander ma na myśli.

Potrząsa głową.

– I dobrze.

Rzuca mu, jak sądzi, uspokajający uśmiech, choć czuje, że wychodzi jej raczej grymas. A potem, unikając wdepnięcia w ślady krwi, przechodzi przez bramkę, zostawiając Aleksandra za sobą. Schody skręcają zaraz za rogiem, więc natychmiast traci go z oczu.

Ściany lśnią od wilgoci, a w miarę jak Violet schodzi w dół, znika światło. Robi się coraz chłodniej, więc zgina palce, żeby je rozgrzać. Miecz robi się śliski, zatem mocniej ściska go w rękach. Żaden głos nie przyzywa jej z dołu, ale Violet czuje takie samo przyciąganie, jak w piwnicy Tamriela. Coś pełźnie po jej karku w oczekiwaniu na grozę.

Ściany ze starannie ociosanych bloków ustępują miejsca masywnemu górskiemu kamieniowi z wyrytymi znakami. Jest prawie zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć, a schody są niebezpiecznie śliskie. Ostatnia bramka, otwarta jak wszystkie pozostałe, została szarpnięta tak mocno, że wbiła się w skałę. Ktokolwiek to zrobił, miał nadludzką siłę.

Nie ma już więcej schodów. Tylko małe sklepienie przejście i pojedyncza lampka oliwna, oświetlająca całe pomieszczenie. W powietrzu unosi się słodkawy, mdlący odór śmierci. Violet mocniej chwyta miecz – choć nie ma pojęcia, co by jej mogło z tego przyjść – i wchodzi do pomieszczenia.

Jest w nim... mnóstwo krwi.

Dobrze, że przyszła tutaj sama, bo ten widok powaliłby Aleksandra. Violet staje, walczy z odruchem wymiotnym, zakrywając materiałem usta i nos, dopóki nie uspokoi się jej żołądek. Penelopy tutaj nie ma, ale wszędzie są dowody jej obecności. Stosy martwych uczonych leżą pod ścianami pomieszczenia, jeden na drugim, jak szczątki rozbitego statku wyrzucone na brzeg przez krwawy przyptyw. Nie wiadomo, jaki kolor miała dawniej podłoga, teraz jest zalana szkarłatem. Zapach jest tak intensywny, że Violet czuje w powietrzu żelazo.

Pośrodku pomieszczenia są drzwi.

Wyglądają jak drzwi, które Violet widywała w snach. Które – jak sobie kiedyś wyobrażała – pojawiają się w szafie z biblioteki. Są bardzo wysokie, co najmniej dwa razy wyższe od niej, z oleistym połyskiem reweritu. Na metalu biegnie starożytny napis wykonany alfabetem, którego Violet dotąd nie widziała. Z drugiej strony nie ma nic, tylko pusta przestrzeń, na którą można otworzyć drzwi. Nie ma dziurki, w którą można włożyć klucz, jedynie dwie wyciągnięte dłonie, pomazane krwią.

Violet przysuwa się bliżej, a potem wstrzymuje oddech, żeby nasłuchiwać dźwięku w zatęchłym powietrzu. To mogło być cokolwiek – skrzywienie metalu na zimnie albo ciała wydające ostatnie tchnienie; do licha, może nawet głośne dyszenie Aleksandra na górze – ale jest pewna, że to nic z tych rzeczy. To brzmi jak... śpiew.

Violet mocno przygryza wargę i z wahaniem pociąga za ręce. Nie dzieje się absolutnie nic. Drzwi pozostają zablokowane.

Wpatruje się w nie przez długie pięć minut. Próbuje je otworzyć na wszelkie sposoby, jakie tylko przychodzą jej do głowy: szarpie ponownie te groteskowe ręce, naciska na drzwi, obchodzi je z drugiej strony i napiera na nie plecami. Ale one ani drgną. Gdyby Caspian był tutaj, prawdopodobnie w parę sekund rozszyfrowałby ten mechanizm. Jednak ona ma tylko ręce umazane krwią, która nie należy do niej.

W mrocznych zakątkach jej mózgu zapala się małe światełko.

Violet przygotowuje się wewnątrz na ból i przesuwając ręką po wyszczerbionej krawędzi drzwi. Z rozdartej skóry dłoni tryska wilgotna czerwień. Drzwi chyba drgnęły w reakcji, a na granicy pola widzenia Violet rozbłyskają złociste iskierki. Słaby powiew porusza mankietami jej spodni.

Czy to naprawdę aż takie proste?

Violet widzi masakrę wokół siebie, kałużę krwi na skraju drzwi, aż nadto oczywiste odciski rąk na ścianach. To wyjątkowo przeklęty rodzaj prostoty, ale Violet zaczyna się już z nim oswajać.

Tylko mały kawałeczek ciała. Tylko odrobina krwi.

„Ceną za przejście przez te drzwi jest zawsze poświęcenie”. I nie ma tu nikogo innego, kto mógłby złożyć tę ofiarę – poza nią samą.

Miecz.

Violet odwraca go, zaciska palce na rękojeści.

GEORGIA SUMMERS

W jej ulubionych opowieściach bohaterowie walczą, aż znajdą się pod ścianą, ich broń zostaje pokonana, opatrują rany zakrwawionymi rękami. Nieprzyjaciel nadciąga. Majaczy widmo porażki. I wtedy, ostatkiem sił, stawiają opór. Zadają jeszcze jeden cios, który kończy wszystko.

„Kłątwa to tak naprawdę kontrakt”.

Jednym płynnym ruchem Violet odwraca ostrze w swoją stronę. Odwagi.

Z tyłu dobiega głos Aleksandra:

– Violet, czekaj...

Violet wbija miecz w swoje serce.

CZEŚĆ
PIĄTA



Początek



Początkowo to nie mężczyzna ją przyciąga. To raczej tłum: niekończąca się kolejka wlewająca się przez jego drzwi od świtu do zmroku, z wyjątkiem godzinnej przerwy na lunch, kiedy sklep jest zamknięty. Wchodzą, przygryzają wargi, żeby powstrzymać uśmiech, po czym wychodzą, niosąc paczki rozmaitych rozmiarów starannie przewiązane wstążką. Ich uśmiechy znikają na widok astrala, obserwującego ich wyjście ze sklepu.

Ona jest jeszcze młoda, jeszcze swawolna w porównaniu ze starszym, mądrzejszym rodzeństwem. Ale dla ludzi z miasta jest gwiazdą, olśniewającą i niepojętą. Zachwycająco przerażająca albo przerażająco zachwycająca. Więc przestaje przychodzić za dnia, choć jej ciekawość rośnie.

Ale podczas bezsennych spacerów o północy nie może się oprzeć i przechodzi obok sklepu. Zagląda przez okna, jej skrzydła oświetlają wyroby znajdujące się wewnątrz i zabarwiają wszystko na złoto. Misterne karuzele spoczywające w gnieździe z marszczonego aksamitu; różnokolorowe motyle z drucików i papieru zwisające z sufitu; srebrne medaliony i kluczyki kochanków; szkatułki na biżuterię inkrustowane szlachetnymi kamieniami. Cudowne drobiazgi sprawiające, że ma jakieś dziwne uczucie w klatce piersiowej, jakby ktoś ciągnął za nitkę przytwierdzoną do jej serca.

Przez tydzień co noc zagląda przez okno i zastanawia się, co to za człowiek jest w stanie przyciągać tłumy w mieście, w którym aż roi się od rzemieślników i cudownych rzeczy prezentowanych na każdym rogu ulicy. Wyobraża sobie kogoś potężnego, przesiąkniętego krwią astralną i magią, kto jeszcze ma dodatkową wiedzę. Kogoś, kto potrafi tworzyć

cuda z taką łatwością, z jaką inni oddychają. Może astrala; a może całym inną istotę.

Siódmej nocy, kiedy znowu z rękami na biodrach ogląda wystawę, otwierają się drzwi i ciepłe światło pada na blok. Gwiazda sięga po bliźniacze miecze wiszące u jej boków, ale zaraz przypomina sobie, że to ona jest tutaj intruzem.

Okazuje się, że to jest człowiek. Zwyczajny człowiek.

Z lekko haczykowatym nosem i ciemnoorzechowymi oczami. Barczy-sty, rosty i silny, jak przystało na kogoś, kto zarabia na życie pracą fizyczną. Nie jest piękny – właściwie daleko mu do urody – ale ma w sobie coś, co każe jej się zatrzymać.

Znowu pojawia się to uczucie koło serca.

– Powiedziano mi, że przestałaś przychodzić za dnia – mówi mężczyzna głosem podobnym do trzasku drewna, do syku wody lanej na węgle.

On wie, że zatrzymywała się tutaj co noc, żeby zaglądać w jego okna. Ogarnia ją fala zakłopotania i żeby ją ukryć, gwiazda prostuje się na całą swą wysokość, z jej skrzydeł sypią się iskry. To pewnie jej wina, bo ulegała własnej ciekawości.

– Nie chciałam odstraszać twoich klientów – mówi pospiesznie.

On wzrusza ramionami.

– Są ulepieni z twardszej gliny, niż ci się zdaje.

Potem wyciąga rękę – mocną i pełną odcisków, usianą piegami – i uśmiecha się do niej.

– Ever Everly – przedstawia się mężczyzna.

– Astriada, córka Nemetora – odpowiada gwiazda.

Ten uśmiech ją rozbraja.

– Miałabyś ochotę wejść? – pyta mężczyzna.

Gwiazda bierze go za rękę.

Czterdziesty siódmy



Martwy świat nie jest tak naprawdę martwy. Nawet kiedy gwiazdy znikają w wielkim exodusie, pozwalając, by czarna noc pochłonięła niebo. Nawet kiedy cisza brzmi upiornie w mieście, które kiedyś tętniło gwarem rozmów.

Ale ta cisza nie jest absolutna, prawda? Są ptaki, wzbijające się z gotych krokwi dachów, czaple, wrony i rozcapierzone brązowe maluchy, noszące wiele różnych nazw, gaworzące ze sobą radośnie. Są zwierzęta aktywne nocą, których pazurki postukują o bruk, podnoszące wzrok na dwa blade księżycy wiszące na fioletowym niebie. Są drzewa rozrośnięte i rozleniwione, z gracją wyciągające się w górę z zasypanych liśćmi podwórek, ponad balkony i chodniki. A pod nimi paprocie rozwijające się w cienistych, wilgotnych narożnikach, gdzie mogą jeszcze leżeć popękane kolorowe płyty albo gąbczaste drewniane listwy ze śladami obróbki dłutem.

Życie, nieustępliwe i niesamowicie uparte, trwa. Zamknijcie oczy, możliwe, że gwiazdy już nie śpiewają w ucichłym mieście z pyłu i marzeń, ale śpiew i tak trwa.

Nawet jeżeli pozostał już tylko jeden głos.

* * *

Violet budzi się i czuje tępy ból w piersi. Otwiera oczy, nad sobą widzi popękany sufit, udzielający gościny różnym gatunkom roślinności. Światło pomiędzy liśćmi ma jasnofioletowe zabarwienie – może wpada

przez okno witrażowe. Pod sobą czuje twardą powierzchnię, to może być łóżko, ale również podłoga.

Ostrożnie siada i zdaje sobie sprawę z bandaży otaczających jej tors i ucisku w piersi, ilekroć bierze oddech. Boli jak tygodniowa rana.

Zrobiła to? Przeszła na drugą stronę?

Drzwi otwierają się gwałtownie, Violet się wzdryga. Przez moment widzi skłębiony dym i skrzydła – i jej serce przestaje bić. Potem cienie się cofają i przez drzwi wchodzi mężczyzna, niosący w jednej ręce otwartą księgę, a w drugiej pogryziony ołówek.

Głowa mężczyzny niemal dotyka sufitu, taki jest wysoki. Violet nie określiłaby go jako przystojnego, ale ma imponująco muskularne ramiona. Porusza się z gracją lwa, zdaje się połykać przestrzeń miarowymi krokami. Jego oczy w złotej otoczce są nienaturalnie błyszczące. To astral, myśli Violet i stara się odsunąć. Głośno wciąga powietrze, bo przeszywa ją ból w piersi.

– Spokojnie – nakazuje mężczyzna. – Rana się nie otworzy, ale będzie bolało.

Nic poza oczami nie wskazuje na to, że ten mężczyzna należy do astrali. Ale w jego rysach jest coś, co każe jej przyjrzeć mu się uważnie. Na łańcuszku, otaczającym jego szyję, wisi matowy, srebrny krążek z inskrypcją biegnącą po wewnętrznej stronie. Który mruga do niej, kiedy mężczyzna pochyla się, żeby sprawdzić bandaż, i cmoka z niezadowoleniem.

– Głupia, oj, głupia – mówi. – Nie trzeba wylewać aż tyle.

– Kim pan jest? – pyta Violet. – Muszę wiedzieć... gdzie ja...

Mężczyzna przerywa jej stanowczym gestem, przypominając o ranie. Violet musi się poddać długiemu badaniu, które najwyraźniej satysfakcjonuje mężczyznę, bo wręcza jej zniszczoną koszulę z łatanami we wszystkich możliwych kolorach. Violet wkłada ją przez głowę i uświadamia sobie nagle, że wcale nie jest jej zimno. Powietrze jest wilgotne i przesycone zapachem roślinności. I gdyby nie to dziwne światło o fioletowym odcieniu, mogłaby pomyśleć, że trafiła do jakiegoś tropikalnego raj.

Mężczyzna krząta się, pół pomrukując, a pół podśpiewując coś sobie przy zamiataniu i porządkowaniu pomieszczenia. Violet korzysta z okazji, by rozeznac się w swojej sytuacji. Znajduje się w pomieszczeniu,

które wygląda na jakiś warsztat, z długimi stołami odpowiednimi raczej dla rzemiosła niż jako prowizoryczny stół operacyjny. U sufitu wiszą pęki suszonych ziół, a całą jedną ścianę zajmują półki ze stojami we wszelkich możliwych rozmiarach i kształtach. Niektóre są puste, inne zawierają osobliwości w rodzaju jednego listka, setek szklanych paciorków albo świecącego złotego płynu, który zdaje się wirować sam z siebie. Sporo jest nieprzejrzystych, bez żadnych informacji, co zawierają. A wszystko to jest skąpane w tym dziwnym ametystowym świetle, którego źródła Violet nie potrafi zlokalizować.

Dziewczyna uważnie obserwuje mężczyznę. Teraz ma już pewność, że on nie jest astralem, a sposób jego poruszania się bardzo jej kogoś przypomina. Przymyka oczy, jego sylwetka staje się niewyraźna i w tym momencie dociera do niej, kogo widzi: Ambrose'a. To prawie taki sam sposób chodzenia, krok za krokiem, z wdziękiem, kłócącym się z rozmiarami mężczyzny.

Violet stara się wstać ze stołu.

– Proszę, kim pan jest?

– Duchem, zjawą... niczym więcej – odpowiada on na odczepnego.

– Chodzi mi o pana imię – mówi Violet.

On odwraca się do niej z błyskiem w oku.

– A kim TY jesteś, żeby mnie pytać o imię?

Dwa długie kroki i już jest przy niej. Przyciska kciuk do rozcięcia na jej czole, które jeszcze krwawi, i zlizuje jej krew. Violet jest zbyt osłupiała, żeby się przestraszyć. Mężczyzna wpatruje się badawczo w swój kciuk, z niemal klinicznym dystansem, a potem znowu spogląda na Violet.

– Krew astrala. Tak. Nie? – Nagle jego twarz znajduje się tuż przy jej twarzy. Niemal nos w nos. – Kim była twoja matka?

– Nie astralem – zapewnia natychmiast Violet.

Mężczyzna odwraca się.

– A twój ojciec?

Tym razem Violet nie ma dla niego odpowiedzi. O matce myślała bardzo dużo, ale ojcu od lat nie poświęciła ani jednej myśli. Od czasu, gdy Ambrose stał się stałym elementem jej życia. Przypuszczała, że jej ojcem był ktoś, kogo Marianna poderwała w Fidelis.

Ale astral?

– Pula została odświeżona. Talent jest mocny. – Mężczyzna dostrzega wyraz jej twarzy. – To się zdarza. Nie jesteśmy ograniczeni w kwestii tego, kogo kochamy.

Dotyka srebrnego krążka na swojej szyi.

– Choć to nierozwaga kochać astrala – dodaje.

Violet zerka na niego. I znowu ma poczucie, że coś trafiło wreszcie na swoje miejsce, nawet jeśli rozsądek dyktuje jej, że to niemożliwe.

„Głupie imię dla mądrego człowieka”.

– Kim pan jest? – nalega.

Mężczyzna patrzy na nią, złote obwódki wokół jego źrenic odbijają się od orzechowych tęczęwek.

– Jestem Ever Everly. Pytanie, kim ty jesteś?

Violet gapi się na niego. Nie potrafi w to uwierzyć.

On mruga do niej swoimi źrenicami w złotych obwódkach.

– Zadałem ci pytanie.

Powinieneś być martwy, myśli Violet i w tym momencie do pomieszczenia wchodzi niepewnie Aleksander. Ich spojrzenia się spotykają. Jego oczy są zaczerwienione, jakby nie spał od wielu dni. Aleksander bez ostrzeżenia obejmuje ją tak mocno, że wszystkie zakończenia nerwowe w jej piersi dygoczą z bólu.

– NARESZCIE. – Głos Aleksandra jest stłumiony, bo wtula usta w jej ramię. – Myślałem, że już po tobie... zszedłem za tobą na dół, ale...

Violet wydaje dźwięk, będący w połowie piskiem, a w połowie sapnięciem, więc Aleksander szybko ją puszcza. Violet przypomina sobie niejasno moment podjęcia decyzji, żeby dźgnąć się w pierś – decyzji, która teraz wydaje jej się szalona – i tuż przed eksplozją bólu krzyk Aleksandra. Reszta jest zamazana, a mieści się w niej wszystko: poczucie, że jest niesiona; krew między palcami, być może jej własna, ale równie dobrze kogoś innego; głos Aleksandra wygłaszający litanie natarczywych prośb i paniki.

Reszta to już tylko głęboki sen, który przeraża ją swą ostatecznością.

– Wrócisz po mnie – mówi Violet w oszołomieniu. – Ale schody...

Aleksander odwraca wzrok.

– Za długo cię nie było. Martwiłem się.

Napięcie jego ciała stanowi wymowne świadectwo, ile kosztowało go zejście za nią w ciemność. I choć Violet wie, że nie powinna mu ufać – ani

wybaczyć – odczuwa ogromną wdzięczność, że po nią przyszedł, nie wiedząc, jaka groza może go tam czekać.

– Moje pytanie ciągle pozostaje bez odpowiedzi, nieznajoma – przypomina Ever.

– Jestem Violet – zaczyna, a potem się waha.

Od czego rozpocząć wyjaśnienia, co powiedzieć protoplaście, który wedle wszelkich zasad powinien już dawno obrócić się w proch? W książeczce z bajkami nie było nic, co by ją do tego przygotowało.

– Nie o to mi chodzi.

Ever podaje jej pokazny przedmiot. Dobłą chwilę zajmuje Violet konstatacja, że to miecz. Ostrze jest podejrzanie czyste, nawet bardziej lśniąca niż w chwili, gdy rozpakowała przesyłkę od tajemniczego dobroczyńcy Caspiana. Twarz Evera odbija się w metalu.

Przygląda się mieczowi badawczo, mrucząc coś do siebie. Violet podziwia, jak wprawnie przesuwały się jego ręce po metalu, tak pewnie, jakby od dziesięcioleci nie robił nic innego, tylko patrzył na miecze. Bez uprzedzenia kieruje miecz w jej stronę. Na ostrzu lśnią wycięte w metalu dwa delikatne pióra.

– To mój znak – mówi Ever. – Skąd go masz, nieznajoma?

Nagle łapie Violet i ściąga ją ze stołu. Aleksander rzuca się, by go powstrzymać, ale Ever odsuwa go bez trudu jedną ręką. Drugą zaciska na koszuli Violet z nadludzką siłą w każdym palcu.

– Kim jesteś? – cedzi. – Kto cię przysłał?

Violet potrafiłaby wymyślić milion odpowiedzi na to pytanie. Wujowie. Matka. Penelopa. Albo po prostu sfatygowana książka z bajkami i syreni śpiew dobiegający nie wiadomo skąd.

Buntowniczo zadziera głowę.

– Nazywam się Violet Everly i jestem tutaj, żeby złamać naszą klątwę.

* * *

Następuje mnóstwo pytań, z obu stron.

Przeważnie jednak Ever siedzi cicho i słucha wyjaśnień Violet. Jest oczywiste, że nie rozpoznaje imienia Penelopa, ale kiedy Violet wspomina o Astriadzie, całe jego ciało groźnie sztywnieje.

– Sprowadziłaś straszliwą katastrofę – mówi i jego złote oczy pochmurniają. – Zabiłaś nas wszystkich.

– Katastrofę? Nie, nic nie rozumiałaś... posłuchaj...

Violet ponownie próbuje wyjaśnić kwestię kłatwy i przysięgi Penelopy, lecz kiedy robi krok naprzód, cały pokój kołysze się pod jej stopami. Aleksander otacza ją ramieniem, a dziewczyna nie ma siły, żeby się sprzeciwić.

– Ona potrzebuje odpoczynku – oznajmia Aleksander.

Violet nie może nie przyznać mu racji; plecy ją bolą od leżenia na stole, a w żołądku czuje pustkę, co oznacza, że pominęła porządny posiłek. Ever niechętnie kiwa głową, a potem powraca do miecza i ponownie koncentruje na nim całą uwagę.

Aleksander prowadzi ją korytarzem do spokojnego pokoju z dwoma prowizorycznymi łózkami. Zamyka drzwi i osuwa się, kompletnie wyczerpany. Violet przygryza wargę.

– Aleksand... – zaczyna.

– Nie – mówi on, nie otwierając oczu. – Ja nie mam prawa gniewać się na ciebie... – Otwiera oczy, ale patrzy wszędzie, byle nie na nią. – Ty UMARŁAŚ, Violet. Umarłaś w moich ramionach, kiedy przyszliśmy tutaj. Nie wiem, co on zrobił ani jak to zrobił, ale przywrócił cię do życia. Tyle było krwi.

Jego głos jest cichy, ale Violet się wzdryga. Celowo nie myślała o zagłębiającym się w niej ostrzu, o tym, jak się czuła, kiedy płynny ogień przecinał jej skórę. Nie jest nawet pewna, czy dałaby radę to zrobić, gdyby był tam Aleksander.

Ogarnia ją poczucie winy, a zaraz potem gniew. W końcu on nie ma prawa upominać się o jej bezpieczeństwo. Nie w sytuacji, gdy trzymał ten miecz – jej życie – w swoich rękach i się wahał. Więc Violet przełyka cisnące się na usta przeprosiny.

– Tak czy owak, teraz jesteśmy tutaj – mówi zamiast tego. – W Elandriel. Przypuszczam, że Penelopa jest w mieście.

I czeka, aż Violet wyjdzie z domu.

– Ona nas nie osiągnie – zapewnia Aleksander z przekonaniem, stojącym w sprzeczności z ich sytuacją. – Ale myślę, że powinnaś zobaczyć to – dodaje bardziej złowieszczo.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Violet wychodzi na zewnątrz, na ogrodzony dziedziniec w centrum budynku. Początkowo nie dociera do niej, co widzi. Potem pojawia się zrozumienie i w końcu już wie, dlaczego kolor światła jest taki piękny i dziwnie liliowy.

Na niebie jest rozciągnięta cieniutka kopuła z fioletowych szybek, tak ogromna, że nie sposób dostrzec, gdzie się zaczyna ani gdzie kończy. Stąd wygląda to tak, jakby obejmowała cały świat. Ale Violet pozwała wzrokowi zsunąć się w szarawą nieostrość, którą z takimi oporami pokazał jej kilka dni temu Gabriel, i cały świat płonie złocistym połyskiem. Violet mruga i przeciera oczy, żeby usunąć sprzed nich ten obraz, a równocześnie pod czaszką czuje pulsujący ból głowy.

Ochronna powłoka reweritu. Klatka z boskiego metalu. Doskonale pamięta tę część opowieści.

Aleksander ciągle mówi, cicho i zbyt szybko, żeby wszystko pojęła.

– To była pułapka. Penelopa wcale nie była po drugiej stronie, pozostawała nadal w wieży i czekała, aż otworzysz drzwi. Przyszła za nami, więc musiałem wyciągnąć cię stamtąd i uciekać. Ever wpuścił nas do klatki, a ja nie miałem innego wyjścia, jak tylko do niej wejść. Ale musisz zrozumieć: drzwi do domu są po DRUGIEJ STRONIE.

Podobnie jak Penelopa. Violet pojmuje natychmiast.

Są w pułapce.

Czterdziesty ósmy



Violet przekonuje się szybko, że nie sposób rozmawiać z Everem Everlym. Bynajmniej nie dlatego, że on nic nie mówi.

Mamrocze coś do siebie, poruszając się po warsztacie. Czasami zawodzi jakąś pieśń, zaskakując ich oboje, po czym urywa ją po kilku taktach, żeby powtarzać ten sam fragment melodii wielokrotnie. Bywają takie chwile, kiedy bez żadnego wyraźnego powodu – przez przesunięty kawałek gazy czy znikający promyk słońca – zaczyna szlochać tak bardzo, że łkania wstrząsają całym jego ciałem. Przeważnie jednak zdaje się nie zauważać, że poza nim znajduje się w warsztacie ktoś jeszcze. Aczkolwiek bywają również takie chwile, kiedy prowadzi konwersację, jakby w jego warsztacie był cały tłum ludzi. Ale nawet w chwilach przytomności nie ma ochoty odpowiadać na coraz bardziej natarczywe pytania Violet.

Pytania, na które udaje się jej uzyskać odpowiedzi, to takie, które wymagają najmniej wyjaśnień. Po pierwsze, reweritowe szybki. Pewnego poranka Violet śledzi Evera udającego się na skraj dawnej dzielnicy, w nadziei dowiedzenia się czegoś więcej o tym, w jakich znaleźli się tarapatach. Nie ukrywa się, ale Ever i tak nigdy jej nie zauważa; ciągnie za sobą wór pełen rozmaitych przedmiotów, nie odrywając wzroku od drogi. Wkrótce wyrasta przed nimi mur z reweritu, wibrujący.

Ever wysypuje zawartość worka na ziemię i Violet natychmiast widzi, że wszystkie przedmioty zawierają domieszkę reweritu. Ledwie starcza jej czasu, żeby podziwiać różnorodność tych rzeczy: kubek z brzegiem zanurzonym w rewericie; okulary z kilkoma składanymi soczewkami; pół tuzina kawałków metalu, które mogły być kiedyś nożami czy sztyletami.

Obramowane złotem oczy Evera lśnią w blasku słońca, gdy podnosi jeden przedmiot za drugim. Gołymi palcami wydobywa rewerit z kubków, okularów, metalu – jakby były podatne na obróbkę niczym kit. Violet obserwuje z mieszaniną fascynacji i przerażenia, w jaki sposób są traktowane te niewątpliwie ważne artefakty.

Każdy kawałek reweritu szybko zmienia się w jego palcach w kulkę, twardy kamyk, który zdaje się drgać i emanować nadnaturalnym światłem, ilekroć Violet spogląda nań bezpośrednio. Czoło Evera pokrywa warstewka potu, ale jego ręce ugniatają metal jak masło, pracują szybko i wydajnie. Kiedy w worku nie ma już żadnych obiektów, które mogłyby ograbić z reweritu, Ever wydaje ciężkie westchnienie.

Szybko wyciąga nóż i przeciąga nim po wnętrzu dłoni. Violet się wzdyga, ale Ever nie okazuje żadnych emocji, jakby robił to już tysiące razy. Zaciska pięść i jego krew spływa na rewerit, śliska i lśniąca.

Mięśnie Evera naprężają się, kiedy wbija pięść w szybę. Światło faluje; szyba drży. A potem się przesuwa. Tylko o milimetry, prawie nie widać różnicy. Ale takie milimetry przez setki lat, przez tysiąclecia...

Wygląda na to, że właśnie to trzyma Penelopę na zewnątrz. Krew, zamysł i rewerit, aby nadal powiększać już i tak przestronną klatkę.

Violet śledzi go też w drodze powrotnej do warsztatu, a myśli kłębią się w jej głowie. Oto jak Ever spędzał cały ten czas. Przez tysiąc lat budował dla siebie klatkę. Violet próbuje zapytać go o to w drodze powrotnej, ale on śpiewa na cały głos, zagłuszając jej pytania.

Gdy Ever zaczyna krzyczeć na własne odbicie w warsztacie, Violet postanawia wyjść na powietrze. Znajduje Aleksandra w zakurzonych pokojach na dole, gdzie przegląda stertę książek i luźnych kartek. Widok Aleksandra tak wyraźnie w swoim żywiole robi coś dziwnego z jej sercem, co ona natychmiast wpycha pod kilka grubych warstw zdrowego rozsądku.

Może i wrócił po nią, ale to nie oznacza, że Penelopa nie siedzi pod jego skórą, że nie zapuściła w nim głęboko korzeni. Violet pamięta miecz w rękach Aleksandra i jego wahanie. Pragę. Więc rozmyśla o tym, bardzo stanowczo, a nie o zarysie jego łopatek pod koszulą.

Violet siada przy nim i ostrożnie podnosi jedną z książek. Okładka pozostawia na jej palcach czerwony pył.

– Nie mogłaś już tego znieść? – pyta Aleksander.

Violet żałośnie wzrusza ramionami. Jej szalony protoplasta, perorujący do duchów i własnego odbicia, po dwóch dniach nadużyłby cierpliwości każdego.

– Jak sądzisz, jak długo był całkiem sam?

– Zbyt długo. Wydaje się, że przez większość czasu tkwi w przeszłości.

Violet nie jest w stanie pojąć, jak musiało wyglądać jego życie, gdy tak długo był uwięziony w martwym mieście, całkiem sam. Samotność nie do zniesienia, przygniatająca ciemność nocnego nieba – z tego przynajmniej płynie kolejna prawda zapisana na stronicach legendy. Trzeba specyficznego umysłu, żeby to przeżyć. Jeśli można to nazywać życiem.

– Nie przestaję myśleć o przejściu – mówi Violet. – Nie rozumiem, dlaczego Penelopa czekała, aż ja otworzę te drzwi. – Przygryza wargę. – Ja nie powinnam w ogóle być w stanie ich otworzyć.

Aleksander przygląda się jej przez chwilę.

– Kilka lat temu padła propozycja eksperymentu, w czasie którego najbardziej uzdolnieni byliby nastrzykiwani reweritem, żeby zmienić się w żyjące klucze. Ręce Illiosa, pierwsi prawdziwi uczeni, stworzeni od nowa. To mogło się udać; w końcu rewerit nadal jest metalem bogów. Uznano to jednak za zbyt niebezpieczne, więc przerwano eksperyment. – Robi pauzę, po której dodaje: – W większości.

– Jurij – mruczy Violet, a Aleksander kiwa głową.

– Ale są i inne sposoby zintegrowania linii krwi. – Chłopak waha się, widać, że szuka słów. – Wiem, że nie mam prawa tego mówić, ale... być może twoja matka próbowała zagwarantować ci drogę ucieczki. Kimkolwiek się staniesz.

Violet wpatruje się w swoje ręce, podrapane i pełne odcisków po gorączkowych walkach ostatnich dni. To ręce Everlych, takie same jak Gabriela, tylko odrobinę mniejsze niż Ambrose'a. Równie znajome jak cała reszta jej ciała. Ale krew, która płynie w jej żyłach, jest obca.

– Bardziej prawdopodobne, że Marianna szukała wyjścia dla samej siebie – mówi z goryczą.

Kolejna cecha Everlych, jak się zdaje.

Aleksander wstaje i otrzepuje spodnie z kurzu.

– Dobrze mi zrobi przerwa. A jest jeszcze spora część miasta do zbadania. Co ty na to?

Violet się waha. Powinna myśleć o tym, jak wydobyć z Evera prawdę albo jak złamać klątwę, skoro już znaleźli się w miejscu, w którym to wszystko się zaczęło. W końcu taki właśnie musiał być plan jej matki, zanim się poddała. A czas ciągle przesypuje się w klepsydrze.

Ale ona jest tutaj, w innym świecie. I chce pójść z Aleksandrem. Pragnie tego tak, jak ogień tlenu, jakby tonęła i zaoferowano jej pierwszy cudowny łyk powietrza. Jest już zmęczona mówieniem nie.

Aleksander podaje rękę Violet.

A ona ją przyjmuje.

* * *

Warsztat Evera mieści się na brzegu jeziora, z którego woda rozprowadzana jest krętymi kanałami po całym mieście i przepływa na drugą stronę bariery z reweritu. Której oni nie mogą, oczywiście, przekroczyć, chociaż Violet baczenie wypatruje skrzydlatego cienia na szybie. Brzeg jeziora to istne cmentarzysko odłamków drewna, ale Aleksander bez większego trudu znajduje sprawną łódź, prawdopodobnie należącą do Evera. Spękana farba łuszczy się pod wpływem gorąca, ale Violet dostrzega jeszcze znaki, które niegdyś stanowiły nazwę łodzi, w tej chwili już nie do przeczytania.

Violet wsiada pierwsza, łódka kołysze się pod jej ciężarem, za nią wchodzi Aleksander. Woda jest dość płytka i tak czysta, że widać dno pokryte pokruszonymi muszelkami i upiornymi resztkami zatopionych łodzi.

Słońce mocno praży, więc Aleksander podwija rękawy powyżej łokci, zanim bierze się do wiosł. Pod cienkim tatuażem jego skóra jest pokryta srebrnymi bliznami, niektóre z nich są nie większe od paznokcia. Aleksander dostrzega jej spojrzenie, Violet ma przynajmniej dość przyzwitości, by nie udawać, że się nie gapiła.

– Z kuźni – wyjaśnia Aleksander. – Wypadki się zdarzają.

Mówi to lekkim tonem, ale Violet zdaje sobie sprawę, że oboje myślą o głębokich szramach na jego plecach, których nie próbował w żaden sposób wytłumaczyć.

Woda niesie ich na drugi brzeg jeziora, pod długi cień, który niegdyś musiał być zamkniętą arkadą prowadzącą do labiryntu miejskich

kanałów. Nadal są, o dziwo, jedna czy dwie szybki w suficie, rzucające na dół wiązki światła. Spoglądają na nich resztki kamiennych twarzy, brodatych i poważnych albo chowających uśmiechy w wysokich kołnierzach. Rzeźbione pędy winorośli oplatają puste wsporniki, w których niegdyś zapewne stały latarnie.

Dwadzieścia minut później łódka zatrzymuje się u podnóża schodów. W murze, w różnych odstępach, tkwią skorodowane żelazne pierścienie. Violet ostrożnie wysiada.

Przed sobą mają ruiny budynków z marmuru i piaskowca. Na murach zachowały się resztki kunsztownych fresków, a spod zapadających się dachów zwisają fryzy przypominające koronki. Po treliazach pną się martwe pędy roślin, których liście już dawno zniknęły. Grunt pod ich stopami pokrywa wielowiekowy kurz, ale gdy Violet ściera go stopą, odsłaniają się płytki mozaiki. Kiedy przyjrzeć się z bliska, marmur nie jest całkiem biały, to tęcza kolorów, która aż razi w oczy w porannym słońcu. Jasnokremowa i brzoskwiniowa, choć też jaszczurkowa zieleń i umbra, z jasnymi żyłkami złota.

Jest pięknie, to jak miasto z obrazka. Ale panuje tu absolutna cisza.

Całe popołudnie wędrują po mieście, wzdłuż wąskich kanałów komunikacyjnych i po ulicach, kiedyś z pewnością pełnych ludzi, tętniących życiem. Większość budynków to rozpadające się w taki czy inny sposób ruiny, zniszczone przez czas, zmurszałe lub rozsądzone przez bujną zieleń, która wyrosła w pustych skorupach domów. Wielkie, podobne do żurawi ptaki o lazurowym upierzeniu kroczą po ulicach, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzkich intruzów. Kiedy słońce stoi najwyżej na niebie, Violet i Aleksander robią sobie przerwę, przysiadają w cieniu rozłożystego drzewa nad brzegiem kanału i moczą gołe stopy w wodzie.

W takich chwilach łatwo uwierzyć, że reszta miasta schroniła się w jakichś kryjówkach. Ale kiedy Violet podnosi oczy – na stadko ptaków, jakieś szczególnie piękne okno, chmurkę sunącą po niebie – widzi szybę z reweritu. I przypomina sobie, dlaczego tu jest i kto czeka po drugiej stronie.

Jest również wyjątkowo świadoma obecności Aleksandra. Za każdym razem, gdy on odgarnia włosy z twarzy; albo unosi brew, co świadczy, że coś wzbudziło jego zainteresowanie; albo gdy światło pada na jego

odstłonięte przedramiona, zwracając uwagę na srebrne blizny ukryte pod czarnymi tatuażami. Za każdym razem, kiedy Aleksander zerka na nią, szybko odwraca wzrok. Szybko zapada między nimi przyjazne milczenie, ale Violet przez cały czas myśli o tym, czym mogłaby tę ciszę wypełnić. Są pytania, które powinny zostać zadane. O Pragę, o powody, dla których wrócił.

Co robi, kiedy staną twarzą w twarz z Penelopą.

Ale ciepło na jej skórze jest takie cudowne, więc tylko zwija włosy w węzeł na karku. Idąc nad wodą, wsłuchuje się w radosne rechotanie zęb, słabe bzyczenie owadów. Aleksander uśmiecha się do niej, szczerze i swobodnie. Zadowolę się tym, postanawia Violet. Przez ten jeden dzień mogę udawać, że jesteśmy nadal Violet i Aleksandrem z kawiarni, że on jest tamtym mężczyzną, którego kiedyś znałam, z którym spacerowałam nad rzeką.

O zachodzie słońca wchodzą do wyżej położonej części miasta, wspinają się po długich, krętych schodach, podzielonych na kondygnacje. Żadne z nich nie wspomina o tym, że mogą przez to wrócić do warsztatu Evera niebezpiecznie blisko zapadnięcia ciemności. Violet pragnie, aby ten magiczny dzień trwał jak najdłużej, pragnie zachować tę kruchą bańkę uczucia, które zrodziło się między nimi, choć nie potrafi znaleźć na nie odpowiedniego określenia.

Na najwyższym poziomie Elandriel mogły niegdyś znajdować się wspaniałe budowle, ogrody, amfiteatr – czy coś jeszcze. Ale ruiny zostały zrównane z ziemią, pozostał tylko wyblakły krąg twardej ziemi. A wokół niego, na obrzeżach, znajdują się ogromne filary, resztki arkad, surowe w porównaniu z resztą bogato zdobionego miasta. Złote iskierki śmigają jej przed oczami.

Drzwi.

Aleksander nieruchomieje i wstrzymuje oddech.

– Nie wierzę – mówi.

Jednak Violet wierzy. Zawsze wierzyła. I widziała już przejście podobne do tego, w Pradze. W uszach brzmia jej słowa Caspiana – o możliwościach przewyższających uczonej i cenie, jakiej nie zgodził się zapłacić. Jego przekonanie wydawało się wtedy głupią naiwnością, nawet jej. Jak by się teraz śmiał!

GEORGIA SUMMERS

Na ziemi pozostały jeszcze resztki reweritu z samych drzwi i zniszczone gwoździe z wyłamanych zawiasów. Każdy odłamek ma na sobie jakiś szczegół, ale tych fragmentów jest zbyt wiele, by zorientować się, który stanowił niegdyś element słowa, wzoru czy po prostu graffiti.

Aleksander chodzi wokół arkad i dotyka każdego filaru z pełnym szacunku zachwytem.

– Można by pomyśleć, że ani jeden nie będzie już stał – mruczy, na wpół do siebie.

Violet wie również, dlaczego tak jest. Albo przynajmniej jest tego prawie pewna, teraz, kiedy widziała Evera i trwozę w jego obramowanych złotem oczach. Jednak gdyby powiedziała to na głos, położyłoby kres temu dniu nieograniczonej radości. Zamyka oczy i napawa się tym poczuciem jeszcze jeden raz.

– To sprawka Evera – mówi i Aleksander ogląda się na nią. – Zrobił to, żeby nikt inny tędy nie wszedł.

– Żaden astral – dopowiada Aleksander i uśmiech znika z jego twarzy. Violet kiwa głową.

Cały ten upadek i zniszczenie z powodu jednego mężczyzny.

Słońce chowa się za horyzontem, powracają nocne ciemności.

Czterdziesty dziewiąty



Przez kilka następnych dni Aleksander ciągle wraca do drzwi. Nie jest w stanie się powstrzymać; ma poczucie, że ktoś go wzywa, że woła go z bliska, ale spoza ich zasięgu. W czasie, gdy Violet kłóci się ze swym przodkiem w warsztacie, Aleksander bierze łódź, przepływa jezioro i wspina się po długich schodach, zanim słońce zacznie mocno prażyć. Nie potrafi powiedzieć, czy to reweritowa kopuła nad głową potęguje gorąco, ale jest zawsze spocony, kiedy dociera na szczyt.

Przez pierwszych kilka godzin po prostu siedzi przy drzwiach i próbuje zrozumieć, co musieli czuć rzemieślnicy, nim wyruszyli w tę misję. Ponieważ oni byli rzemieślnikami, a nie astralami; Aleksander widzi delikatne znaki wyrzeźbione w kamieniu i wgłębienia, które rozpoznaje jako odciski palców powstałe przy obróbce reweritu. Małutkie znaczki na każdym kamieniu, sygnalizujące, który z dawnych wielkich mistrzów nad nim pracował. Aleksander przynosi ze sobą notes, w którym robi szkice i notatki, bardzo metodycznie.

Ale przyciska również ręce do ruin, próbując wyczuć, czy pozostało w nich coś, co mogłoby mu powiedzieć, dokąd prowadziły te drzwi i czy mogłyby doprowadzić tam ponownie. Próbuje sobie wyobrazić, jak wyglądali tamci rzemieślnicy; prawdziwi ludzie z krwi i kości, tak mądrzy, że potrafili podróżować między światami i pełni nieposkromionej, ludzkiej pychy, która napełniła ich przekonaniem, że to dar dla miasta. Czy wiedzieli, dla kogo tworzą to przejście? Czy któremukolwiek z nich przyszło do głowy, że to będzie nie tylko początek, lecz także koniec wszystkiego?

Prawdę mówiąc, czasami Aleksander w ogóle nie patrzy na drzwi. Czasami spędza całe upalne popołudnie w chłodnym cieniu sękatych drzew, które rosną na niższym poziomie, ale ich najwyższe, rozłożyste gałęzie sięgają aż tutaj, zupełnie jak ramiona szeroko otwarte na powitanie.

W Fidelis, wśród uczonych i właścicieli kuźni, nigdy nie był sam. Zawsze miał jakieś zadanie, na którym musiał się skoncentrować albo za które musiał się zganić, względnie ćwiczyć, dopóki jego ręce nie zaczynały krwawić. Przez całe życie dążył do jednego celu: zostać uczniem. Nosić na skórze dowód, że jest coś wart.

Ale oblał egzamin. I już nigdy nie zostanie uczniem.

Więc to ten straszliwy ciężar niespełnionego pragnienia wnosi ze sobą na podest, żeby je przeanalizować. W wieży uczonych, gdzie obserwował każdego z taką gorzką tęsknotą, było to zbyt bolesne. Po tym wszystkim, czego się nauczył, po tych wszystkich tajemnicach i kłamstwach, odebranie mu możliwości wyniesienia do godności uczonego i jeszcze wyżej było przejawem przekłętą okrucieństwa... Nigdy nie będzie żałował, że oddał tamto dziecko; ale żałował tego, co mogłoby być. Co zrobiliby z niego uczeni, gdyby dorosli do obrazu, jaki prezentowali.

Aleksander rozmyśla również o Violet, zastanawia się, czy kiedykolwiek starczy mu odwagi, żeby wyznać jej rozmiar swej hańby – choć nie ma pewności, czy to odwaga, czy egoizm. W końcu nadal jest dla niej niebezpieczny.

„Czego ty ode mnie chcesz, Aleksandrze?” Wszystkiego, powinien jej powiedzieć.

Aleksander zaczyna się zbierać, kiedy słońce już zachodzi, rzucając wiązki światła przez reweritową szybę. Odchyła się do tyłu i pociąga duży łyk wody.

– Witaj, Aleksandrze.

Aleksander nie odwraca się, choć pragnie tego każdym włókienkiem swego ciała. Kończy pić, bierze głęboki wdech i dopiero się odwraca.

Penelopa stoi po drugiej stronie reweritowej granicy, szkło rozmazuje jej sylwetkę. Wydaje się zaskakująco mała w tym otoczeniu, ale jest w pełni sobą, taką, jaką Aleksander znał od zawsze. Żadnych cienistych skrzydeł ani szponów. Aleksander spodziewa się, że Penelopa zacznie na niego krzyczeć, albo – co gorsza – popatrzy na niego z zimną wściekłością,

zapowiadającą odwet za jego błędy. Ale ona uśmiecha się tylko do niego łagodnie.

– Wspaniałe, prawda? Tysiące lat wiedzy i umiejętności rzemieślników połączonych w jeden wspólny system.

Aleksander przełyka ślinę. Zaschło mu w ustach, choć wypił przed chwilą całą butelkę wody.

– Mistrzynie. – Nawet teraz pozdrawia ją jedynym słowem, jakim może się do niej zwrócić.

– Oni byli wyjątkowi – kontynuuje Penelopa. – Te tłumy, kupcy, wymiana języków i kultur. Chyba można powiedzieć, że byliśmy bezkonkurencyjni. – Odwraca się i wskazuje szerokim gestem przestrzeń za plecami Aleksandra, bezkresne pustkowie poza granicami miasta. – To tam stała niegdyś wieża uczonych. I tylko to zdołaliśmy uratować.

Penelopa spaceruje wzdłuż bariery, jakby to była promenada. Jakby mogła po prostu przez nią przejść, gdyby tylko chciała. ON mógł. Zrozumienie mechaniki działania bariery zajęło mu tylko kilka dni: to było proste i efektywne wlewanie reweritu i intencji, karmione krwią i wzmacnianą przez wieki siłą woli. Ale to wola, do której nie czuł się zobowiązany.

Mógłby wpuścić tutaj Penelopę, gdyby poprosiła.

– Podejdź bliżej, Aleksandrze. Chcę widzieć twoją twarz.

Aleksander automatycznie zbliża się do niej. Jest już w połowie drogi przez podest, kiedy uświadamia sobie, co robi, ale wtedy jest już za późno, żeby się zatrzymać. Jest tak blisko bariery, że słyszy trzaski żywej energii przepływającej przez rewerit. Nawet w liliowym świetle Penelopa wygląda dokładnie tak, jak w każdym dniu jego życia: bez zmarszczek mimicznych, bez siwizny połyskującej w blond włosach – bez zmęczenia i zniszczenia światem.

– Tego nie było tutaj, kiedy odchodziłam – mówi Penelopa, prawie dotykając ściany z reweritu, prawie, lecz nie całkiem. – Co za obrzydlistwo.

– Chyba nie możesz go o to winić? – pyta cicho Aleksander.

Myślał, że wie, co to strach. Ale u Evera to są całe wieki głębokiego, nieustannego przerażenia. Aleksander próbuje sobie wyobrazić, co spowodowało u niego taką desperację. To tak, jakbyś ty wszedł do zimnego, ciemnego pomieszczenia, żeby nigdy stamtąd nie wyjść, mówi sobie.

– Ukrywasz swoje bezceństwa za tą barierą. Będziesz musiał podjąć decyzję, mój asystencie. – Penelopa uśmiecha się tak ciepło, że Aleksander pyta się w duchu, czy aby się nie przesłyszał, czy nie prowadzą przypadkiem zupełnie innej rozmowy.

– Mogłabyś zostawić nas w spokoju – mówi, choć natychmiast uświadamia sobie, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– Och, Aleksandrze – odpowiada miękko Penelopa. – Jesteśmy nierozdzielnie złączeni. Tylko ja widziałam, jakim wspaniałym człowiekiem możesz się stać. Nikt inny nie dostrzegał twojego talentu. Nikt inny nie wierzył w twój potencjał.

Trudno mu się z tym nie zgodzić, bo to prawda. Aleksander pamięta, kiedy Penelopa po raz pierwszy zabrała go do swojego apartamentu i osobiście podała mu herbatę i gorący posiłek. Pamięta, jak prowadziła go przez cieszącą się najgorszą opinią, skomplikowany system archiwów, jak osłaniała go przed wściekłością innych uczonych. Przywołuje każdą odrobinę dobroci, każdy moment, gdy czuł blask jej aprobaty.

– Czy naprawdę chcesz znowu stać się nikim? Dla dziewczyny?

W umyśle Aleksandra otwiera się przepaść, pochłania go całego.

– Okłamataś mnie – mówi łamiącym się głosem. – Ja zrobiłbym dla ciebie wszystko, byłbym dla ciebie, kim zechcesz...

Wstyd mu nawet o tym myśleć, ale był taki czas, kiedy – gdyby poleciała mu ukraść dziecko – zrobiłby to bezspornie, nie oglądając się za siebie. Dla Penelopy unurzałby ręce we krwi, wypiłby fiołkę, podążając w ślady Jurija, gdyby sobie tego zażyczyła. Zrobiłby wszystko... a jednak nie może stać z boku i pozwolić Penelopie zabrać Violet.

W tym jednym nie może być i NIE BĘDZIE jej ostrzem.

– Dałam ci wszystko, Aleksandrze – warczy Penelopa. – Byłeś tylko osieroconym chłopcem, bez rodziny, bez przyszłości, o której warto wspomnieć. JA zapewniłam ci tę przyszłość. JA zrobiłam cię tym, kim jesteś.

I Aleksander prawie jej wierzy. Prawie.

Może naprawdę byłby nikim. Może, jak twierdzi Penelopa, pędziłby żałosne, krótkie życie. Ale mógłby również prosperować. Nigdy nie będzie wiedział, jak wyglądałby tamten Aleksander. Czy popełniłby tyle grzechów, aby trzymać się przyszłości, której tak desperacko pragnął.

Czy byłby szczęśliwy, czy miałby przed sobą jasną przyszłość.

– Ja dotrzymuję słowa – kontynuuje Penelopa. – Zawsze. A jednak zarzucasz mi oszustwo. Czy wiesz, że Ambrose Everly zaproponował mi dziesięć lat temu układ? A Ever Everly przed wiekami?

Penelopa zaczyna iść wzdłuż granicy, a Aleksander podąża za nią, choć czuje się tak, jakby coś monstrualnego wpełzło do jego klatki piersiowej. Violet wspominała coś niejasno o Ambrosie, opowiadała mu też historię wielkiego Evera Everly’ego i początków rodzinnej klątwy. Ale nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że to jest dług, jakby istniała możliwość zważenia ciężaru duszy.

– Ja tylko chciałbym zrozumieć – mówi i jest wściekły, że brzmi to jak błaganie. Ale to właśnie przecież robi. Jeżeli istnieje możliwość, że to tylko jakaś okropna pomyłka albo problem, nad którym trzeba się zastanowić, przypadek źle skierowanej zemsty...

Wolałby jakiś argument, jakieś usprawiedliwienie, zamiast takiego okrucieństwa.

– Masz Elandriel. Możesz wrócić do domu – kontynuuje Aleksander. – Czy mógłbym ci w tym pomóc? Chociaż nie jestem już twoim asystentem... – dławi go w gardle przy tym słowie – ...ale jestem nadal... zrobiłbym to dla ciebie.

– Aleksandrze, myślałam, że stać cię na więcej. Widzisz te drzwi? – Wskazuje gestem największą bramę, ruiny będące dalekim echem tego, czym były dawniej. – Kiedy zostaną odbudowane, to TAM właśnie znajduje się mój dom. Dzięki krwi Everlych przez tysiące lat przede mną zamknięty.

Penelopa staje na skraju podestu, tam gdzie urywa się ziemia i zaczyna się nicość. Z tego miejsca mają doskonały widok na warsztat Evera i gładkie jezioro za nim.

– Wiedziałam, że on przeżył. Bo dałam mu słowo. Dusza za... wszystko. – Penelopa spogląda na warsztat, ale Aleksander odnosi wrażenie, że ona patrzy w przeszłość, w historię, o której on nie ma pojęcia. – Ale spójrz na tę godną politowania zapórę, którą zbudował. Spójrz, jak się chowa w swojej skorupie. Po czyjej stronie leży, twoim zdaniem, wina?

Aleksander tak mocno zaciska pięści, że czuje ostre ukłucia we wnętrzach dłoni, w które wbija paznokcie aż do krwi.

– Chcesz znać prawdę, mój asystencie. Więc ci ją dam.

GEORGIA SUMMERS

Nagle Aleksander tak bardzo nie chciałby jej poznać, wolałby poprosić o cokolwiek innego. Ale Penelopa kontynuuje nieustępliwie:

– Bez duszy Everlych nigdy nie będę mogła wrócić do domu. Ona mi się należy, to cena, która musi zostać zapłacona. – Podnosi wzrok na ciemniejące niebo. – Jestem przecież astralem. Jeżeli oni chcą, żebyim była zniszczeniem, to niech tak będzie.

Pięćdziesiąty



ija jeden dzień, potem drugi. I kolejny.

Słońce wschodzi i zachodzi na permanentnie podbarwionym niebie. Ever Everly szlocha i wygłasza tyrady w swoim warsztacie, z całą sfrustrowaną furią złośliwego ducha. Kiedy pada deszcz, woda wsiąka we wszystko, skrapla się na porowatych ścianach. Długie godziny zajmuje prowizoryczna farma powstała na opuszczonym terenie oraz przynoszenie wody ze studni na podwórzu. Po drugiej stronie szybek z reweritu wzdłuż całego obwodu chodzi cień, szukając pęknięcia w szczelnej zbroi.

Są bezpieczni. Są w pułapce.

Violet powoli odchodzi od zmysłów.

Tego dnia obudziła się w warsztacie jeszcze przed świtem. Nie spędzi tutaj kolejnego tygodnia, czekając na najgorsze.

– Musisz z tym skończyć – mówi, kiedy wchodzi Ever. – Musisz złać klątwę.

Ever ją ignoruje. Ale jego konwersacja z samym sobą staje się głośniejsza, co oznacza, że słyszał jej słowa. Violet chodzi za nim krok w krok, podczas gdy on wypełnia codzienne obowiązki. Polegające w głównej mierze na przestawianiu matowych buteleczek na półkach, wyrównywaniu ich, odwracaniu w jedną i drugą stronę, jakby to miało znaczenie dla ich zawartości.

Po półgodzinie Violet w końcu traci panowanie nad sobą. Łapie najbliższą stojącą fiołkę i rzuca ją na podłogę. Dźwięk tłuczonego szkła sprawia jej niespodziewaną satysfakcję.

– To było bardzo rzadkie pożąlane ziele – mówi Ever oskarżycielsko. Violet piorunuje go wzrokiem.

– Ja nigdzie nie idę. Ani Penelopa, czy Astriada, czy jak chcesz ją nazywać, do cholery. Musimy porozmawiać. Potrzebny nam plan.

Violet targowała się z uczonymi, infiltrowała ich partie i demaskowała ich kłamstwa. Podróżowała po całym świecie, żeby rozmawiać z bogami i rozwiązywać ich zagadki. Uniknęła śmierci i obrażeń tyle razy, że woli się do tego nie przyznawać. Jeżeli Ever sądzi, że może zażyczyć sobie, aby zniknęła, to zaraz się przekona, jak uparci potrafią być jego krewniacy.

– Jej nie chodzi o nas. Chodzi jej o CIEBIE – mówi Violet. – Więc niezależnie od tego, co jej zrobisz, odwróć to. Jeśli ona chce odejść, to pozwól jej odejść!

– Jesteśmy tutaj bezpieczni – odpowiada Ever spokojnie.

– Nie możemy spędzić reszty życia... w klatce! – woła rozdrażniona Violet. – Ona nigdy nie zrezygnuje. Nie dociera to do ciebie?

– Jesteśmy BEZPIECZNI – powtarza Ever.

Violet przez minutę jest bardzo milcząca. W końcu się odzywa.

– Wujowie opowiadali mi kiedyś o tobie. O wielkim, bohaterskim Everze Everlym, który próbował nas ocalić. Ale ty wcale nie próbowałaś, prawda?

Wszystkie legendy, w które wierzyła Violet, okazują się kłamstwem.

Ever wzrusza ramionami.

– Nie ma żadnych bohaterów. Są tylko ci, którzy przeżyli, i ci, którzy nie przeżyli. Kontrakt jest niepodważalny, dlatego pozostanę tutaj.

Skazując tym samym Violet.

Zdegustowana dziewczyna podnosi rękę, żeby zrzucić na ziemię flakoniki z całej półki. Jeśli nie dociera do niego, jak to jest stracić coś cennego, to ona go zmusi, aby zrozumiał. Powstrzymuje się w ostatniej chwili. Ever już znowu przemawia do siebie z ożywieniem, wykonując zamasztywane gesty sugerujące, że ma miejsce ważna konwersacja. To, że spojrzy na nią przytomnie, jest równie prawdopodobne jak to, że zdenerwuje się stratą swoich bezcennych flakoników.

Może dlatego Marianna przeszła przez drzwi, nie oglądając się za siebie. Może była dość bystra, żeby uciec, podczas gdy Violet dowodzi swej głupoty, pozostając.

Violet schodzi po schodach, przechodzi przed podwórze i rusza nad jezioro, gorące słońce pali z tyłu jej ramiona. Aleksander jest nad jeziorem, łata niewielki przeciek w łódce. Masuje swój kark i choć uśmiecha się na jej widok, w oczach ma zmartwienie.

– Rozumiem, że twoja rozmowa od serca z Everem nie poszła zgodnie z planem – mówi.

Violet zrzuca buty i siada na skraju wody. Zastanawia się, czy nie wskoczy, w ubraniu. Pozostaje jednak przy bosych stopach, chłodna woda opływa jej skórę.

– Rozmawiałem z Penelopą – zaczyna ostrożnie Aleksander.

Violet nieruchomieje.

Podejrzewała, że Penelopa odszuka Aleksandra. Rozmowa otwierająca wiele możliwości.

– Nie odejdzie, dopóki nie dostanie duszy Everlych – kontynuuje Aleksander.

– I nie będzie to Ever – stwierdza Violet z goryczą.

A potem przygryza wargę, przepełniona poczuciem winy. Tak, to był pakt Evera, i tak, to była klątwa Everlych, ale przecież Violet nie może go prosić, żeby umarł dla jej dobra. Bo o to musiałaby go poprosić. Taka jest stawka. I choć przez cały ten czas wiedziała, że jej życie wisi na włosku, to teraz ta świadomość uderza ją jak obuchem.

Tym razem nie ma odwrotu.

Aleksander spogląda na nią.

– Violet, nie możesz.

– Nie, ale... moi wujowie. Jezu Chryste, co będzie, jeśli ona weźmie Ambrose'a? Albo Gabriela? – Obraz rozmazuje się przed spanikowanymi oczami Violet. – Drzwi są po JEJ stronie.

Penelopa może przez nie przejść, kiedy tylko będzie miała ochotę. Może czekała jedynie na to, żeby Violet uświadomiła sobie, jak bardzo bezbronni są oni wszyscy.

– Jeśli pójdę teraz... jeśli zawrę z nią umowę...

Aleksander łapie ją za rękę.

– Nie rób tego. Proszę.

– Ale moi wujowie...

– Jeśli pójdziesz, to ona cię zabije – mówi Aleksander z naciskiem.

– Więc mam pozwolić, żeby oni zginęli zamiast mnie? Może ty zdradzasz innych, kiedy ci to pasuje, ale to nie znaczy, że ja mam robić to samo – rzuca Violet.

Aleksander wzdyga się i puszcza jej rękę. Violet krzyżuje ręce i odwraca od niego wzrok. Próbuje wziąć głęboki wdech, żeby powstrzymać przypływ paniki, ale może myśleć wyłącznie o wujach i o wyborze, którego musi dokonać. Już tyle razy próbowała powstrzymać Penelopę i przegrywała. Teraz znajdują się w jej mieście, w niewątpliwie niekorzystnej sytuacji.

– My wszyscy mamy długi wdzięczności – mówi cicho Aleksander.

– Ty nie jesteś jej nic winien! Niczego jej nie zawdzięczasz! Po tym, co ci zrobiła... i nie mów mi, że to nie jej sprawka! – woła Violet z wściekłością. – Nie mów, że na to zasłużyłeś.

Te wszystkie blizny na jego plecach. Czysty terror, który widziała na jego twarzy w wieży uczonych, tylko z powodu braku odrobiny światła.

Aleksander wzrusza ramionami, ale ona widzi, ile ten prosty gest go kosztuje.

– A ty na to zasługujesz?

Zapada dłuższa chwila ciszy.

Violet twardo wbija oczy w ziemię, żeby powstrzymać się od krzyku albo płaczu. Wie, że jest wobec Aleksandra strasznie nie w porządku. To nie z jego winy znajdują się w takiej sytuacji, niezależnie od tego, co zrobił jej w przeszłości. To również nie jej wina, co nie zmienia faktu, że problem JEST.

Aleksander skończył naprawę, spycha łódkę na wodę i wskazuje do niej.

Violet słyszy skrzypienie drewna, fale muskające kadłub, co brzmi jak pocałunki.

– Wiesz, mogłabym teraz zabić za filiżankę kawy – mówi.

Aleksander poklepuje miejsce obok siebie. Po chwili Violet wchodzi do łódki, która zanurza się głębiej pod jej ciężarem. Ich kolana objijają się o siebie, kiedy Violet siada.

Aleksander sięga do kieszeni i wyciąga trochę zwilgotniałą i podniszczoną kartę. Podaje jej przybrudzoną tekturkę z dziesięcioma stemplami. Jeden za każdy tydzień, kiedy Aleksander odsłaniał przed nią cały świat, siedząc przy stoliku w kawiarni.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

– Jest na mnie – mówi.

Violet obraca kartę w rękach. Jakie dalekie podróże musiała odbyć, żeby skończyć tutaj.

– Powiedziałam, że nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień – mówi. – O bliznach.

To najbliższe przeprosin słowa, na jakie może się zdobyć. Niewystarczające, ale Aleksander trąca ją łokciem w geście wybaczenia.

– Nie jestem – przyznaje. – Ale chcę ich udzielić, jeśli to okej.

Pięćdziesiąty pierwszy



Aleksander bierze głęboki wdech, chce, żeby jego ręce pozostały spokojne, a głos równy. Tak łatwo sięgnąć wstecz i pociągnąć za sznurki wspomnień. Te drzwi czekają tylko, by je otworzyć.

Tego dnia rozpadł się świat Aleksandra. Jakby piorun rozłupał jego życie na to, co przedtem, i to, co potem. Aleksander relacjonuje wydarzenia, jakby przytrafiły się komuś innemu... i w pewnym stopniu się nie myli.

Najpierw jest długa wędrówka po schodach, w dół, w towarzystwie nocnych stróżów o ponurych twarzach, z pękami kluczy i ręcznie szytymi przysięgami milczenia. Po drodze są bramy, które muszą zostać otwarte, i lampy, które muszą zostać zapalone, ponieważ schodzenie oznacza strącenie w otchłań, z której nie ma raczej szansy powrotu. Tutaj powietrze ma smak metalu i krwi.

Aleksander słucha wyroku z wyschniętymi ustami, w śmiertelnej trwodze. Nie jest ostrzem, które zostanie ponownie naostrzone. Jest ostrzem złamanym. Nienadającym się do użytku.

Penelopa mówi, że Aleksander jest nikim, więc staje się nikim.

Nie wrywa się, kiedy strażnicy przywiązują jego nadgarstki do metalowej ramy, choć całe jego ciało tężeje, bo za nim trwają przygotowania. Odgłos bicia ciągniętego po posadzce sprawia, że bierze głęboki wdech. Bicz przecina powietrze. Łąduje.

Potem jest ból. Już tylko ból.

Czas mija. Zgrzyt zamka w ciemności to groza, której Aleksander nigdy nie będzie w stanie opisać. Czasami są to nocni stróże, przynoszący jedzenie. A czasami skórzany bat, którym wymierzają sprawiedliwość.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Aleksander nie ma pojęcia, ile czasu tam spędził. Wie tylko, że kiedy wywlekają go wreszcie na górę, nie może otworzyć oczu, a światło razi go boleśnie nawet przez zamknięte powieki. Nie ma żadnej pewnej ręki, która by go poprowadziła, nie ma nikogo, kto powiedziałby mu, gdzie jest ani ile osób obserwuje, jak on wymaszerowuje z wieży uczonych na zawsze.

Aleksander ma nadzieję na cud. Ma nadzieję na śmierć.

Jednak żyje, jego ciało się zmienia, przystosowuje do nowych okoliczności, ale umysł powraca ciągle do wieży uczonych. Aleksander pracuje w kuźni, gdzie został niechętnie przyjęty, ponieważ nawet talent wyrzutka może być przydatny. Obcina swoje długie loki, jak inni pracownicy kuźni. Jego ciało się goi i ból ustępuje, ale pozostają blizny.

A potem Penelopa wzywa go do wieży, żeby zaoferować mu wybawienie. Resztę... cóż, resztę Violet zna aż nazbyt dobrze.

Aleksander obserwuje z łodzi drobne zmarszczki na wodzie, posyłające fale na drugą stronę jeziora. Słyszy oddech Violet, dreszcz, który wędruje w górę jej piersi.

– Teraz już wiesz – mówi.

To nie zwalnia go z odpowiedzialności za to, co zrobił. Dawny Aleksander, który wierzył, że najgorszym z możliwych skutków jest pozostanie na zawsze asystentem, zniknął. Ale po wyznaniu Violet tego, co najgorsze, poczuł się nieco lżej, co wydawało się niemożliwe.

Aleksander wstaje, łódka chwieje się niebezpiecznie. I zanim chłopak zdąży zmienić zdanie, ściąga koszulę i rzuca się głową naprzód do jeziora. Woda zamyka się nad nim, czysta i słodka.

Pięćdziesiąty drugi

Reszte tego dnia Violet spędza nad jeziorem. Obserwuje, jak Aleksander robi ostatnie naprawy przy łódce, i podziwia jego zręczne ręce. On nadal ocieka wodą po niespodziewanym skoku do jeziora, koszula przywiera do jego pleców.

Gdyby tylko wiedziała. Byłaby lepsza. Nie prosiłaby go o tak wiele. Walczyłaby o niego, tam, w kościele.

Zasypia i ma koszmarne sny o ciemnych pokojach i okropnym uśmiechu Penelopy.

W połowie następnej sekwencji bezimiennych sennych koszmarów ktoś budzi ją, potrząsając jej ramieniem. Violet powoli przytomnieje, ręce Aleksandra spoczywają na jej ramionach.

– Chcę, żebyś coś zobaczyła – mówi Aleksander. – Jesteś gotowa na spacer o północy?

Violet wolałaby pozostać w łóżku, ale kiwa głową. Pięć minut później oboje siedzą w łódce, którą Aleksander kieruje w stronę miasta.

Wszystkie domy są pogrążone w ciemności. Zamiast wędrować po schodach na podest, Aleksander skręca w lewo, w serię wąskich zaułków. Ostatni wygląda na ślepą uliczkę, ale Violet dostrzega niemal niezauważalną przerwę pomiędzy dwiema ogromnymi paprociami, a dalej ciemne przejście. Zerka na Aleksandra, lecz on tym razem nie wydaje się speszonego długim, pogrążonym w absolutnych ciemnościach korytarzem.

– Chodź, jesteśmy już prawie na miejscu.

Korytarz w budynku jest zrujnowany i lodowaty, ale na końcu widać wąską smugę światła. Ktoś wydrążył ogromną kopułę, każde słowo

odbija się tutaj echem. Połowa kopuły jest zawalona, lecz Violet dostrzega promienie księżycowego blasku wpadające przez precyzyjne otwory w suficie. Mruga i widzi gwiazdy.

Aleksander przesuwa pochodnię wokół sali, odpowiada im błysk reweritu. Bije z ziemi na środku pomieszczenia jak plama z solidnego materiału sięgająca prawie sufitu. Violet nigdy nie widziała takiej ilości reweritu.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – pyta Aleksander.

– Tak – odpowiada cicho Violet.

Choć tamten dzień wydaje jej się tak odległy, jakby wydarzył się w innym życiu, to nigdy nie zapomniła chłopca w wystrzępionym koźnierzyku, o oczach szarych jak morskie szkło. Ani galaktyki na kuchennym stole.

Aleksander kładzie ciemny kamyk pośrodku pokoju, w samym centrum plamy. W momencie, gdy kamyk styka się z reweritem, rozbłyska tak, że oślepia ich oboje. Violet przestania ręką twarz i czeka, aż jej oczy przyzwyczają się do tej jasności.

A wtedy głośno wciąga powietrze.

– Och, Aleksandrze – szepcze.

Kamyk rzuca plamki światła na kopułę, idealnie trafiając w niebo namalowane na resztkach sufitu. Każda gwiazda jest podświetlona. Galaktyki skupiają się nad głową, światło tworzy z nich konstelacje. Żółte iskiereki sypią się z sufitu jak spadające gwiazdy.

Aleksander przekręca kamyk i plamki świetlne zmieniają położenie, odsłaniając zupełnie inny układ nieba na suficie. Inne konstelacje. Inne ŚWIATY.

Violet wędruje przez projekcje, pozwala, by jej ręce bawiły się świetlnymi galaktykami, które snują się w ślad za tym jak fosforyzujące fale. Aleksander opiera się o jeden z reweritowych filarów, tak blisko, że może dotknąć Violet. W tym oświetleniu jego twarz jest ukryta w cieniu, nieprzenikniona.

Coś chwyta Violet za serce, jej ręce opadają wzdłuż boków.

– Przepraszam – wyrzuca z siebie. – To, co ci powiedziałam... nie powinnam. Byłam... wiesz, jak wiele wujowie dla mnie znaczą...

Aleksander śmieje się z przymusem.

– Ty przepraszasz mnie?

Nagle przestaje się śmiać i pada na kolana, jakby powalony mocnym podmuchem. Świąteczka, jak robaczki świętojańskie, unoszą się wokół nich w powietrzu.

– Aleksandrze...

Chłopak wpada jej w słowo.

– Zdradziłem twoje tajemnice. Powiedziałem Penelopie o wszystkim. Pozwoliłem ci wierzyć, że jesteśmy przyjaciółmi, że jestem godzien zaufania... że w ogóle jestem coś wart. Miałem w rękach ten przeklęty miecz, Violet! A jednak nie mogłem działać. Przeze mnie o mało nie umarłaś. Wszystko, co zrobiłem... – Zaciska pięści. – To niewybaczalne.

Violet osuwa się na podłogę i siada obok niego po turecku. Delikatnie rozwiera jego pięści i przykłada jego otwarte dłonie do swoich. Słabo widoczne linie jego żył wyglądają jak linie na mapie, znikające na niezbadanych terytoriach pod koszulą. Violet przesuwa kciukiem po jego nadgarstku i słyszy, że Aleksander nierówno oddycha. Kiedy odważa się podnieść na niego wzrok, jego oczy są szare jak w czasie burzy.

– Jak to możliwe – szepcze Violet – skoro ja już ci wybaczyłam?

Tak bardzo się starała znienawidzić Aleksandra. Próbowwała... Boże, naprawdę próbowała.

Ale nie mogła.

Chłopak wyciąga rękę i pięści twarz Violet, wplata palce w jej włosy. A ona przyciska wargi do jego ust i całuje go tak głęboko, że czuje się jak pijana. On oddaje jej pocałunki, miążdzące i natarczywe. To czyste pragnienie, bez wstydu i bez gniewu.

Odrywiają się od siebie, żeby nabrać powietrza, i Aleksander uśmiecha się do niej tak, że w kącikach oczu pojawiają mu się zmarszczki. Jego ręce idealnie pasują do linii jej ciała. Nigdy nie wyglądał piękniej niż w tej chwili.

– Violet... – mruczy niskim głosem.

Jego palce przesuwiają się po jej obojczyku, pod brzeg koszulki, i nieruchomieją. Patrzy jej w oczy pytająco. Ona w odpowiedzi rozpina jeden guzik, potem drugi. Szybko pozbywają się ubrań, nie bacząc na nocny chłód. Blizny sprawiają, że górna część jego pleców wygląda jak pagórkowaty krajobraz, ale Violet również ma swoją bliznę: skręconą skórę w kształcie gwiazdy między zębami, do której Aleksander przyciska usta.

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

– Nie masz pojęcia, jak straszliwie pragnąłem cię w Pradze – szepcze wargami wtulonymi w jej skórę, i Violet jest znowu całkowicie rozbrojona.

Przyciąga go do siebie, likwidując dystans między nimi. Całuje głębokie zagłębienie w jego szyi, wypukłą bliznę na jego ramieniu, twarde linie czarnych tatuaży. Od dawna o tym marzyła. Zaciska palce na twardej kości biodrowej Aleksandra i czuje przyptyw gorącego, gwałtownego pragnienia. On wchodzi w nią boleśnie powoli, przez jej kręgosłup przechodzą dreszcze pożądania. Każdy jego ruch jest pytaniem, każda odpowiedź brzmi: TAK.

A potem, przez chwilę nie ma już żadnych pytań.

Pięćdziesiąty trzeci



W środku nocy Violet budzi się w ich pokoju. Aleksander leży obok niej, pogrążony w głębokim śnie, z jedną ręką przerzuconą przez tors. Jego pierś unosi się i opada, a wargi są miękkie i zaróżowione od snu. Violet przygląda mu się przez chwilę, stara się zapisać w pamięci wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Usypiający zapach deszczu, delikatny plusk wody na parapecie okiennym, światło księżyca okrywające ich oboje jak koc.

Zamyka oczy i wyobraża sobie to wszystko, bardzo żywo.

Potem wstaje, ubiera się i powoli zmierza do wyjścia.

Deszcz wygrywa na płytach chodnikowych urocze melodie, cały dziedziniec wypełniony jest przez tę wodną orkiestrę. W warsztacie Evera są zapalone światła, migoczą w mroku nocy, ale nie ma żadnych śladów aktywności.

To dziwne, pod wieloma względami. Z wyjątkiem tych, których się spodziewała. Evera nadal cechuje podobieństwo do obecnych Everlych, pomimo dzielącej ich przepaści czasu: ma orzechowe oczy, wysuniętą szczękę i zwyczaj szczypania nosa, kiedy go coś zaskoczy. W półmroku mógłby z łatwością zostać wzięty za któregoś z jej wujów. Z tą różnicą, że ma w sobie tyle ciepła co kamień. I ani śladu ich dobroci. Jest jej równie obcy jak astralne i tak samo jak one zainteresowany wyłącznie sobą.

Nie po raz pierwszy Violet zadaje sobie pytanie, która z historii jest prawdziwa. Ta o przerażonym kochanku, o zachłannym rzemieślniku czy o człowieku, który znalazł się po prostu w nieodpowiednim czasie w niewłaściwym miejscu? O ofierze Penelopy – czy o jej więźniu.

Niezależnie od tego obecnie Ever z pewnością nie jest bohaterem.

Violet wymyka się z dziedzińca i wchodzi w płataninę wąskich uliczek, aż wreszcie dociera do szyby z reweritu. Siada po turecku na ziemi i czeka. Serce mocno bije w jej piersi.

Wkrótce pojawia się Penelopa, najpierw w postaci niewyraźnego cienia na szkle. Z powitalnym uśmiechem, w którym nie ma śladu przyjaźni. Jakby znalazły się znowu na kanapie podczas przyjęcia u Adelii Verne, maskując podejrzliwość uprzejmością.

Już wtedy Violet wiedziała, że to tylko maska. Nie rozumiała tylko, co się pod nią kryje.

– Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną przyjemność?

Violet odpowiada dopiero po chwili, starannie dobierając słowa. Bardzo dużo miałaby do powiedzenia – żądania, oskarżenia, a nawet prośby o przeprosiny – ale ma naprawdę mało czasu. Więc od razu przechodzi do rzeczy.

– Dlaczego to ma być nasza krew? – Przesuwa kciukiem po nadgarstku. – Krew Everlych. Dlaczego nie kogoś innego? Chodzi o zemstę? – Penelopa milczy, więc Violet kontynuuje: – Czytałam wszystkie opowieści. O gwieździe i śmiertelniku.

– W takim razie traciłaś tylko swój cenny czas. – Ton jest lekki, ale Violet wychwytuje stalową nutkę gniewu w głosie Penelopy. – To kłamcy i padlinożercy, wszyscy.

– Więc jaka jest prawda?

Nigdy dotąd nie stanęły tak twarzą w twarz, na równej stopie. Przede wszystkim Penelopa nie może jej dosięgnąć i wykończyć, więc Violet jest w stanie swobodnie zadawać pytania. Nawet jeśli odpowiedzi mogą się jej nie spodobać.

Przez moment wydaje się, że Penelopa nie odpowie. W końcu jednak zaczyna mówić:

– Drzwi są związane z krwią. Krwią Everlych. Nie mogę bez niej wrócić do domu. – Opuszcza wzrok na Violet. – Tylko krew Everlych może je odblokować.

– Więc to jest ta klątwa – mruczy Violet.

– DŁUG, Violet Everly. Czy ja żądam za wiele? Czy oczekiwanie tego, co mi się słusznie należy, to brak rozsądku? – Penelopa szeroko rozkłada

ramiona jak szalki wagi. – Oto jestem, stoję przed takim WYBOREM: poświęcić nowe czy stare. Zresztą nie obarczałabym waszym długiem niewinnych osób.

– Ale zabiłaś tych wszystkich ludzi.

Penelopa unosi głowę.

– To nie kwestia długu. To kwestia przetrwania. Jestem pewna, że przynajmniej to rozumiesz.

Jednak Violet potrząsa głową. Nawet tu, w innym świecie, nadal budzi się w środku nocy, mając przed oczami krew, a w gardle uwięzły krzyk.

Penelopa unosi brew.

– Wcale nie jesteśmy tak bardzo różne od siebie, ty i ja. Ty stawiałaś na rękach, żeby uniknąć swego losu, posuwałaś się do przestępstw, kradzieży, udawania kogo innego, przekupstwa... i zrobiłabyś jeszcze więcej. Zresztą, czy w przeciwnym razie byłabyś tutaj?

– Ty zabijałaś DZIECI! – woła Violet. – Tego niczym nie zdołasz usprawiedliwić.

– A przez ciebie zginął Johannes Braun. Nie żyje Tamriel. Nie żyje Erriel. Aleksander będzie miał bliźny do końca życia, ponieważ ty go przekonałaś, że jesteś ważniejsza niż nasze zasady.

Violet przygryza wargę.

– Proponuję ci układ – mówi Penelopa. – Jeżeli nie sprezentujesz mi siebie do świtu, to wrócę do twojego domu. Zacznę od twoich wujów. Potem przyjdzie kolej na twoich przyjaciół z kawiarni. Następnie na każdego uczonego, który kiedykolwiek ci pomógł, każdego zdrajcę z naszych szeregów. O, tak, wiem wszystko o Caspianie Verne i jego bandzie renegeatów.

Violet nie chwyta przynęty, choć wie, że to nie blef. Drzwi znajdują się po tej samej stronie miasta co Penelopa, więc może bez przeszkód z nich skorzystać. I Violet przyszła tutaj, tej nocy, właśnie z tego powodu.

– A jeśli ja pójdę z tobą? – pyta.

Penelopa patrzy na nią chłodno.

– To będzie po wszystkim. Włos im z głowy nie spadnie. Aleksander odbuduje dla mnie drzwi z reweritu, ty zostaniesz poświęcona na ich ołtarzu. A ja wrócę do domu. – Na moment zamyka oczy. – Długo czekałam na swoje rodzeństwo.

Violet się wzdyga, gdy z ust Penelopy pada słowo „poświęcona”. Ale stara się przejść nad tym do porządku dziennego.

– Na zawsze – mówi stanowczo. – Nie będziesz już więcej terroryzować mojej rodziny.

– Terroryzować, czyżby? – Penelopa unosi brew. – Zauważ, że linia twojej rodziny mogła wygasnąć już dawno. Zauważ, że mogłam szukać zemsty. Ale ja brałam tylko po jednym Everlym z każdego pokolenia, nie więcej, choć miałam do tego prawo.

Oto poczucie sprawiedliwości bogini, myśli Violet, co za potworność, lepiej tego nie widzieć.

– Ale tak – ciągnie Penelopa. – Zapomnę o nazwisku Everly.

– I Aleksander nie będzie w to zamieszany – mówi Violet. – Zostawisz go w spokoju.

– Sam zdecyduje, czy odejdzie razem ze mną. Nawet ty nie jesteś w stanie kontrolować przyptyków.

– On nie pójdzie z tobą.

Penelopa parska śmiechem.

– Ty jesteś przelotnym zainteresowaniem. Świadomym aktem zemsty, niczym więcej. Ja mogę zaoferować Aleksandrowi WSZYSTKO. Kiedy nic nie będzie odwracać jego uwagi, do kogo się zwróci, twoim zdaniem? Nikt nie rozumie go lepiej niż ja.

– A jednak cię zostawił.

Usta Penelopy wykrzywia grymas. Cienie wokół niej wybuchają. To trwa zaledwie moment i znika natychmiast, ale Violet musi i tak zmobilizować wszystkie siły, żeby się nie cofnąć.

– To tylko chwilowe rozstargnienie, Violet. Jednak w końcu pójdzie ze mną. – Penelopa robi krótką pauzę. – Ale dla dobra naszego porozumienia obiecuję, że nie będę go zmuszać. Masz moje słowo.

– Na to wszystko?

– Ja zawsze spełniam obietnice. – Penelopa uśmiecha się w ciemności, jej oczy błyszczą. – Trzeba zapłacić za przetrwanie, Violet Everly. To tylko kwestia odpowiedniej ceny.

* * *

Aleksander udaje, że nie zauważa, iż Violet wymyka się z łóżka w środku nocy, choć nie mógłby zignorować pustego miejsca obok siebie. Jego ciało jest mokre od potu; nie przywykł dzielić z kimś łóżka i dodatkowe źródło ciepła stanowi dla niego zaskoczenie. Swego czasu myślał, że bliskość drugiej osoby ochroni go przed nocnymi koszmarami. A w rzeczywistości dodała tylko nowego wymiaru do repertuaru horrorów stworzonych przez jego umysł w takie noce jak ta.

Sny Aleksandra są zawsze fragmentaryczne, to migawki z jego życia odgrywane z maksymalną intensywnością, która sprawia, że jego żołądek ściska się z napięcia. Ponieważ on wie, do czego to wszystko prowadzi. Zawsze wie.

Aleksander ma siedem lat i po raz pierwszy wchodzi do wieży uczonych. Penelopa kładzie rękę na jego ramieniu i prowadzi go przed sobą. A on zaciska małe piąstki, przejęty otwierającymi się przed nim możliwościami.

– Chodź, mały marzycielu – mówi stanowczo Penelopa. – Mam co do ciebie wielkie plany.

Aleksander ma jedenaście lat i jest już szybszy, zwinniejszy i silniejszy od innych asystentów. Ręce ma nieustannie zafarbowane reweritowym pyłem. Penelopa jest obecna za każdym razem, gdy on osiąga kolejny postęp w manipulowaniu boskim metalem, obserwuje go uważnie.

Ma trzynaście lat i jest w nieznanym sobie pokoju. Dziewczynka o błyszczących oczach przygląda mu się z nieskrywaną podejrzliwością, a nawet z wyzwaniem. Wtedy jeszcze tego nie wiedział, ale to wyzwanie oznaczało: czy ośmielisz się stawić czoło światu na własną rękę?

Czy ośmielisz się stawić czoło światu bez NIEJ?

Ma dwadzieścia jeden lat i idzie długim ciemnym korytarzem do podziemnego pokoju cierpienia. Do pokoju, który rozłupie jego życie na pół, zada ranę, która nigdy się nie zagoi.

– Beze mnie jesteś nikim – mówi Penelopa, jej białe zęby błyskają w ciemności. – Więc cię zniszczę.

Violet, z pochyloną głową, w kościele, jak święta męczennica. Cienie warczą, wygłodniałe; kotysze się srebrny miecz.

Aleksander wstaje z łóżka, nadal nagi i obserwuje bezpiecznie z ciemnego balkonu, jak Violet przemierza dziedziniec. Wydaje jej się, że Alek-

sander nie zdaje sobie sprawy z tego, iż ona prowadzi tę samą śmiertelnie niebezpieczną grę z Penelopą. Ile TO jest warte w świetle TEGO? Co poświęcisz, żeby ratować siebie? KOGO poświęcisz?

To gra, w której on nigdy nie był dobry, choć zna jej reguły. Jego los jest elementem przetargowym w rękach Violet. Los ich wszystkich spoczywa w jej rękach. Czy Aleksander jest wart życia jej wujów? Czy jest wart jej życia?

„Daj mi Violet Everly, a wszystko ci wybaczę”.

On nie może być ostrzem Penelopy. Nie będzie jej ostrzem.

Aleksander patrzy, jak Violet znika w mroku i podejmuje decyzję.

* * *

Violet wraca do warsztatu Evera, ciągle jeszcze pali się tam jedna lampa. Światło świecy migocze na rozmaitych buteleczkach i fiolkach z połyskiem niedokończonego metalu. Wiedza całego życia zebrana w tym miejscu po to tylko, by zmarnować się w rękach jednego człowieka.

Violet siada na brzegu ławki i podpira głowę rękami. Nie jest w stanie położyć się znowu obok Aleksandra i udawać, że jutro będzie tak samo. Jutro zegar wreszcie stanie w miejscu. Penelopa wygzekwuje swoją sprawiedliwość, w formie, zależnej od decyzji Violet.

Violet obserwuje, jak dopala się woskowa świeca. Jak piasek przesypuje się w klepsydrze.

– Nazywano mnie mądrym człowiekiem.

Ever stoi w drzwiach, cień oszczędza jego obramowane złotem źrenice. Nawet nie udaje, że nie śledził Violet. Zresztą ona wiedziała, że Ever tam będzie, żeby pilnować swojej bezcennej bariery. I astrala po drugiej stronie.

– Nazywano mnie człowiekiem, który spaceruje z bogami – kontynuuje Ever i potrząsa głową. – Był czas, kiedy uważałem, że to stosowna kara. Nie mogła odejść, dopóki nie zabije mnie na tym ołtarzu.

– A nie mogła?

Ever patrzy na nią posepnie.

– Pod koniec... nienawidziliśmy się, och, jak my się znienawidziliśmy. Ale nie mogliśmy się nawzajem pozabijać. I za to nienawidziliśmy się jeszcze bardziej.

Ever unosi rękę Violet w taki sposób, że ich przedramiona znajdują się obok siebie. Takie same żyły biegną przez ich nadgarstki, tak samo wyglądają linie życia na ich dłoniach. Violet myśli o wszystkich Everlych, wykrwawionych w imię Evera Everly'ego i jego nienawiści.

– Byłem młody – mówi Ever. – Byłem zły.

Przez chwilę siedzą w milczeniu, słysząc tylko popiskiwanie nocnego życia. Violet zamyka oczy. Ma swoją krwawą prawdę, ukrytą w mitach i bajkach: członkowie rodu Everlych przekłęci przez samych siebie. Przenaczenie stworzone przez nich samych.

Przez krótki moment czuje odrobinę litości dla Penelopy.

– Mógłbyś teraz ją zabić? – pyta Violet.

Ever się waha.

– Od dawna nie widziałem swojej żony.

ŻONY. Oczywiście. Ten srebrny krążek wiszący na łańcuszku na jego szyi to obrączka.

– Zrozum, ja ją kochałem – mówi. – Ponad wszystko. Bardziej niż cały świat. Kochałem ją nawet wtedy, gdy jej nienawidziłem. Taka głęboka miłość może być straszliwa.

Violet obraca wokół nadgarstka swoją ocalałą bransoletkę, rewerit potłuskuje złociście w blasku świecy. To wszystko, co jej pozostało, ale tak bardzo jej ciąży. Może to właśnie naprawdę czyni ich Everlymi: ta sama wadliwa linia pamięci i tęsknoty spotęgowana uporem. Ich fatalna skaza przekazywana z pokolenia na pokolenie.

– Miałem też córkę – mówi Ever, jego głos przestawia się na ton wspomnieniowy, wpatruje się w jakiś odległy punkt. – Jej imię... nie pamiętam jej imienia. Miała uśmiech matki. Ale oczy takie jak moje, dawniej. – Wzdryga się. – Nie wiedziałem, że przeżyła.

Violet próbuje przywrócić go do rzeczywistości.

– Po mnie nie będzie już żadnych Everlych – mówi. – I będzie po wszystkim.

– Tutaj byłabyś bezpieczna – przypomina jej Ever.

– Ale zginęłaby moja rodzina.

Penelopa zawsze dotrzymuje słowa. Violet – albo jej wujowie, Caspian, każdy, kto jej dopomógł. Niekończąca się lista osób do ochrony. Nie mogłaby ocalić ich wszystkich przed wściekłym gniewem Penelopy.

– Co mam, twoim zdaniem, zrobić? – pyta Ever.

Violet wie, czuje przygniatającą wagę tej prawdy, że nie może prosić Evera, aby poświęcił siebie.

To nie pozostawia jej wyboru.

* * *

Z punktu obserwacyjnego w swoim warsztacie Ever Everly patrzy na cień, który skrada się przez jego podwórze. Chwilę trwa – zawsze zajmuje mu to chwilę – zanim rozpozna, że cień należy do rzeczywistej osoby, że nie jest tylko kolejnym duchem obserwującym go żałośnie ze swego miejsca udręki. Violet uważa, że te duchy to tylko wytwory jego imagacji; słyszał, jak szeptała do swego towarzysza, że Ever wygłasza tyrady i miota się po swoim warsztacie.

Ale one są prawdziwe i przez to jeszcze bardziej przerażające.

Niektóre z nich to dymiące zjawy, niewiele więcej niż pasma mgły, mogą być wzięte za smugi na szybie. Inne mają takie rysy jak za życia, przeklinają Evera, skazując go na oglądanie ich twarzy aż po kres jego dni: twarzy rzeźnika z tej samej ulicy, który otwierał swój sklep wtedy, kiedy Ever zamykał swój; twarzy nauczyciela, który często zabierał swoich uczniów nad jezioro; twarzy szczególnie hałaśliwego sąsiada z dołu, którego ściany Ever musiał podeprzeć świeżymi wspornikami w dziesiątki lat po jego śmierci. Tak wielu z nich już nie rozpoznaje, choć oni wszyscy zdają się znać go doskonale. Czy to nie kapryśny charakter pamięci? Zaglądać w przeszłość, ale jedynie przez przydymione szkło.

Oni otaczają go jak tuman w mglistą noc. Mówią: „Everly, nie możemy zaznać spoczynku. Everly, nie spoczniemy. Everly?”. Powtarzają litanie, którą on zna aż za dobrze. Kiedy wszystko inne jest już tylko pyłem i ruiną – choć czy nie w czymś takim Ever znajduje się teraz? – swoje nazwisko będzie pamiętał zawsze, szeptane w każdej chwili każdego dnia przez nieubłagany chór.

„Błagamy cię, Everly. Widzimy twój żal. Chcemy zaznać spoczynku”.

Dusza za rok i jeden dzień miłości. Dusza za rok i jeden dzień wiedzy. On nie pamięta już samej umowy, ale jej konsekwencje otaczają go przez całą wieczność.

GEORGIA SUMMERS

Słyszysz słowa astrala: „To kwestia przetrwania”. I całe jego ciało pogrąży się w westchnieniu. Tymi samymi słowami pocieszał się wielokrotnie, uciszał nimi wściekłość i już prawie zapomniał ich znaczenia. I to właśnie powiedział Violet zaledwie parę godzin wcześniej.

Tysiąc lat, a jeszcze się nie nauczyli. Tysiąc lat, a ciągle tak się boją. Nie mogą się nawzajem pozabijać – a teraz nie mogą nawet umrzeć za siebie.

Everly. Everly. Everly.

Jakim był głupim człowiekiem.

Pięćdziesiąty czwarty



otem czas biegnie szybko.

Violet staje przed kręgiem połamanych arkad, kiedy nad horyzontem pojawiają się pierwsze promienie słońca. Z tego miejsca ma doskonały widok na miasto i rozciągającą się za nim pustynię. Koniec miasta. Koniec świata.

Koniec ma takie ostateczne brzmienie.

– To jest to – mówi na głos, żeby usłyszeć, jak echo powtarza jej słowa.

Gdyby powiedziała sobie kiedyś, że znajdzie się tutaj po zbyt krótkim życiu, pełnym tęsknoty i zbyt długiej podróży śladami matki, to pewnie schowałaby się z powrotem do szafy. Tyle wysiłku, trosk i rozpacz. Byłoby łatwiej cofnąć czas i oszczędzić sobie kłopotów.

Chwilami nawet żałuje, że to niemożliwe. Drogo zapłaciła za te poszukiwania, przeżyła zbyt wiele horrorów: Tamriel w piwnicy; Jurij i jego przemiana. Ciała w więzy.

Ale z drugiej strony przywołuje bezdyskusyjnie pociągające uroki, dreszcz emocji, gdy poznawała grę uczonych w przebiegłość i władzę. Caspiana Verne, z jego spokojnym uśmiechem i szeptem o większych możliwościach. Erriel i jej koronę ze światła. A nawet asterię, który rozkładał swoje karty asteros, żeby przepowiedzieć jej przyszłość.

Aleksandra. Violet przyciska palce do ust i wspomina gwałtowność jego pocałunków. I jego ręce wędrujące po jej ciele.

Jakie cudowne, ale i niszczące było to życie. Jak bardzo by chciała, aby nie zakończyło się w ten sposób. Nie jest na to gotowa, absolutnie nie jest.

Mogłaby uciec.

Istnieją przecież inne drogi wyjścia z miasta. A krew krążąca w jej żyłach to płynny klucz otwierający inne drzwi. Jedzenie mogłaby ukraść, mapy schować do torby i zabrać ze sobą. Czekają na nią przygody w niezbyt dalekiej odległości, widzi wyjątkowo żywe miraż. Zakazane owoce, których jeszcze nie skosztowała.

Marianna by uciekła.

Ale wówczas koło by się odwróciło. Penelopa pożartaby jej wujów, Aleksandra, świat, a w końcu samą siebie. Nic by się nie zmieniło.

– Violet.

Aleksander odnalazł ją jakimś cudem. Musiał biec, bo jest trochę zdyszany, ale staje przy niej po kilku szybkich krokach. Wygląda tak, jakby dobrze wiedział, co Violet zamierza zrobić.

– Aleksandrze, ja...

– Ja odbuduję drzwi – przerywa jej Aleksander. – Pójdę z nią. Podjąłem już decyzję.

– Jakie to wzruszające, mój asystencie.

Penelopa stoi na skraju podestu. Zniknęła wysoka, bezpretensjonalna blondynka, która weszła kiedyś do domu Everlych i narobiła takiego zamieszania. Jej miejsce zajęła całkiem inna istota. Jej skrzydła rozsnuwają po ziemi dym, który kłębi się na krawędzi gruntu. Płomienie otaczają głowę białą świetlistą aureolą. Trzyma w rękach dwa płonące miecze.

Wygląda jak bogini, strach na nią patrzeć.

– To godne podziwu, że chcesz zająć miejsce Violet, że o tym pomyślałeś – mówi. – Ale tylko Everly...

– To nie musi być Everly! To nie musi być ktokolwiek! – woła Aleksander i nikt chyba nie jest bardziej zaszokowany niż Violet, że on podnosi głos.

– Taka jest CENA – syczy Penelopa.

– Możesz zostawić ich w spokoju. Proszę – mówi Aleksander.

W oczach Penelopy pojawia się niebezpieczny błysk.

– Będziesz wiedział, gdzie jest twoje miejsce, mój asystencie, kiedy to wszystko się skończy.

Aleksander zamyka oczy i bierze głęboki wdech.

– Nie, jeśli to zrobisz. – I otwiera oczy. – Ale jeżeli pozostawisz ją przy życiu... odbuduję dla ciebie drzwi. I pójdę z tobą, dokąd tylko zechcesz.

Jeśli chcesz mnie ukarać... – zająkuje się i musi wziąć głęboki wdech. – To zaakceptuję wszystko, co mi zgotujesz.

Robi kilka kroków naprzód, ale Violet wyciąga rękę, żeby go zatrzymać. Aleksander patrzy na nią, z udręką i strachem.

– Ja to przetrwam – mówi.

Ale przetrwanie to nie życie. A Violet widziała już zniszczenia dokonane przez Penelopę, blizny, które się nie goją. Człowiek w ciele Aleksandra mógłby przetrwać Penelopę. Ale ten Aleksander, którego ona zna i kocha, nie. Już i tak doświadczył zbyt wiele przez samo bycie tutaj.

– Ty nie jesteś z rodu Everlych – mówi łagodnie Violet. – A ja tak.

Aleksander ujmuje jej rękę i Violet dopiero w tym momencie uświadamia sobie, że się trzęsie.

– Nie zasłużyłaś na to. Nie ty zawarłaś tę umowę.

Gabriel i Ambrose również nie.

Ani jej matka.

Violet przypomina sobie słowa asterii o poświęceniu i stracie, o straszliwej ręce, z którą ma do czynienia. Nawet wtedy miała jeszcze nadzieję, że pojawi się niespodziewanie ułaskawienie, jakieś wyjście, bezkrwawe i łatwe. Ale wyrosła już z bajek i mitów; zawsze konieczna jest krew.

A ona ma już tak dosyć tych klątw.

W pobliżu bariery z reweritu szum mocy przypomina ból zębów. Violet przykładą rękę do szyby, która marszczy się pod jej dotykiem jak zasłona z materiału. Penelopa przechodzi przez nią, przerażająca w swym dostojństwie. Straszliwa i wspaniała.

– Dotrzymaj słowa – mówi Violet. – A ja dotrzymam swojego.

– Dobrze – odpowiada Penelopa.

Chowa miecze do pochew i wyciąga przed siebie rękę, pełna oczekiwania. Violet patrzy na nią. Wujowie zdobyli się na tyle poświęceń, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo, podjęli tyle trudnych decyzji, żeby dać jej życie, które warto przeżyć. Ponieważ to właśnie robią członkowie rodziny Everlych dla siebie nawzajem; szkoda tylko, że zrozumienie tego zajęło jej tyle czasu. Teraz pora, by zrewanżowała się za ten dar.

Będzie okej. Będzie szybko. I będzie **PO WSZYSTKIM**.

– Ktoś musi pójść – mówi Violet, zbierając się w sobie.

– Tak – zgadza się Ever. – Ktoś musi.

GEORGIA SUMMERS

Ever Everly wchodzi na podest, jego oczy lśnią złociście. Słońce wschodzi za jego plecami, wygląda to tak, jakby wyrosły mu skrzydła, i przez sekundę są tu dwa astrale, nie jeden. Miecz błyska w jego pewnych rękach, z biegłością zrodzoną z wielu wieków posługiwania się bronią. Violet wstrzymuje oddech. W tym świetle Ever naprawdę wygląda jak bohater.

– Pójdziemy razem – mówi.

Pięćdziesiąty piąty



zymże jest kłątwa, jeśli nie tym?

Miłością, przeciagniętą i wypaczoną ponad wszelką miarę.

Astriada i Ever Everly stoją naprzeciw siebie. Ona, już nie całkiem gwiazda, i on, już nie całkiem śmiertelnik. A jednak istnieje nadal między nimi więź, łączy ich namiętność i nienawiść, i spustoszone miasto.

Jaki zatruty kielich wychylili. Jakie żale. Jakie niezliczone smutki.

Ever Everly podaje jej weselny miecz, który był kiedyś prezentem ślubnym dla Astriady. Ona bierze go do ręki, waży ostrze. Już przy pierwszym dotyku jest całkiem oczywiste, ile umiejętności i troski włożono w jego wykonanie. I opowieści, które mógłby wyśpiewać, gdyby był w stanie śpiewać.

– Ever Everly – mówi Penelopa tak, jakby sprawdzała smak jego nazwiska na języku, po raz pierwszy od tysięcy lat.

– Astriada, córka Nemetora – odpowiada Ever.

I z wahaniem wyciąga rękę, żeby dotknąć jej twarzy. Tak bardzo się zmienili, a jednak ten ruch jest boleśnie znajomy, wykonywany tysiąc razy albo i więcej. Astriada zamyka oczy, wolną dłonią obejmuje jego rękę. Przez sekundę są mężem i żoną, mężczyzną i kobietą. I nie dzieli ich nic poza skórą.

Potem ich ręce opadają. Astriada poprawia uchwyt miecza.

– Nasz kontrakt nadal obowiązuje – mówi. – Minął rok i jeden dzień, jesteś mi winien krew.

Duszę, leżącą na jednej szalce wagi, a na drugiej rok i jeden dzień miłości, wiedzy, żądz. Czy to mogłoby kiedykolwiek wystarczyć?

Astriada kieruje miecz w stronę jego piersi.

– My egzekwujemy nasze należności.

Z bezbłędną precyzją wbija miecz między czwarte i piąte żebro Evera. Trzeszczą kości; jęk, będący zdławionym krzykiem. Ever jedną rękę kładzie na piersi, zaciska palce wokół ostrza. Tryska jaskrawa krew, wodząc wszem wobec, że choć udało mu się wymknąć śmiertelności, to pozostał jednak człowiekiem.

Zdolnym do wielu wspaniałych, ale i strasznych rzeczy.

Zjawy gromadzą się wokół niego, sięgają po niego swymi upiornymi palcami.

Z nagłą zaciekłością Ever szarpie rękojeść miecza w swoją stronę, przyciągając Astriadę do siebie. Jedną ręką obejmuje tył jej głowy. Rękojeść miecza uderza go w mostek, ale on jej nie puszcza.

– Pójdziemy razem – syczy.

Unosi ramię. W słońcu błyska sztylet z onyksu.

Boska sprawiedliwość.

Z ostatnim, urywany tchnieniem wbija go w serce Astriady.

* * *

Ból. Krew śmiertelniczki.

Ręce splamione czerwienią, nie złotem.

A powinna być złota. Powinna być złota od słonecznych promieni, złota od koronkowej otoczki otaczającej pierścieniem planetę. Złota od zapadającej się gwiazdy.

Zvezda, Estrella, Astra, Stella, Nyeredzi...

Tożsamości zdzierane z niej jak pancerze.

Penelopa.

Nie czuła aż tyle jako drobinka światła słonecznego czy trzask mrozu, a teraz czuje to wszystko. Cierpienie pali jej skórę, ale nade wszystko groza, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. Wiele o niej można powiedzieć, lecz nie to, że jest śmiertelniczką.

Jak bardzo to boli.

Ponad nią niebo bucha płomieniem. Tysiące tysięcy gwiazd. Jak to możliwe, że dotąd ich nie zauważała?

MIASTO GWIEZDNEGO PYŁU

Śpiewają do niej, olśniewające, doskonałe. Kosmiczną pieśń oznajmującą drogę do domu. Ich ton to po prostu jej imię, ewangelia powtarzana w najstarszym języku, jaki zna.

Astriada.

Tuż przed tym, jak jej kości rozsypią się w gwiazdny pył, słyszy chór głosów.

O, gwiazdna córko, tęskniliśmy za tobą.

Pięćdziesiąty szósty



Wieczorem składają oba ciała do ziemi za warsztatem Evera. Aleksander, z twarzą bez wyrazu, kopie groby w piaszczystym gruncie. Kiedy przykrywają ciała ziemią, ręce Violet są poobcierane do żywego. Przez cały dzień szukała polnych kwiatów, które teraz składa na ich grobach. W pewnym momencie, gdy Violet układa drugi bukiet, wydaje jej się, że spod ziemi wyskoczy ręka Penelopy, zakrwawiona i pełna furii. Ale ta chwila mija i dwa bukiety spoczywają na ziemi obok siebie.

W końcu Violet bierze miecz, wytarty do czysta. Na rękojeści wisi srebrny łańcuszek Evera. Po chwili wahania Violet zdejmuje bransoletkę matki i również ją wsuwa na rękojeść miecza. Niech tutaj spoczywa, myśli. A jeśli matka będzie kiedyś tędy przechodziła, jeśli Marianna postanowi zakończyć to, co rozpoczęła, cóż – będzie wiedziała, że Violet tutaj była, że stawiała czoło temu, czemu ona nie potrafiła.

Violet unosi miecz, ostrze lśni w ostatnich promieniach dziennego światła. Z całą siłą, na jaką może się zdobyć, wbija miecz w ziemię pomiędzy nimi.

Violet i Aleksander pozostają tam i patrzą, jak zachodzące słońca zabarwia groby na złoto.

Violet spogląda na niego, nie wie, co powiedzieć. Odczuwa dziwny smutek po stracie Evera Everly'ego, człowieka, który był czymś jeszcze, jeśli nie kimś więcej. I może nawet pewnego dnia zrobi jej się żal Penelopy. Ale głównie czuje ogromną ulgę.

Wszystko skończyło się tak szybko. Starczyło zaledwie czasu na to, by Violet zachłysnęła się powietrzem, a Aleksander zatoczył się do tyłu. Tak

szybko, że Violet nie miała nawet pewności, czy rzeczywiście się to wydarzyło, dopóki nie zobaczyła, jak krew odpływa z twarzy Penelopy. Kopała nad ich głowami się rozpadła, obsypując ich deszczem odłamków reweritu, które nie wyrządziły im jednak żadnej szkody. Zerwał się silny wiatr, szarpiący ich ubraniami.

Po tygodniu spędzonym w liliowym cieniu świat wydaje się nagle pełen kolorów.

Ale dla Aleksandra...

Aleksander nie płacze, nie złości się. I może on również odczuje ulgę, z czasem. Co do tego Violet nie ma jednak pewności. Tak wiele łączyło go z Penelopą. Odzyskał wolność, ale za jaką ogromną cenę.

– Czy Ever powiedział ci, co naprawdę się stało? – pyta cicho Aleksander. – Która z wersji historii była prawdziwa?

Violet podejrzewa, że tak naprawdę Aleksander pyta o Penelopę. Czy istniała możliwość, że kiedyś była osobą, którą – jak mu się wydawało – znał.

Violet potrząsa głową.

– Nawet jeśli pamiętał, jak było naprawdę, to nie sądzę, żeby mi o tym powiedział.

I może to jest znakiem samym w sobie, na którą wersję powinna postawić. A może celowo starał się zapomnieć, bo udreka była zbyt wielka, ból serca zbyt dojmujący. Ale Violet lubi myśleć, pomimo wszystko, że ich romans był prawdziwy. Że to nie Ever i jego tchórzostwo stało się wyrokiem dla tyłu jego potomków. Zresztą ta wersja to najlepsza z historii.

W co ona wierzy? W baśń o bohaterze czy o potworze?

W końcu postanawia pozostawić to pytanie przy grobie. To niewielka cena do zapłacenia w obliczu wszystkiego innego.

Następnego poranka wędrują do domu z drzwiami, przechodzą przez tę część miasta, przez którą Aleksander niósł Violet. Tym razem nie trzeba tyle krwi; drzwi są nadal przesycone mocą i jeśli tak pozostanie, to może już nigdy nie będą wymagały więcej niż tylko kropelki krwi.

Po tej stronie przejście jest niemal całkowicie ukryte w paprociach i rozrośniętych krzewach kameli obsypanych różowymi kwiatami. Stają tuż przed drzwiami. Ale żadne z nich do nich nie sięga. Elandriel to świat poza czasem, przestrzeń, w której życie staje w miejscu na zawsze. Łatwo sobie wyobrazić, że inne światy zatrzymują się wraz z nimi.

Kiedy przejdą przez te drzwi, czas ruszy z miejsca. I trzeba będzie podejmować decyzje.

Aleksander masuje swój zaróżowiony od słońca kark.

– Możesz pójść, dokąd zechcesz – mówi. – Co zrobisz?

Nie mówi: mogłabyś zostać ze mną w Fidelis. Choć to musiało przemknąć mu przez głowę, podobnie jak jej. Przez dłuższy czas myślała, że jeśli wejdzie do Fidelis, to znajdzie matkę. Wyobrażała sobie, że zostanie włączona w poczet uczonych, zajmie miejsce wśród nielicznych wybrańców, którzy mogą podróżować pomiędzy obu światami. Grać w tę niebezpieczną grę.

Nadal coś w niej podjęłyby z radością to wyzwanie i pozwoliłyby, aby została wchłonięta przez uczonych. Ale są i inne rzeczy, które mogłyby ją pochłonać.

Wyobraża sobie długie noce w łóżku Aleksandra i wspólne budowanie przyszłości. Wyobraża sobie, jak budzą się obok siebie co rano przez niezliczone poranki, pełna zachwyty nad tym, co już o nim wie, i nad tym, co jeszcze pozostało do odkrycia. Może pewnego dnia ona odejdzie, a może zrobi to on. A może nie. W świecie, który sobie wyobraża, w takim pięknym i jasnym obrazie, który widzi oczami duszy, jest jednak miejsce na komplikacje.

W tym świecie Violet odwraca się plecami do drzwi, które śpiewają do niej, do opowieści, które szepczą o GDZIE INDZIEJ.

Ona nie jest Marianną. Nie ucieknie. Ale nie potrafi zignorować tej ukrytej w głębi serca tęsknoty, syreniego śpiewu, z którego nie byłaby w stanie się otrząsnąć, nawet po najdłuższym czasie.

To, co mówi, jest okropnie egoistyczne, ale musi to powiedzieć, bo niepowiedzenie niczego byłoby znacznie gorsze.

– Możesz pójść ze mną. Jeśli będziesz chciał.

Aleksander patrzy na nią, te jego szare jak morskie szkło oczy są nieprzeniknione, a ona pozwala mu na to i sama napawa się jego widokiem. Kręcone włosy Aleksandra już odrastają, wiją się na karku. Pewnego dnia, w niezbyt odległej przyszłości, będą już tak długie, że znowu zwiąże je w ten swój głupi męski koczek. Przygląda się jego srebrnym bliznom, płytkim, przedwczesnym zmarszczkom na czole spowodowanym stresem i rozpaczą, wygiętym w łuk ustom i kciukowi, który nieświadomie przyciska do pulsu bijącego na nadgarstku.

Aleksander nie mówi nic. Ale ona i tak zna jego odpowiedź.

* * *

Jednak nadal się ociągają. Choć ostatnie promienie słońca gasną już na niebie i powinni wracać, bo czeka na nich wiele pilnych spraw, Aleksander nie może się zmusić do przejścia przez te drzwi. Jeszcze nie.

Tracą czas na pytania o pobliskie ulice. Teraz są zarośnięte krzakami sięgającymi do pasa i strzelistymi drzewami do nieba, lecz kiedyś były to prawdopodobnie ruchliwe arterie. Grunt pod ich stopami jest wyjątkowo gładki, prawdopodobnie wypolerowany butami tysięcy przechodniów, którzy zmienili porowaty kamień w wyslizganą posadzkę. Aleksander zamyka oczy i próbuje sobie wyobrazić ludzi, którzy chodzili tędy przed nimi. Ale słyszy tylko świergot ptaków i Violet, którą trzyma za rękę.

– Jak myślisz, czy gwiazdy tu kiedyś powrócą? – pyta Violet.

– Jeśli Ever otworzył przejście. To... możliwe – odpowiada Aleksander.

Nie powiedział jeszcze o tym Violet, choć jest całkiem pewny, że potrafi odbudować drzwi. Nie marnował czasu w Elandriel bezczynnie. To będzie wymagało miesięcy ciężkiej pracy, rozwiązania skomplikowanych problemów i, tak, porażek. I będzie musiał zdecydować, czy w ogóle otwierać te drzwi. Nie bez powodu przekraczanie granic pomiędzy światami jest takie trudne i nie bez powodu nastąpił upadek Elandriel.

Ale on również czytał opowieści o podróżnikach między światami, o współpracy, wymianie kultur i wiedzy. O marzeniach o świecie, który się rozszerza, zamiast zasklepić się w sobie. Teraz wie, że w tych opowieściach jest coś więcej niż tylko ziarnko prawdy. Nie ma takiej skłonności do optymizmu jak Violet, ale chciałby spróbować.

Okazuje się, że koniec świata wygląda jak początek innego.

Światło gaśnie, przechodzi w lekki zmierzch, księżyc wychodzi leniwie zza chmur. Są poza czasem.

– Idź pierwsza – mówi Aleksander. – Ja będę zaraz za tobą.

Violet rozcina opuszkę palca. Przyciska rękę do drzwi i wokół ich obwodu pojawia się złociste światło. Aleksander odprowadza wzrokiem odchodzącą Violet.

GEORGIA SUMMERS

Zawsze odprowadza ją wzrokiem, gdy odchodzi. Gdy idzie krętą dróżką wzdłuż rzeki, zostawiając za sobą eksplozje światła, gdy wędruje chodnikiem w Pradze, gdy przechodzi energicznie przez martwe miasto, a każdy jej krok znamionuje odwagę. I teraz, z księżycem lśniącym we włosach, jest taka piękna, że samo patrzenie na nią sprawia ból.

Coś w nim pragnie biec za nią. To byłby najłatwiejszy wybór – podążać za nią każdą drogą, jaką ona wybierze. Przez całe życie Aleksander podążał w ślad za kimś innym. Kim jest bez tatuaży uczonego, bez swoich dążeń, bez swojej mistrzyni? Kim jest bez Violet Everly?

NIKIM, szepcze mu jakiś głos. Ale po raz pierwszy, co ciekawe, to słowo tkwi w jego głowie jak przyjaciel. Aleksander wypowiada je na głos i choć nikt tego nie słyszy, to w powietrzu zawisa pytanie. Bo teraz Aleksander dochodzi do wniosku, że może z tym żyć, tak jak nauczył się żyć ze wszystkim innym.

Bo przecież bycie nikim oznacza tworzenie siebie od nowa.

Pięćdziesiąty siódmy



Wmroźny, wiosenny poranek bracia Everly opuszczają swój walcący się dom. Gabriel poprawia okulary przeciwsłoneczne chroniące przed ostrymi promieniami słońca, a Ambrose ciągnie kompaktową, ale ciężką walizkę do jego samochodu. Jest po brzegi wyładowana książkami, których nie był w stanie zostawić. I choć nigdy nie powie o tym Gabrielowi, znajduje się tam również pięćdziesiąt stron manuskryptu, nad którym pracował przez ostatnich kilka tygodni.

Jest tyle miejsc, do których chciałby pojechać, że nie wie, od czego zacząć. Przygotował plan podróży, tak długi i szczegółowy jak najbardziej kompleksowy katalog, ale – prawdę mówiąc – myśli o rezygnacji z niego, aby odwiedzić kilku starych przyjaciół. No i słyszał o bibliotece wiktoriańskiego kolekcjonera ze Szkocji z kilkoma NIEZWYKŁYMI eksponatami...

Cóż, najlepiej przygotowane plany i tak dalej.

Gabriel poklepuje w zamyśleniu składany dach swego okropnego pomarańczowego samochodu.

– Zapropionowałbym ci przejażdżkę, ale...

– To coś to zagrożenie – mówi Ambrose. I robi pauzę. – Będziesz się dobrze bawił.

– Zobaczymy – odpowiada niepewnie Gabriel. To rzadko spotykany ton u starszego z braci.

Gabriel nie mówi mu o wielu rzeczach, ale Ambrose nie zapomni o listach, które co roku przychodzą do domu, z tym samym charakterem pisma na kopercie i tymi samymi słowami nagryzmołonymi na odwrocie. „Mój drogi Gabrielu. Byłoby cudownie zobaczyć cię znowu”.

– Marianna powinna być tu teraz z nami – mówi Gabriel niespodziewanie.

Jego wzrok jest skierowany na dom, ale Ambrose wie, że brat błądzi myślami daleko stąd, zatopiony we wspomnieniach. Nawet teraz wydaje mu się, że wystarczy zmrużyć oczy, żeby zobaczyć Mariannę wybiegającą z drzwi i wołającą, by na nią zaczekali. Zawsze była nieustraszoną liderką ich trojga. Zastanawia się, czy nie zostałaby tutaj, gdyby wiedziała, ile smutku po sobie zostawi?

Wciąż trudno mu przyznać, jak bardzo za nią tęskni.

– Może teraz, kiedy Penelopa przepadła, ona wróci – mówi, choć w głębi serca bardzo w to wątpi.

– Prędzej piekło zamarznie, jestem tego cholernie pewien – rzuca sucho Gabriel.

– Prawdopodobnie – wzdycha Ambrose.

Co nie powstrzymało go przed schowaniem klucza do drzwi frontowych pod jedną z donic z kwiatami i listu do Marianny pod serwetką w korytarzu. Na wypadek, gdyby wróciła. Tak na wszelki wypadek.

– Czy to wszystko? – pyta Gabriel.

Ambrose rzuca ostatnie spojrzenie na dom. Wspomina, kiedy pierwszy raz powrócił tutaj z Gabrielem i Marianną, kiedy płytki na dachu były popękane i porośnięte mchem, a żywoptoty wyglądały jak dzikie bestie obrastające mury obronne. Opuszczona ruina, kolejny punkt na liście aktywów rodziny Everlych. Nawet po dziesięciu latach prób doprowadzenia domu do porządku wciąż przypomina mu on drzemiącego smoka, niepokromionego, jakby dach mógł rozłożyć się nagle jak skrzydła i odlecieć. Zielone kielki wyłazą już z ziemi na klombach kwiatowych.

– To wszystko – mówi.

Gabriel zdejmuje okulary i przeciera oczy.

– Co ja zrobię bez ciebie, braciszku?

– Na pewno mnóstwo okropnych rzeczy – odpowiada Ambrose.

Obejmują się mocno. To nie jest pożegnanie na zawsze, jak z Marianną. Ale pożegnanie.

– Violet mówi, że w przyszłym roku będzie z powrotem. Więc trzymam cię za słowo – mówi Ambrose i wzdycha. – Mam nadzieję, że jest bezpieczna.

– Martwisz się? Na pewno nie! – woła Gabriel, ale też wzdycha. – Ciekawe, co jej chodzi po głowie.

Ambrose ma kilka pomysłów. Wiedzmy w północnych lasach, miasto nad tętniącym życiem morzem. Albo cokolwiek znajdzie po drugiej stronie tych drzewi.

Pomimo troski uśmiecha się szeroko.

– Przygoda.

* * *

Nieuchronnie, jak fala przyływu, nowiny rozchodzą się wśród splekanej siatki uczonych. Rozmawiają ze sobą przy jedynych w swoim rodzaju posiłkach w ekskluzywnych restauracjach, w winnicy świeżo odrestaurowanego *chateau*, przelatując nad Atlantykiem prywatnymi samolotami. To tego typu nowiny, które mogą być przekazywane tylko z ust do ust – w przeciwnym razie mogłyby zostać odrzucone jako niewiarygodne plotki. A i tak szczęki opadają ze zdumienia. ONA ODESZŁA.

Adelia Verne obraca wino w kieliszku na balkonie swojej włoskiej wili. Pociąga łyk i się uśmiecha. Doskonałe.

Nie wszystko się zmienia, nie od razu. Nadal są partie, nadal trwa ten sam taniec sekretów, wpływów i przysług. I gróźb także, od czasu do czasu zdarzają się tajemnicze zniknięcia, szczególnie teraz, kiedy nikt nie trzyma tego w ryzach. Potężni gracze wprawiają w ruch dawno przygotowane plany, walcząc o puste miejsce, jakie pozostawiła po sobie Penelopa.

I może już zawsze tak będzie. Może zgnilizna posunęła się zbyt daleko.

Długo trwa, zanim list dotrze do miejsca przeznaczenia, dwukrotnie musi zostać przeadresowany, ale ląduje w końcu na biurku Caspiana Verne'a, w miesiąc po wysłaniu. Ostatnio przyciągnął go krąg menhirów w pobliżu jednego z norweskich fiordów. Lokalny folklor jest pełen podań o elfach, które porywają każdego durnia, który ośmieli się wejść do kamiennego kręgu, a Caspian ma niejedną teorię do sprawdzenia, zanim tutaj skończy.

Zdejmuje śnieżne buty po pieszej wycieczce do menhirów i z powrotem, gdy zauważa list leżący na biurku. Zerka na niego z roztargnieniem,

wciąż pozostając myślami przy kamieniach. Potem jego uwagę przyciąga charakter pisma i pierwsze zdanie: „Badam trzecią opcję”.

Przez pięć minut czyta list w absolutnej ciszy. A potem jeszcze raz.

I na jego twarzy rozlewa się szeroki uśmiech.

W Fidelis grupka mistrzów stoi w piwnicy wieży uczonych i podziwia drzwi z reweritu. W większości są to mistrzowie nowo mianowani; obnoszą się ze swoją świeżą żalobą i wytwornymi tatuażami stanowiącymi dowód, jak szybko zmienia się grunt pod ich stopami. Ludzie, którzy zginęli, nie powrócą, a wraz z nimi zniknęła ich wiedza. Plamy krwi nigdy nie zejną z podłogi.

Ale ktoś musi stanąć na czele. Jest aż nazbyt wiele pytań i nikogo, kto by na nie odpowiedział. Więc ci mistrzowie – ci, którzy się zgłosili, pomimo złych przeczuć albo może z nadzieją, że zaproponują bardziej wyważony osąd niż ich poprzednicy – przeżykają trwogę i spoglądają na drzwi, z całą niepewnością i grozą, jaka się z nimi wiąże. I ze wszystkimi ich możliwościami.

Chociaż w podziemiach panuje wieczna północ, to wstaje świt, kiedy oni wszyscy, jeden po drugim, wychodzą przez drzwi do miasta gwiezdno-pyłu.

* * *

W odległym świecie kobieta z ciężką torbą na ramieniu staje, żeby rozejrzeć się po otoczeniu. Jej twarz jest ogorziała po latach wędrowki w upalnym słońcu. W jej włosach, już w większości siwych, widać jeszcze orzechowe pasma, w takim samym kolorze jak jej oczy.

Pod pewnymi względami wydaje się bardzo podobna do Marianny Everly.

Patrzy na krajobraz z zamyśleniem. Może przypomina sobie walący się dom i małą dziewczynkę wyglądającą przez okno na najwyższym piętrze. A może nie. Może po prostu szuka następnego znaku w swej długiej podróży. Ale, tak czy owak, staje.

Kobieta, która wygląda jak Marianna Everly, przechyla na bok głowę i wsłuchuje się w szept niosący się przez świat.

Epilog

Raz w roku, w wolny dzień, kobieta idzie wzdłuż rzeki do kawiarni, w której niegdyś pracowała. Wszyscy bariści są jej teraz obcy. Ale nadal podają tam różowe i fioletowe ciasteczka, kawę i dobre jedzenie. Kobieta zawsze siada przy tym samym stoliku z widokiem na rzekę i jeśli czasami przygląda się zbyt intensywnie ludziom przechodzącym obok – cóż, to tylko jeden dzień w roku, więc może sobie na to pozwolić.

Czasami zmienia się kawiarnia, jest w Tokio, w Saint George's, w Vancouver. Zmienia się również towarzystwo. Najczęściej to gburowaty, siwowłosy mężczyzna w ciemnych okularach. Czasami jest ich dwóch i ciekawski obserwator mógłby dopatrzeć się podobieństwa rysów całej trójki – mają takie same orzechowe oczy, takie same kwadratowe ręce i taki sam śmiech, tylko w innych oktavach – krótko mówiąc, istnieje wyraźne podobieństwo rodzinne. Kiedy indziej towarzystwo jest tak duże, że trzeba dostawiać dodatkowe krzesła do stolika. Kobieta z ochroniarzem wielkim jak szafa i dziewczyna obserwująca wszystko z chłodem; bliźnięta w strojach uzupełniających się kolorystycznie; mężczyzna roztaczający wokół swój czar jak bateria emitująca moc. Ludzie, których ona zaczyna nazywać sprzymierzeńcami, jeśli nie przyjaciółmi.

Czasami to sam świat się zmienia i wtedy kobieta siedzi sama, pod nieznajomym niebem, pod nieznanymi gwiazdami. I choć kocha swoją rodzinę i swoich przyjaciół, swój dom, to właśnie dla tego żyje: dla tego fascynującego poczucia, że ma przed sobą nieznanne. Życie, w którym wszystko może się zdarzyć, w którym każdy dzień przynosi spotkania z nowymi ludźmi, nowymi językami, których można się nauczyć, nowymi

GEORGIA SUMMERS

sposobami życia, które można zrozumieć. „Niemożliwe” to znacznie węższy odcinek świata, niż sądziła.

I ma tak dużo CZASU.

Dzisiaj jest ten jeden dzień w roku, kiedy wraca do domu i idzie w stronę kawiarni, oczekując filiżanki kawy. Nagle spostrzega w oknie jakąś postać i staje. Ktoś siedzi już przy jej stoliku, na jej miejscu. Mężczyzna z ciemnymi, kręconymi włosami i szarymi oczami koloru morskiego szkła, z tatuażem prześwitującym spod koszuli. Niemożliwie piękny.

Kobieta myśli o sfatygowanej karcie, którą ma w kieszeni, tej z dziesięcioma zamazanymi stemplami. Tyle przeszła, że jest już prawie nieczytelna. Ale kobieta liczy na to, że zachowała swoją wartość.

Violet Everly otwiera drzwi, nieskończoność gwiazd w górze śpiewa.

Podziękowania

O rety, zrobiliśmy to! Mówię MY, bo z całą pewnością nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ogromne wsparcie wielu osób. Wielkie podziękowania dla Robbiego Guillory'ego za to, że dał mi szansę, za jego błyskotliwość, wiedzę i rady. Dziękuję Molly Powell, Sophie Judge i zespołowi Hodderscape oraz Nivii Evans i zespołowi Orbit US za ich wydawnicze czary i niesamowicie ciężką pracę. Dziękuję ci, Micaelo Alcaino, za TAKĄ wspaniałą okładkę!

Dziękuję Nadii Saward za to, że jest najbardziej zachwycającą pisarką skrzydłową, za jej niewiarygodnie wspaniałomyślne i entuzjastyczne wsparcie, i za dzielenie się zdjęciami Fitz'a, okrągłutkiego i prześlicznego. Dziękuję Victorii Hendersen za to, że jest najlepszą krytyczną partnerką, jaką można sobie wymarzyć, za pomoc w przedzieraniu się przez splątane wątki i za poprawianie mojego kulawego rosyjskiego. Dziękuję Emily Horn za odpowiedzi na wszystkie moje drobiazgowo pytania i za to, że dała imię mojemu najlepszemu alter ego. Nie mogę się już doczekać, by zastosować je w przyszłości.

Dziękuję grupie the BookCamp Mentees: Kathryn Whitfield, Imogen Martin, Kate Galley, Katie McDermott, Laurze Sweeney, Nicolii Jones, Sam Pennington, Joanne Clague, Jonowi Barton, Adamowi Cookowi i Inie Christova za to, że są tak ze sobą związaną, cudowną grupą ludzi, z którymi można dzielić nadzieje i obawy. Wszyscy razem wsiadliśmy do jednej łodzi, nie wiedząc, dokąd nas zabierze, i co to była za jazda! Szczególnie gorące podziękowania dla Annabel Campbell za to, że tak ciepło i wspaniałomyślnie obdarowywała mnie swoim czasem

i cierpliwie wysłuchiwała mnóstwa moich narzekań. Dziękuję Freyi Marske i the Word Camp-ers za ich zgodę, bym przyłączyła się do ich bajecznego dążenia do dominacji nad światem, za dobroć, z jaką odpowiadali na niektóre z moich szczególnie idiotycznych pytań, i za wprowadzenie mnie do ekscytującego świata fan fiction! Dziękuję swoim starym kolegom z Pan Mac i Tor, którzy nauczyli mnie wszystkiego, co wiem o wydawaniu, za ich wspaniałomyślność i entuzjazm, i za odprawienie mnie w takim stylu – praca z wami to była prawdziwa przyjemność.

Dziękuję Roshani Moorjani oraz Zainab Dawood, które były moim głosem rozsądku w chwilach kryzysu, najwspanialszymi towarzyszkami przy lunchu i po prostu wszechstronnymi gwiazdami w ludzkiej skórze. Dziękuję Johnowi Brazier-Beckettowi, mojemu pierwszemu czytelnikowi, za jego niestabny entuzjazm na każdym etapie mojej kariery pisarskiej – łącznie z tymi naprawdę okropnymi pierwszymi książkami! Dziękuję również Belli Pagan, Charlotte Tennant, Lucy Twist, Mairead Loftus, Thady Senior i tak wielu innym za ich dobroć, za ich ramiona, na których można się wesprzeć, i ich rady, które wyjątkowo sobie ceniłam. Bardzo wyjątkowe pozdrowienia dla Imogen Millar za tolerowanie moich sesji pisarskich niekiedy do szóstej rano i za to, że nie zamordowała mnie we śnie, do czego miała wszelkie prawo. Zasłużyłaś sobie na ten moment!

Ogromne wyrazy wdzięczności dla mojej rodziny za życie z moją kolekcją książek, za wysłuchiwanie większej ilości informacji o przemyśle wydawniczym niż potrzeba i za pozwolenie mi na utuczenie kota. Ale nade wszystko chciałabym podziękować swojej mamie za jej bezkresną miłość i wsparcie, za to, że jest taka silna, dzielna i mądra w obliczu wszystkiego. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję.

